

Przysięgałem milczeć.  
Ale to jest sytuacja życia i śmierci,  
to zwalnia mnie z tajemnicy...

JUSTYNA  
BEDNAREK



JAGNA  
KACZANOWSKA

# Gorsza

*siostra*

Justyna Bednarek  
Jagna Kaczanowska

# GORZA SIOSTRA



Copyright © by Justyna Bednarek, MMXX  
Copyright © by Jagna Kaczanowska, MMXX  
Wydanie I  
Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

**Warszawa, 2019**

– Jeden, dwa, cztery...

Dziunia leżała w wykrochmalonej pościeli pokrytej misternym haftem i z uwagą liczyła dźwięki, jakie wydawała mechaniczna kukułka raz za razem wyskakująca z zegara. Dziewczynka była niesłychanie mądra jak na swoje trzy lata. Od paru tygodni potrafiła liczyć do dwunastu i Urszula nauczyła ją, że jeśli ptaszek zakuka osiem razy, to znaczy, że jest godzina ósma.

– A o ósmej możesz wstać i obudzić babcię – powiedziała, całując małą na dobranoc w czubek blond główki.

– I będą już urodziny? – spytała dziewczynka, wpatrując się z nadzieją w błękitne oczy, tak bardzo podobne do jej własnych, choć pozbawione tego cudownego blasku, jaki w tęczówkach roznieca młodość.

– I będą urodziny – przytaknęła Urszula z uśmiechem, a potem starannie otuliła Dziunię kołdrą z gęsiego puchu.

– Mięciutka – szepnęła dziewczynka. – Taka mięciutka i milutka jak ty!

„Co za słodkie dziecko” – pomyślała Urszula i natychmiast poczuła chłód rozlewający się wokół serca. Jakie to wszystko jest niesprawiedliwe! Dlaczego, dlaczego coś tak okropnego spotyka właśnie jej śliczną i kochaną wnuczkę?!

Teraz był już ranek i dziewczynka starała się policzyć kuknięcia. Jednak – czy to z powodu emocji, czy dlatego, że jeszcze nie do końca oswoiła skomplikowany świat liczb – pomyliła się, i to dwa razy. Przeskoczyła trójkę i siódemkę, no i wyszło jej, że kukułka zakukała na ósmą, podczas gdy była dopiero szósta.

Usiadła i rozejrzała się po pokoju. W mieszkaniu panowała cisza – oczywiście jeśli nie liczyć chrapania Fredka, starego pieska babci,

rudego kundelka o pięknie zakręconym ogonie, darzącego Dziunię miłością bezwarunkową i bezgraniczną. Pozwalał się ujeżdżać, ciągnąć za ogon, wpychać palce do nosa. A nawet – o zgrozo – wyjadać psie chrupki z miski, co Dziunia czyniła przez pewien czas z wielkim upodobaniem. Wyrozumiałość psa wzruszała Urszulę – tym bardziej że nawet jej to stare psisko nie darzyło taką atencją. Nieraz, gdy próbowała przesunąć jego miskę, kiedy akurat jadł, warczał groźnie, jakby nie była jego ukochaną pańcią, która uratowała mu życie, odchuchała go, wyleczyła za ciężkie pieniądze i doprowadziła do lekkiej nadwagi. Dwanaście lat temu, gdy wracała z weekendowego pobytu w wymarzonym domku na Suwalszczyźnie, Urszula znalazła Fredka przywiązanego do drzewa w lesie. Był tak osłabiony, że nie miał siły szczekać – wpatrywał się w nią tylko wielkimi czarnymi oczami, w których mieszkał cały smutek wszechświata.

Dziunia podreptała do legowiska psa, ukucnęła przy Fredku i pociągnęła go za ucho.

– U-ro-dzi-ny! – powiedziała głośno, licząc na to, że ktoś ją usłyszy.

Jednak Fryderyk łypnął na nią lewym okiem, trącił mokrym nosem tłustą rączkę, a potem odwrócił się do Dziuni ogonem. Miłość miłością, ale kto to widział: budzić psa o szóstej rano!

Dziunia westchnęła ciężko, jakby miała lat sześćdziesiąt, a nie trzy, i pokręciła głową. Podpatrzyła ten gest u swojej babki, która kwitowała nim każde niesforne zachowanie Fredka. A potem podreptała do sypialni Urszuli. Nacisnęła kłamekę. W pokoju panowała nieprzenikniona ciemność. Urszula ostatnio miała kłopoty ze snem, które potęgował jeszcze blask latarni za oknem. Dlatego obstałowała specjalne żaluzje, które nie przepuszczały nawet najmocniejszego światła słonecznego, o sztucznym nie wspominając. Nie na zbyt wiele się to zdało. Troski, które spadły na babkę Dziuni w ostatnim czasie, odcisnęły ślad na jej zdrowiu. Do tej pory, mimo pięćdziesięciu lat, Urszula uważana była za kobietę młodą i energiczną, mogłaby nawet uchodzić za bardzo atrakcyjną, gdyby – do czego jej córka Ida wielokrotnie próbowała ją przekonać – chciała o sobie nieco bardziej zadbać.

– Mamo, masz fantastyczne włosy! Dlaczego marnujesz taki skarb?! Boże, czemu ja odziedziczyłam włosy po ojcu, nie po tobie? Umiiałabym z nich skorzystać – biadoliła Ida. – Zamiast nosić tę koronę z siwiejących warkoczy, zrób sobie nowoczesną fryzurę, ufarbuj się na naturalny ciepły blond i idź na podryw!

Ona jednak niezmiennie powtarzała, że „dojrzewać trzeba z godnością”. Być może dlatego tak śmiało mówiła o swoim wieku, że właśnie, jeśli by nie liczyć wspomnianej siwizny, czas się jej nie miał. Do niedawna. A dokładnie do tego przekłętą piątku – dobrze pamięta, że to był piątek – kiedy to wszystko się zaczęło. Nie, nie ufarbuje włosów i nie zmieni fryzury. Zwłaszcza teraz, gdy jej córka...

Urszula poczuła na twarzy rączki wnuczki. Otworzyła oczy i próbowała w ciemnościach dojrzeć bladą tarczę zegara z kukułką, który wisiał w przedpokoju, naprzeciwko wejścia do jej sypialni. Dwa lata wcześniej lekarz zdiagnozował u niej początki zaćmy i zasugerował wymianę soczewek. Poddała się zabiegowi i z zadowoleniem schowała okulary do szuflady. Widziała lepiej niż w młodości. Dlatego teraz, gdy wzrok przyzwyczał się do mroku, mogła wyraźnie odczytać godzinę.

– Jasna cho... – zaczęła, ale szybko ugryzła się w język. Nie wolno przeklinać przy dziecku. – Ile razy kukułka zrobiła „kuku”, Wandusiu? – zapytała spokojnie.

– Osiem.

– Jesteś pewna? – Pogładziła potargane jasne kosmyki. Tak, ta mała będzie miała jej włosy, nie ulega wątpliwości.

– Urodziny – szepnęła dziewczynka, jakby zdradzała babci wielki sekret.

– Oczywiście! Urodziny! – Babka się uśmiechnęła. Ta wczesna pobudka wynika na pewno z podekscytowania. Dobrze, niech się dziecina cieszy! Przytuliła więc małe pulchne ciało i mocno wciągnęła powietrze. Ciągle jeszcze się jej zdawało, że dziewczynka pachnie mlekiem, choć Ida karmiła ją zaledwie przez pół roku. – To ile lat panienka kończy?

Dziunia z powagą podniosła rączkę, a potem z trudem, pomagając sobie drugą dłonią, zagięła dwa palce.

– No, ile to jest paluszków? – nalegała Urszula.

– Trzy! – zawołała z radością dziewczynka i wskoczyła na babkę z takim impetem, że mało jej nie połamano żeber.

– O matko! Wązysz tyle co trzyletni słoń! – jęknęła Urszula, starając się, żeby jej głos brzmiał radośnie i beztrosko. – A powiedz mi, Dziunieczko, jak dzieci mają urodziny, to co dostają?

– Prezenty! – zawołała dziewczynka.

– Właśnie, prezenty! I my też mamy dla ciebie prezent, tylko może poczekamy, aż przyjdzie tatuś?

Tomek miał wrócić z delegacji około czternastej i od razu z dworca przyjechać do mieszkania teściowej. W związku z tym, co się stało, szef i koledzy z biura pozwalali mu nieco bardziej elastycznie traktować urzędowe godziny pracy.

Urszula pomyślała, że lepiej na niego poczekać z wręczeniem prezentu. Obawiała się, że w obecnej sytuacji mógł po prostu zapomnieć o podarunku dla córki.

– To co, poczekamy na tatusia? – powtórzyła pytanie.

– I na mamusię – dodała dziewczynka, a Urszula udała, że nie słyszy.

– Może jednak otworzymy od razu prezent, co? Ciekawa jesteś, co jest w tym pudełku, skarbie? – powiedziała, bo chciała zmienić temat. Za wszelką cenę odwrócić uwagę wnuczki od...

Dziewczynka zaczęła skakać i wołać: „Tak, tak, tak!”. Urszula odetchnęła z ulgą. Katastrofa została na moment oddalona.

Prezent rzeczywiście był wielki. Pudełko miało wysokość Dziuni. Zawinięte w różowy papier w czerwone serduszka, zwieńczone ogromną tiulową kokardą, zajmowało jedną czwartą niewielkiego salonu. Wciśnięte między kredens wypełniony starą porcelaną i biedermeierowskimi kieliszkami, na które mąż Urszuli wydawał każdy zachomikowany grosz, a okrągły stół na giętych nogach, jeden z nielicznych przedmiotów, jakie przywędrowały z Krakowa. Można go było rozłożyć i wsunąć do środka aż cztery deski. Wspomnienie po starym wielkim mieszkaniu w kamienicy przy Rynku, którego obraz Urszula nosiła w sobie, chociaż przecież nigdy w nim nie była. Przy rozłożonym stole zmieściłoby się ze czterdzieści osób. Urszula miała mgliste wspomnienie jakiejś starej,



dawno niewidzianej, zaginionej fotografii. Widniał na niej stół przykryty kilometrami białego obrusa, a na nim salaterki, półmiski, wazy... No i ludzie, których nigdy nie poznała. Co to mogła być za okazja? Jakaś Gwiazdka? Czyjeś urodziny? Tego nie wiedziała. W jej skromnym, choć ładnym mieszkaniu można było użyć co najwyżej jednej deski, a i tak powiększony mebel uniemożliwiał sprawne poruszanie się po pokoju.

– Pomogę ci, Dziunieczko – powiedziała Urszula, widząc, że brzdąc zupełnie nie radzi sobie z rozpakowywaniem prezentu. Wyciągnęła z szuflady nożyk introligatorski – kolejna pamiątka po mężu – i trzema sprawnymi cięciami otworzyła pudełko.

Oczywiście spodziewała się radości, jednak reakcja dziewczynki przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Dziunia wpatrywała się w zawartość pudła jak oniemiała. Potem nagle zadrżała, a jej błękitne oczka wypełniły się łzami. Zaczęła bezdźwięcznie szlochać; widać, że silne emocje ją przerosły.

– Maleńka, no coś ty! – zawołała babka i przytuliła dziecko.

– Do-domek dla królisia – łkała Dziunia. – Mój domek!

Babka poczuła, że i jej oczy wilgotnieją. W jej życiu również było za dużo silnych emocji, choć nie tak pozytywnych.

Ogromny domek dla lalek wypatrzyła w internecie. Kosztował krocie i trzeba go było sprowadzić z Wielkiej Brytanii. Ogromny wiktoriański pałac z pełnym wyposażeniem. Kuchnia, w której znajdowały się maleńkie talerzyki i garnki, łazienka z wanną i pralką na korbkę, salon z pluszowymi fotelami i kominkiem, w którym płonął sztuczny ogień na baterię. Na ten prezent Urszula wydała równowartość swoich dwóch emerytur, co było kompletnie do niej niepodobne, bo na co dzień każdy banknot obracała w dłoniach po cztery razy, zanim go wydała. Tym razem jednak z wszystkich sił pragnęła sprawić swojej małej kochanej wnuczce radość. Radość, która potrafiłaby przyćmić jej własny smutek. I strach. Urodzinowy prezent dla Dziuni był także prezentem dla niej. Chciała wyczarować chwilę szczęścia, która napełniłaby otuchą jej przerażone, zrozpaczone serce. Jednak teraz w tej jednej chwili zrozumiała, że to był próżny trud. Choćby kupiła sto równie wspaniałych prezentów, nie mogła zagłuszyć własnego niepokoju.

W ponure myśli babki i radosne piski wnuczki wdarł się dźwięk dzwonka. Zaskoczona Urszula szybko otarła łzę, narzuciła na ramiona szlafrok i podreptała do drzwi. Kto przychodzi z wizytą o szóstej rano?!

– Tata! – krzyknęła Dziunia i rzuciła się ojcu na szyję.

Widać było, że Tomek nie spał całą noc. Jego przystojna twarz była poprzecinana bruzdami. Urszula zauważyła, że i on posiwiiał w ostatnim czasie.

– A co to za dziwna pora? – powiedziała, udając beztroskę. Spodziewała się, że zięć wyjaśni jej to wczesne przybycie, choć obawiała się tego, co mógłby jej powiedzieć.

– Nie byłem w stanie z nimi wytrzymać – mruknął zięć, a ona w lot zrozumiała, że chodziło mu o kolegów z pracy.

No tak. Człowiek dotknięty nieszczęściem najbardziej samotny czuje się wśród ludzi, których jego tragedia nie dotyczy.

\*\*\*

Drogę do szpitala znała na pamięć. Niby to tylko rok od postawienia Idzie diagnozy – a przecież była tu już tyle razy! Lubiła iść na piechotę ze stacji metra, z biegiem lat coraz bardziej podobał jej się Ursynów. Kiedyś była tu okropnie szara, betonowa pustynia. Z czasem między blokami rozrosła się roślinność, było dużo zieleni, skwerów.

Nawet ten budynek, Instytutu Hematologii, Urszula lubiła. Wyrastał przed nią jak dziób statku „Batory”. Bo i trochę przypominał statek, z bulajami tuż pod półokrągłym dachem.

Przed wejściem zakręciło jej się w nosie, kichnęła. Kilku wychodzących spojrzało na nią z jawną przyganą. Ona sama szybko zrobiła w głowie rachunek sumienia. „Czy to możliwe, żebym podłapała gdzieś grypę? Nie, mierzyłam temperaturę, jak zawsze rano, przed odwiedzinami u Idy. Gardło mnie nie boli, kataru nie mam... Nie, zdecydowanie nic mi nie jest” – uznała. Wiedziała, że w przeciwnym wypadku nie mogłaby wejść, naraziłaby Idę i innych pacjentów. Tu leżeli ludzie z obniżoną odpornością; chemioterapia

w leczeniu białaczek była jak armagedon dla wszystkich krwinek: zmniejszeniu ulegała zarówno liczba białych krwinek, jak i czerwonych, a także płytek krwi. Tak trzeba było. To był jedyny sposób, aby ratować życie Idy.

Urszuli przypomniało się, jak próbowała wytłumaczyć Dziuni, na co chora jest jej mama... „W środku twoich rączek, nóżek jest kość. Człowiek wisi na kościach jak palto na wieszaku, spójrz. A w każdej kości jest mała fabryka, szpik. Produkuje czerwone krwinki, które roznoszą po ciele powietrze, białe krwinki, które są rycerzami walczącymi z katarem, i płytki krwi – dzięki nim, gdy się skaleczysz, cała krew nie wypływa z ciebie jak woda z przekłutego woreczka. Ale choroba sprawiła, że fabryki w szpiku mamusi zwariowały. Produkują za dużo krwinek, ale żadna z nich nie jest dojrzała do podjęcia pracy. Tłoczą się, potem zajmują kolejne organy. Mamusia wtedy źle się czuje. Lekarze pomogą mamusi, dadzą jej tabletki, po których fabryki w jej kościach przestaną wariować” – wyjaśniała. Dziunia miała oczy wielkie i smutne i Urszula nie była pewna, czy cokolwiek zrozumiała z tej przemowy. Jak dziecko ma zrozumieć, że umiera mu matka?

Jak matka ma zrozumieć, że umiera jej dziecko? Urszula pierwsze dni po postawieniu Idzie diagnozy spędziła w malignie. Tomasz biegał, załatwiał jakieś konsultacje, drukował setki stron artykułów naukowych poświęconych ostrej białaczce szpikowej. Bardzo szybko Ida trafiła na oddział, zaordynowano leczenie: daunorubicyna, cytarabina, kladrybina. Nazwy brzmiały jak imiona zamorskich księżniczek. Po pierwszej księżniczce Ida wymiotowała, wypadły jej włosy. Po drugiej miała wysoką gorączkę. Po trzeciej wymiotowała. Urszula obserwowała, jak jej córka niknie w oczach, rozpada się. Miała nadzieję, że rozpada się także białaczka. Ale lekarze nie zostawiali złudzeń: to dopiero początek.

Po pierwszym podaniu leków Ida spędziła w szpitalu ponad miesiąc. Była tak słaba, że ledwo podnosiła się z łóżka. Ula starała się nie płakać przy córce: czasem musiała gryźć się w język do krwi, żeby się nie rozkleić. Ale wyniki morfologii były dobre, ordynator uśmiechał się do Idy, mówił: „No, ładnie! Damy radę”. A potem dodawał: „To jeszcze trzy takie sesje cytarabiny w szpitalu i będzie

pani zdrowa jak koń! To znaczy: na tyle zdrowa, by czekać na przeszczep”.

Urszula myślała, że Ida nie wytrzyma kolejnych pobyków w szpitalu. Ale Ida trzymała się dzielnie. Codziennie mówiła matce, jak bardzo chce znowu zobaczyć córeczkę. Urszula widziała w jej spojrzeniu determinację, której wcześniej nie znała. Ida fruwała przez życie z lekkością motylka. W szkole co roku miała czerwony pasek, nie musiała zakuwać, nauka sama wchodziła jej do głowy. Dostała się na wymarzone studia, romanistykę. Od dziecka uczyła się francuskiego, pokochała ten język, jakby był jej własnym – Urszulę to dziwiło, w rodzinie nikt poza Idą nie mówił po francusku. Potem poznała Tomka. Studencka wielka miłość – i od razu idealny kandydat na męża! Pracowity, uczciwy, przystojny, obdarzony poczuciem humoru i wpatrzony w żonę jak w obrazek. I nawet cięża poszła jak z płatka. Ida odstawiła tabletki i po trzech miesiącach oświadczyła, że spodziewa się dzidziusia. „Tak szybko?” – nie mogła się nadziwić Urszula. Miała nadzieję, że córka się wyszumi, może zacznie pracę, ustawi się życiowo – przecież tak teraz robiły wszystkie młode kobiety. „Mamusiu... ja chcę tylko tego. Mieć rodzinę” – powiedziała Ida i cmoknęła ją w policzek.

I tak się stało. Wandzia urodziła się w terminie, śliczna, zdrowa, donoszona. Urszula nawet się trochę martwiła, że córka jest taką szczęściarą, wszystko jej się w życiu udaje. „To porażki, błędy budują człowieka, to na nich się uczymy i dzięki nim wzmacniamy” – mówiła często. Ale widać taki los Idy, żeby mieć w życiu z górki. Tyle tylko że Urszuli nie opuszczało przeczucie: to „z górki” kiedyś się skończy.

I skończyło się, rok temu. Najpierw Ida sądziła, że to grypa. Minęła jedna grypa, zaczęła się druga. Idzie wciąż chciało się spać, nawet Dziunia rzadko przywoływała uśmiech na jej twarzy. Była blada, miała zaburzenia pracy serca. Właśnie to sprawiło, że Urszula namówiła córkę na wizytę u zaprzyjaźnionego kardiologa. Sądziła, że to zwykłe przemęczenie: Ida była młoda, ale miała małe dziecko, a mimo to wciąż przygotowywała się do doktoratu. Dużo czytała, chodziła na uczelnię, pisała materiały na zajęcia ze studentami. „To przez to – zapewniała znajomego profesora Urszula. – Przeworsowała

się i proszę. Niech jej pan powie, że ma jeszcze czas, nie musi tak pędzić, brać wszystkiego na głowę! Studia, dziecko, doktorat!” – utyskiwała. Przy uwadze na temat czasu profesor rzucił jej przeciągłe spojrzenie, które zbiło ją z tropu. Potem spoważniał. Zaczął szczegółowo wypytywać: a jak objawia się przemęczenie Idy, a ile tych przeziębień, infekcji, czy antybiotyki działały? Czy Idzie dokuczają bóle stawów? Nocne poty? Gorączka? Czy Ida zauważyła, że ostatnio często robią jej się siniaki, choć nie może sobie przypomnieć, żeby się uderzyła?

Ida kiwała głową. A Urszula w jednej chwili zdała sobie sprawę: coś jest nie tak, coś jest bardzo nie tak! Zamilkła i rozszerzonymi z przerażenia oczami wpatrywała się w lekarza. „Proszę pań, za wcześnie na diagnozę, ale pani Ida musi zrobić badanie krwi, jak najszybciej. Najlepiej jeszcze dzisiaj. Z wynikami mogą panie zadzwonić do mnie nawet wieczorem. Pewnie wszystko jest w porządku i faktycznie jest pani przemęczona. Ale muszę wykluczyć białaczkę” – powiedział w końcu.

Wtedy ta nazwa padła po raz pierwszy. Urszula zapakowała zszokowaną Idę do samochodu i zabrała ją do najbliższego punktu diagnostyki. „Mam małe dziecko... Nie mogę być chora... Mam małe dziecko” – powtarzała Ida jak w transie. Urszula milczała. Przełączyła się w tryb zadaniowy. Odezwała się w punkcie pobrań. „Wyniki będą jutro” – poinformowała miła panienka. „Jutro?! Jutro?! Mają być dziś, rozumie pani?! Moja córka może mieć białaczkę i dzisiaj musimy wiedzieć, czy ją ma, czy nie!” – wrzeszczała. Pielęgniarka była przerażona, pytała, czy Urszula nie potrzebuje jakiegoś środka uspokajającego. „Uspokoję się, jak przebadacie mi dziecko! Przebadajcie mi dziecko!” – darła się Urszula. I pielęgniarka przyrzekła, że osobiście zadba o to, żeby wyniki Idy były jeszcze wieczorem, zadzwoni do laboratorium i poprosi, wytłumaczy, że to wyjątkowa sytuacja.

Wyniki były dwie godziny później online. Przez te dwie godziny Urszula zdążyła się już pogodzić z niepostawioną jeszcze diagnozą. Nie, nie pogodzić się, ale... przyjęła ją do wiadomości. Intuicja podpowiadała jej, że to będzie to. Dlaczego wcześniej o tym nie

pomyślała? Przecież to było oczywiste. Ta bladość, ospałość, zmęczenie...

Z wyników Urszula wyczytała, że wszystkich krwinek w organizmie Idy było za mało. Na moment poczuła nadzieję: czyli nie jest tak, że białych jest za dużo... Z tym kojarzyła jej się ta choroba. „Białaczka nie zawsze tak się objawia. Proszę pamiętać, morfologia nie pozwala na postawienie diagnozy, potrzebne są dalsze badania. Ale... jest możliwe, że to niestety białaczka. Przykro mi” – powiedział wieczorem znajomy profesor.

Tej nocy Urszula nie płakała, następnej też nie. Ani po tym, jak wymaz krwi i biopsja szpiku potwierdziły najgorsze. Ostra białaczka szpikowa. Urszula miała świadomość, że liczą się godziny, bo choroba gwałtownie postępuje i nieleczona może zabić jej ukochane dziecko w kilka miesięcy. Jej jedyne dziecko.

Potem były gorączkowe poszukiwania lekarza prowadzącego, wertowanie książek, przeszukiwanie internetu w nadziei na znalezienie cudownego leku, cienia nadziei.

Gdy Idę prowadził już polecony lekarz, gdy była po konsultacjach z ordynatorem w Instytucie Hematologii, dopiero wtedy do Urszuli wróciła umiejętność odczuwania emocji. I nie poczuła wcale smutku, rozpacz czy strachu. Poczuła straszną, wszechogarniającą złość. Jakim prawem świat, jakim prawem Bóg wybrał właśnie jej Idę?! Dlaczego właśnie ją, wytęsknioną, wyczekaną, jedyną, naznaczono tą straszną chorobą?!

Ta złość Urszuli nie przeszła. Ale teraz musiała się z nią dobrze ukrywać. Dla Idy musiała zachować uśmiech na twarzy, pogodną maskę.

Uśmiech numer pięć – tak go nazywała. Niezbyt szeroki, ale łatwo dostrzegalny, bez podtekstów, przyjazny, neutralny. Jakby nic nie zaprzętało jej głowy, jakby wszystko było w porządku. Urszula przywołała ten właśnie uśmiech na twarz, bo wchodziła do sali Idy.

I musiała się nieźle napracować, żeby ten uśmiech nie zamarł jej na ustach. Ida wyglądała strasznie. Gorzej niż ostatnio. Urszula przyzwyczała się do chudości córki, do jej twarzy bez brwi i rzęs, do łysej głowy przykrytej kolorową chustką zawiązaną w turban.

Ale Ida miała fioletowe podkówki pod oczami, a skórę na twarzy tak przezroczyłą, że zdawała się aż niebieska.

– Dzień dobry, Idusiu! – powiedziała, siłąc się na to, żeby jej głos zabrzmiał dziarsko.

Ida odwróciła się w jej stronę, oczy miała pociemniałe i pełne takiego cierpienia, że pod Urszulą ugięły się nogi.

– Cholera! – Przytrzymała się framugi. – Założyłam nowe czółenka, piją jak smoki. No, no, nieźle wyglądasz! – Znów uśmiech numer pięć.

– Mamo... daj spokój – wyszeptała Ida. – Wyglądam jak śmierć na chorągwi.

– Może i tak, ale to nie ma znaczenia. Masz zdrowieć, i kropka, i z tego, co wiem, zdrowiejesz. Wykurujesz się i znów będziesz śliczną mamusią ślicznej Wandzi.

– I tylko Wandzi... – Ida wyglądała, jakby miała się rozpląkać.

Urszula samą siebie zbeształa w myślach za ten wtęret o byciu matką. Przecież miała świadomość, że Ida może zapomnieć o macierzyństwie – po chemioterapii nie mogło być o niej mowy. Wiedziały, że istnieje możliwość zamrożenia komórek jajowych lub nawet fragmentów jajnika, ale w przypadku Idy choroba postępowała zbyt szybko, leczenie rozpoczęto natychmiast po postawieniu diagnozy.

– A ja jestem matką tylko Idy. Tylko i aż. I powiem ci szczerze, że nie jest źle mieć jedno dziecko. Masz dla jedynaka czas, całą swoją miłość i uwagę... Zresztą takie widać nasze przeznaczenie. Moja matka miała tylko mnie, ja mam tylko ciebie i ty też masz tylko Dziunię. Taka sztafeta kobiecych pokoleń. – Zaśmiała się. Wypadło w miarę naturalnie.

– Chyba jednak... chyba jednak ty będziesz miała Dziunię, bo ja... – powiedziała Ida tak nieszczęśliwym głosem, że Urszula aż się przeraziła.

– Idus! Ida, co ty opowiadasz, dziecko?! Co się stało?! – krzyknęła.

– Mamusiu... mamusiu, wyniki mi się pogorszyły. Ona wróciła – szepnęła Ida, a Urszula drugi raz tego dnia musiała złapać się futryny, bo inaczej chybaby upadła.

\*\*\*

– No, nie jest tak, że choroba wróciła, ale wie pani: ta choroba tak sama z siebie nie mija. To wyjątkowe paskudztwo. – Doktor Jerzy Białobrzeski, hematolog, onkolog, patrzył na wyniki badań Idy z niechęcią. Szurnął papierami w kąt biurka i ze złością podkreślił węża. Nienawidził, gdy to się działo. Miał dwadzieścia lat doświadczenia i nadal tak samo nie znosił chwil, w których zdawał sobie sprawę z tego, że białaczka z nim wygrywa.

– Ale co się dzieje? Przecież Ida się leczy, dużo wypoczywa, jeśli nie siedzi w szpitalu, to jest z rodziną, cieszy się córką... Nawet tę, no, wdzięczność praktykujemy, oboje, bo tak kazała psychoonkolog! – Tomaszowi niebezpiecznie drżał głos.

Urszula zdała sobie sprawę, że jej zięć zaraz się rozplacze. Do tej pory zdarzyło jej się go widzieć w takim stanie tylko raz: gdy z sali porodowej wyniesiono mu Dziunię, miał ją kangurować, zanim Ida, dochodząca do siebie po cesarskim cięciu, będzie mogła przejąć małą.

– Musi pan zrozumieć, białaczka, zwłaszcza ostra, jest chorobą nieprzewidywalną. – Lekarz się skrzywił.

Urszula od razu się zorientowała, że onkolog należy do licznej grupy doktorów, którzy nie umieją rozmawiać z pacjentami o niepowodzeniach – doktorów, dla których liczą się tylko sukces, wygrana, remisja.

Ida nie wiedziała, że umówili się z jej lekarzem prowadzącym. Natychmiast po wizycie u córki Urszula zadzwoniła do zięcia, przekazała złe wieści i naciskała, żeby jak najszybciej spotkali się z Białobrzeskim, porozmawiali poważnie. Rozważyli opcje.

– Doskonale to rozumiemy, panie doktorze. Absolutnie nie mamy żadnych pretensji, jesteśmy świadomi, że terapia Idy jest zgodna z najnowszymi trendami i światowymi schematami leczenia – powiedziała uspokajającym tonem.

Białobrzeski przestał szastać papierami, westchnął, potarł zmęczone oczy. A więc na szczęście ci ludzie nie mają do niego pretensji. Nie cierpiał roszczeniowych rodzin pacjentów, wyrzutów,



krzyków. A już najbardziej nie lubił płaczu w gabinecie. Dlatego Tomasz nie bardzo mu się spodobał, miał takie czerwone oczy, wyglądał tak, jakby lada moment mógł zanieść się szlochem. Już ta starsza, matka... Urszula – tak się przedstawiła – bardziej mu pasowała. Sprawiała wrażenie chłodnej i rzeczowej. Z nią mógł rozmawiać.

Doktor Białoברzeski nie wiedział oczywiście, ile kosztowały Urszulę ten pozorny chłód i rzeczowość.

– Przede wszystkim chcemy wiedzieć, jakie są pana dalsze zamierzenia. Co jeszcze można zrobić? – spytała spokojnie, ze szczególnym naciskiem na słowo „jeszcze”.

– Od początku mówiłem, że ta choroba nie zostawia nam wiele pola do działania. Leczenie, nawet jeśli jest skuteczne, a w przypadku Idy tak było, nie gwarantuje sukcesu, ono tylko przedłuża życie. Choroba wraca w większości wypadków. Jedynym, powtarzam, jedynym wyjściem jest przeszczep szpiku. I to jak najszybciej. Musimy wyprzedzić chorobę i zdusić ją, zanim przejdzie do ofensywy. – Lekarz odzyskał wigor, lubił w rozmowach uciekać się do terminologii wojskowej lub piłkarskiej, zresztą był wielkim fanem futbolu i kapitanem polskiej drużyny hematologów.

– Dlaczego tego jeszcze nie zrobiliśmy? O przeszczepie mówimy od początku i nic się nie dzieje! – Tomasz był bliski hysterii.

Białoברzeski znów posmutniał.

– Musi pan zrozumieć... – zaczął, ale ugryzł się w język.

Temu facetowi umiera żona, matka trzyletniej dziewczynki, a on drugi raz w ciągu pięciu minut mówi mu, że coś musi! Jerzy Białoברzeski był świetnym lekarzem, po prostu brakowało mu miękkich kompetencji. Na studiach nawet było dwadzieścia godzin psychologii, ale spędził je, flirtując pod ławką z koleżanką z roku. Teraz brak umiejętności prowadzenia rozmów z chorymi i ich rodzinami boleśnie dawał mu się we znaki. Współczuł im. Chciał ich pocieszyć. Ale co, do cholery, mógł im powiedzieć? Nie dawał gwarancji, bo i sam Pan Bóg by ich nie dał w przypadku ostrej białaczki szpikowej, choroby, która atakowała podstępnie głównie dorosłych. Ale jednak najczęściej starszych niż Ida. Takich pacjentów, młodych, przed którymi było całe życie, a którzy lada

moment mogli to życie stracić, żałował najbardziej. I o nich gotów był walczyć jak lew. Tylko co z tego?

– Proszę pana, przeszczepy szpiku to delikatna sprawa. Jest pan człowiekiem wykształconym i na pewno wie, jak skomplikowany jest ludzki genom. Prawdopodobieństwo, że gdzieś na świecie żyje bliźniak genetyczny pańskiej żony, czyli osoba, która na skutek zbiegu okoliczności ma genom łądząco zbliżony do tego pani Idy, jest jak jeden do kilku milionów. To nie jest nawet szansa, to jest nikły cień szansy. W bazie Poltransplantu, Fundacji DKMS i innych znajduje się ponad milion potencjalnych dawców, niestety, żaden z nich nie może być dawcą dla pana żony, po prostu nikt nie pasuje. Próbowaliśmy szukać za granicą. Pudło. Wie pan czemu? Bo Polacy są specyficzną grupą, dość zamkniętą, za to z domieszkami obcej krwi i rzadkich w Europie i Stanach Zjednoczonych genów, na przykład azjatyckich... skutek najazdów tatarskich – wyjaśnił, widząc zdumione spojrzenie Tomasza. – Często mamy problem z dopasowaniem dawców zagranicznych. Najlepszy byłby, nie ukrywam, przeszczep rodzinny. Czyli, w tym wypadku, od pani Urszuli. Pani jest najbliższą rodziną, córka jest genetycznie najbardziej zbliżona do pani, więc szanse trafienia były, choć niewielkie. Ale przebadaliśmy panią i wiemy, że pani się nie nadaje na dawcę dla Idy. Przepraszam, zmienię temat: czy oboje państwo są zarejestrowani w bazie dawców?

Urszuli zrobiło się głupio. Banalna sprawa, trzeba było zadzwonić albo wypełnić formularz w internecie, pobrać wymaz z jamy ustnej, odesłać do Fundacji DKMS. Wszystko razem nie zabierało pewnie więcej niż kilkanaście minut. A jednak nigdy wcześniej o tym nie pomyślała, gdy Ida była zdrowa, a nawet, o dziwo, gdy już zachorowała. A teraz potrzebowała pomocy tych miliona osób, które miały więcej oleju w głowie niż ona i zgłosiły się jako potencjalni dawcy szpiku.

– Nie... – szepnął Tomasz.

Urszula zobaczyła, że lekko się zaczerwienił. Jemu także było wstyd.

– Dobrze. To znaczy niedobrze. Byłoby lepiej, gdyby państwo pomyśleli o tym wcześniej. – Białobrzeski rozkoszował się swoją

mentalną przewagą i moralną wyższością.

– Ale gdybym figurował już w bazach, to by znaczyło, że nie mogę być dawcą dla Idy, prawda? – zauważył przytomnie Tomasz.

– No, w sumie... – Białobrzeski nie chciał przyznać się do intelektualnej porażki. – To zresztą nieistotne. Istotne jest, że pana też przebadamy i będziemy mieli jasność w kwestii potencjalnego dawstwa. Chociaż nie będę robił złudzeń: dam sobie głowę uciąć, że pan się zupełnie do tego nie nadaje, chyba że jest pan tajemniczym, ukrywanym od lat bratem żony... Przepraszam za niestosowny żart, oglądam za dużo seriali brazylijskich. Niewinna rozrywka, odstresowuje mnie po pracy.

– Wie pan, ale nie tylko w serialach takie rzeczy się zdarzają. Na przykład moja matka miała tajemniczego brata, którego rzadko widywałam, bo jest mnichem, benedyktynem z Tyńca. Wprawdzie się tam nie ukrywa, ale jednak kontakt jest sporadyczny... – wtrąciła Urszula.

– Cioteczny dziadek pacjentki. Niestety, na dawcę rodzinnego się nie nadaje, pewnie jest w sędziwym wieku... Wprawdzie mnisi dobrze się prowadzą, ale jednak: za stary. Może niech się modli? Nigdy, wie pani, nie wiadomo, co pomoże. Mogą państwo namówić wszystkich znajomych, by zarejestrowali się jako dawcy. Znów: proszę nie liczyć, że kogoś z tej grupy uda nam się dopasować, nie wiem, jak musiałby się pani wuj modlić, chyba plackiem leżeć przez rok, żeby wyprosić taki cud. Ale im więcej potencjalnych dawców, tym więcej szans. Dla wszystkich pacjentów. Dla pani Idy.

– A Dziunia? To znaczy nasza córka? Ma trzy latka, ale... – zapytał Tomasz.

– Nie, zdecydowanie nie. – Białobrzeski kategorycznie pokręcił głową. – Dawcami mogą być tylko osoby pełnoletnie, ewentualnie, gdyby przy porodzie oddali państwo krew pępowinową do banku... Wprawdzie tej krwi jest zdecydowanie za mało na przeszczep dla dorosłej osoby, ale...

– Nie pomyśleliśmy o tym. Cholerni optymiści! – Tomasz się zachnął.

Faktycznie, pojawiła się przed narodzinami Dziuni taka koncepcja, ale po pierwsze, mieli inne, pilne wydatki, a po drugie...

nie chcieli myśleć, że córka może kiedyś zachorować, odepchnęli od siebie myśl, że krew pępowinowa mogłaby jej się przydać. Tego, że to polisa dla całej rodziny, w ogóle nie brali pod uwagę.

– Niech sobie pan tego nie wyrzuca, tej krwi jest mało. I tak musimy znaleźć dorosłego, zgodnego dawcę. W tym kierunku działajmy, dobrze? I uszy do góry. Powtarzam: wyniki nie są świetne, ale i nie tragiczne, mamy czas, niedużo, ale mamy. Atakujmy. – Białobrzęski zatarł ręce.

Rozmowa była skończona. Urszula i Tomasz czuli się trochę podniesieni na duchu. Pokrzepiająca była wiadomość, że nie doszło, wbrew temu, co mówiła Ida, do wznowy. Że jest jeszcze pole manewru, choć niewielkie. Skoro wśród miliona osób nie znalazła się żadna dopasowana genetycznie do Idy, to jakie były szanse, że Tomasz nada się na dawcę? To musiałyby być cuda. Ale przecież... cuda się zdarzają, prawda?

– Ale może będę pasował do kogoś innego – wymamrotał, gdy szli z Urszulą do windy.

– Co mówisz, Tomku? – zdziwiła się. Osobliwie to zabrzmiało.

– Pewnie nie będę mógł być dawcą dla Idy, ale może przydam się komuś innemu. Wierzy mama w dobrą karmę? Więc jeśli ja komuś pomogę, to wtedy świat odpowie nam tym samym i my też trafimy na dawcę! – powiedział.

Urszula poklepała go po ramieniu. Nie do końca wierzyła, że tak to w życiu działa.

Pozostawała jej jeszcze jedna ważna rzecz wieczorem. Telefon do wuja Iwona. Ostatni raz rozmawiała z nim dwadzieścia lat temu, przy okazji pogrzebu swojej matki, a jego siostry, Wandy.

Nie umiała tego sprecyzować, ale czuła intuicyjnie – a rzadko szósty zmysł cokolwiek jej podpowiadał – że w wuju jest ratunek. On pomoże, przecucie na pewno jej nie myli.

Iwo pomoże.

\*\*\*

Z tą myślą położyła się spać. Sądziła, że znowu będzie się wiercić w łóżku do drugiej, trzeciej nad ranem, ale sen nadszedł niespodziewanie łatwo. Zapadła w niego jak w głęboką czarną czeluść. Nad ranem obudził ją przenikliwy krzyk pod oknem. Najwyraźniej para nocnych imprezowiczów o coś się pokłóciła. Sięgnęła po komórkę leżącą przy łóżku. Było piętnaście po piątej. Przymknęła powieki, ale nie udało jej się już zasnąć tak głęboko. Cały czas słyszała tykanie zegara, cichy szum lodówki, stuknięcia windy w korytarzu. I w tę poranną muzykę domu wdarł się nagle jakiś dodatkowy dźwięk. Kroki w przedpokoju. Dobrze je znała. Taki charakterystyczny chód miała jej matka, Wanda. To po niej mała Dziunia odziedziczyła imię. Jakoś to Urszuli nie zdziwiło, że nieżyjąca od dwudziestu lat mama chodzi po jej mieszkaniu. Usiadła na łóżku, próbując coś zobaczyć w ciemności. Matka stanęła w progu jej sypialni.

Czemu nie śpisz? – zapytała. – Ratuj Idę – powiedziała zaraz potem. – Chodzi o krew, pamiętaj, o krew!

Urszula chciała coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zobaczyła, że za drzwiami jej pokoju rozciąga się długi korytarz, którego wcześniej nie było, i matka tym swoim szybkim, nerwowym krokiem odchodzi nim w jakąś nieznaną daleką przestrzeń. Teraz Urszula zrozumiała, że to jednak sen, i tym razem naprawdę się obudziła. Pierwszym uczuciem, jakie ją ogarnęło, było zdziwienie. Matka przyśniła się jej po raz pierwszy od dwudziestu lat, i to tak realnie, jakby to była halucynacja, jakaś wizja, nie sen, a przecież jej wizerunek powinien się dawno zatrzeć. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Jakież to figle potrafi nam płać nasz własny umysł! Choć w sumie nic dziwnego: naukowcy twierdzą, że całe życie, minuta po minucie, mamy zapisane w głębi umysłu, a jedyna trudność polega na dotarciu do tych nagrań.

Co prawda jej przedwcześnie zmarły mąż, ojciec Idy, często powtarzał: „Uleńko, ty jesteś rasową wiedźmą – wszystko wiesz, zanim ci się powie”, jednak ona sama pozostawała głucha na głosy przeczuć. Sny miewała rzadko i na ogół idiotyczne. I tak też pomyślała sobie teraz: to idiotyczne. Zaraz potem uśmiechnęła się do siebie. Matka – nawet we śnie, dwadzieścia lat po swojej śmierci

– zachowuje się tak jak za życia. Gada oczywistości. To przecież jasne, że dla osoby chorej na białaczkę najważniejsza jest krew. Zdrowa krew. Nigdy nie umiała z córką rozmawiać, zawsze zachowywała się tak, jakby miała do niej o coś pretensje. Nigdy nie było między nimi ważnej, głębokiej rozmowy. Urszula przypomniała sobie naraz, jak wychodziła za mąż za Marka – zakochana, szczęśliwa, roznamiętniona. Matka dosłownie kilka minut przed wyprawą do kościoła wciągnęła ją do łazienki i nerwowym szeptem oświadczyła: „Urszulko, musimy porozmawiać na temat seksu!”, na co córka zaczęła śmiać się tak serdecznie, jakby usłyszała najlepszy dowcip. „A co mama chciałaby wiedzieć?” – spytała między jedną salwą a drugą. Aż jej się nie chciało wierzyć, że Wanda, której młodość przypadła na czas rewolucji seksualnej, potrafi wygadywać takie farmazony. Wtedy właśnie – a może nawet chwilę wcześniej, gdy jako nastolatka musiała się borykać z niezrozumieniem i obcością matki – przysięgła sobie, że ona będzie inna. Dla swoich dzieci, co najmniej trójki, stanie się przyjaciółką, najlojalniejszą powierniczką. Bo odkąd tylko pamiętała, pragnęła być matką. Sama była jedynaczką i cierpiała z tego powodu. Los jednak chciał inaczej. Choć kochali się z Markiem namiętnie, przy każdej okazji – ciąży z tego nie było. „Jesteś młoda, masz czas” – pocieszała Ulę matka. Miało to swoją wartość, bo matka rzadko ją pocieszała czy choćby mówiła coś miłego. Oczywiście miała rację. Ula wyszła za mąż w wieku dziewiętnastu lat, była tak straszliwie zakochana, że nie wyobrażała sobie, że ma spędzić choćby jeden miesiąc więcej bez swojego ukochanego.

Posłuchała matki. Odpuściła. Przestała myśleć o dziecku, zaczęła cieszyć się życiem. I wtedy... Stało się. Marek, kilkanaście lat starszy od Uli, przygotowywał się do habilitacji. Poczęli Idę w przebieralni sklepu z garniturami, w którym Marek próbował „ubrać się jak człowiek” na własny wykład habilitacyjny. Garnituru nie kupili, choć mierzenie trwało półtorej godziny i w pewnym momencie doprowadziło do wybuchu namiętności.

Ula uznała, że po krótkim postojowym wszystko się ułożyło, Ida zdjęła z nich zły czar, mogą dalej powiększać rodzinę zgodnie z planem. Zaczęli znów próbować rok po narodzinach Idy. I nic. Po

trzech latach starań poszli wreszcie do lekarza. Kolejne lata Urszula wspominała jako gehennę: bolesne i nieraz upokarzające badania, zabiegi udrażniania jajowodów – wszystko na nic. Wylała morze łez i w końcu pogodziła się z myślą, że Ida też pozostanie jedynaczką.

Jedyna córka przysłała na świat dwa dni po czwartej rocznicy ślubu jako dziecko miłości. Siedem lat później ukochany mąż zginął w wypadku samochodowym. Pozostawił w jej sercu wielką dziurę, która – choć nigdy nie zniknęła – z czasem przestała jej przysparzać cierpienia. Tak więc Ida, podobnie jak ona sama, wychowywała się bez ojca i tak jak jej matka w zasadzie nie pamiętała swojego. Rodzice Urszuli rozwiedli się, gdy miała dwa lata – podobno byli niedobrym studenckim małżeństwem, ojciec wyjechał za granicę i ślad się po nim urwał. Owszem, gdy miała dwadzieścia lat, próbowała wyciągnąć na jego temat coś od Wandy, ale z marnym skutkiem. W odpowiedzi na te naciski matka zarzuciła jej nielojalność, więc dała sobie spokój – i tak trudno im się było dogadać. Poza tym – tak myślała – gdyby ojcu zależało na niej, sam szukałby kontaktu. Musiała to przyznać: upragnione macierzyństwo zrekompensowało jej wszystkie wcześniejsze braki życiowe. Ida była słodkim kochanym dzieckiem – chociaż charakternym i żywym. Urszula jednak, mimo nieszczęścia, które ją dotknęło, nie próbowała uczynić z córki „zastępstwa” nieobecnego męża, nie uwiesiła się na dziecku, jak to się często zdarza kobietom, które nagle zostały same. Dzięki wrodzonej mądrości osiągnęła swój cel: stała się dla Idy przyjaciółką i powiernicą, a przy tym nie straciła matczynego autorytetu.

Jednak zaskoczyła ją wiadomość, że zostanie babcią. Na trzecim roku romanistyki Ida poznała Tomka, który mimo młodego wieku już zdążył zrobić karierę w branży informatycznej. Ślub był skromny, cywilny, bo Ida – mimo że matka prowadziła ją na religię i do kościoła – w wieku piętnastu lat oświadczyła, że nie wierzy i nie ma zamiaru towarzyszyć rodzicielce w jej niedzielnych wyprawach na mszę. Urszula uszanowała i to. Teraz z bólem myślała, że córka pozbawiona jest wsparcia, jakie daje wiara w dobrego Boga, który może wszystko – także i to, co z ludzkiego punktu widzenia niemożliwe.

Kukułka zakukała sześć razy i jak na zawołanie dało się słyszeć skrzypnięcie drzwi, a potem tupot bosych stópek po drewnianej podłodze. I przyjazne, ciche szczeknięcie psa. Sekundę później pulchne ciało pakowało się już pod jej kołdrę.

– No, chodź tu, żabko, chodź – powiedziała Ula i pocałowała Dziunię w pyzată buzię.

– Osiem – powiedziała zadowolona Wandzia.

– Coś mi się zdaje, że musimy poćwiczyć jeszcze liczenie. – Babka uśmiechnęła się wyrozumiale. Nie miała małej za złe. Pamiętała doskonale, że Ida do pewnego momentu też jej robiła takie pobudki.

– Babciu – powiedziała nagle dziewczynka – a co to znaczy „umrzeć”?

Urszula zeszywniała i odsunęła się lekko od dziecka.

– Co ci chodzi po głowie, maleńka? – zapytała przestraszona.

– Tata powiedział mamie, że nie może umrzeć.

– Dziecko... – Urszula z wszystkich sił próbowała się opanować. Nie potrafiła, nie chciała rozmawiać o tych sprawach z wnuczką. Jednak Dziunia była nieodrodną córką swojej matki.

– Co to jest: umrzeć? – nalegała.

– Umrzeć to zasnąć i już się nigdy nie obudzić – powiedziała cicho Urszula. – Gdy człowiek tak zasypia, wkłada się go do trumny, takiego miękkiego łóżeczka, i chowa pod ziemią, żeby mu nikt nie przeszkadzał.

– Ale na obiad wraca? – zapytała trzeźwo dziewczynka.

Urszula mimowolnie zachichotała.

– Nie, nie wraca – powiedziała. – Jest schowany pod ziemią już na zawsze. Ale jego duszyczka wychodzi z ciała i leci do nieba. Z tego nieba widzi wszystko, co się dzieje na ziemi. I opiekuje się tymi, którzy zostali.

– To może też przyjść na obiad – upierała się Dziunia.

Babka nie miała siły ciągnąć tej rozmowy. Usiadła na łóżku i wsunęła stopy w miękkie kapcie. Ubiegłoroczny prezent gwiazdkowy od Idy. Znów poczuła bolesne ukłucie.

– Chodź, smyku – powiedziała do wnuczki – zrobimy sobie jajecnicę z serem.



– Uwielbiam jajecznicę! – ucieszyła się dziewczynka, a potem spoważniała i dodała: – Ciekawe, czy dusza lubi jajecznicę.

– Jestem pewna, że uwielbia.

Urszula za wszelką cenę chciała skierować myśli dziewczynki na inne tory. Jednocześnie zrozumiała wyraźniej niż dotąd, że nie może dopuścić do tego, żeby Idzie, jej ukochanej córeczce, matce jej najdroższej wnuczki, przytrafiło się to najgorsze – nawet w myśli nie była w stanie wypowiedzieć słowa „śmierć”. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi, jednak była pewna, że nie będzie siedzieć beczynnie, a wewnętrzny głos ponownie wyszeptał: „Wuj Iwo, jedź do Iwona!”.

Ale... po co? Przecież kwestię badań mogli omówić telefonicznie... Urszula parsknęła zirytowana na samą siebie. Co też jej się w tej głowie lęgnie na stare lata: wizje nieżyjącej matki i przecucia. Czas się wreszcie pozbierać.

**Warszawa, 2019**

– Dziunieczko, proszę cię, nie dzisiaj. Boli mnie głowa. – Urszula z wszystkich sił starała się nie wyglądać na zniecierpliwioną, choć Dziunia od rana kaprysiła, że kaszka manna ma grudki, kakao jest za gorące, a rajstopy gryzą i są „fe”.

„Nie pójdę dzisiaj do przedszkola, dobrze? Nie pójdę dzisiaj do przedszkola” – dopytywała babcię, czujnie popatrując jej w oczy. Ula czuła się znużona, a nawet zirytowana zachowaniem dziewczynki, co zdarzało jej się bardzo rzadko. Pewnie to przez tę niepewność, oczekiwanie. I zmęczenie...

Od trzech tygodni wnusia mieszkała w zasadzie u niej. Zawsze tak było, gdy Ida szła do szpitala. Chociaż gdy była w domu chora, matka właściwie też towarzyszyła jej non stop. Wtedy z kolei Urszula przenosiła się z torbą najpotrzebniejszych rzeczy do mieszkanki Idy i Tomka. Dobrze, że mieszkali niedaleko siebie, na warszawskich Bielanach: młodzi w nowym, pachnącym świeżością bloku, Ula w wysokim na trzy metry lokum w starej kamienicy odziedziczonym po matce.

Już prawie zapomniała, jak to jest: mieć własne życie. Nie zdążyła się jeszcze w nim rozgościć. Ida była z nią, dopóki na trzecim roku studiów nie zaręczyła się z Tomaszem. Wtedy poszła na swoje. Uli było z początku dziwnie. Tyle lat, najpierw z mężem i córką, potem z samą córką, w każdym razie – z drugim człowiekiem. Zastanawiała się, czy nie wziąć kota ze schroniska. Żeby mieć do kogo mówić. Ale nie zdążyła, bo Ida zaszła w ciążę. Gdy urodziła się Wandzia, Ula przeprowadziła się do młodych na dwa tygodnie. Pokazywała Idzie, jak zmieniać pieluszki, podawać pierś do karmienia, uczyła, jak wyparzać butelki. Zaangażowała się tak, że w końcu Ida wykrzyczała jej: „Zostaw, to moje dziecko! To co, że

będzie mieć krzywo pieluchę, ale przynajmniej będzie przewinięta przez własną mamę!”. Urszuli było przykro. Ale nie mogła nie przyznać Idzie racji. To było jej dziecko. Miała prawo popełniać błędy, tak jak i Ula popełniała, gdy sama była młodą matką. „Na błędach człowiek się uczy” – pocieszała siebie, choć trudno było jej się powstrzymać, gdy widziała, jak nieporadnie Idzie wychodzi karmienie, nie masuje odpowiednio sutka, podaje pierś pod złym kątem...

Ale w końcu Ida się nauczyła, a Ula z radością wróciła do swojego mieszkania. Zaczęła myśleć, jak urządzić w nim kącik dla dziecka. Trzy pokoje – to zdecydowanie było dla niej samej za dużo. W jednym miała „skład dóbr wszelakich”, których nie umiała wyrzucić. Jeszcze z dzieciństwa pamiętała swoją matkę i jej utyskiwania: „Niczego nie wyrzucaj, wszystko może się przydać...”. Trzymała więc stare ubrania swoje, Idy. Zeszyty szkolne Idy – tu z kolei nie miała serca, żeby coś, nad czym jej córka spędziła tyle czasu, po prostu wynieść do śmietnika. Nawet stare, kiwające się krzesło, toaletkę matki.

No i był jeszcze jeden pokój – „sanktuarium Idusi”, jak naśmiewała się córka. Fakt, po wyprowadzce Idy Ula niczego nie zmieniła. Czy miała nadzieję, że córka wróci? Nie. Po prostu gdy wchodziła do tego pokoju, widziała plakat Paktofoniki, patrzyła na kapę na łóżku, którą sama uszyła, gdy Ida była jeszcze w podstawówce, na biurko, przy którym ćwiczyła z siedmioletnią dziewczynką szlaczki i pierwsze koślawe literki – miała wrażenie, że wraca do niej... przeszłość. Wspomnienia napływały falami i Urszula bardzo to lubiła. Czasem, gdy jej się nudziło, cknęło samej, wchodziła do tego pokoju, siadała na tapczanie, przymykała oczy i pozwalała myślom unieść się w przeszłość, w te czasy, kiedy ona i Ida stanowiły jedna dla drugiej cały świat. I choć cieszyła się, że Ida ma własne życie, własną rodzinę, do tych czasów tęskniła najbardziej.

Nigdy nie udało jej się przemeblować mieszkania, żeby Wandzia mogła mieć własny pokój. Składziku nie zdążyła zlikwidować, pokoju Idy nie mogłaby ruszyć. Teraz ten pokój był dla niej jeszcze bardziej szczególnym miejscem. Wchodziła do niego, żeby cofnąć się

do czasów, w których jej córka była zdrowa i nic nie zapowiadało choroby.

– Uspokój się, Wanda! – prawie krzyknęła na wnuczkę, gdy ta z płaczem rzuciła się na ziemię, krzycząc, że nie chce iść do przedszkola. – Natychmiast, słyszysz?! Natychmiast!

Wanda ucichła przerażona. Babcia nigdy nie zwracała się do niej takim tonem. Musiało stać się coś złego. Ona musiała zrobić coś złego. Chlipiąc, usiadła na podłodze i pozwoliła założyć sobie buciki.

– Przepraszam cię, kochana. Przepraszam cię, córeczko – powiedziała Ula i przestraszyła się własnych słów. Czasem, gdy się zapominała, mówiła tak do Wandzi. Ale teraz nie tylko o to chodziło. Przepraszała za swoje zachowanie Wandę, ale i nieobecną tu Idę... – Wszystko przez to, że jestem taka niewyspana! – powiedziała do wnuczki dziarskim tonem, żeby zatrzeć wcześniejsze niemiłe wrażenie. – Materac na moim łóżku jest taki niewygodny, uwiera mnie, całą noc przewracam się z boku na bok i proszę: rano jestem zła jak osa!

– To może śpij, babciu, ze mną – zaoferowała się natychmiast Dziunia.

– Nie mogę! Twoje łóżeczko jest za małe, wystawałyby mi nogi! – Ula zrobiła zabawnie boleściwą minę.

– To może śpij u nas w domu, u tatusia, jak mama? – zaproponowała wnuczka.

– Ach, nie, kochanie, to jest miejsce mamusi. No, jak ona by się czuła, gdyby wróciła nagle ze szpitala i zobaczyła, że leżę w jej łóżku?

– A kiedy wraca? Nagle? – Oczy Dziuni rozbłysły nadzieją.

– Mam nadzieję, że niedługo, kochanie. Właśnie robiliśmy z tatusiem badania, żeby sprawdzić, czy nasze fabryki krwinek mogłyby pracować i dla niej. To trudne, bo nie zawsze dyrektorzy fabryk się zgadzają. Ale wszystko zmierza w dobrym kierunku – zapewniła wnusie.

Powodem jej porannego zdenerwowania nie była wcale nieprzespana noc. Ani kaprysy Dziuni.

Powód zdenerwowania był inny. Ula czekała na telefon od Tomasza, gdy ten odbierze wyniki badań. Bardzo liczyła na to, że zostanie znaleziony dawca dla Idy. Przecież zorganizowali pospolite ruszenie, wszyscy znajomi, dalecy krewni, koleżanki Idy, nawet obcy ludzie, którzy dowiedzieli się o akcji z Facebooka – wszyscy poszli oddać krew, przebadać się.

– No, a teraz kurteczka, kapturek i lecimy do przedszkola. Ciocie już czekają – popędziła wnuczkę.

Była za kwadrans dziewiąta, przedszkole znajdowało się w podwórku, ale Wanda wolno szła na swoich króciutkich nóżkach, musiały ciągle się zatrzymywać: a to, żeby popatrzeć na kotka, a to na wróbelka...

– Nie czekają – oświadczyła ponuro Wanda.

– Ależ czekają, czekają! I Oliwka czeka, i Julcia! – Ula wymieniała imiona koleżanek z grupy Wandy.

– Nie lubię już Oliwki i Julci! – Wanda prawie się rozplakała.

– A to dlaczego? – Uli udało się wyciągnąć dziewczynkę z mieszkania, zamykała drzwi na klucz.

– Bo powiedziały, że ja nie mam mamy! – Wanda rozryczała się na całego.

Urszuli klucze wypadły z dłoni. No tak. Dzieci. Już ona sobie dzisiaj porozmawia z tymi wychowawczyniami. Gdyby dorwała matki Oliwki i Julki, wytargałaby je za kudły za to, że plotkują o jej córce przy swoich dzieciach. Bo Urszula była pewna, że tylko tak wiadomość mogła dotrzeć do dziewczynek: podsłuchały rozmowę dorosłych i wyciągnęły własne wnioski.

– Posłuchaj, Dziuniu. Masz mamę, i to mamę, która kocha cię najmocniej na świecie. Teraz jest w szpitalu i każdego dnia walczy o to, żeby być zdrowa, móc być z tobą. Nie ma minuty, w której twoja mamusia o tobie nie myśli. I zapewniam cię, że myśli o tobie bardziej niż mama Oliwki o Oliwce, a mama Julki o Julce.

Wiedziała, że nie powinna była pozwalać sobie na ostatnie zdanie, ale nie mogła się powstrzymać. Zresztą to była prawda. Ida więcej myślała o Wandzie, choćby dlatego, że tak za nią tęskniła. I że zdawała sobie sprawę, że może ją stracić.

Dziewczynka pokiwała głową, choć bez pełnego zrozumienia. Ula wytarła jej ślady łez z policzków, pomogła wydmuchać nosek.

Zjechały windą. Wandzia szła w milczeniu, rozglądając się na boki, a Urszula oddała się rozmyśleniom. Ostatnie trzy dni, od pobrania krwi – poinformowano ich, że lepiej zbadać krew – spędziła w nerwowym oczekiwaniu. Oboje z Tomkiem postanowili zarejestrować się jako potencjalni dawcy szpiku. Co do Uli, sytuacja była jasna – robiła to dla idei. Ale w jej głowie zrodziła się irracjonalna nadzieja: że może krew, szpik Tomka będą do Idy pasować? Gdy patrzyła, jak w centrum krwiodawstwa i krwiolecznictwa pielęgniarka pobiera strzykawką z żyły ciemną gęstą ciecz, modliła się, żeby antygeny zgodności tkankowej HLA Tomka były zbliżone do tych, które miała Ida. Potem modliła się o to samo każdego wieczoru.

„I już, po bólu! Oznaczmy antygeny, umieścimy wyniki w Poltransplancie. Aktualizujemy bazy raz w miesiącu, wysyłamy informacje o nowych potencjalnych dawcach do Bazy Światowej BMDW w Lejdzie w Holandii” – powiedziała pielęgniarka śpiewnym głosem, ze wschodnim akcentem, patrząc na strzykawkę pełną czerwonej, życiodajnej substancji. Krew żyje. Krew to życie. „Czyli... każdego miesiąca dowiadują się też państwo o nowych osobach w bazie, co miesiąc jest szansa, że znajdzie się ktoś nowy, kto będzie pasował do mojej córki?!” – przerwała jej Urszula. „Tak. Dlatego nigdy nie wolno tracić nadziei!”. Pielęgniarka uśmiechnęła się ciepło.

Nigdy nie wolno tracić nadziei. Każdego dnia ktoś nowy zgłasza się do rejestru dawców, za każdym razem jest szansa, że znajdzie się idealny dawca dla jej córki.

Ale najlepiej byłoby...

Doszły do przedszkola, Ula wbiła kod do furtki i wtedy w torebce rozdzwonił się telefon. Bardzo chciała odebrać. Ale wiedziała, że nie może tego zrobić przy wnuczce. Bo gdyby wiadomość była zła, nie będzie w stanie zapanować nad twarzą. A nie mogła pokazać Dziuni smutku, rozpacz, a już na pewno rezygnacji.

Weszły do szatni. Ula drżącymi rękami ściągała Wandzie z nóg buciki, zakładała kaptcie.

– Biegnij do cioci Edytki. I zjedz ładnie śniadanie, dobrze? – poprosiła wnuczkę, pocałowała ją w głowę i ignorując pytający wyraz twarzy dziewczynki, wepchnęła ją do sali.

Wyjęła telefon. Tak jak się spodziewała – Tomasz. Wybrała jego numer. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Nie udało się – powiedział po prostu.

– Ida... – była w stanie tylko wyszeptać.

– Nie udało się – powtórzył.

Urszula poczuła, że nogi się pod nią uginają. Usiadła na niziutkiej ławeczce pod ścianą z wieszakami na kurtki.

– A twoi znajomi z pracy, przyjaciółki Idy...?

– Nie. Oni też nie. Żadne z nas nie nadaje się na dawcę Idy.

Ula nie słuchała dłużej, rozłączyła się. Co jeszcze mógłby jej powiedzieć Tomasz, co jeszcze mogło ją obchodzić? Wtuliła twarz w ortalionowy płaszczyk w misie i zanosła się szlochem.

– Przepraszam? Mogę pomóc? – Z sali wychyliła się kudłata głowa Edyty, przedszkolanki z grupy Wandy.

– Tak. Właściwie tak. Proszę, aby upomniała pani matki Oliwii i Julii, żeby nie rozmawiały przy dzieciach o chorobie mojej córki. Dziewczynki wszystko powtórzyły Wandzi, pani... nie ma pojęcia, jak bardzo my się staramy, żeby jej to nie dotknęło, nie zniszczyło. I jedna taka głupia... plotka może i ją, i nas wiele kosztować. Proszę uświadomić tym paniom, że to jest poważna sprawa, a nie temat na pogaduszki przy przedszkolnej furtce! – Ula czuła, że ogarnia ją ślepa złość. Dlaczego to wszystko tak wyglądało? Dlaczego świat był tak skonstruowany, ludzie – tacy głupi?!

– Pani Urszulo, przepraszam... Nie miałam pojęcia. – Edyta miała taki wyraz twarzy, jakby się miała rozpłakać.

Ula momentalnie się opamiętała.

– Wiem, pani Edyto, przepraszam, że się uniosłam. Proszę otaczać Wandeczkę troską, jej to teraz bardzo potrzebne. Wszystkim nam jest to potrzebne, bo widzi pani... chyba nie ma dla mojej córki ratunku – powiedziała.

Wstała powoli, odwróciła się i poszła w stronę drzwi. Nie spojrzała już na oniemiałą z przerażenia Edytę, która chciała jakoś

zareagować, ale pojęcia nie miała jak. Co się mówi komuś, komu umiera najukochańsza osoba na świecie?

\*\*\*

Droga do domu zajęła jej dwadzieścia minut, nawet dłużej niż w tamtą stronę, z Wandzią. Wlokła się noga za nogą.

– Przepraszam, taka pani blada... Czy może pomóc pani dojść na ławeczkę? Może trzeba wezwać karetkę?

Poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw. Przeniosła na tę osobę nieprzytomne spojrzenie. Młoda dziewczyna o kręconych rudych włosach i zielonych oczach, której twarz niepokojąco jej kogoś przypominała...

Mój Boże, ona musiała pomyśleć, że Urszula jest jakąś dogorywającą staruszką! A przecież jeszcze kilka lat temu... Urszuli śmiać się zachciało. Jeszcze pięć lat temu trenowała z grupą koleżanek, które poznała na internetowym forum, do półmaratonu. Do półmaratonu! Brała udział w dziesionach, czyli biegach na dziesięć kilometrów, i regularnie poprawiała swoje czasy.

Nie pobiegła półmaratonu, urodziła się Wandzia. Potem jeszcze z rzadka biegała, dla przyjemności. Przestała rok temu, dokładnie w dniu, w którym Idzie postawiono diagnozę. A teraz... a teraz była brana za staruszkę, która sama nie dojdzie do ławki!

– Dziękuję pani. Nic mi nie jest, chwilowy... zawrót głowy. To miło, że chciała mi pani pomóc. – Uśmiechnęła się dzielnie do rudej.

Ta odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Ale chyba nie była przekonana do wyjaśnień Urszuli.

– Skoro tak pani sądzi... Proszę uważać na siebie – powiedziała i odeszła szybkim, sprężystym krokiem. Też jest czyjaś córka. Też jakaś kobieta dałaby się pokroić za jej zdrowie i szczęście.

Te rude włosy, jak sprężynki, nie dawały Uli spokoju. Gdzieś je już widziała, ale... gdzie?

Ruszyła w stronę swojej kamienicy. Starła się faktycznie nie sprawiać wrażenia konającej. Jeszcze tylko ciężkie drzwi wejściowe, a potem szerokie schody na pierwsze piętro. Znowu przypomniła jej



się matka, dziwne, całymi latami o niej nie myślała, a tu nagle prosię – sen z jej krokami w korytarzu (bo to był przecież sen?!), a teraz znów wspomnienie, jak matka mówi, z tą swoją wiecznie skrzywioną miną: „Nienawidzę pierwszych pięter. Całe dzieciństwo spędziłam na pierwszych piętrach i ich nienawidzę!”. Ula nigdy, szczerze mówiąc, nie zastanawiała się nad tym kolejnym dziwactwem matki, jednym z wielu: nie lubiła też czerwonego koloru, choć było jej w nim do twarzy („Czerwień jest niebezpieczna. Niesie śmierć” – mówiła z kolei), rozmów o historii. I nienawidziła dyskusji o Żydach. Urszula wielokrotnie się zastanawiała, czy matka po prostu jest antysemitką. Co roku, gdy dziewiętnastego kwietnia na ulicach pojawiali się ludzie z bukietami żonkili, które nieśli pod pomnik Bohaterów Getta albo na Umschlagplatz, syczała zdenerwowana: „I co tu świętować, no co? O pewnych rzeczach lepiej zapomnieć, o pewnych ludziach lepiej zapomnieć...”.

Urszula długo natomiast pamiętała, w jaki szał wpadła matka, gdy ona dowiedziała się od kogoś o Marcu '68. Była wtedy w liceum, ostatnie lata dogorywającego komunizmu. Wróciła do domu podekscytowana opowieścią o antysemitkiej nagonce i pociągach, które z Dworca Gdańskiego zabierały Polaków żydowskiego pochodzenia w świat, z „dokumentem podróży” w jedną stronę. „Czy ty miałaś, mamo, jakieś koleżanki, które wtedy wyrzucono z Polski? Na pewno w szkole uczyło się trochę żydowskich dzieci...” – zaczęła niewinnym tonem. Nic nie zapowiadało katastrofy. Matka w milczeniu patrzyła na Ulę, jej twarz robiła się coraz bledsza, była biała jak płótno. Oczy natomiast ciemniały i ogromniały. Ula się przestraszyła. Nie widziała jeszcze matki w takim stanie. „Nie miałam żadnych żydowskich koleżanek! Nie miałam żadnych żydowskich koleżanek! Nie znałam żadnych Żydówek!” – zaczęła nagle krzyczeć. Głośno, przeraźliwie. „Mamo? Mamusi!” Ula szarpała matkę za rękaw podomki, próbowała ją przytulić. Jakby tamta... zapadła się w jakiś inny świat, w chorobę? Ponad godzinę zabrało wtedy Urszuli uspokojenie matki. I nigdy nie poruszała już przy niej żadnych tematów związanych z historią.

Ach, prawda, historia, matka... Urszula już wiedziała, co przypomniały jej rude kręcone włosy dziewczyny, która zaoferowała jej dzisiaj swoją pomoc. Stare zdjęcie, które kiedyś znalazła w pudełku z fotografiami matki. Była wtedy młoda, zdjęcie przedstawiało jej babkę, Krystynę, z córką Wandą – obie Ula oczywiście rozpoznała. Zrobiono je latem, Krystyna stała w sukience w pasy na tle jakiejś chałupy, pewnie letniskowej. Z prawej strony tuliła się do niej chuda niepozorna dziewczynka o długim nosie i wąskich wargach – Ula bez trudu rozpoznała w tej postaci swoją matkę. Ale z lewej strony w podobnej pozie do Krystyny tuliła się jakaś obca dziewczynka. Miała regularne rysy twarzy o mocno zarysowanych brwiach, dużych, pełnych ustach. I włosy poskręcane w sprężyny, całą burzę loków. Może rudych? Z czarno-białej fotografii trudno było coś wyczytać. Chyba tylko tyle, że mała Wanda nie przepadała za tą z lokami, słała jej chmurne i zawzięte spojrzenie, babka Krystyna zaś przeciwnie: głowę miała lekko odwróconą do tej drugiej, jakby się do niej śmiała lub coś mówiła. „Kto to?” – zapytała Ula, gdy przypadkiem wpadło jej to zdjęcie w ręce. To było jeszcze przed aferą z Marcem '68, jeszcze pytała matkę o przeszłość. Ale niczego się nie dowiedziała. „Nie wiem. Nie pamiętam. Nikt. Jakaś wsiowa dziewczucha się do nas przyczepiła” – rzuciła na odczepnego. Ta w loczkach nie wyglądała na wsiową, ale Ula знаła swoją matkę na tyle, aby wiedzieć, że rozmowa jest skończona. Matka zresztą ze złością wrzuciła fotografię na dno pudła, zamknęła je pokrywą i włożyła do pawlacza. Ula nigdy więcej nie widziała tych zdjęć, ale... przecież pudło wciąż tu było, czasem przesuwiała je bardziej do tyłu, gdy musiała schować w pawlaczu walizkę z zimowymi paltami czy kartony z ozdobami świątecznymi.

Gdy weszła do mieszkania, usiadła na chwilę w kuchni na taborecie, nie zdejmując płaszcza ani butów, wpatrzona w drzwiczki szafek. Potem się otrząsnęła. Chciała zająć czymś myśli. Uznała, że przeglądanie starych zdjęć matki będzie dobrym sposobem.

Pudło było naprawdę głęboko, Ula musiała wejść na drabinę, wspiąć się na palce z ostatniego stopnia, sięgnąć daleko ręką i dopiero wtedy wyczuła je pod palcami: było spękane, drewniane

i chropawe. Wyciągnęła je, posapując. Naprawdę przydałoby się jej teraz to bieganie, strasznie się zapaściła! „Przecież nie jestem stara, do cholery, stuknie mi w tym roku pięćdziesiątka! Kobiety w moim wieku biorą sobie młodych kochanków i kupują sportowe samochody. A ja co, staruszczenka, nie mogę doczłapać bez zadyszki do klatki i wejść na drabinę, ech!” – zezłościła się na samą siebie.

Zeszła ostrożnie z drabiny, ściskając pudełko kurczowo, jak jakiś skarb. Tak je zapamiętała: lakier na drewnie był powycierany na kantach, a mimo to na wieczku wciąż widać było wzór i stylizowany napis „Toilette” w otoczeniu kwiatowych esów-floresów.

Zaniosła je do salonu, postawiła na stole. Usiadła, odruchowo chciała sięgnąć po okulary – przypomniało jej się, że nie musi. Ale przecież okulary to idealny atrybut starszej pani grzebiącej w pamiątkach z przeszłości! Zaśmiała się cicho, rozbawił ją ten koncept. Uniosła wieczko. Zapachniało delikatnie kurzem, papierem, czymś jeszcze: ostry chemiczny zapach, który błyskawicznie się ulotnił.

Zrobiło jej się dziwnie. Nagle zatęskniła nie tylko za swoją matką z tych zdjęć – uśmiechniętą, beztroską, jeszcze nierozgoryczoną życiowymi porażkami. Zdała sobie sprawę, że zatęskniła za czasami, w których... jej nie było. Jak by to było: zniknąć, nie być, nie mieć zmartwień.

„Ale przecież wtedy nie byłoby Idy, Dziuni! W życiu jest cierpienie. Ale nie warto go unikać, rezygnować ze szczęścia i z tego, co ma sens. Z dzieci” – pomyślała z czułością.

A oto i ono: czarno-białe zdjęcie, malutkie, z babcią Krystyną i dziewczynkami. Mała Wanda ewidentnie była niezadowolona, widziała gest matki, to, jak czule obejmuje drugą dziewczynkę, tę z burzą loków. Wieśniaczka, która się przyplątała? Wolne żarty: Ula zdziwiła się, że dostrzegła ten szczegół dopiero teraz. Dziewczynki miały na sobie sukienki uszyte z tego samego materiału w drobne kwiatuszki. Nie mogło być pomyłki. Tyle tylko że ta nieznajoma prezentowała się, co Urszula musiała przyznać z pewną przykrością, o wiele lepiej w swojej kreacji od jej matki.

Kto to, do cholery, jest?

Odwróciła fotografię, przeczytała malutkie litery stawiane z pewnością ręką babci Krystyny: „Bukowina, 1950”. Nic więcej.

Ta obca dziewczynka musiała być jakąś przyjaciółką matki, a może córką znajomych babci zabraną na wakacje? Takie rzeczy się zdarzały. Może – tu poniosła Ulę wyobraźnia – rodzice dziewczynki w podzięcie zamówili dla niej i Wandzi sukienki z tego samego kuponu materiału, u tej samej krawcowej?

Tak czy inaczej, prawdy nigdy się Ula nie dowie. Za późno. Nie pytała matki o przeszłość – i ona zabrała ją ze sobą w ciemność. Nie zostało prawie nic. Kilka mebli, stary stół z Krakowa, pudło fotografii przedstawiających obcych ludzi w miejscach, których nikt nigdy już nie rozpozna, bo tak się zmieniły.

Jakie to jednak smutne.

Byłaby się może rozpląkała, w mieszkaniu panował półmrok, było wcześniej, ale typowa listopadowa pogoda: czapa chmur nad miastem skutecznie blokująca dopływ promieni słonecznych.

I wtedy rozdzwonił się telefon, nie zadzwonił normalnie, ale właśnie rozdzwonił się, jakby bił na alarm. Ula aż podskoczyła na krześle, tak ją przestraszył ten dźwięk rozdzierający ciszę.

Podeszła do aparatu, niepewnie uniosła słuchawkę.

– Halo? – zapytała.

Nikt nie odpowiedział, choć wyraźnie słyszała ludzki oddech.

– Halo? – powtórzyła z przynagleniem.

– Urszula? To ja, dzień dobry. Hieronim – usłyszała męski, mocny, energiczny, ale jednocześnie z pewnością niemłody głos.

– Jaki Hieronim? – osłupiała.

– Oj, Iwo. Iwo przecież – zaśmiał się głos.

Śmiech był jasny i czysty, Ula poczuła, że spływa z niej napięcie, zdenerwowanie, smutek i strach.

– Wujku! Cieszę się, że dzwonicz! – powiedziała, bo to była prawda. Ale zaraz się zmartwiła. – Dziękuję, że zdecydowałeś się nam pomóc, namówiłeś braci z klasztoru, żeby oddali krew. Dziękuję tym bardziej, że przecież masz swoje lata i wcale nie musiałeś... Ale, niestety, z przykrością zawiadamiam cię, że...

– Nie pasuje. Krew, szpik. Wiem, nie ma dawcy. Ula, ja nie w tej sprawie. – Głos się śpieszył, jakby wuja Iwona ktoś gonił, jakby bał

się, że nie zdąży czegoś powiedzieć. Takie wrażenie odniosła Ula. – Przyjeżdżaj.

– Słucham?

– Przyjeżdżaj do Tyńca, weź pierwszy ekspres. To pendolino, tak chyba teraz mówicie? Musimy porozmawiać.

– Wujku, chciałabym, ale wujek rozumie, jestem teraz zajęta, Ida jest chora i...

– Właśnie. Ida. Właśnie dlatego musisz przyjechać, Uleczko. To jest bardzo ważne, co muszę ci powiedzieć, i to właśnie jest o Idzie. To może... Boże, dopomóż... uratować jej życie.

– Co?! – Słuchawka prawie wypadła Uli z rąk. Co on wygaduje, ten wuj? Oszalał? Gadał jak wariat, to pewne, ale przecież gdy rozmawiali ostatnio w sprawie oddania szpiku, był całkiem przytomny i sprawiał wrażenie osoby o zdrowych zmysłach.

– Nie mogę przez telefon, zrozum! Ja... muszę kończyć. Przyjeżdżaj jak najszybciej, pamiętaj, że to wszystko od tego zależy. Chodzi o... chodzi o krew, Ulu – powiedział cicho i rozłączył się.

Urszula usiadła na podłodze. Wciąż ścisnęła w dłoni słuchawkę. Czuła, jakby przebiegł przez jej ciało prąd elektryczny. „Chodzi o krew” – czy nie bardzo podobnie powiedziała jej matka we śnie? Wtedy uznała to za banał, teraz ten banał, powtórzony w kolejnej rozmowie z postacią „nie z tego świata”, zabrzmiał zupełnie inaczej.

To musi coś znaczyć.

Ula zerwała się na równe nogi, rzuciła słuchawkę na widełki – wciąż miała stary bakelitowy aparat z cyferblatem, bardzo go lubiła. Oraz najnowszego iPhone'a. To właśnie na nim wybrała numer Tomka.

– Tomek, zdarzyło się coś ważnego, nie mogę teraz mówić, ale musisz dzisiaj odebrać Dziunię. Jadę do Krakowa. To w sprawie Idy. Potem wyjaśnię, nie pytaj mnie! – zdenerwowała się i rozłączyła, też bez pożegnania, jak wuj.

Do laptopa ruszyła już biegiem. Szybko, szybko. Pierwszy EIC do Krakowa. „Co ja wyprawiam? To jakieś szaleństwo!” – przebiegło jej przez głowę, ale odpędziła tę myśl.

Była pewna, że to nie jest przypadek.

\*\*\*

Nie miała pojęcia, czy wyjeżdża na dzień, czy na tydzień. Czy sprawę, o której tak tajemniczo wspomniał wuj Iwo, da się załatwić szybko – tego sobie w głębi duszy życzyła – czy też trzeba będzie jej poświęcić nieco więcej czasu. Na wszelki wypadek wrzuciła do walizki tygodniowy komplet nowych majtek. Dostała je dwa lata temu w prezencie gwiazdkowym od Idy. Nawet ich nie rozpakowała. Były w intensywnych odcieniach czerwieni, wszystkie fikuśnie powycinane – choć córka miłosiernie nie kupiła matce stringów.

„Mamo, straszna z ciebie nudziara! – wołała, gdy Urszula wzbraniała się przed taką wyzywającą bielizną. – Nie zawsze taka byłaś! Gdzie się podziała dziewczyna, która pozwoliła mi pochłapać farbą wełniany płaszcz?!”. „Ale to był twój płaszcz” – odpowiedziała wtedy Urszula. Bo prawda była taka, że matce brakowało tej szczypty szaleństwa, którą zawsze miała jej córka. Nie miała jej wyobraźni ani beztroski. Dlaczego? Może się po prostu taka urodziła, a może to wina jej własnej matki, która robiła wiele, żeby stłumić w niej wszystko to, co wychodziło poza z góry wytyczone ramy. Oczywiście wytyczone przez nią, Wandę. Między innymi dlatego Urszula przeboleła ten płaszcz i kolczyk w nosie, i tatuaż na całe udo przedstawiający boginię łowów Dianę. Na pocieszenie poczytała sobie tylko o technikach usuwania tatuażu i postanowiła odłożyć parę groszy, gdyby jakimś cudem córka zdecydowała się pozbyć tego paskudztwa. Ale się nie zdecydowała.

Tak więc kolorowe majtki wylądowały w podróźnej torbie razem z koszulą nocną, parą kapci i dyżurnym swetrem, który od lat zabierała, gdy wyjeżdżała w domu. Był tak stary, że przynajmniej cztery razy trafiał do artystycznej cerowni na Pradze, gdzie Urszula wozila wszystkie przetarte ubrania. „Ja, moja droga, załapałam się jeszcze na czasy, kiedy rzeczy się naprawiało, a nie wyrzucało” – oświadczyła któregoś dnia, gdy Ida, próbująca reformować matkę przy każdej okazji, wytykała jej, że trzyma w szafie same łachmany.

Jeśli chodzi o ten sweter, w kolorze butelkowej zieleni, prawda była nieco inna. Dostała go w prezencie od Marka przed jakimś wspólnym wypadem w góry. Jedną z wielu rzeczy, które ich połączyły, było upodobanie do wypraw w Góry Stołowe. Namiętnie uprawiali trekking, zanim to słowo stało się modne. Wtedy też często zdarzało się, że Ula – wiedziona niczym nieuzasadnionym przekonaniem, że jej zawsze jest ciepło – marzyła, bo nie zabrała swetra. Za każdym razem Marek bohatercko zdzierał z siebie bluzę czy kurtkę i otulał gromko protestującą żonę. Po jednej z takich wycieczek poszedł do sklepu i kupił jej lekki kaszmirowy sweterek. „Nawet nie zauważysz, że masz go w plecaku” – powiedział. A kiedy wypomniała mu rozrzutność, dodał: „To będzie twój sweter podróżny. Zawsze gdy będziesz wyjeżdżać, a ja nie będę ci mógł towarzyszyć, weźmiesz go ze sobą”. Kiedy odszedł, Urszula przez wiele tygodni zasypiała, trzymając zielony pulower pod poduszką. No i zawsze zabierała go ze sobą w podróż. Teraz też.

Rozejrzała się po sypialni. Czy powinna zabrać coś jeszcze? Miała kompletny mętlik w głowie, naraz jednak przyszło jej na myśl, żeby wyciągnąć z za szafy stary obraz przedstawiający Matkę Boską karmiącą Dzieciątka. Podobno był on pamiątką chrzcielną jej babki, Krystyny. Zawisł potem nad łóżeczkiem Wandy, Urszuli i wreszcie Idy. Niestety, na tym koniec. Gdy dziewczynka była jeszcze mała, sąsiad z góry zalał im mieszkanie. Pech chciał, że woda najobficiej pociekła po ścianie za łóżeczkiem Idy i całkowicie zniszczyła stare malowidło. Urszula nawet chciała odnowić obraz, jednak renowacja kosztowała, jej zdaniem, trzy razy za dużo. „Zarchiwizowała” więc rodzinną pamiątkę: odroczyła decyzję, co z nią zrobić. Teraz nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby zawieźć Madonnę do klasztoru – już oni, ci benedyktyni, będą wiedzieli, co z nią począć. Zapakowała więc święty obraz w starą gazetę i wsunęła do torby.

Pomyliła godzinę odjazdu pociągu i – wbrew własnym przyzwyczajeniom – wpadła na peron dosłownie w ostatniej chwili. Miała nadzieję na elegancki nowoczesny pociąg bez przedziałów, w którym człowiek może się poczuć całkowicie anonimowy (otwarta przestrzeń i fotele ustawione w szyku autobusowym nie sprzyjają nawiązywaniu kontaktów). Pech jednak chciał, że trafił jej się

wagon z przedziałami, w dodatku wypełniony do ostatniego miejsca. Zrezygnowana wcisnęła się między rezolutnego młodego krawaciarza, który od razu rzucił się, żeby pomóc jej włożyć torbę na półkę, co doceniła, i dystyngowaną starszą panią. Naprzeciwko siebie miała dość niechlujną kobietę w nieokreślonym wieku i matkę z dwunastolatkiem. Wagon był stary i brudny. Pociągnęła nosem. Zapach był straszny. Młody człowiek widocznie pomyślał to samo, bo zaczął się szarpać z oknem.

– Szlag – mruknął – zablokowane.

W tym momencie niechlujna sąsiadka wyjęła z torby potwornie brudny kawał papieru, w który miała zawiniętą niezbyt apetycznie wyglądającą nadgryzioną kanapkę. Urszuli przyszło do głowy, że może wyciągnęła ją z kosza na śmieci. I nagle doznała olśnienia. To bezdomna, a ten straszny zapach to...

Młody człowiek widocznie pomyślał to samo, bo spojrzał na nią porozumiewawczo, a potem zrobił gest, jakby chciał powiedzieć: spokojnie, ja to załatwię – i wyszedł z przedziału. Po chwili wrócił w towarzystwie konduktora.

– Proszę państwa – powiedział pracownik kolei – w sąsiednim wagonie jest wolny przedział, więc gdyby ktoś z państwa chciał...

Nie musiał kończyć. Matka z dzieckiem, nobliwa staruszka oraz rezolutny krawaciarz natychmiast złapali swoje pakunki i opuścili przedział. W pierwszej chwili Urszula zamierzała podążyć ich śladem, jednak z jakiegoś powodu nie mogła. „Jasny gwint – pomyślała – wiozę w torbie obraz Matki Boskiej, a będę uciekać przed bezdomną?!”.

– Nie idzie pani? – zdziwił się krawaciarz.

– Nie idę – odpowiedziała twardo i wyjęła z torby książkę. I tak nie potrafiłaby się skupić na lekturze, ale chciała się odgradzić od reszty świata.

„Trudno, od smrodu jeszcze nikt nie umarł” – pomyślała i raptem przypomniała sobie, jak to jej mąż opowiadał kiedyś, że jechał pociągiem do Łodzi. I nagle w przedziale usiadł mężczyzna, który wykonywał gwałtowne, nieskoordynowane ruchy. Współpasażerowie, jeden po drugim, opuszczali swoje miejsca. W przedziale został tylko Marek i ten młody człowiek, który



najwyraźniej cierpiał na zespół Tourette'a. Dojechali obaj do miejsca docelowego, a gdy już mieli się rozstać, mężczyzna odwrócił się w stronę Marka i wyszeptał: „Bardzo panu dziękuję”.

„Ależ to był dobry człowiek. – Urszula pokręciła głową z niedowierzaniem. – Takich już nie robią. Muszę się postarać, żeby mu dorównać, bo inaczej nie spotkamy się po drugiej stronie”.

– Pani też jest dobra – usłyszała nagle komentarz do własnych myśli wypowiedziany przez bezdomną. – Proszę.

Urszula spojrzała oszołomiona na wyciągniętą w jej stronę brudną dłoń. Leżała na niej wymiętolona czekoladka w kształcie serduszka.

– Niech pani bierze – nalegała kobieta, a Urszula jakoś nie mogła jej odmówić.

Na szczęście pociąg zatrzymał się już na stacji Kraków Główny i można było wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem.

– Urszulo! – usłyszała za plecami wołanie.

Odwróciła się, szukając w tłumie przyjezdnych postaci w habitcie. Zamiast tego dostrzegła postawnego brodacza w dzinsowych ogrodniczkach i skórzanej kurtce. Nie mogła się powstrzymać i parsknęła śmiechem.

– Witaj, wuju – powiedziała. – Byłam przekonana, że mnisi zawsze noszą habit!

– Dostałem dyspensę ze względu na konieczność prowadzenia – oświadczył Iwo i siarczyście ucałował siostrzenicę w oba policzki.

– Nie spodziewałam się, że po mnie wyjdiesz. – Uśmiechnęła się, gdy już siedzieli przypięci pasami w wygodnym, choć wiekowym volvie.

– No, jak to sobie wyobrażasz?! – zachnął się wuj. – Przecież to kawał drogi!

– Poradziłabym sobie – mruknęła Urszula.

– Może byś i sobie poradziła, ale od czegoż ma się rodzinę.

Wuj wykonał zamaszysty ruch kierownicą i o mały włos nie zmienił toru jazdy. Urszula kurczowo uchwyciła się fotela.

– Rzadko prowadzę – ciągnął duchowny. – Nie mam specjalnie wielu okazji.

„Może to i lepiej” – pomyślała Ula, ale nie wypowiedziała tego na głos.

– No właśnie, wujku, sytuacja jest szczególna... – zaczęła, jednak mężczyzna wszedł jej w słowo:

– A wiesz, że my teraz uprawiamy chryzantemy?

– Jak to chryzantemy? – zdziwiła się.

– Ano tak! We wszystkich kolorach, mamy najpiękniejsze kwiaty w Małopolsce – mówił z przesadnym entuzjazmem i Urszuli przemknęło przez myśl, że z wszystkich sił próbuje odwlec moment, w którym ona zada mu to jedno ważne pytanie: dlaczego kazałeś mi przyjechać.

Im bardziej ona próbowała zagaić, tym gwałtowniej on zmieniał temat. Dowiedziała się zatem, że klasztor pochłania ogromne sumy, że w związku z tym mnisi postanowili rozwinąć produkcję wyrobów klasztornych.

– Robicie konfitury? – zapytała z powątpiewaniem, bo wizja grubych brodatych mnichów mieszających słodkości w miedzianych rondlach wydała jej się mało prawdopodobna.

– No coś ty, my to tylko firmujemy! – wyprowadził ją z błędu Iwo. – Wszystko nam robi miła pani z Legionowa pod Warszawą. I raz w miesiącu nam to wysyła.

– Toż to oszustwo! – zatrwożyła się Urszula. – Ludzie myślą, że wy sami, własnymi rękami, a ty mi mówisz, że to pani z Legionowa!

– Jakie znowu oszustwo?! Ona to robi według naszych receptur!

– To mi pachnie, wuju, relatywizmem moralnym – powiedziała, a Iwo parsknął śmiechem.

– W dzieciństwie też byłaś bardzo zasadnicza – powiedział. – Zupełnie jak twoja matka.

– Może mi powiesz, po co mnie tu ściągnąłeś – nie wytrzymała wreszcie, ale Iwo był najwyraźniej twardym zawodnikiem.

– Robimy też wino – powiedział.

– Mszalne?

– Może robić za mszalne, chociaż my to chcemy po prostu sprzedawać. Najlepiej do restauracji, bo to daje gwarancję dużych zamówień i regularnych dostaw.

Westchnęła z rezygnacją. Nie miała siły do tego nieznośnego krewnego.

– Oświecisz mnie wreszcie? Po co jechałam tu, zostawiając bez opieki wnuczkę i umierającą córkę?

Zagrała ostro, ale zadziałało.

– Porozmawiamy jutro po śniadaniu – powiedział Iwo. – To będzie długa opowieść, a ja jestem dziś bardzo zmęczony.

– Rozumiem – powiedziała niechętnie.

Wszystko wskazywało na to, że będzie musiała spędzić noc w klasztornych murach. Ciekawe, czy uda jej się zasnąć.

\*\*\*

Czy to za sprawą ciszy, czy też szczególnej kontemplacyjnej atmosfery starego klasztoru, Urszula zasnęła snem sprawiedliwego i przespaa noc jak spokojne szczęśliwe dziecko. Gdy się obudziła, pamiętała, że śnił się jej Marek – w białym garniturze i kapeluszu retro, niczym Józef Toliboski ze słynnej sceny z Nocy i dni. Tańczyli przytuleni i czuła się szczęśliwa. Ze zdziwieniem odkryła, że to uczucie spokoju i szczęścia nie minęło wraz z przebudzeniem. Wyraźnie poczuła, że ziarenko nadziei wpuściło wątle korzonki w tkanekę serca. Z apetytem zjadła też przyniesione przez wuja śniadanie: ciepłutkie bułeczki, powidła morelowe i sałatkę owocową, a do tego wszystkiego dostała zadziwiająco mocną i aromatyczną kawę.

– Mamy świetny ekspres – wyjaśnił wuj na widok jej zaskoczonych miny. – Wybacz, moja kochana, że cię nie zaprowadziłem do naszego refektarza, ale on jest niedostępny dla gości. Zwłaszcza dla płci pięknej. I tak zrobiono dla ciebie absolutny wyjątek, lokując cię na noc w klasztorze, i to tylko dlatego, że nasz przeor akurat wyjechał do Rzymu. Klasztorny dom gościnny jest wypełniony po brzegi wielbicielami świętej Hildegardy.

– Czyimi wielbicielami? – zdumiała się Urszula.

– Świętej Hildegardy z Bingen, średniowiecznej mistyczki. Była, można by rzec, pierwszą dietetyczką. I kompozytorką. I znawczynią ludzkiej natury, och, czym, a raczej kim, ona nie była!

– Dziwne, że do tej pory o niej nie słyszałam – mruknęła Urszula niezbyt zadowolona, że ich konwersacja znów dryfuje w kierunku, który jej zupełnie nie interesował.

– Ano dziwne, ale nic straconego. Jeżeli chcesz, możesz iść na wykład ze zdrowego żywienia zgodnego z naukami Hildegardy.

– Pewnie same korzonki – zażartowała.

– No skąd! Mięso! Choć rozsądnie. Hildegarda propagowała dietę opartą na orkiszach.

– Chyba nie mam ochoty na eksperymenty, wuju.

– To jest niesłychanie zdrowa dieta, lecznicza. Dobrze by zrobiła także Idusi.

Urszula ciężko westchnęła. Już miała zagaić, otwierała usta, żeby powiedzieć: „No właśnie, przez telefon rozmawiałeś ze mną tak, jakbyś widział ratunek” – ale Iwo, wyraźnie spłoszony, poderwał się i oświadczył, że musi iść na mszę świętą i zobaczą się później.

– Ale co ja mam tu robić... – zaprotestowała, jednak odpowiedziało jej tylko stuknięcie dębowych drzwi. Została w klasztornej celi sama.

Siedziała przez chwilę bez ruchu, próbowała zebrać myśli. Jechała tu z nadzieją, że Iwo powita ją jakąś rewelacją. Bo ja wiem... że mają w klasztorze cudowne relikwie, które leczą raka? Albo że potrafią się modlić tak skutecznie, że choroba się cofa? Człowiek w rozpaczach będzie się chwytał każdego skrawka nadziei. Poczwała, że cały dobry nastrój pryska. Gdyby była w domu, zrobiłaby porządek w szafie. Albo uszyła kamizelkę dla ulubionego królisia Dziuni. Ale tutaj? Mogła się tylko wtulać w zielony sweter i walczyć aktami strzelistymi z nadciągającym przygnębieniem.

– Nie będę siedzieć w tej celi cały dzień – mruknęła do siebie.

Wyszła na korytarz i ruszyła wzdłuż rzędu drzwi, za którymi zapewne mieściły się cele podobne do tej, w której ją ulokowano. Przeszła parę metrów i zobaczyła przejście na niewielkie wewnętrzne podwórko. Postanowiła posiedzieć chwilę na świeżym powietrzu, chociaż było dość chłodno. Jak się okazało, nie tylko ona miała taki pomysł. Na niewielkiej drewnianej ławeczce przyklejonej do liczącego blisko tysiąc lat muru siedział drobniutki przygarbiony

staruszek. Uśmiechnął się do niej – więc i ona odpowiedziała uśmiechem.

– A co tu robisz, dziecko? – zagał mnich.

Opowiedziała mu więc pokrótce, czemu przybyła do opactwa. Słuchał pogodnie uśmiechnięty, a gdy skończyła, westchnął.

– No tak, Pan Bóg zsyła nam różne próby, ale pamiętaj, że nikomu nie da ciężaru ponad jego siły.

Zirytowała ją ta uwaga.

– Dlaczego w ogóle daje? – powiedziała gniewnie. – Czy tak postępuje wcielone miłosierdzie? Że zabiera mi moje jedyne, najukochańsze dziecko? Najpierw męża, a potem córkę?

– Wcale nie zabiera – obruszył się staruszek. – Mąż nadal jest z tobą, w tobie i przy tobie. W Bogu wszyscy jesteśmy jednością...

– Tak, w Bogu na pewno. – Gorzko się uśmiechnęła. – Ale jak mam wytłumaczyć Wandzi, mojej trzyletniej wnuczce, że jej mama umiera?

– Nie mam odpowiedzi na wszystkie pytania – odparł mnich. – Ale jednego się nauczyłem przez dziewięćdziesiąt sześć lat chodzenia po świecie.

– Zamieniam się w słuch – burknęła niezbyt grzecznie Ula.

– Czasami Bóg dopuszcza w naszym życiu coś złego, żeby wyprowadzić z tego znacznie większe dobro. Spycha nas w ciemności, żeby tym mocniej rozbłysło jego światło.

Urszula chciała jakoś się odciąć, pewnie znowu nieuprzejmie, ale wtedy zobaczyła masywną sylwetkę wuja. Wychodził z kaplicy, zatem msza musiała się już skończyć.

„Teraz mu nie odpuszczę!” – pomyślała, a staruszek zachichotał.

– Tak, tak – powiedział – biegnij za nim, bo znowu ci ucieknie, a nie należy mu odpuszczać!

Popatrzyła na niego zdumiona. Było tak, jakby czytał jej myśli. I wtedy nagle zauważyła, że jest niewidomy. Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo Iwo znowu chciał jej uciec. Rzuciła więc szybko „Szczęść Boże” swojemu rozmówcy i pognęła za wujem.

– Czy ty przede mną uciekasz? – spytała, gdy wreszcie udało się jej go dopaść.

– No coś ty, Ulka, niby czemu? – zdziwił się nieszczerze.

– Bo to wszystko dziwnie wygląda. Najpierw każesz mi natychmiast przyjeżdżać, twierdzisz, że wiesz, jak pomóc mojemu dziecku. A kiedy już się tu zjawiam, unikasz mnie jak ognia.

– Schowajmy się gdzieś, gdzie można posiedzieć – odparł po chwili milczenia. – Nie jest to wszystko takie proste.

– Tyle to akurat wiem – burknęła Urszula, podążając za Iwonem.

Gdy znaleźli się w niedużym pomieszczeniu, którego centralną część stanowiło wielkie epitafium z czarnego marmuru, zamknęła za sobą drzwi.

– No mówże wreszcie! – zwróciła się do wuja.

Ten westchnął ciężko i się zgarbił. Nagle zaczął wyglądać na swoje lata.

– Powiedziałaś mi przez telefon, że Idzie potrzebny jest dawca szpiku. I że nikt z rodziny być nim nie może, a poza rodziną też na razie nikogo nie znaleziono.

– Dokładnie tak – przytaknęła skwapliwie.

Znowu westchnął. Urszula miała ochotę go udusić.

– Jeśli tak się ociągam z powiedzeniem ci tego, po co tu przyjechałaś, to dlatego, że wyjawienie prawdy wymaga, abym popełnił najstraszniejszy grzech, jaki może popełnić kapłan. Muszę złamać tajemnicę spowiedzi.

Urszula przyglądała mu się oszołomiona. O czym on, na Boga, mówi?

– Tak, moja kochana Uleńko... To podwójny grzech. Łączy mnie podwójna przysięga: dałem ją jako duchowny, a także jako brat. Najbliższy i jedyny człowiek, któremu mogła ufać.

– Kto, na Boga?!

– Twoja matka, Urszulo. Twoja matka, tuż przed śmiercią. A pamiętasz, że pogodziła się z Bogiem dosłownie w ostatniej chwili...

– To prawda, nie była zbyt pobożna – mruknęła Urszula.

– Na szczęście udało się ją przekonać do spowiedzi, póki była świadoma. Prawdopodobnie przystała na to wyłącznie dlatego, że spowiadałem ją ja, rodzony brat. Otóż właśnie wtedy wyznała mi swoją największą tajemnicę...

Ula patrzyła na niego coraz większymi oczami.

– Jest jeszcze jedna osoba, bliska krewna, która ewentualnie mogłaby pomóc.

– Kto taki?! – Słowa ledwo przeszły jej przez zaciśnięte gardło.

– Pólsierota... A raczej półsiostra. Ta gorsza siostra.

– Czyja siostra?

– Moja. I twoja.

– Niemożliwe! O czym ty mówisz?! – Poderwała się z krzesła i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

– Lepiej usiądź. Bo opowieść trochę potrwa. Muszę się cofnąć do lat trzydziestych ubiegłego wieku.

**Kraków, 1938**

Krystyna weszła do salonu zalanego słońcem i stanęła w progu. Pokój wyglądał idealnie na przyjęcie gości. Biedermeierowski stół na giętych nogach, gdy się wstawiło deski, mógł pomieścić ze czterdzieści osób. Co prawda dziś na kolacji miał być tylko jeden gość, ale i tak trzeba było wykorzystać jedną deskę, żeby całość zaprezentowała się odpowiednio dostatnio. Gospodyni lubiła pięknie nakryte stoły, dlatego często i chętnie urządzała prośzone obiady. Miała aż trzy porcelanowe serwisy: letni i zimowy, a prócz tego jeszcze najładniejszy, miśnieński, ręcznie malowany, który wyciągano wyłącznie z okazji Bożego Narodzenia i Wielkanocy, a także gdy spodziewano się kogoś ważnego. Była jeszcze jedna szczególna okazja, żeby zaprezentować miśnieńskie kwiatuszki. Gdy gość właśnie nie był nikim szczególnie ważnym i gospodyni zależało na tym, żeby olśnić go przepychem. Aby na własne oczy przekonał się, jak wielka przepaść dzieli go od państwa profesorostwa Majewskich.

Taką osobą miał być właśnie dzisiejszy biesiadnik. Skromny malarz, jakże mu było... Filipkiewicz! Tak jest, Stanisław Filipkiewicz, specjalista od tatrzańskich pejzaży, jak jej wyjaśnił pan mąż. Bóg raczy wiedzieć, skąd go Kaziutek wytrzasnęła. A przede wszystkim po co go ściąga na kolację! Jednak skoro już trzeba go ugościć, to Krystyna zamierzała odegrać wielką damę, którą się czuła. Zatem wysłała służącą na Rynek Dębnicki po perliczki i przepiórki, bo był akurat czwartek i dostawca miał mieć świeży drób i dziczyznę, oraz po peonie, którymi zamierzała przyozdobić salon. Mania nakryła już stół perkalowym obrusem, który był częścią wyprawy profesorowej. Podczas każdego obiadu Krystyna nie omieszkała napomknąć mimochodem, że jej ojciec – znany



w Galicji właściciel fabryki rękawiczek i pugilaresów – kazał sprowadzać ten perłowy perkal z Indii Wschodnich i że nigdy, przenigdy nie używano w jej domu innych obrusów. „Po prostu jedzenie lepiej wtedy smakuje” – mówiła, śmiejąc się lekko, jakby to był niewinny żarcik, a nie element bitwy o pozycję i uznanie.

– Zastanawiam się – mruknęła do siebie profesorowa – czy nie podać na przystawkę maleńkich roladek w sosie sardelowym.

Ostatnio, gdy zaserwowała je gościom, osiągnęła tak wielki sukces towarzyski, że spotkana w teatrze tydzień później znajoma znajomej poprosiła ją o przepis. Krystyna, jak zawsze życzliwa i uprzejma, oczywiście podała – z tym że pominęła kilka ważnych składników, żeby się roladki broń Boże znajomej nie udały. Sukces mógł mieć tylko jedną matkę.

Ostatecznie tym razem zrezygnowała z roladek. Zegar w przedpokoju wybił trzy na pierwszą, kolacja była przewidziana na szóstą, a trzeba jeszcze było przygotować tartę cytrynową, upiec perliczkę, nafaszerować przepiórki kaszanką i owinąć boczkiem, a także upiec.

– Mało czasu – pokręciła głową Krystyna, myśląc z żalem, że Mania jest o wiele mniej sprawną służącą niż jej poprzedniczka, którą nieroztropnie wypuściła na tydzień do domu, a ta nieszczęsna dziewczyna zaszła w ciążę z jakimś parobkiem i trzeba się jej było pozbyć. A szkoda, bo robota paliła się jej w rękach.

Profesorowa zajrzała jeszcze do kredensu, żeby się upewnić, czy jej popisowe konfitury z drylowanych czarnych porzeczek oraz chartreuse, szmaragdowy likier ziołowy – to było przewidziane do herbaty – znajdują się na swoim miejscu. I z przykrością stwierdziła, że o ile słoik z konfiturami stoi, jak stał, o tyle likier chartreuse przewędrował z półki środkowej na najniższą i – zgroza – ubyło go mniej więcej dwie trzecie. Co prawda dla jednego gościa w zupełności tyle wystarczy, ale przecież nie mogła postawić na stole tak haniebnie opróżnionej butelki!

Znowu rozległ się dźwięk zegara, a po kwadransie raz jeszcze, a Mani ciągle nie było.

– Na pewno spotkała kogoś i pytluje, zamiast wrócić do domu! – mruknęła niezadowolona.

Nie było wyjścia, trzeba było wbić lekko spuchnięte stopy w trzewiki i pofatygować się osobiście po benedyktynekę.

W skrytości serca Krystyna lubiła kuchnię i gotowanie. Choć uważała, że są to czynności niegodne profesorowej Majewskiej, to jednak pozostawiała sobie zawsze ostatnie słowo w kwestii przyprawiania potraw i misternego układania na półmisku. Ukończyła w swoich panięńskich czasach kurs pięknego podawania pieczeni i uważała – nie bez słuszności – że nikt nie umie tego zrobić tak dobrze jak ona. Lubiła też robić przetwory. Receptury, doskonalone z roku na rok, zapisywała w oprawionym w cielęcą skórkę notatniku ze złoconymi brzegami, który jej ojciec przywiózł jedynaczce z domu towarowego Harrods w Londynie. Właśnie po ojcu profesorka odziedziczyła także upodobanie do robienia nalewek. I choć pan Leopold, czyli jej szanowny papa fabrykant, powtarzał zawsze, że kobiety tylko psują alkohol, bo mają niewłaściwą florę bakteryjną, Krystyna robiła świetne pomarańczówki, imbirówki czy wiśniówki. Ale chartreuse to była wyższa szkoła jazdy i mimo bardzo wrażliwego podniebienia nie udało jej się ustalić wszystkich składników tego boskiego likieru. Mogła go jednak kupić w aptece na Zwierzynieckiej, gdzie pan Kozłowski w przerwie między napełnianiem pigułek i kręceniem globulek wyrabiał tę doskonałą nalewkę.

– Panie Kazimierzu – spytała go za którymś razem – czy nie mógłby mi pan zdradzić receptury na ten trunek?

– O nie, szanowna pani profesorowo. – Aptekarz uśmiechnął się przepraszająco. – Ale zawsze ją pani sprzedam.

– No wie pan. – Zirytowana profesorka zamrugała szybko oczami. – Ludzie są śmiertelni... Nie chciałby pan chyba zabrać tego skarbu do grobu?

– Tak się nie stanie, droga pani. – Na twarzy aptekarza pojawił się pogodny uśmiech. – Jeśli mnie zabraknie, będzie tu zawsze któryś z moich synów. A po nich któryś z wnuków. I zawsze, kiedy tylko pani lub pani dzieci będą chciały kupić chartreuse, w aptece na Zwierzynieckiej będzie czekać buteleczka.

Zirytowana profesorka dreptała teraz przez rynek, starając się, żeby nie było po niej widać, jak bardzo się śpieszy.

„Dama nie biega” – brzmiały jej w głowie słowa matki. I rzeczywiście Krystyna Majewska nigdy nie biegała. Być może dlatego prawie od razu dostała zadyszki i musiała przystanąć, aby zaczerpnąć powietrza. I wtedy ją zobaczyła. Właściwie najpierw zobaczyła błyszczące oczy dorożkarza, który gwałtownie się odwrócił. Podążyła za jego spojrzeniem. Wzdłuż Sukiennic szła kobieta. Krystynie wydawało się, że już kiedyś ją widziała, ale nie pamiętała gdzie. Miała miedzianozłote włosy, zaczesane do góry i upięte w kok, z którego wysuwały się szylkretowe szpilki. Nosila obcisły – zbyt obcisły dla porządnej kobiety – kostium z zielonej wełenki i jedwabną bluzkę ze sporym dekoltem. Szła tak, jakby się poruszała po linie, stawiając jedną stopę przed drugą, a jej wysokie obcasy wybijały na bruku zmysłowy rytm. Jakże wielka różnica była między tą „ladacznicą” – jak ją w myślach nazwała profesorowa – a nią samą. Krystyna była ubrana w granatową garsonkę zapiętą pod samą szyję, a jej ciemne, krótko ostrzyżone zgodnie z ostatnią modą włosy były ukryte pod okrągłym kapelusikiem. Buty nosila na płaskim obcasie: od czasu pierwszej ciąży, gdy sporo niestety przytyła, regularnie puchły jej nogi, a noszenie butów na obcasach sprawiało jej prawdziwą mękę. Teraz jednak pomyślała z zawiścią, że chciałaby mieć takie buty. I nogi. I całą resztę, jak ta nieskromna kobieta o kocim kroku. Szybko jednak zganiła się za podobne rojenia i przyśpieszyła kroku. Tuż przy aptece prawie wpadła na Manię. Musiała tu przydreptać z Rynku Dębnickiego, pewnie dla jakiegoś wątpliwego towarzystwa. Teraz stała, wymachując koszykiem, i plotkowała z podobną do siebie dziewczyną.

– A więc to tak spędzasz czas, za który ci płacę – syknęła profesorowa. – Marsz do domu, ale już!

Mania naburmuszyła się i podreptała w stronę kamienicy Majewskich, jeszcze energiczniej machając koszykiem z perliczką i przepiórkami.

Kolacja upłynęła w miłej, zdaniem profesorowej, atmosferze. Jej mąż dyskutował z malarzem o związkach między matematyką a sztuką, o idealnych proporcjach, dynamicznych trójkątach i tym podobnych niedorzecznościach. Najgorsze, że pan Filipkiewicz zdawał się zupełnie nie dostrzegać drogocennej porcelany ani

kwiatów, ani perliczek. Ba! Odmówił dokładki i oświadczył, że właściwie to mięsa on prawie nie jada. Krystyna skrzywiła się niechętnie, a potem oddała rozmyślaniami nad domowymi rachunkami, uśmiechając się grzecznie od czasu do czasu – choć przestała uczestniczyć w rozmowie. W pewnej chwili w szybce kredensu stojącego pod ścianą dostrzegła jakiś ruch za swoimi plecami. Zmarszczyła brwi i próbowała dojrzeć, co też Mania – bo to ona była źródłem owego poruszenia – wyczynia w przedpokoju. No i wreszcie ją olśniło! Ta podła bezczelna dziewczucha otworzyła szafkę, w której znajdował się zapas środków czystości, i wyciągnęła najpierw jeden kawałek mydła, potem drugi. Krystyna doskonale pamiętała, że miała w obu łazienkach nowe mydło – zanesione tam nie dalej niż wczoraj – zatem jedynym powodem, dla którego Mania sięgała po kolejne, była chęć kradzieży! Profesorowa uśmiechnęła się serdecznie i ciepło do malarza Filipkiewicza i powiedziała:

– Proszę wybaczyć, muszę panów na minutkę opuścić!

A potem pomknęła tanecznym krokiem za Manią, która zamierzała skryć się w swojej służbówce. Bez słowa zacisnęła na ramieniu dziewczyny żelazny uchwyt, że biedaczka aż pisnęła z bólu. A potem wsunęła rękę do kieszeni jej fartucha i wyciągnęła stamtąd mydło.

– Ty mała podła złodziejko – syknęła jej do ucha, a potem zamachnęła się i spoliczkowała dziewczynę. – Wynoś mi się i nie wracaj.

– A moja pensja? – zaprotestowała Mania.

– Chyba śnisz! Nie sądzisz, że po tym, co zrobiłaś, zapłacę ci chociaż złotówkę?

Mania spąsowiała, a potem popatrzyła na chlebobawczynię z wyrazem takiej nienawiści w oczach, że profesorowej zrobiło się nieprzyjemnie.

– Wszyscy się z pani śmieją – powiedziała, akcentując każde słowo. – Wszyscy. Cały Kraków wie, że profesor ma kochankę. Nie ma większego pośmiewiska niż pani.

Następnie trzema sprawnymi ruchami wrzuciła do torby swój niewielki dobytek i wyszła, trzaskając drzwiami. Profesorowa przez

chwilę stała, jakby w nią piorun strzelił. Zaraz jednak przyglądała jedwabną bluzkę, poprawiła włosy i wróciła do salonu.

– Pozwolą panowie, że zaproponuję kieliszeczek chartreuse – powiedziała z uśmiechem, a malarz po raz pierwszy zareagował z entuzjazmem.

– Jeśli o mnie chodzi – powiedział – mogą być nawet dwa!

\*\*\*

Przez kilka kolejnych dni Krystyna nie była w stanie zmierzyć się z tym, co powiedziała jej Mania. Początkowo wmówiła sobie, że mściwe słowa złej dziewczyny miały za zadanie ją zranić, ale nie były prawdziwe. To przecież niemożliwe, żeby ona – królowa krojonej pieczeni i roladek w sosie sardelowym, jedyna córka bogatego fabrykanta, dama szanowana w towarzystwie, żona znanego matematyka – była dla kogokolwiek pośmiewiskiem! Tak, nie przstraszyło jej aż tak bardzo to, że mąż mógłby mieć na boku jakąś miłostkę, ale to, że ktokolwiek mógłby z niej pokpiwać z tego powodu. Zaczęła się baczniej przyglądać sąsiadom, właścicielce sklepu, aptekarzowi ze Zwierzynieckiej, stróżowi... Początkowo nie dostrzegła w niczyich oczach kpiny. Jedyne niezyczliwe spojrzenie należało – musiała to z przykrością przyznać – do profesora Kazimierza Majewskiego.

– Jak to, znowu zwolniłaś służącą?! – zganił ją. – Drugą w ciągu czterech miesięcy! O dobrą służbę w dzisiejszych czasach bardzo trudno, a Mania całkiem przyzwoicie sprzątała i niezgorzej gotowała.

– To ja, mój drogi, gotuję – wybuchła Krystyna. – Ona umiała co najwyżej obierać ziemniaki!

– Czemu ją zwolniłaś? – dociekał Majewski.

Krystyna przygryzła wargę. Nie chciała mówić o kradzieży mydła – wydawało jej się to nieeleganckie.

– Ona insynuowała – tu nadała swojemu głosowi takie brzmienie, aby było jasne, że te insynuacje uważa za absurd – że ty mnie zdradzasz.

Kazimierz zamarł, a przez jego pucułowate czerwone oblicze przemknęło coś jakby... strach? Obawa? Krystyna poczuła zimny dreszcz. A więc jednak. Ale profesor Majewski szybko naciągnął na twarz maskę ironicznego stoika, którą zazwyczaj nosił w domu.

– Chyba jej nie uwierzyłaś! – wykrzyknął wreszcie, a potem zaczął się śmiać. Ten śmiech wydał się zrazu Krystynie sztuczny, wymuszony, później jednak zganiła się za tę podejrzliwość.

– No oczywiście, że nie uwierzyłam! – zapewniła go żarliwie, a potem zrobiła krok w jego stronę.

W dawnych, wczesnomatrymonialnych czasach taki drobny gest wystarczył, żeby Kazimierz zrozumiał, że żona oczekuje pocałunku. Owszem, zdarzało się, że cmokał ją wtedy w usta, przygarniał do siebie i mruczał do ucha: „Moja droga Bubo, moja droga kochana Bubo...”.

Krystyna nie lubiła być Bubą, ale szybko się zorientowała, że innych czułości nie będzie. I zaakceptowała to. Tak, zaakceptowała. Wychodziła z założenia, że w życiu nie liczą się uniesienia, porywy serca, tylko konkret, stabilność, odpowiedzialność. A uosobieniem tego wszystkiego właśnie był Kazimierz.

Ale teraz profesor nie przygarnął jej i nie nazwał Bubą. Szybko cmoknął ją w czoło i ten pocałunek nie miał w sobie ani grama żaru. Krystyna poczuła się staro. A przecież miała ledwie dwadzieścia osiem lat.

– Ty mnie chyba, Kaziu, nie kochasz – wyszeptała i sama się zdziwiła, jak bardzo łzawo to wypadło.

Kazimierz poparzył na nią zdumiony.

– A to co, moja droga?! Nie będziesz mi tu chyba płakać?

– A właśnie że będę. – Krystyna tupnęła nogą i wybuchła szlochem.

– No nie! – Kazimierz, zamiast się wzruszyć, przytulić ją czy pocieszyć, zrobił krok w stronę wyjścia. – Pójdę się przejść i poczekam, aż ci minie. Miał rację jednak profesor Freud, gdy twierdził, że kobiety dysponują słabym systemem nerwowym. Tylko mi tu nie zachoruj na histerię, bardzo cię proszę! – rzucił przez ramię, zakładając na swoją całkiem już widoczną łysiną elegancki

melonik ze Skoczowa, który Krystyna kupiła mu w ubiegłym sezonie.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, pani profesorowa pobiegła do okna. Dokąd, dokąd on idzie? Z dużą przykrością skonstatowała, że uczucie niepokoju, którego teraz doznawała, jest jej dobrze znane z dzieciństwa. Pamiętała awantury, które matka robiła jej ojcu – mężczyźnie mocno rozrywkowemu, który każdą wolną chwilę spędzał a to przy kartach, wśród przyjaciół, a to – wstyd powiedzieć – w przybytku, w którym mieszkały córki Koryntu, specjalistki od płatnej miłości, w których towarzystwie pan Leopold trwonił zyski z fabryki rękawiczek. Wreszcie za którymś razem dorobił się paskudnej francuskiej choroby wywoływanej przez krętki blade i przeszedł ciężkie leczenie rtęcią w Szpitalu Świętego Sebastiana. Nie udało mu się całkowicie wyzdrowieć. Matka nigdy nie powiedziała głośno, że mąż ją zdradza i że czuje się nieszczęśliwa, jednak Krystyna całą sobą odbierała jej emocje. I teraz poczuła je znowu, tym razem swoje własne. I nagle zalała ją fala smutku. Czy tak wygląda miłość, małżeństwo?

Profesor przeszedł przez rynek i zniknął w ulicy Świętej Anny. Krystyna odeszła od okna i usiadła przy stole. Nalała sobie kieliszek chartreuse i się rozplakała. Po raz drugi w ciągu kwadransa.

Zwykle nie oddawała się wspomnieniom. Teraz jednak przypomniawszy sobie swoją pierwszą miłość – nauczyciela języka francuskiego, pana Juliana Swobodę, którego rodzice zatrudnili, aby jedyna córka fabrykanta mogła rozmawiać płynną francuszczyzną jak prawdziwa hrabianka, gdyż umiejętności wyniesione z pensji okazały się wysoce niesatysfakcjonujące. Julian był chudziutki, niewysoki, ale miał najpiękniejsze oczy, jakie widziała u mężczyzny. Te oczy patrzyły na nią z wyrazem bezbrzeżnego zachwyty, gdy recytowała z fatalnym akcentem *je suis, tu es, il est...* Wiele więcej się też nie nauczyła. Po pierwsze dlatego, że zupełnie nie miała talentu do języków obcych, po drugie dlatego, że młody nauczyciel szybko porzucił odmianę czasowników na rzecz miłosnych wyznań i zaklęć. Recytował jej miłosne strofy Verlaine'a i Kwiaty zła Baudelaire'a.

Kiedy przymknąwszy oczy w ciepły zmierzch jesieni  
Wdycham twojego łona upalnego wonie,  
Widzę szczęśliwe rzeki, w których słońce płonie  
Monotonnie i blaskiem na fali się mieni

– szeptał jej do ucha, a ona czuła się tak, jakby jej ciało wypełniała gęsta gorąca krew, której wartki nurt rozrywa serce.

Pewnego dnia, gdy tak sobie siedzieli nad francuskimi strofami, do pokoju weszła zniecka matka Krystyny. W zasadzie nie zobaczyła niczego nieprzyzwoitego, ale zaczerwienione policzki córki i jej przyśpieszony oddech stały się dla doświadczonej kobiety dowodem nie do zbicia. Julian Swoboda został grzecznie poproszony, aby się oddalił. Co uczynił, jednak następnego dnia wrócił z dwoma potężnymi bukietami. Jeden, złożony z czerwonych róż, przeznaczony był dla Krystyny. Drugi, różowy, dostała jej matka. Nauczyciel francuskiego udał się następnie do gabinetu pana Leopolda i mocno się jękając, wyznał mu, że kocha jego córkę nad życie i marzy o tym, żeby się z nią ożenić. Fabrykant potraktował go bardzo niedelikatnie. Najpierw okrutnie wyśmiał, a potem złapał za ramiona i z całej siły kopnął w sepieterne, tak że biedak przeleciał przez próg i zanim się zdążył podnieść z ziemi, drzwi domu jego ukochanej zatrzasnęły się za nim na wieki. Nigdy więcej nie próbował się kontaktować z Krystyną, a gdy parę lat później spotkała go przypadkiem na ulicy, odwrócił głowę i udał, że jej nie widzi. Szedł zresztą pod rękę z jakąś korpulentną kobietą o bardzo prostackim – jak uznała Krystyna – wyglądzie. Sam nie miał też w sobie już nic z dawnego delikatnego chłopca. Nosił dostojny melonik, wąsy, rękę opierał na srebrnej gałce laski, a spod płaszcza błyskały satynowe zarękawki. Nie, nie był jej miły ani trochę. Teraz jednak Krystyna przywołała jego wspomnienie i te krótkie chwile młodości, które sprawiały, że czuła się piękna, pożądana i wyjątkowa. Szczerze powiedziawszy, nigdy później już się tak nie czuła. Nawet wtedy gdy Kazimierz Majewski – sporo starszy od niej, dobrze zapowiadający się pracownik uniwersytetu – zaczął ubiegać się o jej względy. Na czym polegało to ubieganie się?



Zabierał ją na spacer, przynosił czekoladki, raz i drugi zaprosił do kawiarni.

„To bardzo miły chłopiec” – oceniła go matka Krystyny, a ojciec kiwnął głową z aprobatą. Krystyna, która nie miała talentu nie tylko do francuskiego, lecz także do matematyki, uważała, że jej starający się musi być bardzo mądry, skoro zajmuje się liczbami. Nie zdziwiło jej też wtedy specjalnie, że tak dokładnie wypytuje ją o interesy ojca, o aktywa, pasywa i wreszcie o jej posag.

„Widocznie matematycy tak mają – pomyślała – ich świat organizują liczby”. W pewnym sensie miała rację, choć mniej życzliwa osoba powiedziałaby po prostu, że Kazimierz Majewski dybie na majątek. Tego zdania była babka Krystyny, która jako jedyna nie podzielała zachwyty nad dobrze zapowiadającym się matematykiem. „Zapytaj go, czy kocha ciebie, czy twój majątek” – podpuściła pewnego dnia wnuczkę.

„Czy ty kochasz mnie, czy mój majątek?” – spytała tego samego dnia Kazimierza. „Kocham cię wraz z twoim majątkiem, Bubo” – oświadczył prostolinijnie Majewski i prawdopodobnie właśnie wtedy Krystyna uznała, że jest to typ, po którym nie można się zbyt wiele spodziewać w kwestii miłości.

Zresztą trzeba przyznać, że do tej pory Kazimierz zapewniał jej to, na czym najbardziej jej zależało: prestiż i szacunek otoczenia, dobrą pozycję wśród krakowskich elit i cotygodniowe wyprawy do teatru. Przynosił jej też kwiaty na urodziny i zwykle doceniał jej kulinarny talent. „Wiesz, Bubo – powiedział któregoś dnia po skonsumowaniu całej polędwicy wołowej w cieście – gdyby mnie tak nakarmiono w restauracji, tobym powiedział, że jeszcze tu wrócę”. Krystyna Buba poczuła wtedy, że ciepło rozlewa się wokół jej serca. Tak, w tamtej chwili była naprawdę szczęśliwa.

\*\*\*

– Pięknie! – Ada klasnęła w dłonie, gdy tylko przekroczyli próg mieszkania.

Kazimierz uśmiechnął się z satysfakcją. Świętego Jana, doskonały adres. Z zadowoleniem skonstatował, że okna mieszkania wychodzą na ulicę – dokładnie naprzeciwko okien jego wspaniałego siedmiopokojowego apartamentu przy Rynku. „Okna od nas z gabinetu i bawialni wychodzą dokładnie na tę stronę... Wprawdzie piętro niżej, ale i tak będę widział, co u niej, co robi” – pomyślał.

Nie wierzył Adzie. Nie wierzył, że kobieta jej urody i o jej reputacji będzie umiała komukolwiek dochować wierności!

Pamiętał dokładnie, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy: to było wiele lat temu. Pewnie około dziesięciu. Poszedł z kolegami z wydziału – wtedy był świeżo po habilitacji – do baru Zakopane przy Plantach. Przy kontuarze tłoczył się tłumek podchmielonych mężczyzn w marynarkach i fularach. Co rusz unosili wypełnione wódką kieliszki. Nagle uwagę Kazimierza przykuł dźwięk tłuczonego szkła. Ktoś rzucił na podłogę kryształowy kieliszek, który rozbryznął się w drobny świetlisty mak. To była kobieta, śmiała się, opierała na ramieniu jakiegoś podgolonego wąsacza. Była młoda, mogła mieć jakieś dwadzieścia lat. I piękna. Kiedy machnęła głową, wypadła szpilka podtrzymująca kok z rudych włosów. Rozsypały się jej po ramionach lśniące, falujące, w błyskach lamp wyglądały jak żywy ogień.

„Kto to?”. Kazimierz trącił w ramię Hipolita, młodego doktora matematyki zakochanego w grach liczbowych i barwnym świecie artystycznej bohemy Krakowa. „To... to jest Ada. Jej matka była ostatnią kochanką Wyspiańskiego i mówi się, że...” – zawiesił głos.

Kazimierz nie mógł zapomnieć tej twarzy, tych włosów. Ada śniła mu się: w tych snach naga stawała nad nim na łóżku, wyciągała powolnym ruchem szpilkę, a włosy spływały jej po ramionach i piersiach jak rdzawa woda.

Gdy budził się z tych snów, był spocony z podniecenia. Ale oczywiście nie mógł poznać się z Adą tak po prostu. Ona... no cóż, nie zaliczała się z pewnością do grona szanowanych kobiet.

Widował ją później regularnie z różnymi mężczyznami. Zawsze obserwował ukradkiem. Jej wizerunek nosił stale w sobie, starannie zamknięty w jakiejś ciemnej szkatułce na samym dnie serca. W międzyczasie zaczął kierować Katedrą Matematyki na UJ, stał się

znanym i cenionym profesorem. Majątek z wiana żony Krystyny zainwestował: wszedł w spółkę z rodziną Ciechanowskich, którzy kilkadziesiąt lat wcześniej otworzyli w Groźcu pierwszą cementownię na ziemiach polskich. W dwudziestolecie międzywojennym była już piąta co do wielkości i produkcji na świecie. Polska z drewnianej, słomianej zamieniała się powoli w murowaną. Cement potrzebny był wszędzie i wszystkim. Fortuna Ciechanowskich rosła jak na drożdżach, a wraz z nią – zyski Kazimierza Majewskiego.

Tymi zyskami Kazimierz zresztą wcale nie zamierzał dzielić się z żoną. Dojrzywał w nim od lat plan i wreszcie było go stać na jego realizację. Zażądał od Hipolita, aby ten przedstawił go Adzie. Miała prawie trzydzieści lat. Kochała się w jakimś poecinie, anarchiście, który odsiedział pół roku w Berezie Kartuskiej, co przypłacił gruźlicą.

Oczywiście Ada była kobietą na swój sposób rozsądną. Zdawała sobie sprawę, że nie wyjdzie za mąż za poetę. I że nie ma już wiele czasu na ustatkowanie się. Musiała zapewnić sobie przyszłość, jakieś utrzymanie – nie miała po matce żadnego majątku. Oczywiście malowała, ale... powiedzmy sobie szczerze, jak można z tego wyżyć? Pewnie większość klientów kupowała jej obrazy dlatego, że Ada uchodziła w powszechnej opinii za „nieślubną córkę Wyspiańskiego”.

Poznał ich ze sobą Hipolit. Kazimierz zadbał o to, żeby przedstawić samego siebie jako mężczyznę odpowiedzialnego, dobrze sytuowanego – była to zresztą prawda. Zadbał o coś jeszcze: aby między wierszami przemycić informację o słabowitym zdrowiu żony. Westchnął nawet, że ma świadomość, że wcześniej owdowieje, niestety.

Ada słuchała uważnie i coraz bardziej podobał jej się ten niepozorny poważny mężczyzna. Nie był piękny jak malarz Aleksander ani tak elokwentny i dowcipny jak poeta Władysław. Ale... na trzecim spotkaniu wyznał Adzie miłość, i to długoletnią. Zapewnił, że ożeni się z nią, gdy tylko będzie wolny, co nastąpi z pewnością rychło. „Żona jest kobietą schorowaną, niezdolną do pełnienia obowiązków małżeńskich” – uzalił się przy okazji. Ada

spojrzała na niego przeciągle. Wtedy jeszcze nie wiedział – zorientował się później – że Ada nie jest zwykłą dziewczyną o wątpliwej reputacji. Że jest wybitnie inteligentna, jej matka była córką rabina, która uciekła z ortodoksyjnej społeczności, podobno z miłości do młodego Polaka. W związku z tym rodzina ją wyklęła. Ada nigdy nie spotkała swoich dziadków, wujów, licznych ciotek. Po śmierci matki, w wieku osiemnastu lat została na świecie całkiem sama i zasadniczo bez środków do życia. Wtedy pojawił się obok niej bogaty zalotnik oferujący stabilność finansową, a nawet rozmaite luksusy. Bez szans na małżeństwo oczywiście. Tak się to wszystko zaczęło.

Zresztą Kazimierz nie uznawał u kobiet czegoś takiego jak inteligencja – uważał, że te istoty, powabne, ale jednak niedorównujące mężczyznom w żadnej dziedzinie, co najwyżej mogą być „sprytne” bądź „błyskotliwe”. Tak właśnie myślał o Adzie: że jest zaskakująco błyskotliwa. Nie była tylko jego kochanką: bawiły go jej uwagi, komentarze, lubił słuchać jej refleksji na temat obrazów znajomych artystów lub przeczytanych książek. Nie brał tego jednak poważnie: uśmiechał się jak widz w cyrku, myśląc; „Jaka błyskotliwa opinia. Skąd też przyszła jej do głowy?! Może gdzieś to przeczytała, w jakimś damskim piśmie”.

Ada nie czytała jednak damskich pisemek, tylko Bakunina i Kropotkina. Po lekturze Zdobycia chleba tego ostatniego podzieliła się z Kazimierzem wrażeniami. „Wiesz, gdyby anarchiści rządili światem, wszyscy mielibyśmy zapewnione to, czego nam potrzeba, i nic ponadto... Nie uważasz, że tak by było sprawiedliwie?”. „Nic ponadto? Nic ponadto? A dlaczegoż ja mam mieć tyle samo co jakaś hołota niepiśmienna?! To sprawiedliwe, że ja mam majątek, a oni klepią biedę. W przeciwnym wypadku uznaliby samych siebie za równych mnie!” – grzmiał oburzony. Ada popatrzyła wtedy na niego tak dziwnie, z jakąś... niechęcią czy nawet nienawiścią. Ale zaraz uznał, że tylko mu się wydawało, bo uśmiechnęła się, jak zawsze zatrzepotała rzęsami, podbiegła do niego i wycisnęła na jego ustach gorący pocałunek.

O Kropotkinie więcej nie było mowy.

Teraz obserwował ją, jak zdejmuje czólenka ozdobione klamrą, zrzuca z ramion płaszcz z kołnierzem z lisa (ach, kosztował go trochę ten płaszcz – ale na Adzie nie oszczędzał), starannie wyjmując szpilkę podtrzymującą na głowie fikuśny toczek, geometryczny, maleńki, zgodnie z najnowszą modą – i zaczyna tańczyć na środku salonu.

– Pięknie! Pięknie, Kaziu! Będzie nam tu jak w raju! Jaka przestrzeń, a to światło, fenomenalne! Uważasz, że ten pokój byłby dobry na pracownię? – zafrasowała się.

Kazimierz wywrócił oczami. Nie, nie uważał, że salon to dobre miejsce dla sztalug, okropnych malarskich chałatów i tubek z farbą. Zamierzał miło spędzać tu czas w towarzystwie Ady, a nie wdychać zapach terpentyny.

– Zobacz, serce, ten pokój w amfiladzie, na końcu. Zdaje mi się, że tam światło będzie lepsze, okna są najbliżej Rynku – powiedział więc całkiem sprytnie (a pewnie sam stwierdziłby, że „inteligentnie”).

Ada na bosaka, w samych pończochach (ach, jak lubił patrzeć, ja je zdejmuję, zwija w harmonijkę, a one szeleściły cicho jak liście na Plantach jesienią) pobiegła przez domniemaną sypialnię do ostatniego pokoju. Za chwilę dały się słyszeć kolejne okrzyki zachwytu i uwielbienia.

Kazimierz uśmiechnął się z triumfem. O to mu chodziło.

Ada wprawdzie uważała, że światło w salonie jest jednak zdecydowanie lepsze, ale nie zamierzała kruszyć o to kopii. Od razu się zorientowała, że pomysł urządzenia pracowni malarskiej w salonie nie przypadł Kazimierzowi do gustu. Z jej doświadczenia wynikało, że lepiej nie niepokoić mężczyzn, stawiając im opór w mało istotnych kwestiach, jeśli miało się na horyzoncie możliwość załatwienia tych większych, ważniejszych spraw. Zdaniem Ady nowe mieszkanie, wynajęte dla niej przez Kazimierza, przybliżało ją do celu: małżeństwa. Miała dosyć życia w niepewności: pieniądze ze sprzedaży obrazów wystarczyłyby jej jedynie na wynajęcie komórki na węgiel albo stryszku na Krowodrzach. A ona przyzwyczaiła się już do zbytku.

Nie była głupia, wiedziała, że nie jest dobrą partią dla Kazimierza. Ale czasy się zmieniały, może w Krakowie nie tak szybko, któż jednak zabroniłby im po ślubie wyprawki do Warszawy? Tam mogłaby odetchnąć pełną piersią i wyjść wreszcie z butów „żydowskiej utrzymanki, nieślubnej córki Wyspiańskiego”. Podtrzymywała tę legendę, choć raczej w nią nie wierzyła. Z tego, co wywnioskowała, była córką zubożałego szlachetki, wielbiciela pojedynków i polowań, który uwiódł jej matkę i porzucił po kilku miesiącach, kiedy była już w ciąży.

– Masz rację, Kaziu! Tam światło lepsze, takie miękkie, złote! Już widzę, jaka będę tu szczęśliwa! Jacy będziemy szczęśliwi... – dodała szybko.

Podeszła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i wyciągnęła powoli ostatnią szpilkę przytrzymującą na głowie kok z rudych gęstych włosów. Doskonale wiedziała, że Kazimierz nie umie oprzeć się temu gestowi. Tak stało się i tym razem: westchnął głęboko wpatrzony w miedziane fale spływające po jej ramionach, szyi. Jego oddech przyśpieszył. Ada delikatnie pociągnęła po jego policzku ręką, zatopiła ją w jego włosach, a potem chwyciła go za kark i przyciągnęła do siebie jego głowę, ustami sięgając ust kochanka.

Zaczęli się namiętnie całować. W mieszkaniu nie było jeszcze oczywiście żadnych mebli. Ale Ada poprowadziła Kazimierza w róg pokoju: ogromny piec węglowy wykładany zielonymi kafkami tworzył tam ze ścianą wygodny kąt, idealny do tego, żeby Ada mogła zaprzeć się nogą o framugę drzwi. Kazimierz lubił tak ją brać, na stojąco.

Jego niecierpliwa dłoń szarpała się chwilę z pasem do pończoch, Ada usłyszała trzask. Poczowała irytację. Ten mężczyzna nie miał w sobie krzty delikatności, zawsze rujnował jej pończochy. Poza tym kochał się jak parobek, brutalnie i szybko, a nie jak dżentelmen.

Ale przecież nie mogła wybrzydzać. Miała trzydzieści lat! A mieszkanie było takie piękne...

\*\*\*

No cóż. Nie była zadowolona. „Masz nogi pomocy kuchennej” – powiedział jej kiedyś z przyganą Kaziu.

Doskonale wiedział od początku, jakie Krystyna ma nogi, ale na etapie zaręczyn ich kuchenną zwyczajność rekompensowała wizja hojnego wiana, jakie miała wnieść w swoje małżeństwo Krystyna Wolfówna.

Westchnęła. Kaziu ma rację. Krystyna obrzuciła pełnym urazy spojrzeniem swoją przysadziłą figurę z krótkimi nogami o potężnych łydkach, widoczną w lustrze. Swoją drogą, skąd się takie nogi u niej wzięły? Faktycznie, jak u praczki czy pomywaczki, a przecież Krystyna praktycznie nic nie robiła przez całe swoje życie, z wyjątkiem zajęć na pensji, lekcji francuskiego, fortepianu i okazjonalnie tenisa.

Przygryzła wargę. Brakowało jej czaru, powabu – widywała przecież kobiety, które przykuwały łakome spojrzenia mężczyzn. Miały różne sylwetki, kolory włosów, oczu, ale zawsze coś takiego w twarzy, sposobie poruszania się, co sprawiało, że nie dało się za nimi nie obejrzeć. Ta... ona... – Krystyna nie miała pojęcia, jak tytułować w myślach kochankę męża – z pewnością też należała do tych kobiet. Była jej ciekawa. Ale nigdy nie zniżyłaby się do tego, żeby pójść pod jej dom – a nawet dowiedzieć się, gdzie tamta mieszka, gdzie odbywają się schadzki – i przekonać się na własne oczy, czym tamta kobieta ją przewyższała.

Nie zamierzała odpuścić. Kiedyś, nie tak dawno – ledwie siedem lat temu – naprawdę była w Kazimierzu zakochana. Uwielbiała wysłuchiwać jego wywodów na temat ciągu Fibonacciego czy zagadek nieskończoności. Jego chłód w stosunku do własnej osoby odczytywała jako szacunek. Imponowało jej, że mężczyzna tak światły, czytany interesuje się nią, chce ją poślubić pomimo jej ewidentnych braków. Właściwie w niczym, czego Krystyna miała się w życiu, poza gotowaniem, nie była dobra. Haftowała krzywo. Nie miała słuchu, więc na pianinie grała okropnie. Do francuskiego nie miała pamięci. Nawet ubrać się nie potrafiła, już jej matka bolała nad tym brakiem gustu.

W sumie teraz nawet mu się nie dziwiła, że wziął kochankę. „Gdybyż chociaż dał mi dziecko... Miałabym kim się zająć, z kim

spędzać dnie. Najlepiej dziewczynkę o blond włosach, która byłaby we mnie wpatrzona jak w obrazek. Córeczkę... Moją laleczkę. Syn to jednak co innego. No i to też mężczyzna” – myślała.

Trzy lata wcześniej szczęście się do Krystyny uśmiechnęło. Zaszła w ciążę i urodziła synka. Nazwali go Iwo. Krystyna miała wtedy nadzieję, że to początek ich rodzinnego szczęścia. Kazik się ustatkuje, więcej czasu zaczniesz spędzać z rodziną...

Niestety, pogarda profesora Majewskiego dla własnej żony po narodzinach dziecka tylko urosła. Przeszkadzał mu krzyk niemowlęcia, niechętnie brał je na ręce i natychmiast oddawał żonie albo służącej. I coraz częściej wychodził z domu. Jakoś niedługo po narodzinach Iwona – chłopczyk miał może rok – Krystyna zorientowała się, że napotkani na spacerze po Plantach ludzie dziwnie na nią patrzą, szepcą, jakby ze współczuciem. Znajome panie już nie podchodziły do wózek, żeby pozachwycać się małym Iwciem, tylko umykały wzrokiem, jakby ich spojrzenie mogło coś Krystynie zdradzić.

Teraz już wiedziała dlaczego. Prawdopodobnie wtedy Kaziu wziął tę... tę... Jak by ją nazwać? Na domiar wszystkiego Krystyna nie była jednak głucha, plotki dochodziły do jej uszu – ta kobieta podobno była Żydówką. A przecież Żydzi zamordowali Chrystusa! Tym romansiem Kazik zdradził nie tylko ją, żonę, której przysięgał wierność, ale przede wszystkim Pana, który dla zbawienia jego marnej duszy skonał na krzyżu.

– Tak, każdy musi nieść swój krzyż – westchnęła po raz kolejny Krystyna zapatrzona w swoje muskularne łydki.

Niezależnie jednak od tego krzyża Kazika należało sprowadzić na łono rodziny. Po chrześcijańsku. Nie dopuścić do tego, aby skazał sam siebie na wieczne potępienie za sprawą jakiejś niecnoty.

„Po chrześcijańsku?! – przypomniała sobie Krystyna wybuch śmiechu swojej przyjaciółki, Adeli. – Po chrześcijańsku to raczej z tą wywłoką nie wygrasz. Krysia, przecież ty musisz go jakoś zachęcić, oczarować, zwabić do sypialni... Musisz mu pokazać, że to, czego szuka u tej ladacznicy, dostanie w domu, od ciebie!” – doradzała jej Adela.



Krystyna nie bardzo wyobrażała sobie siebie oferującą mężowi te same atrybuty co ulicznice. Co to zresztą było? Widywała te kobiety, roiło się od nich w Krakowie, a jeszcze bardziej w Warszawie, do której czasem jeździli, jak od pluskiew. Miały oczy mocno umalowane czarną kredką, czerwone usta i często także sukienki. Wyglądały brudno, krzykliwe i wyzywająco. Przechadzały się, bezwstydnie kołysząc biodrami, noga za nogą, a nawet posyłały przechodzącym panom całusy!

Było to, zdaniem Krystyny, ohydne. Uznała jednak za swój obowiązek odciągnąć Kazimierza od tej kobiety, siedliska zła i zgorzenia. Dla niego. Dla Iwona, żeby nie musiał wstydzić się za ojca podczas spacerów, tak jak ona wstydziła się za męża.

Łatwo postanowić, trudno zrobić. Krystyna nie chciała wypytywać więcej Adeli, a nie miała pojęcia, jak stać się bardziej kuszącą dla Kazika. Wiedziała jednak, że chodzi o jej ciało i o to, jak wygląda. Postanowiła więc tego dnia wybrać się do swojej gorseciarki.

Ubrała się szybko w granatową suknię z koronkowym kołnierzem i zielone palto. Nie chciała rzucać się w oczy. Wyszła z kamienicy, nasunęła na twarz woalkę z kapelusza ozdobionego bażancim piórkiem.

– Dzień dobry, panno Matylde – powitała gorseciarkę, u której zawsze zaopatrywała się w bieliznę.

– Pani profesorowo, dzień dobry! Czym mogę służyć? – Panna Matylde uśmiechnęła się usłużnie.

– Chciałabym, panno Matylde, obstałować gorset, halkę, ale.. inne niż zazwyczaj. Czy ma pani jakieś... czerwone atłasy i jedwabie? – zapytała półszepcetem, ledwo żywa z upokorzenia.

Panna Matylde była jednak osobą dyskretną i mającą wieloletnie doświadczenie w branży bieliźniarskiej. Nawet powieka jej nie drgnęła. Nie z takimi rzeczami do niej przychodzono...

– Oczywiście, pani profesorowo. Chodźmy zdjąć miarę i wybrać tkaniny, koronki – powiedziała spokojnym głosem i wskazała klientce drzwi prowadzące na zaplecze.

\*\*\*

Tydzień później chłopak na posyłki, zasmarkany rudzielec, przyniósł do mieszkania państwa Majewskich niewielkich rozmiarów paczuszkę przewiązaną zieloną wstążką. Krystyna wyrwała ją niemalże z rąk służącej i zabrała do sypialni jak jakiś cenny, acz wstydlivy skarb.

Ręce jej się trzęsły, gdy rozrywała papier. Czerwony jedwab prawie lśnił w blasku słońca padającym od strony okien. Przerazona profesorowa szybko z powrotem zakryła bieliznę papierem i włożyła na dno szafy.

Jednak dopiero trzy dni później profesor pojawił się w domu na noc. Była to niedziela, profesor od rana kichał, nie poszedł nawet do kościoła i – co dla niego nietypowe – nigdzie nie wybrał się wieczorem. Długo czytał gazety w salonie.

– Położę się wcześniej, jeśli nie masz nic przeciwko – powiedział do żony po kolacji i dwóch kieliszkach malinówki, które mu podała „na gardło”.

– Oczywiście, mój drogi. Zresztą i ja pójdę dziś chyba wcześniej spać – powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to trochę jak obietnica. Wyobrażała sobie, że tak mówią „te kobiety”. Postanowiła, że nie przejmie się rozczarowanym wyrazem twarzy męża.

Iwo spał. Dom był cichy. Paczuszka z zakazaną czerwoną zawartością czekała już w łazience schowana pod balią, koło pieca. Krystyna zakradła się tam z bijącym sercem w różowym peniuarze. Umyła twarz w zimnej wodzie. Nieco krzywo umalowała oczy. Nałożyła czerwoną pomadkę na usta i włożyła czerwony gorset i halkę, starając się nie patrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Złapała je jednak, zupełnie przypadkiem, i mało nie krzyknęła. Patrzyła na nią... ulicznica. Obca twarz pokryta mazidłami wcale nie wydawała się Krystynie bardziej pociągająca od jej własnej. Cóż się tym mężczyznom podoba, naprawdę... Czegóż się nie robi dla małżeństwa i ochrony świętej przysięgi.

Narzuciła na siebie peniuar i ruszyła w stronę sypialni, modląc się, żeby nie trafić na służącą idącą na przykład do dziecięcego pokoju, do Iwona.

Wpadła do sypialni, głośno zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, dysząc. Przymknęła oczy. Była cała spocona z nerwów.

Gdy rozwarła powieki, zobaczyła wbite w siebie osłupiałe spojrzenie męża. Z determinacją godną szarżującej husarii odkleiła się od drzwi i ruszyła sztywnym żołnierskim krokiem w stronę łóżka. Kazik sprawiał wrażenie przerażonego – podniósł do góry ręce uzbrojone w jakieś tomiszcze oprawione w zielone sukno.

„Czerwień!” – przypomniała sobie natomiast Krystyna i dramatycznym gestem zdarła z siebie peniuarek, aby ukazać się mężowi w całej czerwonej krasie.

Gdyby zdumienie mogło mieć twarz, byłaby to twarz Kazimierza Majewskiego w tamtym momencie. Profesor znalazł się w stanie psychicznego szoku i stuporu, który trwał dobre pół minuty. A potem zaczął się serdecznie śmiać. Książka spadła na podłogę, a profesor prawie turlał się po łóżku, zanosząc się chichotem.

Krystyna nie była pewna, czy taki efekt chciała osiągnąć. Ale zanim zdążyła się nad tym dobrze zastanowić, Kazik sięgnął po jej dłoń, szarpnął za nią i pociągnął żonę na łóżko.

Jaka zabawna była ta kobiecina! Dawno już nie poczuł do żony takiej sympatii i wdzięczności. Wyglądała paradnie, jak klaun albo małpa w cyrku balansująca na linie w kobiecych fatałaszkach i sznurach pereł. Z całą pewnością nie wyglądała jednak dobrze ani pociągająco, pewnie o to jej chodziło... Efekt zderzenia jej potencjalnych zamiarów z rzeczywistością prawie rozczulił Kazimierza Majewskiego. Z tego rozbawienia i fali czułości poczuł, że dostaje erekcji.

W sumie miał za co lubić żonę i jej dziękować. Była głupia, ale potulna, co ułatwiało mu życie i nie komplikowało jego związku z Adą. W ogóle zresztą ten związek, a także dostatnie życie profesora możliwe były w dużej mierze dzięki pieniądzom Wolfów. O tym wszystkim myślał profesor, gdy wchodził w swoją żonę, która leżała pod nim jak czerwona nieruchoma kłoda – nawet nie trudził się, żeby zdjąć z niej te ohydne fatałaszkę. Obrzydlistwo. Ada nigdy nie włożyłaby czegoś takiego. Jak tania dziwka, naprawdę.

Gdy Krystyna obudziła się w poniedziałkowy rano, męża już przy niej nie było, a poduszka była cała w plamach z tuszu i szminki.

Przez kolejne dwa tygodnie profesor pokazał się w domu ledwie kilka razy, żeby zmienić ubranie. Krystyna miała dostać krwawienia miesięcznego, ale nie dostała. Nie zaprzętała sobie tym głowy. Właściwie tego nawet nie zauważyła, bo właśnie dotarła do niej wieść, że kochanka męża mieszka naprzeciwko jej lokum, po drugiej stronie ulicy Świętego Jana.

Od razu ją rozpoznała. Przecież widywała ją wcześniej.

Wieczorami, gdy z okien gabinetu profesora patrzyło się na okna kamienicy naprzeciwko, piętro wyżej, czasem można było zobaczyć Kazimierza. Jak całował Adę w usta albo czesał jej długie rude włosy.

## Kraków, 1939

Gdy w późniejszych latach Krystyna próbowała sobie przypomnieć, kiedy właściwie skończyło się jej poukładane i jak sądziła, dość szczęśliwe jednak życie, doszła do wniosku, że w dniu, w którym zatrudniła Józefową. Nie, nie o to chodzi, że była to zła służąca. Przeciwnie. Czas pokazał, że była ona najlepszą pomocą domową, jaką można było sobie wymarzyć. A właściwie nawet kimś więcej. Powiernicą, konspiratorką i – jak sama o sobie mówiła – kucharką. Kucharką wybitną, należy dodać.

Pochodziła z biednej podkarpackiej rodziny i przyjechała do Krakowa wraz z kuzynką Krystyny, Joanną Wolf. Choć od początku mówiono na nią „Józefowa”, to właściwie powinno się ją nazywać „Józefówną”, gdyż to jej ojciec miał na imię Józef, a ona sama nigdy nie wyszła za mąż. Owszem, miała podobno starającego się, wyznaczono nawet datę ślubu. Jednak przez przypadek ten prostolinijny chłopak wygadał się, że on sam do żeniaczki nie jest przekonany, ale jego matka uważa, że Józefowa będzie wspaniałą żoną. Wyznanie kosztowało biedaka policzek i zerwanie zaręczyn, a sama Józefowa spakowała manatki i wybyła z rodzinnej miejscowości na służbę.

Najpierw zatrudniła ją wspomniana kuzynka. Czegóż ona jej nie naobiecywała! Miała mieć pensję w wysokości stu dwudziestu złotych (można było za to kupić ponad sto pięćdziesiąt kilogramów chleba, co dla kobiety, u której w domu się nigdy nie przelewało, było bogactwem), do tego oczywiście wikt i dach nad głową. Nic dziwnego, że Józefowa bez wahania przystała na tak hojną propozycję. Jednak już przy pierwszej wypłacie okazało się, że nie sto dwadzieścia, ale osiemdziesiąt pięć, bo chlebowodawczyni odliczyła sobie udział w czynszu i jedzeniu, a protesty nieszczęsnej służącej

skwitowała krótkim: „Nie zrozumiałaś mnie, droga Józefowo”. Dziewczyna tyrała więc jak wół za głodową pensję, spała w nieogrzewanej służbówce i jeszcze musiała znosić humory swojej pani. Nic dziwnego, że gdy pewnego dnia podsłuchiwała rozmowę Krystyny z Joanną, podczas której profesorowa skarżyła się na nieuczciwość Mani i jej złodziejskie zapędy, kiedy „dostawała przecież całe sto złotych pensji i pół dnia wychodnego w tygodniu!”, Józefowa, która przez blisko cztery lata nie miała nawet wolnej niedzieli, spakowała manatki i następnego dnia stanęła na progu mieszkania profesorostwa. Krystyna, która chwilę wcześniej przeprowadziła dwie zupełnie niesatysfakcjonujące rozmowy z kandydatkami na stanowisko służącej, uznała jej pojawienie się za palec boży i zatrudniła ją bez mrugnięcia okiem: dała wymarzoną pensję stu dwudziestu złotych oraz ogrzewany pokój.

– Mamy nową służącą – oświadczyła tego popołudnia mężowi.

– Drugą służącą? – zdumiał się profesor Majewski, a jego twarz przybrała wyraz dezaprobaty.

Wszakże tydzień po awanturze z mydłem Manię przywrócono do pracy, po tym jak szlochając, rzuciła się do stóp Krystynie prawie przed samym wejściem do kościoła Mariackiego. Dziewczyna obiecała poprawę, po chrześcijańsku należało jej więc wybaczyć.

Jednak w tym momencie do rozmowy włączyła się sama Józefowa.

– Nie służącą, ale kucharkę – oświadczyła. A potem uśmiechnęła się z wyższością człowieka, który wie o czymś, o czym reszta nie ma pojęcia, i dodała: – Będą państwo zadowoleni.

I rzeczywiście byli zadowoleni: zaraz następnego dnia Józefowa ugotowała im barszcz, jakiego nigdy wcześniej nie jedli.

– Józefowo – oświadczył zadowolony profesor – ten barszcz to dowód na istnienie Boga.

A Krystyna, która poczuła w sercu ukłucie zazdrości, szybko przetłumaczyła sobie, że zadowolenie męża warte jest tej drobnej nieprzyjemności.

Józefowa wprowadziła do ich domu zupełną zółwiową, rosół z kluseczkami wątrobianymi oraz uwielbianą przez Iwonę zupełną zimną, o smaku wanilii, z piankami zrobionymi z białek.

Chłopiec, który był chorowitym niejadkiem, przy Józefowej od razu zaczął nabierać ciała. Ale to nie wszystko. Kucharka miała także wybitny talent manualny, czemu dała dowód, haftując na wszystkich kuchennych ścierkach piękny inicjał profesorowej – K.M. Poza tym odświeżyła posagowe komplety pościeli Krystyny: wyszyła na nich wzorki równiutkim krakowskim haftem. Obmerezkowała też wszystkie lniane serwetki i zacerowała dziesięć par pończoch. A wszystko to w zaledwie trzy tygodnie od pojawienia się w domu profesorostwa.

– Ta kobieta to skarb – mówiła Krystyna przyciszonym głosem.

– A czemu tak szepczesz? – zdziwił się mąż.

– Żeby nikt nie usłyszał. Jeszcze ją nam podkupią.

Ale jej obawy były całkowicie zbędne. Jedną z wielu zalet Józefowej była niebywała wprost lojalność wobec nowych chlebodawców. A zwłaszcza wobec Krystyny. Starła się jej dogadzać na wszystkie możliwe sposoby. A to piekła jagodzianki, a to kaczkę, za którą profesorowa szczególnie przepadała. Potem w napięciu obserwowała, jak pani je, wyczekując pochwały. Można więc sobie wyobrazić jej zgrozę i zdumienie, gdy pewnego dnia po zjedzeniu zaledwie dwóch kęsów omletu profesorowa pozieleniała na twarzy, złapała się za usta i w te pędy pognęła do ubikacji, skąd już po chwili dobiegły Józefową dźwięki jednoznacznie wskazujące na to, że jej ukochana pani ma torsję.

– Mój Boże – jęknęła nieszczęsna kobieta. – Co się stało?! Czyżbym dała nieświeże jajko do omletu? Ale przecież to niemożliwe! Kupiłam na Kleparzu od zaprzyjaźnionego sprzedawcy!

Niedyspozycja Krystyny trwała zadziwiająco długo. Właściwie przeciągnęła się na kilka najbliższych tygodni. Wkrótce jednak stało się jasne, że to nie zatrucie pokarmowe, ale coś zgoła innego, a przypuszczenia sformułowane pewnego dnia przez Józefową zostały potwierdzone przez specjalistę od kobiecych spraw, doktora Celemenckiego.

– Jestem w stanie błogosławionym – powiedziała tego dnia po kolacji mężowi, zaciskając palce w napięciu.

Od sławetnego wieczoru, kiedy to udało jej się go uwieść za pomocą – jak sądziła – szytego na miarę gorsetu, nie doszło między

nimi do ponownego zbliżenia. Co gorsza, Kazimierz zdawał się od niej oddalać coraz bardziej i pierwotne obawy i podejrzenia przerodziły się w niezbitą pewność. Mąż nie tylko miał romans, lecz także się zakochał. Krystyna miała nadzieję, że ciąża, która była owocem tego jednorazowego zrywu, wzmocni nadwątlone więzi małżeńskie i pełna napięcia oczekiwała na reakcję męża.

– To prawdopodobnie syn – powiedziała dla większego efektu.

Oczywiście nie miała pojęcia, czy to syn, czy córka, ale postanowiła zablefować. W końcu miała pięćdziesiąt procent szans, że trafi. Profesor nie był zdziwiony. Wszak naboje miał dobre, strzelał rzadko, ale celnie. Ale zachwycony również nie był.

– I cóż my z tym poczniemy, moja biedna Bubo? – westchnął ciężko i poluzował krawat. – Cóż my z tym poczniemy?

Profesorowa najwyraźniej źle zrozumiała jego uwagę i gwałtownie poczerwieniała.

– Kazimierzu! – wykrzyknęła. – Chyba nie masz zamiaru namawiać mnie, bym... bym... – Słowa „spędziła ciążę” nie chciały jej przejść przez gardło.

Jednak profesor skrzywił się i machnął ręką.

– Nonsens – powiedział – jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, nie będziemy się posuwać do takich... barbarzyńskich aktów.

Krystyna klapnęła ciężko na krzesło. Nagle poczuła się potwornie zmęczona i smutna. Wszystko, co wydawało jej się pewnikiem: jej małżeństwo, pozycja społeczna, pewna namiastka stabilnego szczęścia, stało się nagle czymś w rodzaju statku, który odpływa z portu, podczas gdy ona stoi na brzegu i już nie może dostać się na pokład. Jeszcze to wszystko jest blisko, ale już należy do przeszłości. Zacisnęła pięści. Nie, nie podda się bez walki. Zebrała siły i wstała z krzesła. W końcu jest Krystyną Wolfówną, córką właściciela fabryki, osobą ustosunkowaną. Kazimierz nie będzie podejmował pochopnych decyzji. Ta świadomość przywróciła jej siły i utraconą równowagę i przez kolejne dni profesorowa starała się postępować tak, jakby nic się nie stało. Wysłała Józefową do kina Apollo po bilety na Trzy serca Michała Waszyńskiego, którego Znachor tak się profesorowi w swoim czasie podobał. Film znudził ją okropnie – opowiadał o tym, że w majątku rodzi się jednocześnie dwóch



chłopców: pierwszy jest synem hrabiny, drugi – żony lokaja. Ta ostatnia zamienia chłopców w łóžeczkach, żeby jej dziecko miało lepszy los.

Po wyjściu z kina Kazimierz śmiał się serdecznie i stwierdził, że ludzie to już wymyślają tak nieprawdopodobne historie, że w głowie się nie mieści. Chichotała wesoło razem z nim, starając się nie widzieć dziwnych spojrzeń, jakie rzucali jej sąsiedzi.

Jednak parę tygodni później bomba wybuchła i stało się to za sprawą Józefowej. Biedaczka, chorobliwie lojalna, musiała jednak zdecydować, po czyjej stronie: pani czy też pana. Wreszcie kobieca solidarność zwyciężyła. Pewnego popołudnia po prostu wparowała do pokoju Krystyny i usiadła przy jej biurku. Profesorowa spojrzała na nią zdziwiona. Lubiła tę kobietę bardziej niż wszystkie poprzednie służące, a jednak to wtargnięcie wydało jej się naruszeniem obowiązujących zasad.

– Józefowo... – zaczęła surowo, ale Józefowa machnęła tylko ręką.

– Pani przez chwilę nic nie mówi i tylko mnie słucha.

Zszokowana Krystyna zamilkła.

– Ja tutaj starałam się przemykać na pewne sprawy oko, choć Bóg mi świadkiem, że to się nie godzi w chrześcijańskim domu dopuszczać się takich bezceństw. Ale teraz granice zostały przekroczone.

Twarz Krystyny pokryła się szkarłatem. Zrozumiała, że nie da się uniknąć katastrofy.

– Co... co się stało? – zapytała łamiącym się głosem.

– Że pan ma kochankę, a pani na to ślepa, mogłam zrozumieć. Z niejednego chleba piec jadłam. Że ją umieścił w domu naprzeciwko, to już mi było trudniej zdzierżyć. Ale teraz ta... ta upadła kobieta, ta złodziejka cudzych mężów urodziła dziecko!

– Jak to: dziecko?! – krzyknęła Krystyna. – To niemożliwe, nieprawda!

A potem rzuciła się na poduszki i zaczęła szlochać tak histerycznie, że biedna Józefowa obawiała się, czy taki wybuch nie zaszkodzi jej własnemu małeństwu.

– No już, już... – szeptała, przytulając trzęsącą się Krystynę. – Będzie dobrze, ułoży się. Pan Bóg pisze prosto po krzywych liniach, zobaczy pani... No już. Proszę się uspokoić!

Ale Krystyna uspokoić się już nie mogła. Zaległa w łóżku na najbliższe tygodnie, tak że trzeba było zatrudnić dodatkową służącą. Mania dostała natomiast nowe ważne zadanie: miała raportować Józefowej wszystko, co opowiadają okoliczne przekupki i praczki na temat matki dziecka profesora Majewskiego. Józefowa postanowiła twarzo, że uchroni swoją chlebodawczynię przed kolejnymi takimi fatalnymi niespodziankami, będzie ją powolutku przygotowywać do tego, co niesie los – paniusia, słabej natury, nie jest w stanie samotnie mierzyć się ze światem. A w ogóle to Józefowa wszystko tu w tym domu naprawi, co na głowie stoi. Tak.

\*\*\*

Między małżonkami Majewskimi sprawa dziecka Ady nie została otwarcie poruszona, jednak trudno było Krystynie udawać, że nic się nie stało. Mania raportowała – a to, że profesor kupił w sklepie bławatnym bardzo drogi perkalik w króliki, a to, że zamówił w kwiaciarni bukiet róż, a to, że oglądał damskie pantofle... Krystyna odchodziła od zmysłów. Prawdopodobnie ze stresu pojawiły jej się na twarzy brzydkie wypryski, których ani myślała tuszować pudrem. Ta dopracowana, elegancka kobieta chodziła po domu z włosami w nieładzie, w poplamionej podomce, która nie domykała się na coraz pokaźniejszym brzuchu. W dodatku pewnego dnia, gdy wybierała się z wizytą kontrolną do doktora Celemenckiego, zobaczyła nadjeżdżający tramwaj i wbrew własnym zasadom („dama nie biega”) i błogosławionemu stanowi postanowiła podbiec. Zrobiła kilka szybkich kroczków i zatrzymała się gwałtownie. Poczuła w pachwinie ból tak piekący, że nie dała rady zrobić ani kroku i trzeba jej było wołać dorożkę.

– No, pani profesorowo! – Celemencki załamał ręce. – Jak to tak można! To, że siebie pani nie szanuje, to, proszę wybaczyć, pani problem. Ale że naraża pani dziecko... Kobieta przy nadziei

powinna leżeć i, że tak powiem, pachnieć. Na łabędzim puchu! A nie uprawiać lekkoatletykę. Naderwała pani więzadło, teraz chodzić pani będzie o wiele trudniej.

Faktycznie, było trudniej. Ból powracał przy każdym kroku i biedna profesorowa Majewska zaczęła utykać jak kaczka. Nie, na pewno nie wyglądała atrakcyjnie – ze spuchniętymi nogami, twarzą obsypaną wypryskami i kulejąca. Tego samego zdania musiał być profesor, bo któregoś dnia, mając zupełnie za nic jej uczucia, wypalił przy kolacji:

– Ależ ty, moja Bubo, fatalnie wyglądasz! Nie powinnaś się w tym stanie w ogóle pokazywać ludziom!

Profesorowa popatrzyła na niego twardo.

– Od szpetoty fizycznej gorsza jest szpetota moralna, drogi Kazimierzu. Doprawdy nie wiem, kto z nas dwojga szpetniejszy.

A potem wstała od stołu i udała się do swojego pokoju. Wyciągnęła z szuflady sekretarzyka elegancki florencki papier i nakreśliła parę zdań. Poprosiła Józefową, żeby posłała Manię na pocztę. A potem zamknęła się w łazience i przez pół godziny starannie nakładała puder na twarz. Efekt był rozpaczliwy. Wyglądała, jakby nałożyła maskę.

– Pani Krystyno, to minie – powiedziała Józefowa, przyglądając się, jak zmywa bladą skorupkę z oblicza. – Wedle mnie urodzi pani córkę. Ona teraz zabiera pani urodę.

– Jak to: córkę? Syna urodzę – mruknęła profesorowa.

– Ma pani już jednego, więc w razie czego spadkobierca nazwiska jest. A dla matki tak naprawdę liczy się córka.

– A skąd Józefowa o tym wie, skoro nie ma takich doświadczeń? – zapytała zdziwiona.

Kucharka popatrzyła na nią z urazą. Jakaż ta profesorowa potrafiła być niedelikatna.

Widocznie miała te myśli wypisane na twarzy, bo Krystyna się stropiła.

– Jestem pewna, że to będzie drugi chłopiec, serce matki mi podpowiada!

– Jak tam pani uważa, ja wiem swoje – ucięła temat Józefowa i wróciła do kuchennych zajęć.

Tymczasem list, który wysłała Mania, powędrował do niedalekiej Lanckorony, wywarł stosowny efekt i sprowokował panią Wolfową do złożenia wizyty córce. Oj, nie lubiła tego, z całego serca. Najchętniej nie opuszczałaby swojej posiadłości, jednak słowa skreślone dobrze znanym pismem bardzo ją zdenerwowały.

– No coś ty, Krystynko, znowu wymyśliła? – Matka ucałowała szybko brzemienną córkę, a potem kazała sobie podać herbatę i nalewkę (za nalewkami wprost przepadała) i rozsiadła się w fotelu.

– Niczego nie wymyśliłam! To on, Kazimierz, wymyślił rudą lafiryndę, tę... córę Koryntu! – W obecności matki córka nie przebierała w słowach.

– A fe, dobrze wychowana panienka nie używa takich wyrazów. – Pani Wolfowa zganiła ją, jakby była nastolatką, a nie żoną profesora matematyki.

– A jak mam nazwać kogoś, kto kradnie cudzych mężów?

– Na twoim miejscu, droga córko – wdowa po fabrykancie zniżyła głos – w ogóle bym jej nie nazywała. Po prostu udawałabym, że jej nie ma, nie istnieje, nie ma i nigdy jej nie było.

– Dobrze sobie! Ona urodziła mu dziecko!

– No i co z tego? To jej kłopot, nie twój. Czy on dał jej swoje nazwisko?

– Z tego, co wiem, nie – powiedziała Krystyna.

– Zatem na razie nie ma problemu. Rzeczy nienazwanych nie trzeba brać pod uwagę, jak lubił powtarzać mój świętej pamięci papa. Czy możesz mi nalać jeszcze tej nalewki? – Przesunęła w jej stronę kieliszek.

– A nie może mama sobie sama nalać? – Bezdyskusyjnie „Krystynka” nie była tego dnia grzeczna.

– Nie wypada nalewać sobie samemu! – oświadczyła jej matka i stuknęła paznokciem w blat stołu.

– Myślę, mamo, że powinnam się rozwieść – powiedziała Krystyna, gdy już uczyniła zadość prośbie matki.

– Chyba cię, dziecko, Pan Bóg opuścił! – obruszyła się Wolfowa. – Niby dlaczego chcesz się rozwodzić?

– Bo... bo nasze małżeństwo to fikcja! W dodatku gorsząca. On mnie nie kocha, prowadzi się z rudą wywłoką, w dodatku ma z nią

dziecko. Wszyscy o tym wiedzą, wszyscy wytykają mnie palcami. Nie umiem tak dłużej żyć!

Maria Wolfowa milczała przez moment, a potem popatrzyła na córkę tak gniewnie, że Krystyna poczuła się nieswojo.

– Ani mi się waż, słyszysz?! – powiedziała, cedząc słowa. – Nie rozwiedziesz się!

– A to niby czemu? – Krystyna próbowała odzyskać spokojny i pewny ton.

– A to temu, że w naszej rodzinie nigdy nie było rozwodów, to raz. Jak ja się będę tłumaczyć ciotkom, jeśli zrobisz coś tak głupiego?! Co ja im powiem: że moja córka jest rozwódką?! Nie, moja kochana, wolałabym, żebyś umarła, niż pohańbiła naszą rodzinę.

Krystyna utkwiała ponury wzrok we wyfroterowanej podłodze. Czuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem.

– Poza tym weź pod uwagę, moje dziecko, że status kobiety zamężnej jest o wiele wyższy niż kobiety rozwiedzionej.

– Nawet zdradzanej i odrzuconej przez męża kobiety zamężnej? – zapytała.

– Nawet zdradzanej i odrzuconej przez męża – przytaknęła Wolfowa.

– Nie wiem, czy będę umiała tak żyć – wyszeptała po dłuższym milczeniu.

– Ależ będziesz umiała, nic prostszego. – Matka się rozpromieniła. – Ja umiałam, to i ty sobie poradzisz.

– Właśnie tego nie chciałam! – Krystyna podniosła głos. – Nie chciałam żyć tak jak ty! Przy boku mężczyzny, który de facto jest obcym człowiekiem. Który nie liczy się z moimi uczuciami i jawnie szydzi sobie z przysięgi małżeńskiej.

– Nie unosź się, moja droga, bo to szkodzi dziecku – przerwała jej matka. – Teraz przede wszystkim musisz myśleć o dziecku i jego przyszłości. A zapewniam cię, że przyszłość u boku rozwiedzionej matki będzie wielokrotnie gorsza niż wzrastanie w rodzinie, która... powiedzmy, ma pewne defekty, ale za to jest pełna. Uszy do góry, moja droga. Okaż dumę, jesteś w końcu córką Leopolda Wolfa!

Józefowa podała akurat obiad (pieczone polędwiczki z sosie z zielonym pieprzem z purée z groszku cukrowego, do tego mizeria i kalafior z przysmażoną bułeczką). Pani Wolfowa doceniła umiejętności kucharki. Przy deserze humor poprawił jej się już całkiem, zwłaszcza że poczciwa kucharka po raz trzeci napełniła jej kieliszek likierem chartreuse. Alkohol uczynił jej mowę jeszcze bardziej swobodną i szczerą.

– Muszę ci powiedzieć, drogie dziecko, że nie będziesz jedyną kobietą w naszej rodzinie, która musi znosić z godnością mężowskie kaprysy.

Krystyna popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Twoja babka – ciągnęła pani Maria – nie dość, że urodziła troje dzieci, to jeszcze musiała samodzielnie zarządzać majątkiem. A uwierz mi, opiekowanie się kilkoma folwarkami to nie jest bułka z masłem. Tymczasem jej mąż od jesieni do wiosny balował w Monte Carlo. I bywało tak, że cieszyła się, że na ten przykład pięknie zboże obrodziło, na co jej rządca mówił: „Nie ma co się cieszyć, jasnie pan na pniu wszystko sprzedał Żydom”. „A gdzie pieniądze?”, pytała zrozpaczona babka, na co słyszała, że poszły na rien ne va plus, czyli zostały przepuszczone w kasynie. I co? I nic! Trwała przy dziadku, na dobre i złe, do końca.

– Jej czy jego? – spytała ponuro Krystyna, a Maria udała, że tego nie słyszy.

– Ja też nie miałam z twoim ojcem lekkiego życia – oświadczyła przy czwartym kieliszku wdowa po fabrykancie. – O nie. Najpierw całymi latami obściskował po kątach wszystkie służące: żadnej nie przepuścił, nawet bezzębnym i zezowatym. A muszę ci powiedzieć, że specjalnie zatrudniałam co bardziej nieurodliwe, żeby go nie kusiło. Niestety, nic mu nie przeszkadzało. Potem wybierał się do domów publicznych: w naszej bogobojnej okolicy takiego nie było, ale przecież on jeździł po całej Europie z interesami. No i za którymś razem przywiózł z takiej podróży paskudną chorobę.

– Nigdy nie miałaś pokusy, żeby go zostawić? – zapytała Krystyna.

– A i owszem! Moja matka, a twoja babka, nawet była za tym. Pewnie po niej masz to niepraktyczne podejście do życia. Jednak

osobą, która odwiodła mnie od tej myśli, był nie kto inny jak teściowa, matka Leopolda. To od niej usłyszałam mądre zdanie, które przekazałam dziś tobie i powtórzę po raz kolejny: pozycja kobiety rozwiedzionej zawsze będzie niższa od pozycji mężatki, choćby i zdradzanej. Wyryj sobie to zdanie w sercu i wracaj do niego za każdym razem, gdy strzeli ci do głowy rozwieść się z mężem. Amen.

Dokładnie wtedy, gdy skończyła swoją tyradę, do salonu wszedł profesor Majewski. Na widok Wolfowej skłonił się i ucałował dłonie „ukochanej teściowej”, a ona skreśliła mu na czole znak krzyża, symbol matczynego błogosławieństwa.

\*\*\*

– Och! – jęknęła przeciągle Krystyna.

Usiłowała znaleźć jakąś pozycję, w której nie byłoby jej tak gorąco i aż nie do zniesienia niewygodnie. Ale w każdej brzuch, teraz już naprawdę ogromny, ciążył jak młyńskie koło. „Będzie chłop na schwał!” – chichotał doktor Celemencki i obleśnie gładził ją po tym ogromnym, napeężonym brzuchu, na którym napięta skóra zdawała się wprost pękać.

Zgodnie z wyliczeniami Celemenckiego do porodu został jeszcze miesiąc.

– Józefowo! Józefowo! – jęknęła Krystyna w ciszę i półmrok mieszkania.

Była druga połowa czerwca, upalnie, wszystkie ciężkie zasłony w mieszkaniu zaciągnięto, żeby pani domu nie raził blask słońca bijący od okien. W sypialni było więc nie tylko gorąco, lecz także duszno.

A Krystynie tak się chciało truskawek!

– Józefowo! Czy mnie Józefowa słyszy?! Niech Józefowa tu przyjdzie! – ryknęła tym razem profesorowa Majewska i to odniosło jakiś skutek: dało się słyszeć daleki hałas, tupot ciężkich stóp i po chwili do pokoju wpadła przysadzista kucharka, wycierając dłonie pokryte czerwoną spękaną skórą w fartuch.

Z pewnym obrzydzeniem profesorowa zauważyła, że na fartuchu widać ślady krwi. Ach tak, kucharka coś rano mówiła o gęsi na wieczór. Na samą myśl o gęsi Krystynie zrobiło się niedobrze. Próbowała stłumić odruch wymiotny, ale jej się nie udało, w ostatniej chwili przechyliła się przez krawędź łóżka i zwymiotowała.

– Ooch... – jęknęła znów, tym razem słabiej.

– Może po doktora posłać? Po profesora pobiec, byłby zaraz przecież! – Józefowa załamała ręce. – Przyślę Mańkę, żeby u pani posprzątała. Mańkaaaa! – wrzasnęła w czeluść mieszkania.

Krystynie mało głowa nie pękła. Ból oderwał ją jednak od myśli o tym, że Józefowa musi świetnie wiedzieć, gdzie przebywa jej mąż, skoro spodziewa się, że byłby w domu „zaraz”. Krystyna nie była jednak tego taka pewna.

Tak, kochanka męża, „ta” kobieta – nadal nie znała jej imienia – znów okazała się od niej lepsza. Wyprzedziła ją nie tylko w wyścigu po serce profesora Majewskiego. Podobno urodziła śliczną i zdrową dziewczynkę. Krystyna nadal nie mogła w to uwierzyć. Dlaczego dobry Bóg miałby wkładać jej na grzbiet aż taki ciężar? Przecież niepodobna, żeby go unieść!

Szybko jednak przekonała się, że owszem, da się żyć dalej nawet z tak straszną świadomością. Byłoby jednak znacznie lżej, gdyby Kazimierz swoją osobą częściowo zrekompensował małżonce tę hańbę. Krystyna była boleśnie świadoma tego, że stała się pośmiewiskiem całego Krakowa, dokładnie tak jak mówiła kiedyś Mańka.

Kochanka, w kamienicy naprzeciwno! Kochanka, brzemienna w tym samym czasie co żona! Kochanka, która pierwsza rodzi!

To, że bękart okazał się dziewczynką, początkowo ucieszyło Krystynę. Wiedziała, że jej mąż skrycie gardzi kobietami. Sądziła, że rozczarowany płcią dziecka zacznie więcej czasu spędzać w domu ze swoim pierworodnym synem. Stało się jednak coś niesamowitego: Kazimierz zaczął się zachowywać tak, jakby... stracił rozum.

Dwa tygodnie po tym, jak ta wywłoka urodziła – a stało się to miesiąc temu – Krystyna zobaczyła męża spacerującego po Rynku ni mniej, ni więcej, tylko z wiklinowym dziecięcym wózekkiem. Była



oburzona, wstrząśnięta, zszokowana! Wszyscy, absolutnie wszyscy przechodnie oglądali się za jej mężem, jakby był jakimś rzadkim widowiskiem. I był. Mężczyźni, zwłaszcza tak dobrze ustosunkowani jak Kazimierz, nie robili takich rzeczy. Nie spacerowali z dzieckiem w wózku, nie nachylali się nad gondolą z rozanieloną miną, jakby w środku znajdował się skarb zakonu templariuszy. Krystyna widziała dokładnie każdy grymas na mężowskiej twarzy, ponieważ zaraz na początku tego żenującego przedstawienia sięgnęła do szuflady po lornion.

Od tamtego dnia nie było jednak wątpliwości: Kazimierz zamierzał afiszować się tym bękartem, afiszować się z tą ladacznicą. Krystyna miała wrażenie, że robi to specjalnie, żeby przysporzyć jej cierpienia, żeby ją publicznie poniżyć. Ale... dlaczego? Czyż nie starała się być dobrą żoną? Czyż nie stworzyła mu domu na poziomie? Przecież dała mu syna, a teraz nosiła drugiego! Czegóż jeszcze mógł od niej oczekiwać?

Wszystko to przebiegło jej przez myśl, gdy Józefowa powiedziała, że pan profesor może „zaraz” przyjść. No pewnie. Ileż czasu zabierze mu zejście po schodach, przejście przez ulicę i wdrapanie się na reprezentacyjne pierwsze piętro, na którym mieszkali?

Na szczęście dla Krystyny ból wymazał te rozważania, jak gąbka ściera z tablicy nakreślone kredą skomplikowane równania.

– Józefowo, nie trzeba nic. Tylko... truskawek. Wie Józefowa których? – westchnęła Krystyna, gdy tymczasem Mańka skrupulatnie ścierała z dębowej podłogi rzygowiny.

– Murzynka? To się pani profesorowej zachciewa, no, no... Murzynki się zachciewa. – Kucharka patrzyła na Krystynę podejrzliwie. – Mańka, a nie kupiłaś dziś na rynku truskawek?

– A bo Józefowa kazała? – odpysknęła posługaczka i posłała Krystynie złe, mściwe spojrzenie.

No tak, wciąż miała pani za złe, że ta zbeształa ją za kradzież mydła. Mydło się potem odnalazło, a służąca od tamtej pory patrzyła na panią domu wilkiem. Teraz pewnie się cieszyła, że w całym domu, w całej kamienicy nie ma tej jednej, jedynej rzeczy, która mogłaby Krystynie przynieść ulgę: truskawek odmiany murzynka, malutkich, słodkich i w środku czerwonych jak... jak ten

nieszczęsny gorset i halka, które profesorowa Majewska obstałowała, żeby jej mąż zapomniał o wdziękach rudej ulicznicy. No i na jedną noc chyba faktycznie zapomniał, a owoc tego zapomnienia Krystyna musiała dziś dźwigać, codziennie cięższy, bardziej ruchliwy i niespokojny, jakby w jej brzuchu zamieszkał wielki niesforny kocur.

– Ano nie kazałam – zgodziła się łaskawie Józefowa. – Nie mamy, pani profesorowo, truskawek – dodała głośniejszym i wyraźniejszym głosem, jakby pani domu była upośledzona na umyśle i nie mogła sama tego wywnioskować z krótkiej konwersacji toczącej się przy łóżku.

– A gdzie... gdzie można je kupić? – zapytała Krystyna słabym głosem. Była zdeterminowana, żeby jednak zjeść dzisiaj truskawki. Lub umrzeć. Lecz jeśli miała żyć, truskawki były niezbędne.

Józefowa i Mańka wybałuszyły na nią oczy, jakby spadła z dachu. Kupić? Jak profesorowa miałaby coś kupić, sama?

– Na Kleparzu... No ale pani tam przecież iść nie może w tym stanie! – obruszyła się kucharka.

– Józefowa nie będzie mi mówiła, co mogę, a czego nie! – zirytowała się Krystyna.

Truskawki, musi kupić truskawki. Ciemne i soczyste, aromatyczne, takie, po których czerwony lepki sok spływa po brodzie, a słodkie są tak bardzo, że nawet nie trzeba posypywać ich cukrem.

– No to już jak pani profesorowa uważa. Mańka może iść z panią, koszyk poniesie. Mańka? – Kucharka dźgnęła służącą kułakiem pod zebro, ta jednak posłała Krystynie spojrzenie tak mordercze, że dla wszystkich obecnych było jasne, że wspólna wyprawa po truskawki nie wchodzi w grę.

– Nie trzeba – powiedziała Krystyna władcym tonem. Przynajmniej miała nadzieję, że tak to zabrzmiało. – Pójdę na spacer, odetchnę świeżym powietrzem. Ten młody doktor z Warszawy, Kalicki, uważa, że to dobre dla zdrowia. Oczywiście bez przesady.

Kucharka i służąca oddaliły się, nieprzekonane do obrazoburczych idei młodego doktora z Warszawy. Natomiast Krystyna z trudnością włożyła białą lnianą suknię zdobioną haftami richelieu,

z obniżonym stanem. Wzięła też cienką koronkową chustę, żeby wystający brzuch stał się jak najmniej widoczny. Pokazywanie się w zaawansowanej ciąży nie należało do dobrego tonu.

Na Plantach było gwarno, za to zaskakująco chłodno, o wiele chłodniej niż na Rynku. Krystyna szła powoli w stronę Basztowej, wdychając głęboko świeże powietrze, pachnące już lipami. Zaczęły kwitnąć wyjątkowo wcześnie. Podobno górale mówili, że szykuje się gorące, suche lato. Niektórzy szeptali, że szykuje się coś jeszcze: wojna. Ale Krystyna nie zaprzętała sobie tym głowy, kierowała się opinią męża, który mówił: „Wojna? Hitler musiałby być szalony! Przecież nie ma szans wygrać z polskim wojskiem! Połamię sobie na nas zęby, jak wszyscy Teutoni. Nie, to bzdura, nie wypowie nam wojny!”.

Prawie godzinę zajęło jej dojście na Stary Kleparz, często przysiadła na ławeczkach. Dziwnie się czuła. Była podenerwowana, a jednocześnie miała wrażenie, że jej zmysły uległy wyostreniu. Ach, jak smakować będą jej truskawki!

Stary Kleparz otworzył się przed nią jak paszcza wieloryba przed Jonaszem. Krystyna widywała to miejsce głównie z dorożki. Jeszcze nigdy nic sama tu nie kupowała i czuła się tym mile podekscytowana. Zdziwiło ją, że ogromny plac, zamknięty z jednej strony przez monumentalny gmach Dyrekcji Polskich Kolei Państwowych, jest cały zawałony wozami. Niewyprzęgnięte konie stały łeb w łeb jeden obok drugiego. Towary podawano klientom wprost z wozów: chleby, sery, suszone kiełbasy, cebule, małe główki kapusty i oczywiście koszyczki pełne truskawek.

Krystyna mijała właśnie okazałych rozmiarów hałdę z drewnianych balii i skopków, grabie leżały w stosach jak gałęzie jesienią, piętrzyły się Himalaje z krzeseł w rozmaitych rozmiarach, odcieniach. Jeszcze tylko zakręcić za baliami, zanurzyć się w morze furmanek, znaleźć truskawki i ukoić nieznośne pragnienie.

Krystyna minęła balie, wyszła na prostą i... prawie wpadła na inną kobietę. Spojrzała na nią i zmartwiała. Kobieta była ubrana w elegancką letnią suknię z cienkiego jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Ten kolor doskonale podkreślał rudość jej włosów, nie włożyła nawet na nie kapelusza! Nie mogło być najmniejszej

wątpliwości co do tożsamości kobiety. Krystyna rozpoznałaby te włosy, miedziany błysk, delikatny skręt, nawet w piekle.

Ta chwila trwała, ale przerwał ją chichot dobiegający z prawa, z lewa. Krystynie zdawało się, że cały Kleparz chichocze, tarza się ze śmiechu. W rzeczywistości zachichotały dwie kucharki, akurat pracowały w tej samej kamienicy, w której mieszkał profesor Majewski z rodziną, więc doskonale znały szczegóły skandalu z kochanką i bękartem. Nie mogły doczekać się ciągu dalszego.

Ruda kobieta stanęła jakby stropiona czy zawstydzona. Rozejrzała się na boki. Krystynie przyszło do głowy, że chciała czmychnąć. I nagle zalała ją fala potwornej złości. Poczuła, że rośnie w niej gniew, agresja, jakiej jeszcze nie знаła. Na domiar złego odezwał się skurcz, długi i bolesny.

– A więc nie ma pani tyle odwagi, aby spojrzeć mi w oczy. Była pani jednak wystarczająco bezczelna, aby omamić i uwieść mego męża – powiedziała donośnym głosem. Chcą słuchać? Niech słyszą. Chcą przedstawienia? Proszę bardzo!

– To chyba jest całkiem niepotrzebne, pani profesorowo – szepnęła ruda i zrobiła krok naprzód, jakby chciała wyminąć Krystynę.

Ta jednak poczuła, że rośnie w niej jakaś nadnaturalna siła. Chwyciła rudą za łokieć i mocno przytrzymała. Zacisnęła palce na jej skórze, bo akurat poczuła kolejny, potężny skurcz.

– Ty wywłoko! Odczep się od mojego męża, rozumiesz?! – syknęła. Sama się zdziwiła, skąd u niej to słownictwo: nie używała nigdy wulgaryzmów.

Znów rozległ się podniecony chichot.

– Niech mnie pani puści! Niech pani przestanie! – krzyknęła ruda z przerażeniem.

– Policja! Łapać ją! To prostytutka! – rozdarła się Krystyna, bo w oddali zobaczyła sylwetkę w charakterystycznym granatowym mundurze.

Ruda była teraz biała jak śnieg, bezskutecznie usiłowała się wyzwolić z nader krzepkiego uścisku Krystyny. Ale wbrew temu, czego spodziewała się Krystyna, nie obrzuciła jej w odpowiedzi stekiem obelg, w ogóle wyglądała tak, jakby nie umiała albo nie

chciała się bronić. Wokół zrobiło się już niezłe zbiegowisko, policjanta dzieliło od nich tylko jakieś dwadzieścia kroków.

I wtedy Krystyna poczuła, że jej ciało rozpada się na dwie części, jakby przez sam jego środek ruszył wolno, bardzo wolno artyleryjski pocisk. Upadła na kolana, w kurz i pył targowiska, ciągnąc za sobą rywalkę. Z głębi tłumu dało się słyszeć okrzyki: „Jezus Maria!” i „Biją się!”. Krystynie ani w głowie była jednak teraz bijatyka: trzymała się za brzuch, jęcząc.

– Pani profesorowo! Dorożkę! Ona rodzi! – krzyknęła ruda.

Ale wokół nie było żadnych dorożek.

– Dawajcie, furą! No, podjeżdżać mi tu! – włączył się policjant, kiwnął dłonią na najbliższego woźnicę przysypiającego na koźle.

Chłop się przestraszył, ale złapał lejce, zaciął wychudłą szkapinę batem i podjechał do tłumku gapiów.

– Proszę mi pomóc. – Ruda podparła Krystynę, ta uchwyciła ją konwulsyjnie za szyję.

Bolało tak bardzo, że wszelka złość na rudą profesorowej Majewskiej przeszła. Teraz czuła już tylko straszliwą palącą nienawiść. Do swojego męża. Do tego łajdaka, który zrobił jej brzuch, zrobił brzuch tamtej i używał sobie życia. „Przysięgam, zabiję go!” – pomyślała Krystyna i krzyknęła rozdzierająco, akurat ładowano ją na furę między pojedyncze główki niesprzedanej kapusty. „I nawet tu nie ma truskawek!” – przebiegło jej z pewnym zalem przez głowę, zanim ruszyli.

Ruda wciąż trzymała ją za rękę.

\*\*\*

Nie była ładna. No i była rozczarowaniem. Krystyna planowała, że nazwie synka Bruno, dla dziewczynki nie miała przygotowanego imienia i nie chciało jej się nad nim myśleć. Poród odbył się w domu i trwał prawie dobę. Krystyna czasem zasypiała na minutę lub dwie z wysiłku i budziła się znów w potwornym bólu. Widziała, że sytuacja jest poważna: nawet doktor Celemencki wyglądał na

zaniepokojonego i w pewnej chwili mruknął, że może trzeba rozważyć cesarskie cięcie.

Dziecko jednak się urodziło i natychmiast zaczęło rozpaczliwie wyc. Krystyna odwróciła się do ściany. Zdążyła jeszcze tylko usłyszeć ciche mruknięcie położnej: „A tamta taka śliczna, taka ładniusia, dziw, że to siostry”, zanim osunęła się w czerni bez żadnych na szczęście snów.

Kazimierz nie pojawił się ani w trakcie porodu, ani w ciągu tygodnia po narodzinach córki. „Pewnie mu donieśli, że to dziewczynka. I brzydka...”. Krystyna się prawie rozpłakała. „Przestań się nad sobą uzalać! Kobieta musi nieść swój krzyż. I imię jakieś małej trzeba dać, kucharka nazywa ją Matyldzią, chyba nie chcesz, żeby twoja córka nosiła imię jak praczka!” – upomniała ją matka, gdy przyszła z wizytą, zobaczyć swoją wnuczkę. Nawet ona nie mogła się zmusić, żeby postać nad kołyską dłużej niż minutę. Dziewczynka była naprawdę brzydka, czerwona, pomarszczona i miała na dodatek nieładnie wydłużoną główkę (doktor Celemencki użył w trakcie porodu kleszczy). Ale najgorsze, że na każdego patrzyła ze złością i pretensją.

Jakby wiedziała, że nie jest chciana i że ktoś, w domu naprzeciwno, zajął jej miejsce. Ukochanej córeczki profesora Kazimierza Majewskiego.

Krystyna rozumiała swoje obowiązki, ale jej ciało odmówiło ich wypełniania. Nie miała pokarmu. Szybko znaleziono mamkę – początkowo nie wzbudziło to podejrzeń Krystyny. Po dwóch tygodniach od porodu zainteresowało ją jednak, kto karmi jej córkę. Dziewczynkę zawsze zabierano z pokoju i gdzieś wynoszono. Do kuchni?

Tak, do kuchni, któregoś poranka bardzo uważnie słuchała odgłosów: kroków Józefowej oddalającej się z dzieckiem, skrzypienia parkietu w korytarzu, szcęknięcia drzwi prowadzących z holu do części dla służby. Kolejnego dnia o tej samej godzinie Krystyna wstała z łóżka, podeszła powoli do okna i dyskretnie odchyliła zasłonę. Zobaczyła drobną postać w chustce na głowie zmierzającą do wejścia na podwórze – oczywiście nie mogła skorzystać z głównych schodów.

Pomimo chustki Krystyna rozpoznała ją natychmiast. Spod jasnego materiału wymykał się kosmyk włosów skrzący się w słońcu jak żywy ogień.

Nie czuła już złości. Ale nie pojawiła się wdzięczność dla tej obcej jej przecież kobiety, która karmiła jej córkę tymi samymi piersiami, z których piła też ta druga, bękart.

Wiedziała, dlaczego tamta to robi. Bo ma wyrzuty sumienia. Krystyna przejrzała ją, wystarczyło jedno spotkanie. To nie była zwykła, prymitywna ulicznica. Czuła się winna i współczuła Krystynie. Ale w niej nie było miejsca na wybaczenie. Jej życie legło w gruzach.

To Kazimierz był za to odpowiedzialny. Uznała, że nie będzie go już próbowała zatrzymać, nie będzie się poniżała, czyniła jego życia łatwiejszym i przyjemniejszym. Dlatego gdy ósmego dnia po porodzie przyszedł wreszcie, aby obejrzeć córkę, nawet nie raczyła wstać z łóżka.

– Damy jej na imię Wanda – powiedział Kazimierz i wyszedł. Nie dotknął dziecka, nie przytulił. Nie poszedł też do pokoju dziecięcego, do Iwona, choć chłopiec czekał na niego w swoim marynarskim ubranku, nieruchomy jak posąg, żeby się nie pobrudzić. Nie zawieść tatusia.

Krystynie imię córki było obojętne. Wanda. Niech będzie.

Chrzest zaplanowano na koniec września. Lato było, jak przewidzieli górale, wyjątkowo gorące i suche. Żyto nie obrodziło, ziemia była spieczona, popękana jak dłonie praczek. Krystyna powoli dochodziła do siebie. Doktor Celemencki nie pozostawiał złudzeń: nie będzie mogła mieć więcej dzieci i lepiej, żeby nie próbowała. Nie martwiło jej to. Miała już dość dzieci. Nie chciała nawet tego drugiego. Nikt nie chciał małej Wandzi, może tylko Józefowa, jedyna w całym domu, okazywała małej czułość i sympatię. „Ona taka charakterna dziewczucha, będzie miała z niej pani profesorowa pożytek, ale i zmartwień dużo, oj tak” – mówiła.

Ostatnie dni sierpnia były dziwne. W mieście panował gorączkowy rozgardiasz. Na straganach Rynku Staromiejskiego baby sprzedawały kolorowe mieczyki, a za darmo dodawały garść ploteczek: że mobilizacja, że inżyniera Kawczyńskiego wezwano do

wojsk w Toruniu, w całym kraju kopią na gwałt rowy i okopy, nawet na Plantach, wystarczy zobaczyć, a na Śląsku niemiecka policja zamyka i opieczętowuje polskie biblioteki i drukarnie. Podobno w Warszawie panika, wyjeżdżają dyplomaci. Ale kto by tam wierzył kwiaciarkom?

W poniedziałek, dwudziestego ósmego sierpnia, Mańka stwierdziła, że na Kleparzu nie dało się kupić cukru, mąki, że wszystko wykupiono. Krystyna, która już wstawiała, a nawet z rzadka brała małą Wandzię na ręce, uznała, że służąca znowu kłamie, i kazała, żeby Józefowa dała jej wciry. „Na pewno zapomniała, głupia gęś, że ma kupić cukier, i takie brednie opowiada! Po co tyle cukru ktoś miałby kupować, konfitury z wiśni i truskawek już porobione, a do śliwek tyle cukru nie trzeba!” – powiedziała kucharce. „To nie przez konfitury, pani profesorowo, mówią, że wojna idzie” – szepnęła kucharka. „Niech Józefowa przestanie słuchać, jak praczki plotkują! A co one mogą wiedzieć o polityce, nawet się podpisać nie potrafią! Profesor powiedział, że wojny nie będzie, to nie będzie!” – prychnęła pogardliwie Krystyna. Pomimo całej nienawiści i niechęci, jaką żywiła do męża, uważała jego zdanie za świętość. Przecież to profesor uniwersytetu, zna się na męskich sprawach, a polityka i wojna to męska rzecz. Cóż tam jakaś kucharka może o tym wiedzieć.

Na czwartek Józefowa zaplanowała na obiad gołąbki z grzybami i leguminę morelową. Nie były to wystawne dania, tym większe było też zdziwienie Krystyny, gdy w porze nakrywania do stołu pojawił się Kazimierz.

– Siadajmy – stwierdził po prostu, odsuwając żonie krzesło.

Usiedli w milczeniu i jedli gołąbki.

– Wiesz, Krystyno, że wczoraj ogłoszono w kraju powszechną mobilizację? – powiedział w końcu Kazimierz, gdy Józefowa wniosła leguminę.

– Ale przecież wojny nie będzie, sam mówiłeś...

– Oczywiście, niedorzeczność jakaś, wojny nie będzie. Może powinnaś jednak zabrać dzieci na wieś. W mieście robi się niespokojnie. A co, jeśli wybuchnie bunt? – mruknął mąż.

Znów zapadła cisza.



– A ty? – zapytała po prostu Krystyna. – Cóż zamierzasz?

– Poleciałem Adzie, żeby wyjechała i zabrała Joasię – powiedział Kazimierz, choć wcale nie była to odpowiedź na pytanie Krystyny.

Wtedy to imię – Ada – usłyszała po raz pierwszy. I Joasia... a więc tak nazwano dziewczynkę, która zajęła miejsce należne jej córce.

– Pomyślę nad tym, Kaziu. Więc cóż, między nami... – nie wiedziała, jak dokończyć.

– Weź to pod rozwagę, Krystyno. Tak będzie rozsądniej. Tak, między nami koniec – powiedział Kazimierz, otarł usta serwetą, wstał i wyszedł.

Krystyna zastanowiła się, do czego odnosił się jej mąż, mówiąc o rozsądku. Do pomysłu wyjazdu z Krakowa z dziećmi? Czy do rozwodu, bo tylko to przecież „koniec” mógł oznaczać? Uznała, że dogłębnie rozważy te kwestie następnego dnia. Bolała ją głowa. Poprosiła Józefową, żeby zamiast kolacji podała jej kieliszek pieprzówki, a potem – jeszcze jeden.

I zasnęła twardym snem. Nie słyszała żadnego hałasu, krzyków pod oknami, trzaskania drzwiami w mieszkaniu.

Obudziła się, bo ktoś szarpał ją za ramiona. Rozlepiła powieki i z zaskoczeniem stwierdziła, że to Józefowa zachowuje się w tak nieodpowiedni sposób.

– Co Józefowa? Oszalała... – wysapała, wciąż zaspana.

– Niech się pani obudzi, profesorowo! Wojna! Wojna! – wrzasnęła kucharka.

Krystyna zerwała się z łóżka i zaklęła jak szewc, pierwszy raz w życiu. Poczowała, że jest strasznie, strasznie rozczarowana.

– Czyli nie tylko cudzołożnik, ale też idiota! – krzyknęła. A potem zaśmiała się histerycznie, rozplakała i upadła na łóżko.

A więc wojna!

## Kraków, 1939

Tak, wojna przyszła w piątek. Majewscy zostali akurat zaproszeni na cały weekend do Woli Duchackiej, gdzie mieszkała pani Bemowa, przyjaciółka rodziny Wolfów, a także protektorka Krystyny w krakowskich kręgach „pań z towarzystwa”. Na sobotę zaplanowano ostatni w tym roku bal charytatywny, z którego dochód przeznaczono na ochronę prowadzoną przez urszulanki. Mimo wstrząsającej informacji panie postanowiły nie rezygnować z wcześniejszych ustaleń. Dzieci miały zostać pod opieką Józefowej. Kazimierz, wstrząśnięty i zszokowany informacją o napaści Niemiec na Polskę, zupełnie nieoczekiwanie pojawił się w domu wkrótce po tym, jak Józefowa brutalnie obudziła jego żonę – i jak tamta zdążyła już ochłonąć po ataku hysterii.

– Przecież to farsa, nie będziemy udawać, że wszystko jest w porządku! Jak możemy iść na bal, kiedy mamy wojnę! I to we dwoje, skoro między nami... sama wiesz! – protestował Kazimierz.

Krystynie jednak jeszcze tym razem udało się go przekonać, aby jej towarzyszył. Jako powód podała możliwość przemieszczenia się do Woli samochodem, który profesor Majewski nabył parę tygodni wcześniej. Specjalnie wybrał się dwukrotnie do Warszawy. Najpierw, żeby obejrzeć nowiutkiego chevroleta wyprodukowanego w zakładach Lilpop, Rau & Loewenstein, a potem żeby go kupić. Krystynie wydawało się, że ulokował w tej maszynie większość swoich uczuć, to znaczy resztę z tego, co żywił do Ady i Joasi. Korzystał też z byle okazji, aby jeździć limuzyną i zadawać szyku. Dlatego profesorka Majewska postanowiła sprytnie pograć męzowską słabością. Zależało jej na wizycie u Bemów, ponieważ liczyła, że pani Stanisława będzie jej doradczynią w nadchodzących ciężkich czasach. Tak, Stanisława Bemowa była jedyną osobą, którą

Krystyna darzyła prawdziwym zaufaniem i przed którą ośmieliła się jakiś czas temu otworzyć swoje serce. Pani Bemowa wolna była bowiem od wyniosłości typowej u przedstawicielek swojej kasty, niespecjalnie zależało jej na opinii otoczenia, a społeczną pozycję wykorzystywała wyłącznie do tego, aby pomagać i wspierać. Każdego, komu było to potrzebne.

Tę przychylność czuło się już od progu – tuż przy wejściu gospodyni postawiła wszakże misę pełną smakowitych racuchów. Kazała to robić jeśli nie codziennie, to kilka razy w tygodniu – po to, żeby w każdej chwili wygłodniałe wiejskie dzieciaki mogły podbiec i się poczęstować. Kiedy zauważyła pewnego roku, że ta rozbiegana dzieciarnia zakrada się do jej ogrodu, żeby pałaszować truskawki, kazała służbie jeszcze zachęcać ich do tego, żeby się częstowały, ile tylko zapragną. A potem na Nowy Rok poleciła upiec bułeczki z truskawkowymi powidłami i roznieść je po okolicznych domach z życzeniem, „żeby rok był dla wszystkich pomyślny i obfity”. Życzliwość pani Bemowej nie ograniczała się do dożywiania dzieci. Jej prawdziwą pasją była edukacja – w swoim salonie w dworze zorganizowała prawdziwą szkołę, w której sama uczyła chłopskie dzieci czytania i pisania. A przy tym wszystkim, mimo dość już – zdaniem Krystyny – zaawansowanego wieku, uwielbiała żartować, chodzić do teatru, potrafiła ubierać się w wesołe, kolorowe sukienki. Parę razy do roku urządzała przyjęcia, w trakcie których tańczyła do białego rana. Tak miało być i tym razem.

Krystyna zawsze myślała, że gdyby mogła sobie wybrać, z kim chciałaby się zamienić na życie, to zawsze przychodziła jej do głowy Stasia Bemowa. I dlatego też w rzadkich chwilach słabości chroniła się pod jej skrzydła.

Właśnie wyniesiono półmiski po pieczonym jesiotrze i podano mus truskawkowy – specjalność gospodyni – kiedy do biedermeierowskiego saloniku obwieszzonego dziewiętnastowiecznymi pejzażami oraz trofeami łowieckimi szanownego małżonka wpadła dziewczyna z kuchni, drąc się wniebogłosy:

– Bomby lecą na Kraków!

Wszyscy w pierwszej chwili myśleli, że biedaczce pomieszało się w głowie. Gdzie bomby, kiedy tu cicho i spokojnie?

– Umyj twarz wodą i napij się czego – doradził profesor Majewski tonem sztucznie troskliwym, spod którego aż nazbyt wyraźnie przebijała kpina. On, jako matematyk, profesor, korespondujący z kolegami z Getyngi i Heidelbergu, doskonale wiedział, że Niemcy nie są jakimiś barbarzyńcami, którzy chcieliby równać z ziemią prastare europejskie miasto, pełne zabytków i pereł kultury.

Jednak dobry nastrój wyczarowany pysznym posiłkiem i miłą rozmową prysł. Gospodyni podeszła do ludwikowskiej komody i włączyła radio. Odbiornik zaskrzeczał, a potem rozległ się głos spikera:

– Dziś rano o godzinie piątej czterdzieści oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji. Zbombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszają państwo komunikat specjalny.

Krystyna popatrzyła na męża gniewnie, jakby te bomby spadły przez niego.

– No i co na to powiesz? Mój ty wszystkowiedzący?!

Potem nagle sobie przypomniała, że w Krakowie zostały przecież jej dzieci, i rzuciła się do telefonu, nie pytając nawet o zgodę gospodyni.

Profesor Majewski łypnął na żonę znad okularów, które w ostatnich tygodniach nosił już na stałe. Nigdy dotąd nie mówiła do niego w taki sposób. Nigdy nie podważała jego autorytetu.

– Musimy wracać – gorączkowała się Krystyna, wykręcając numer. – Józefowa może sobie nie poradzić.

Wracali do Krakowa w milczeniu. Krystynie zdawało się, że oto w sposób ostateczny skończyło się jej dotychczasowe życie. Krótkie słowo – wojna – przypieczętowało nieuniknione.

Chociaż na początku nie widać było w mieście paniki. Mieszkańcy przyjęli bombardowanie z isticie galicyjskim spokojem. Kiedy jednak okazało się, że nie był to „przykry incydent”, jak raczył atak z powietrza określić nieoceniony Kazimierz, ludzie rzucili się do ucieczki. Ulice wypełniły się wózkami, walizkami, pakunkami. Wszyscy parli na wschód, najczęściej do Lwowa, gdzie jak

mniemano, „da się przeczekać to wariactwo”. Ku zgorszeniu części mieszkańców, w tym Majewskich, ewakuowały się również władze miejskie. Na wiele ta ucieczka im się zresztą nie zdała. Pod koniec pierwszego tygodnia września po raz pierwszy nie odegrano krakowskiego hejnału. A szóstego września wojska niemieckie wkroczyły do Krakowa. Już w październiku okazało się, że najeźdźca wybrał gród Kraka na stolicę zajętych terenów. W listopadzie generalny gubernator Hans Frank zamieszkał na Wawelu, a w mieście zaroilo się od niemieckich mundurów.

\*\*\*

– Żeby ich wszystkich zaraza dopadła! – mruzczała Józefowa, obierając ziemniaki. – Żeby się to całe towarzystwo zebrało na Kleparzu i żeby Kleparz się zmienił w czarną dziurę do środka ziemi, a tam niech ich pożre ogień!

– Z Józefowej to niezła literatka – zachichotała Stanisława Bemowa, która pewnego dnia zupełnie niespodziewanie odwiedziła Krystynę w Krakowie. Zgodnie ze swoim zwyczajem wparowała do kuchni i wcisnęła Józefowej oraz Mani po drobnej kwocie – żeby im się darzyło i rozmnożyło. – Nigdy nie należy zapominać o drobiazgach – powiedziała z uśmiechem. – Pamiętam, jak do mojej bardzo schorowanej babki przyszedł ksiądz z ostatnim namaszczeniem, a ona przerwała spowiedź, żeby wezwać moją matkę i kazać jej przysiąc, że obstaluje parobkowi nowe buty. Świadczy o nas to, jak żyją ludzie, którzy są od nas zależni! Im więcej dano, tym więcej się będzie wymagać!

Sama Krystyna nie wyniosła z domu podobnej postawy, jednak jej uwielbienie dla rodziny Bemów sprawiało, że starała się być lepsza. Zwłaszcza dla Józefowej, bez której pomocy – wiedziała to już na pewno – nie poradziłaby sobie. Józefowa, osoba oszczędna, lojalna i bardzo dumna, przyjęła prezent od Bemowej, skinęła głową w podziękowaniu, a potem oświadczyła, że „da na biednych”.

– Ta kobieta to prawdziwy skarb – oświadczyła pani Stanisława, zamykając starannie drzwi do salonu.

– Nie trzeba... – zaprotestowała Krystyna, ale Bemowa powstrzymała ją ruchem dłoni.

– Trzeba, trzeba, nie chcę, aby ktokolwiek nas usłyszał, nawet Józefowa.

– W takim razie zamieniam się w słuch – powiedziała Majewska i przysunęła fotel w kierunku gościa.

A potem siedziała skamieniała ze strachu, słuchając wyводу o tym, że Niemcy zamierzają „rozwiązać problem ludności żydowskiej”. Że wszyscy krakowianie pochodzenia żydowskiego są pozbawiani źródeł utrzymania – a więc sklepów czy zakładów rzemieślniczych.

– Jakbym o tym nie wiedziała – wyrwało się jej w pewnej chwili.

– Wiem, że wiesz – oświadczyła pani Bemowa. – Chcę jednak podkreślić powagę sytuacji, zanim przejdę do sedna sprawy. To, co się dzieje, to dopiero przygrywka.

– Przygrywka? – zdziwiła się Majewska.

– Będzie gorzej, wszyscy są tego świadomi.

– Wszyscy? – Brwi profesorowej znowu powędrowały w górę.

– Wszyscy. Dlatego my nie możemy pozostać bezczynni.

– My? – Stanowczo profesorowa nie błyskała tego dnia intelektem.

– My. Ludzie ustosunkowani. Mamy więcej możliwości, żeby pomóc słabszym. Nie chodzi zresztą tylko o Żydów. Jak zapewne wiesz, aresztowano profesora Wójcickiego.

– Oczywiście, że wiem!

– No, właśnie! Dlatego...

I tu przeszła do meritum. Chodziło o to, żeby zorganizować grupę zaufanych osób, które mogłyby służyć wsparciem. Przechować, jeśli potrzeba, pomóc w transporcie. A Majewscy byli jednymi z nielicznych, którzy mieli samochód. I ciągle jeszcze pozwalano im zachować ich duże mieszkanie.

Krystyna słuchała wyводу Bemowej, czując, jak strużka zimnego potu spływa jej wzdłuż kręgosłupa. Bała się. Potwornie się bała. I to nie tyle tego, co mogłoby ją spotkać, gdyby zaangażowała się w tę pomoc, o której mgliście opowiadała pani Stanisława. Przede wszystkim czuła przerażenie na myśl, że widać po niej, jak bardzo

nie ma ochoty angażować się w te sprawy. I że zrażona jej postawą Bemowa raz na zawsze skreśli ją z listy „porządnych kobiet”, jak często skłonna była o niej mówić. Dlatego nabrała głośno powietrza i powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał jak najspokojniej:

– Oczywiście. Zgadzam się, powiedz mi, co mam robić.

A Bemowa uśmiechnęła się rozpromieniona.

– Wiedziałam, moja kochana, że na ciebie można liczyć.

Te słowa, przynajmniej na moment, były nagrodą za odwagę. Szybko jednak stało się jasne, że ta dzielność była wymuszona, bo Majewskiej zaczął trząść się z przerażenia podbródek.

Pani Stanisława uśmiechnęła się wyrozumiale i pogładziła przyjaciółkę po pulchnym policzku.

– Strach to żaden wstyd – powiedziała. – Jest, powiedziałabym, nawet elementem roztropności. Sprawia, że nie ryzykujemy ponad to, co konieczne. W dodatku, droga Krysiu, ktoś, kto się boi i ryzykuje, ma większe zasługi niż ten, któremu zuchwałość wpisano w geny. Jestem z ciebie dumna!

\*\*\*

Okazało się jednak, że wejście Krystyny Majewskiej w ruch oporu nastąpiło za pośrednictwem wcale nie pani Bemowej, tylko Celinki Różańskiej, mieszkanki Poronina, którą znalazła Józefowa. Celinka siedziała w bramie ich kamienicy na kartonowej walizce i zalewała się łzami.

– A czego tak ryczy? – zapytała poczciwa kobieta i wtedy, zupełnie niespodziewanie, Celinka rzuciła się jej na szyję i zaczęła szlochać jeszcze głośniej.

– No już, uspokój się, dziewczyno! Chodź, dam ci kartoflanki i opowiesz, co ci leży na wątrobie – zaproponowała Józefowa, a Celinka posłusznie podreptała za nią do kuchni Majewskich.

Okazało się, że narzeczony dziewczyny został w niejasnych okolicznościach aresztowany przez Niemców i Celinka, przedsiębiorcza góralka, postanowiła przywieźć z rodzinnej wioski mnóstwo dóbr w rodzaju baleronów, kiełbas i szynek, którymi

zamierzała narzeczonego z rąk okupanta wykupić. Udała się ni mniej, ni więcej, tylko prosto na ulicę Pomorską, czyli do siedziby gestapo. Niemcy zabawili się okrutnie jej kosztem. Powiedzieli, że oczywiście zaraz przyprowadzą ukochanego i wyprawią z nią do domu. A potem pokazali jej zwłoki jakiegoś skatowanego nieszczęśnika i postraszyli, że jeszcze chwila, a sama tak będzie wyglądać. I wyrzucili ją na ulicę. Wiktuały zabrali, ma się rozumieć. Błąkającą się po Krakowie Celinę przygarnął jakiś podpity artysta z bożej łaski – biedaczka nie pamiętała nazwiska, wiedziała tylko, że miał na imię Wacek. Chłopak wcale nie był lepszy od okupanta. Najpierw zaczął się do niej nieprzystojnie przystawiać, a potem zrobił jej paskudny dowcip. Przekonał biedną Celinę, że podczas pijackiej awantury niechcący ukatrupił kolegę, malarza Krasińskiego. Był przy tym bardzo przekonujący i Celinka mu uwierzyła. Potem Wacek oświadczył, że muszą poćwiartować zwłoki, bo on jest psychicznie za delikatny na więzienie. Przerazona dziewczyna, po tylu przejściach, uwierzyła w te idiotyzmy. Oświadczyła jednak, że ona kroić delikwenta nie będzie. Rzeczony truposz miał jakoby leżeć w pokoju obok. Przez uchylone drzwi widać było jego potężną i dość brudną stopę spoczywającą martwo na dywanie. Artysta wspaniałomyślnie wziął na siebie ćwiartowanie kolegi, dziewczyna miała jego szczątki przenosić w walizce na most Dębnicki i w nocy, gdy nikt nie będzie widział, wrzucać do Wisły. Błaga wydała się, gdy miała taszczyć pierwszą walizkę. Artysta dał jej łyk koniaku – niby że dla wzmocnienia, a potem wręczył pakunek. Był zadziwiająco lekki. Celinka spojrzała pytająco na swojego gospodarza.

– No co – powiedział ze śmiechem – ile to mogą ważyć jelita głodnego malarzyny. Tyle co nic!

Stanowczo był zbyt wesoły jak na typka, który właśnie poćwiartował kolegę. Celinka zrobiła krok w kierunku drzwi i wtedy zamek walizki puścił. Ze środka wysypał się kłęb kolorowych szalików i fulardów, których Wacuś miał okazałą kolekcję. W tej samej chwili z jednego z pokoi wyłonił się Krasiński. Cały i zdrów. Celinka krzyknęła, zemdląca, a gdy dwóch dowcipnisiów ją ocuciło, pozbierała swoje manatki i uciekła z tego domu wariatów. Nie



bardzo wiedziała, dokąd ma iść, więc schowała się w bramie kamienicy przy Rynku. I tam znalazła ją Józefowa.

Profesorowa Majewska próbowała początkowo protestować, ale w spojrzeniu jej pomocy domowej było coś takiego, że słowa ugrzęzły jej w gardle.

– Nie godzi się, pani Krystyno – powiedziała Józefowa. – Przechowamy ją jakoś, w razie czego jestem gotowa dzielić z nią łóżko.

– Dajże spokój, Józefowo. – Profesorowa machnęła ręką. – Pokoi u nas dość. Gdzieś się ją wsadzi. Może zostać do jutra... lub pojutrze – dodała szybko na widok kolejnego krytycznego spojrzenia służącej.

Cóż, kiedy Celinka wcale nie zamierzała zrezygnować z planu wyswobodzenia narzeczonego. Jeden Pan Bóg raczy wiedzieć, skąd wytrzasnęła wiadomość, że będą go przewozić z więzienia na Montelupich do Warszawy.

– To moja jedyna szansa, pani profesorowo! – szeptała rozgorączkowana. – Musimy go odbić!

– Chyba cię, dziewczyno, Bóg opuścił – przestraszyła się Krystyna. – Co ty w ogóle wygadujesz?! Kto go ma odbić? Ja? Czy ty? A może Józefowa?! Ogarnij się, odpocznij dzień lub dwa, potem dam ci pieniądze na pociąg i wracajże ty do domu!

Celinka nic nie odpowiedziała, a jej wielkie ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej.

Katastrofa nastąpiła parę dni później. Celinka, a i owszem, przyjechała pieniądze na bilet, zabrała swój pakunek, a dwa dni potem pod wieczór zjawiała się w progu mieszkania profesorostwa Majewskich razem z narzeczoną. Chłopak miał przestrelone ramię i słał się na nogach.

– Jezus Maryjo! Coś ty zrobiła?! Co wyście zrobili?! – biadoliła Krystyna, rzucając jednocześnie przestraszone spojrzenie na korytarz, czy aby za tą parą nikt nie idzie. – I co ja mam teraz zrobić? Józefowo? Józefowa taka zawsze mądra, to może mi coś doradzi? – szeptała, próbując nie zbudzić dzieci. Iwo miał anginę i wszystko wskazywało na to, że i Wandzia zaraziła się tym paskudstwem.

– Trzeba wezwać lekarza – orzekła ponuro Józefowa.  
– Teraz, po nocy? – przeraziła się Majewska.  
– Jeśli nie zrobimy tego szybko, to problem sam zniknie. Niech pani profesorowa zobaczy, jaki on błady!

– Ale skąd my weźmiemy doktora?  
– Wystarczy felczer, możemy ściągnąć Ambroziaka, mieszka niedaleko. To pijak, ale przypuszczam, że umie oczyścić i zaszyć ranę nawet po paru głębszych.

Józefowa nie czekała na odpowiedź Krystyny: narzuciła na plecy palto i wybiegła w ciemność. Wróciła po niespełna godzinie, ciągnąc ze sobą półprzytomnego Ambroziaka. Przez ten czas Celinka nie wypuszczała z objęć ukochanego, który siedział w kuchni oparty o piec i – wyczerpany ucieczką i bólem – drzemał. Wyglądał przy tym tak marnie, że Krystyna zaczęła się obawiać o to, czy dotrwa do przybycia pomocy. Na szczęście dotrwał.

Felczer obejrzał ranę, pokręcił głową i kazał zagotować wodę i przygotować czyste prześcieradła.

– Rany boskie – lamentowała Krystyna – zmarnuje mi tylko pościel! To wszystko wina Józefowej! Gdyby nie przyprowadziła tu tej całej Celinki, to...

– To zgniłaby w piekle za bezduszność – przerwała jej służąca.

Felczer Ambroziak sprawił się niezgorzej. Zaszył ukochanego Celinki, a potem wyciągnął rękę po zapłatę i nie cofał jej, gdy Józefowa umieściła na niej banknot. A potem drugi. Uznał, że dostał, ile trzeba, dopiero gdy w garści trzymał już cztery zielone papierki.

– To uczciwa zapłata za ciężką pracę i milczenie – powiedział chytrze, a Krystyna poczuła gwałtowny przypływ niepokoju.

– Wynoś się – mruknęła Józefowa do szantażysty i Ambroziak jej posłuchał, kłaniając się ze sztuczną unizonością.

– Obmierzły typ – szepnęła Krystyna, gdy zamknęły się za nim drzwi.

– Ale dostępny – odpysknęła jej Józefowa. – Nie miałyśmy wyboru, pani profesorowo. Teraz musimy wymyślić, gdzie go przechować, bo na pewno biedaka będą szukać.

Niestety dla Majewskich, okazało się, że uratowany narzeczony Celinki był jakąś ważną postacią ruchu oporu, a wiadomość o brawurowej akcji jego odbicia, w której wzięło udział pięciu górali z Poronina oraz... Celinka, rozniosła się po całym Krakowie. Krystyna początkowo nie chciała wciągać w te sprawy męża, słusznie uważając, że będzie kazał jej jak najszybciej pozbyć się Celinki i jej absztyfikanta. Nie miała jednak za bardzo pomysłu, co zrobić z kłopotliwymi narzeczonymi bez samochodu Kazimierza. Najpierw pojechała do Woli Duchackiej porozmawiać ze Stasią Bemową, która jak zwykle stanęła na wysokości zadania. W ciągu dwóch dni znalazła dla Celinki i jej ukochanego bezpieczne miejsce pod Limanową – trzeba jednak było ich tam odtransportować. Za rannym uciekinierem wypuszczono list gończy, sprawa więc stała się nagląca. Bardzo niechętny profesor Majewski został pewnego wieczoru po prostu zmuszony do jazdy. Narzeczonego Celinki, dla niepoznaki, przebrano w ubrania Józefowej i wyprowadzono z kamienicy wyjściem dla służby.

– Proszę cię, moja droga, żebyś mnie więcej nie stawiała w tak kłopotliwym położeniu – powiedział Kazimierz, gdy para została już bezpiecznie ulokowana daleko od Krakowa. – Następnym razem, jak mi Bóg miły, sam pójde na gestapo!

– Na szczęście mamy to już z głowy – odetchnęła z ulgą profesorowa, nalewając sobie kieliszek wiśniówki dla pokrzepienia.

Niestety, myliła się, i to bardzo. Kłopoty wcale się nie skończyły – a to za sprawą felczera Ambroziaka. Pijaczyna podpadł czymś i wyładował na komisariacie. Tam zagrożono mu wywiezieniem na Montelupich, a on tak się wystraszył, że postanowił zyskać przychylność władzy, opowiadając o nocnej wizycie u profesorostwa. Już następnego dnia gestapo zastukało do drzwi Majewskich. Na ich widok Krystyna prawie zemdląła ze strachu. Niemcy wpakowali się do salonu i zaczęli oglądać wiszące na ścianach obrazy, dotykać bibelotów stojących na pensjonarce, jeden z nich przejechał ręką po grzbietach książek, a potem jednym ruchem zrzucił je na dywan. Profesor Majewski wpadł do salonu dokładnie w tym momencie. Później, gdy Krystyna wspominała tę scenę, nie mogła zrozumieć, dlaczego jej mąż, tak w gruncie rzeczy

ostrożny, strachliwy i wycofany, wobec silniejszych od siebie samego zdecydował się na ten gest. Bo Kazimierz ogarnął jednym spojrzeniem salon, zobaczył kulącą się w kącie, wyrwaną ze snu Wandzię i Józefową, która próbowała utulić przestraszone dziecko, dostrzegł wyraz przerażenia i zgrozy na twarzy swojej żony i ten zbiorowy strach kobiet wyzwolił w nim kogoś, kim na co dzień nie był. Po prostu rzucił się z pięściami na Niemca, który strącił książki z półek. Zaskoczył go. Cios Majewskiego okazał się na tyle mocny, że esesman się zatoczył, a potem rozwścieczony wyszarpał pistolet z kabury i jednym strzałem uśmiercił profesora Majewskiego, który padł na perski dywan, obryzgując krwią buty swego mordercy. Ten obejrzał je z obrzydzeniem, a potem zdjął ze stołu serwetkę z pięknie wyhaftowanymi inicjałami pani domu – K.M. – i starannie wytarł nią błyszczące oficerki.

Prawdopodobnie Niemcy uznali, że sprawa została załatwiona, bo po prostu opuścili mieszkanie Majewskich. Do końca życia Krystyna lubiła myśleć, że Kazimierz zaatakował esesmana, aby odciągnąć uwagę od niej i od córki. Że w pewnym sensie poświęcił za nie życie. Nie dostała od męża, od swojej największej miłości, wiele czułości. Chciała więc sądzić, że to właśnie był przejaw wielkiego, gorącego uczucia i troski, której nie okazywał nie tylko jej, ale przede wszystkim Wandzi.

Nie minął tydzień, a w Krakowie gruchnęła wieść o aresztowaniu wykładowców Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej w ramach Sonderaktion Krakau. Krystyna wiedziała, że mąż zamierzał wybrać się na zwołane na szóstego listopada zebranie pracowników naukowych UJ, ponieważ wierzył, że Niemcy zgodzą się na ponowne otwarcie uczelni. Często powtarzał: „Wszak to nie barbarzyńcy. Cenią naukę i naukowców”. Czasem pocieszała się więc myślą, że nawet gdyby nie nieszczęsny incydent, jej mąż i tak by zginął.

Marna to jednak była pociecha. Krystyna była pewna, że Kazimierz był jej pierwszym i ostatnim mężczyzną. Została sama.

\*\*\*

## Kraków, 1942

– Może coś zjesz, Joasiu? – zapytała córeczkę.

– Nie! – padła zdecydowana odpowiedź.

Trzyletnia dziewczynka miała główkę pokrytą złotymi kędziorami jak pierścionkami i harde spojrzenie niebywale błękitnych oczu. Była śliczna. Ale drobniutka. Może po matce? A może dlatego, że niewiele jadła?

Ada specjalnie jej się nie dziwiła. Kanapka z czarnego gliniastego chleba z buraczaną marmoladą smakowała ohydnie. Ale chwilowo nie miały nic innego. W zeszłym tygodniu Ada narysowała portret jakiejś folksdojczki, dostała za to kurę na rosół. Jadły ten rosół przez cały tydzień, rozkoszując się jego smakiem. Ale rosół się skończył, zostało liche jedzenie na kartki – te wprowadzono w Krakowie w pierwszych dniach okupacji. Trudno było nazwać ten ciężki gorzki chleb razowym. Mówiono na niego „dźwiękowiec” – kiszki po nim wygrywały różne szalone marsze. Do tego, jeśli udało się dostać, margaryna o smaku świecy i ta koszmarna marmolada, z buraków albo nie wiadomo z czego, którą krojono nożem, taka była gęsta i twarda.

W lepsze dni Ada smażyła na margarynie cebulę i jadły ją na pajdach chleba. W gorsze... w gorsze czasem nie jadły nic.

Ada sprzedała już wszystko, co się dało. Obrazy swoje i cudze, orzechową serwantkę i szezlong obity aksamitem. Złotą biżuterię. Jedwabne sukienki szły za bezcen, teraz wiele kobiet wyprzedawało wszystko, co można było, z szaf. Palto z kołnierzem z lisa i norki, które dostała od Kazia tuż po narodzinach Joasi. Jego ostatni dla niej prezent...

Wszystko szło na czynsz. Ada z rzadka mogła sobie pozwolić na to, żeby kupić dwa jajka dla Joasi. Nie miała pracy, Kazimierz nic jej nie zostawił. Nie zabezpieczył jej, bo nie przewidział, że przyjdzie wojna. I nie przewidział, że zginie, pozostawiając bez grosza przy duszy jedyną kobietę, którą kochał. A raczej dwie takie kobiety, małą i dużą.

Ada westchnęła i przykręciła nieco karbidówkę. Na świecy nie było jej stać, a karbidówka śmierdziała. Wołała siedzieć z córką w półmroku niż wdychać ostry zapach acetyleny.

Rozległo się pukanie, dziwne, natarczywe. Ada zamarła na moment z dłonią przy lampce karbidowej. Nikt jej nie odwiedzał, pukanie do drzwi pod wieczór nie zwiastowało niczego dobrego. Ale z całą pewnością nie byli to Niemcy: nie, ci walili do drzwi kolbami, wrzeszczeli, Ada zdążyła się już nasłuchać przez trzy lata okupacji.

Mimo to z niepokojem podeszła do drzwi.

– Kto tam?

– Ada, otwórz. To ja, Władek – usłyszała.

Z trudem rozpoznała głos Władka, swojej dawnej miłości. Władek był beztroskim chłopakiem, a głos należał z pewnością do dojrzałego, nieco już zmęczonego mężczyzny, który przyszedł w interesach. A nie po to, żeby odwiedzić dawną kochankę.

Otworzyła. Z pokoju ciekawie wyjrzała Joasia. Ada obejrzała się na córkę z przestraszeniem.

– Witaj, Ado... Mój Boże, tyle lat się nie widzieliśmy, a ty nadal tak samo piękna, jakbyśmy spotkali się zaledwie wczoraj... – roztkliwił się nowo przybyły. Wtedy wzrok jego padł na Joasię. – A jednak nie było to wczoraj, to musiało być już dawno, dawno temu. Piękna dziewczynka. Jak ma na imię?

– Joasia.

Ada z zadziwieniem obserwowała Władka. Jak on się postarzał! Na skroniach skrzyły mu się siwe włosy, twarz była poorana bruzdami, oczy podkrążone, jakby dawno nie spał.

– Joasia? Myślałem, że dasz jej Rachela, po matce. – Posłał jej zagadkowe spojrzenie.

Ada zmartwiła. Czyżby... po to przyszedł? O jej żydowskich korzeniach ze strony matki nikt w tej kamienicy nie wiedział. Chyba. Po to przecież przeprowadzała się trzy razy, zacierała ślady. Ada wiedziała, że gdyby było inaczej, zatajenie tej informacji drogo by ją kosztowało. A przecież ona już nic nie miała, nie mogłaby się opłacić, poza tym...

– Ty, Władku... – zaczęła z taką odrazą, że tamten od razu się zreflektował.

– Wybacz. Nie to miałem na myśli, ja przecież nigdy... Nikomu bym o tym nie powiedział, znasz mnie. Chodziło mi tylko o to, że to takie piękne imię. – Uśmiechnął się nieśmiało i w tym uśmiechu na moment Ada zobaczyła dawnego Władka, beztróskiego, radosnego, zakochanego w niej.

Ona też się uśmiechnęła, choć słabo.

– To ty wybacz. W niebezpiecznych czasach przyszło nam żyć. Zaproponowałabym ci herbatę, ale na pewno domyślasz się, że nie mam. Może napijesz się kawy zbożowej? Nie mam wprawdzie cukru, ale... – W popłochu rozejrzała się po pokoju, jakby spodziewała się, że zobaczy gdzieś paterę z ciastkami maślanymi, którymi mogłaby poczęstować gościa.

– Przepadam za kawą zbożową. No i starym dobrym zwyczajem pijam tylko czarną! – Teraz zaśmiał się w zupełnie szczery, nieskrępowany sposób. – Zresztą to ja coś ci przyniosłem. Zaczekaj, przepraszam, że tak ci to podaję, niezbyt elegancko, ale... – Sięgnął za pazuchę płaszcza i wyjął pół bochna pszennego jasnego chleba i jakieś sporych rozmiarów zawiniątko, od którego natychmiast rozszedł się upajający zapach czosnku.

Ada nie mogła uwierzyć. Prawie trzęsły jej się ręce, gdy sięgała po podarki. Chwilę rozkoszowała się spękaną szorstką skórką chleba, przyłożyła go do nosa, zaciągnęła się aromatem. Był świeży, pewnie pieczony tej nocy. Potem ostrożnie rozłożyła zatłuszczony szary papier. Pęto wiejskiej kiełbasy.

– Władku! Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczna! Joasiu, chodź, zrobię ci kolację... Och, przepraszam, Władku, oczywiście rozgość się.

– Nie przejmuj się mną. Daj małej kiełbasy, pewnie w życiu takiej nie jadła. Umiem sam powiesić palto na wieszaku – zaśmiał się Władek.

Przeczesał dłonią włosy, usiadł na krześle i czujnym wzrokiem obrzucił niewielki salonik. Był prawie pusty, na ścianach wyraźnie odcinały się jasne prostokąty, miejsca, w których do niedawna wisiały obrazy, stały meble.

– Nie masz pracy – bardziej stwierdził, niż zapytał, gdy Ada wróciła z kuchni, z której nawet tu dobiegały odgłosy uczyty. Joasia

faktycznie nigdy nie jadła takiej kiełbasy. Była nią oczarowana.

– Nie. – Ada wzruszyła ramionami.

– Moglibyśmy pomóc – rzucił Władek, patrząc na sufit.

– My?

– Tak, my. Możemy ci pomóc. Dostaniesz dobrą pracę i papiery, nikt cię nie ruszy, będziesz zarabiała, będziecie z Joasią bezpieczne.

– Rozumiem... – powiedziała przeciągle Ada i czekała na ciąg dalszy. Bo wiedziała, że nastąpi.

– W zamian ty pomożesz nam. Potrzebujemy kogoś takiego jak ty. Młodej pięknej kobiety z klasą, która ma aryjski wygląd i biegle włada jidysz.

Ada znów poczuła, jak mróz przechodzi przez jej ciało. W głowie usłyszała głos matki: „Sztiler, sztiler” – ciszej, ciszej, śpiewała jej do snu. To prawda, Ada znała jidysz. Tym językiem rozmawiały w domu z matką, tylko one dwie. Ale od lat z nikim się w ten sposób nie porozumiewała.

– Po co wam ktoś, kto zna jidysz? – zapytała ostro.

Władek wstał. Podszedł powoli do okna. Ciężkie zasłony były dokładnie zaciągnięte. Nawet lekka poświata z mieszkania nie miała prawa wydostać się na zewnątrz. Stał chwilę w milczeniu przed tymi zasłonami.

– Myślałaś, że twoja rodzina, rodzina twojej matki, w marcu zeszłego roku tam poszła? – zapytał.

Nie musiał mówić dokąd. Do getta. Na początku marca 1941 roku wszyscy Żydzi mieszkający na terenie Krakowa musieli się przenieść do getta. Pewnie, że Ada o tym myślała. O siostrach matki, o dziadkach. Czy jeszcze żyją? Ale najbardziej myślała o tym, że gdyby ktoś wiedział, że jej matce było na imię Rachela – ona i Joasia też musiałyby iść do getta.

Pamiętała doskonale tych ludzi. Z wyrazem cierpienia, błagania w oczach, jak za grosze oferowali do sprzedaży swój dobytek. Czasem lichy – jakieś stare garnki, wyszczerbione talerze, wyświechtane książki. Ale bywało, że oddawali za półdarmo futra, piękne meble, obrazy, instrumenty muzyczne. Można się było obłowić. Nie brakowało w Krakowie takich, którzy na tej żydowskiej biedzie zbili majątek.



– Więc i na pewno słyszałaś, co się dzieje w Warszawie. Tam od końca lipca spędzają Żydów z getta na Umschlagplatz i wywożą, dziesiątki tysięcy już wyjechało. Transporty idą na Siedlce i Sokołów Podlaski, ale tam nie dojeżdżają. Wszystkie składy zatrzymują się na małej stacji, Treblince, i zjeżdżają na boczny tor, niedaleko wsi Wólka-Okraglik, sprawdziliśmy to. W sierpniu do Warszawy dotarli pierwsi, którzy w ramach niemieckiej wielkiej akcji wysiedleńczej wyjechali transportami do Treblinki i udało im się uciec. To nie jest żadne przesiedlenie. Oni tych ludzi mordują. Dziesiątki tysięcy ludzi. Rozumiesz?

Ada rozumiała tylko jedno. Wyszła z salonu sztywnym krokiem, skierowała się w stronę kuchni.

– Joasiu, jedz kolację, dobrze? Nie wchodź na razie do salonu, zaczekaj tu na mnie – poleciła córce i starannie zamknęła drzwi. – To nie może być! Co ty mówisz?! – zapytała szeptem, gdy wróciła do pokoju. Wieści, które usłyszała, budziły taką grozę, że nie należało mówić o nich na głos.

– Mówię, że Niemcy zabijają Żydów. Takich jak twoja matka, Rachela. Takich jak ty.

– Nie jestem Żydówką! – krzyknęła i zatrwożona przykryła dłonią usta, jakby się bała, że ktoś usłyszy.

– Jesteś, w świetle ich prawa. W świetle prawa żydowskiego też. Dziedziczy się po kądzieli, przecież wiesz. Ale nie o to chodzi. Musisz nam pomóc. Musisz im pomóc. – Ostatnie zdanie powiedział z naciskiem.

Ada usiadła na drugim krześle – więcej w salonie nie było – i ukryła twarz w dłoniach. Nie spodziewała się, że ktoś przyjdzie do niej z taką propozycją. Nie chciała się w to angażować. Nie chciała czuć się częścią tego narodu, dręczonego, ponizanego. A przede wszystkim miała jeden cel, nadrzędny: przeżyć. Angażowanie się w przedsięwzięcia, o jakich mówił Władek, raczej stało w sprzeczności z tym celem.

A mimo to słowa Władka ją wzburzyły, czuła przerażenie na myśl o tym, że on może mieć rację. Gdzieś w środku jakiś głosik podpowiadał, że Władek mówił prawdę: Niemcy Żydów mordują. Przecież to musiało do tego prowadzić. Pamiętała z początku wojny,

jak zabroniono Żydom chodzić chodnikami... I potem te koszarne plakaty: „Żydzi – wszy – tyfus plamisty”!

„Powinnam być z nimi solidarna. To mój lud, Władek ma rację. Upiekło mi się, udało, miałam szczęście. Moja matka wyrzekła się swojej rodziny i ja dorastałam z dala od nich. Ale jestem im coś winna” – pomyślała.

– Powiedz jeszcze: kto to jest... my? – zapytała słabym głosem.

– Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom. Został zawiązany tuż po wielkiej akcji w Warszawie. Ada, my nie możemy patrzeć, jak ich mordują. Przecież to też Polacy, nasi sąsiedzi... – szepnął Władek.

– Co miałabym robić?

– Chcemy uratować jak najwięcej osób, ile się da. Głównie dzieci. Potrzebny jest ktoś, kto będzie je wyprowadzał z getta na aryjską stronę. Kto będzie je przewoził do sióstr, z którymi współpracujemy. One umieszczą je w sierocińcach albo w rodzinach po aryjskiej stronie. Dostarczamy dokumenty, dla ciebie, dla dzieci, ułatwiamy przerzut. Ale... oczywiście ty ponosisz odpowiedzialność. Obejmiemy cię pomocą, będziesz miała dobrą pracę, utrzymasz siebie i Joasię.

– Co to za praca?

– Karmicielka wszy.

Ada patrzyła na niego przerażona. Nawet nie wiedziała, że w Krakowie też pracują karmiciele wszy – Instytut Badań nad Tyfusem profesora Weigla znajdował się we Lwowie. Wiedziała za to, że to ryzykowna praca – od czasu do czasu któryś z karmicieli zaczynał chorować, a tyfus... to mogło znaczyć śmierć.

Ale była świadoma tego, że wpis o tego rodzaju pracy w ausweisie gwarantuje nietykalność: Niemcy bali się tyfusu bardziej niż ognia, bali się też karmicieli, z wyrazem obrzydzenia oddawali im ausweisy i przepuszczali, niezależnie od tego, co się działo.

– Będziesz dostawała sto złotych, to niedużo, ale starczy na kilka kilo cukru na czarnym rynku. Dodatkowy przydział na margarynę i marmoladę, raz na kilka miesięcy dają nawet kiełbasę. Ale najważniejsze jest, że nikt cię nie dotknie. – Władek sprawiał takie

wrażenie, jakby chciał się wytłumaczyć swojej dawnej kochance z tej straszliwej, niestosownej propozycji.

– Nie musisz mnie zachęcać. Zgadam się. I... Władziu, mnie nie chodzi wcale o pieniądze. Rozumiesz to?

– Rozumiem, Ado – powiedział.

Uśmiechnął się do niej smutno i położył rękę na jej dłoni. Chwilę trwali tak w ciszy, zamyśleniu, dopóki milczenia nie przerwało cichutkie skrobanie w drzwi kuchenne.

– Mamusiu? Mamusiu, zostawiłam ci kiełbasę – pisnęła Joasia.

– Nie trzeba, kochanie. Nie jestem głodna – skłamała Ada. Kiełbasę zamierzała zachować dla córeczki na kolejne dni.

Poszła do kuchni, mocno przytuliła Joasię. Gdy wróciła z nią do salonu, był pusty. Palta Władka nie było na wieszaku. Jakby rozplynął się w powietrzu.

Tej nocy Ada nie spała. Myślała z lękiem o tym, co ją czeka, czego nie chciała, ale co musiała zrobić. „Szkoda, że nie mogę podjąć innej decyzji... Widać Bóg czasem stawia nas przed takimi wyborami. Pewnie wielu już postawił od początku tej przeklętej wojny, wielu jeszcze czeka podobny los... Co będzie z Joasią, jeśli ja...” – bała się dokończyć nawet w myśli. Ale zdawała sobie sprawę, że bycie matką nie mogło stanowić wymówki. Miała do wypełnienia obowiązek. A to było jednak najważniejsze.

\*\*\*

Od miesięcy w oknach naprzeciwko nie pojawiały się rude włosy. Ani na małej, ani na dużej głowie. Krystyna domyślała się, że Ada musiała się wyprowadzić.

Potwierdziła to Józefowa. Podobno podniesiono czynsz za mieszkanie, bo spodobało się folksdojczom, i Adę wyrzucono. Mieszkała kątem z córeczką u jakichś znajomych, malarzy.

– Bieda u nich, że aż piszczą. Jak się wyprowadzały, nic nie miały, wszystkie klamoty w jeden węzeł z prześcieradła i tak poszły. A przecież pan profesor dbał o nią, miała tyle tych fikuśnych fatałaszaków, futra, pewno i meble ładne, no, profesor miał gust

w kwestii mebli! – rozgadała się Józefowa i dopiero zimny wzrok pryncypałki przywołał ją do porządku. – To ja już pójdę, gołębia obskubię – westchnęła i szybko wyszła.

Krystyna się zadumała. Kiedyś marzyła o tej chwili, upadku nierządniczy. Wyobrażała sobie to nawet: jak wywlekają tę łachudrę za rude kudły na ulicy, ją i tego bękarta. I jak odchodzą z niczym.

Ale nie czuła satysfakcji. Z biegiem czasu przyzwyczaiła się do myśli o kochance męża, o jego nieślubnym dziecku. I jeśli do kogoś teraz czuła żal, to tylko do Kazimierza. Im więcej czasu upływało od jego śmierci, tym gorsze miała na jego temat zdanie. Właściwie to uważała, że tamtą też zawiódł. Zrobił z niej kochankę, zmajstrował bękarta i nie zabezpieczył na przyszłość.

Krystyny, po prawdzie, Kazimierz też nie zabezpieczył. Udział w cementowni oczywiście przepadł, podobnie jak wszystkie oszczędności. Przepadłoby mieszkanie. Na Krystyny szczęście – choć wstydziła się tego niepomiernie – jej ojciec, Leopold Wolf, podpisał folkslistę. Przedsiębiorca z Krakowa z niemieckimi korzeniami bardzo się hitlerowcom przydał. Teraz dawna fabryka rękawiczek szyła mundury na potrzeby Wehrmachtu. Leopold wiódł życie co najmniej tak samo dostatnie jak przed wojną. Wspierał też finansowo córkę. Ta przyjmowała to chętnie – nie miała wszak innych środków do życia, za to miała dwoje dzieci – ale jednocześnie z odrazą. Gdyby mogła, odcięłaby się od ojca, wyparła się go. Ale nie mogła.

Oczywiście Krystyna była świadoma tego, że Ada, była kochanka jej męża, miała żydowskie korzenie. Nigdy jednak nie potraktowałyby tego faktu jak oręża w walce dwóch kobiet. Pomysł, żeby najzwyczajniej na świecie donieść Niemcom, że w kamienicy naprzeciwko ukrywają się dwie Żydówki, nie powstałby w jej głowie. Krystyna była przecież osobą sztywno trzymającą się wpojonych jej zasad. Współpraca z okupantem i denuncjowanie, choćby i wrogów, były w świecie jej wartości absolutnie zakazane.

– Józefowo, wyjdę do kościoła, pomodlić się – powiedziała, wchodząc do kuchni.

Trzyletnia Wandzia siedziała na stołku i bawiła się gołębimi piórami. Profesorowa Majewska skrzywiła się z obrzydzeniem. Ale

nic nie powiedziała: od początku okupacji opieka nad dziećmi kulała. Krystyna została bez niani, z samą Mańką i Józefową – ta i tak musiałaby zostać, była stara, nie miała dokąd pójść. Z jakiegoś powodu Krystyna nie lubiła zajmować się córką. A właściwie podejrzewała, dlaczego tak się dzieje: córka przypominała jej tę noc, upokorzenie, które przeżyła, żeby odzyskać miłość męża, i to, jak on jej uczucie zdeptał, a ją samą znieważył. Lepiej, gdyby napluł jej w twarz. Bo przecież wtedy ta... ta druga już była przy nadziei: jej córka urodziła się wcześniej. Być może nawet Kazimierz wiedział, że kochanka jest brzemienna. A mimo to przyszedł do domu, do żony, dał jej nadzieję, wykorzystał i... rano odszedł. Tak, Krystyna uważała, że właśnie wtedy, tamtej nocy, gdy poczęta została Wanda, skończyło się jej małżeństwo. Nic nie mogła na to poradzić, ale każde spojrzenie na Wandzię, jej pociągłą nieładną twarzyczkę o ustach w podkówkę i zbyt wąsko osadzonych oczach, przypominało tamten moment klęski. Starła się więc rzadko zaszczycać córkę spojrzeniem. Poza tym właśnie ona z dwójki rodzeństwa bardziej była podobna do ojca. To też nie pomagało w nawiązaniu więzi między matką a córką.

Wanda chyba musiała to przeczuwać, bo wolała spędzać czas w towarzystwie kucharki niż rodzicielki. A Józefowa, która sama nie miała dzieci, obdarzała ją prawdziwą miłością i uwielbieniem. Wanda grzała się w kuchni – i nie chodziło wcale o żar bijący od kaflowej kuchni, tylko o gorące serce Józefowej.

Krystyna wiedziała, że grzeszy. Codziennie błagała Boga, żeby jej wybaczył i pomógł przełamać obojętność wobec Wandy. Ale codziennie wracała z niczym.

Zatopiona we własnych myślach wyszła na schody i prawie potknęła się o jakieś małe ciało. Spojrzała zdumiona pod nogi. Natychmiast rozpoznała tę bladą trójkątną twarzyczkę, rude kędziorki wymykające się spod wełnianej szarej czapki. Krystynę zdumiało, że małą ubrano w całkiem wykwintne paltko: z mięciutkiej wełny, w kolorze krwistej czerwieni. Dość osobliwy wybór w tych latach, w których ludzie starali się raczej pozostawać niewidoczni na ulicach niż przyciągać spojrzenia.

Mała patrzyła na nią niewzruszonym wzrokiem i Krystyna poczuła się nieswojo. Joasia była ledwie dwa miesiące starsza od Wandy, a miała spojrzenie starego człowieka. Jakby za dużo widziała na swoje trzy lata, jakby za dużo rozumiała.

– Dzień dobry, Joasiu – powiedziała Krystyna po chwili ciszy.

– Dzień dobry – odpowiedziała dziewczynka cichutkim i poważnym głosem.

– Jesteś głodna? – zapytała Krystyna, bo nie wiedziała, jak dalej prowadzić tę konwersację.

Mała kiwnęła szybko głową.

Cóż było robić? Krystyna westchnęła i gestem wskazała Joasi drzwi. Weszły. Mieszkanie było ciemne i pachniało woskiem do podłóg. Krystyna skierowała dziewczynkę na lewo, w stronę kuchni. Pchnęła ciężkie drzwi niechlujnie pomalowane na biało olejną farbą.

Wanda siedziała na stole i się śmiała, a Józefowa łaskotała ją po szyi gołębią lotką. Obie świetnie się bawiły, dopiero po kilku sekundach zorientowały się, że ktoś wszedł do pomieszczenia.

Józefowa skamieniała, nie wiadomo – ze zdumienia czy strachu. Natomiast na twarzy Wandy odmalował się wyraz złości i wzgardy, jakiego matka jeszcze nigdy u niej nie widziała. Krystyna momentalnie uświadomiła sobie, że jej córka nie po raz pierwszy widzi drugą dziewczynkę. I że zapewne wie, kim ona jest.

– Józefowo, proszę dać Joasi chleba z masłem – przykazała władczy tonem, ignorując zdziwienie kucharki.

Joasia pisnęła z zachwyty: dawno nie jadła prawdziwego masła. Choć ich sytuacja finansowa nieco się poprawiła, Adzie nadal nie starczało pieniędzy na przyzwoite jedzenie. Dziewczynka chwyciła pajdę chleba grubo posmarowaną czymś złocistym i gęstym i z rozkoszą wbiła w nią ząbki. Nie zwracała w ogóle uwagi, że trzy pary oczu są w nią wpatrzone jak w obraz: okropny, zdumiewający czy budzący zastanowienie.

Krystyna przyglądała się bowiem małej z ciekawością. Zaskoczyło ją, że między rysami twarzy Joasi i Wandy istniało takie podobieństwo: na pierwszy rzut oka można było spostrzec, że są spokrewnione, choć ewidentnie w kwestii urody dziewczynki nie

zostały równo obdarowane. Joasia miała śliczną buzię, natomiast Wanda – niepozorną, smutną, pełną żalości, nieładną.

I na moment Krystynie przemknęła przez głowę straszna myśl, że wolałaby być matką tej drugiej. Natychmiast samą siebie skarciła, poczuła przypływ wyrzutów sumienia.

– Muszę iść do kościoła. Jak Joasia skończy, niech ją Józefowa wypuści kuchennymi drzwiami. Nie chcę, żeby się tu od frontu wałęsała, co ludzie by powiedzieli – rzuciła na pożegnanie.

I jeśli uwaga ta była okrutna, to tylko dlatego, że Krystyna chciała samą siebie ukarać za tę myśl o Joasi i za to, że ktoś – choćby jej córka – mógł ją z jej twarzy odczytać.

**Kraków, 1943**

– Niech szanowna pani nawet nie żartuje. Toż to Wyspiański! Wart jest tej ceny. Wiem, co mówię. Jestem jego nieślubną córką. – Ada przymilnie uśmiechnęła się do dziobatej matrony.

Ta wpatrywała się w płótno z zadziwieniem i powątpiewaniem. Kilka deseczek, kawał szmaty i trochę farb... I tyle to ma kosztować? Za tyle to jej mąż, pnący się po szczebelkach kariery w niemieckiej administracji, kupił nie tak dawno prześliczny komplecik do sypialni w stylu rokoko. No ale tam było widać, za co się płaci! Solidne drewno, zdobienia, gzymsiki, toczne nóżki... A to... Małe jakieś takie. Nie to co Bitwa pod Grunwaldem Matejki; jej matka widziała, gdy w 1878 roku wystawiano ją w pałacu Wielopolskich, to wie: obraz jak cała ściana w kościele, wysoki, szeroki...

Westchnęła.

– Trochę maławy taki – mruknęła.

Ruda ze zdziwienia miała oczy jak spodki.

– Maławy? Maławy? Tylko tyle ma pani do powiedzenia o jednym z najważniejszych dzieł mojego ojca? Przepraszam. Przepraszam. – Odwróciła wzrok, wstała. – Musiano mnie niewłaściwie poinformować. Zostałam zapewniona, że pani jest koneserką i chce ze smakiem umeblować swoje nowe piękne mieszkanie. Ale najwidoczniej to pomyłka. Pójdę już.

Matrona się przestraszyła. Jej mąż właśnie miał dostać awans na zastępcę dyrektora, zamierzał to uczcić. Trzeba było zaprosić niemieckich zwierzchników. Jednak ani matrona, przed wojną zajmująca się domem, ani jej mąż, z zawodu masarz, nie mieli pojęcia, jak ugościć takie osobistości. Jak zaprezentować się na poziomie? Wtedy ktoś polecił im tę... Adriannę, chyba tak się



przedstawiła. Podobno miała wybitny gust, handlowała meblami, dywanami, obrazami.

– Niech pani zaczeka! Ja zapłacę! – krzyknęła. Musieli mieć w domu jakiś obraz. Ściany dobrze wyglądają z obrazem. – Tylko może pani spuści co nieco, nie? – dokończyła już swoim zwyczajnym, bynajmniej nie dystygowanym tonem.

– Oczywiście. Dla mnie nie liczy się tylko zarobek. Ważne, żeby dzieło mojego ojca... – Dyskretnie otarła wierzchem dłoni w rękawiczce z cieniutkiej skórki kącik oka. Odrobina przesady nie zaszkodzi. Cała sytuacja była wystarczająco groteskowa. – ...aby znalazło się we właściwym miejscu, godnym. A więc przejdźmy do konkretów...

Ada postanowiła, że złupi to babsko, tę folksdojczkę, w sposób zupełnie bezczelny. Rzekomy „Wyspiański” był w istocie bohomazem nasmarowanym naprędce przez Jana, kochanka Ady, podczas jednego przedpołudnia na kacu. Ada rzadko robiła takie głupstwa, nie chciała psuć sobie opinii. Nowa „elita”, składająca się głównie z folksdojczy pracujących dla Niemców, szybko się bogaciła – i chciała, żeby to było widać. Potrzebny był więc doradca, arbiter elegancji – ta właśnie rola przypadła Adzie. Panie zarządzające swoje nowe siedziby rodowe w mieszkaniach zrabowanych Żydom lub Polakom chętnie ją sobie polecały. Dzięki temu Ada zarabiała. A było jej to potrzebne: pieniądze uzyskane za pracę karmicielki wszy nie starczały nawet na jedzenie. A trzeba było żyć. I odłożyć jakąś sumkę. Ada nie mogła się pozbyć przeczucia, że pieniądze będą jej potrzebne, że kiedyś będzie musiała się wykupić, zapłacić komuś za zatajenie informacji o swoich i Joasi żydowskich korzeniach.

Poza tym pieniądze coraz częściej były jej potrzebne dla Jana.

Po wyprowadzce z mieszkania przy Rynku tułały się z Joasią kilka miesięcy. Trudno było w Krakowie znaleźć mieszkanie. Teraz to był Urdeutsche Stadt Krakau, stolica Generalnej Guberni. Niemcy zamierzali pozbyć się z niej nie tylko Żydów, lecz także Polaków. W centrum miasta nie było już w zasadzie Polaków, chyba że podpisali folkslistę. Pomniki Mickiewicza i Grunwaldzki zburzono, na ulicach aż roiło się od zielonoszarych niemieckich mundurów.

Gdy więc znajomy z dawnych lat, Jan, zaproponował jej mieszkanie na poddaszu w domu swoich rodziców na samym skraju Dębniak, nie kapryślała za bardzo. To była prawie wieś: niskie parterowe domki, często drewniane, nieliczne niewysokie kamienice. Ada pomyślała, że ukryją się tu z Joasią. Dom był zaniedbany, ale duży, od podwórka znajdował się niewielki ogródek i sad pełen jabłoni, grusz i śliw. „Dziewczynka będzie miała całą jesień owoce” – zapewniał ją Jan. Ada się ucieszyła. Joasia wciąż była zbyt drobna jak na swój wiek i blada, choć nieodmiennie śliczna. Jak aniołeczek. Zdarzało się, że jakiś przechodzący Niemiec pogłodził ją po policzku, dał cukierka. Adzie zawsze wtedy stawało na sekundę serce, a potem przyspieszało, szarpało się w klatce piersiowej jak zwierzątko, które chce uciec na wolność. Ale Niemcy tylko uśmiechali się do niej: „Schatzi”, skarbek, mówili. Ada z trudem odpowiadała uśmiechem, a raczej tylko grymasem, który miał go przypominać. Natomiast Joasia nie miała tego problemu. Jej spokojna twarzyczka rozjaśniała się, oczy świeciły, faktycznie wyglądała jak mały aryjski skarbek. Ale gdy tylko żołnierz się oddalał, szeptem mówiła do matki: „Ohydny szkop. Fe”. Gdzie nauczyła się określenia „szkop”, Ada nie miała pojęcia. Starła się robić wszystko, żeby nie wciągać córki w dorosłe rozmowy, a już zwłaszcza nie wtajemniczać jej w konspiracyjną robotę. Choć to było trudne, bo Joasia siłą rzeczy stała się nieodłączną częścią tej „roboty”. Ada dostawała najczęściej informację, że ma przeprowadzić jakieś dziecko z punktu A do punktu B. Sześciolletnią dziewczynkę ukrywała rodzina na Zakrzówku. Ada miała adres. Ubierała Joasię najpiękniej, jak potrafiła: w czerwony paltocik, berecik z miękkiej wełny. Drugi płaszcz, porządny, ale nierzucający się w oczy, brała ze sobą do koszyka. Szła pod wskazany adres z córką. Dziecko najczęściej było w miarę zadbane, przestraszone, ale rozumiejące, jaka jest stawka. Zdarzało się, że miało fatalny wygląd: ciemne kręcone włosy, ciemną karnację, oczy, semicki nos. Ada zawsze miała jednak na podorędziu środki zaradcze: zimą wspaniale sprawdzały się czapki uszanki, latem – chustki. „To” dziecko, przerzucane, Ada zawsze prowadziła przy sobie, czasem wtulając je w fałdy własnego płaszcza. Mówiła, że jest

chore, boli je ząb. Natomiast Joasia, podskakując na jednej nodze, brykała sobie z przodu. Zawsze ściągała wszystkie spojrzenia, nie starczało już czasu, żeby patrzeć na drugie dziecko, Schatzi kradło uwagę wszystkich wokół. Ada zaczęła podejrzewać, że Joasi ta rola nawet się podoba...

Bywało i trudniej. Gdy trzeba było wyprowadzić dziecko z getta. Po 1942 roku, gdy Niemcy zmniejszyli jego powierzchnię, i po tak zwanej Wielkiej Akcji w Warszawie dla wszystkich stało się jasne, że na ratunek nie zostało już wiele czasu. Ada dostała fałszywą przepustkę do getta. Wchodziła z córeczką w czerwonym płaszczku. Wychodziła z dzieckiem w czerwonym płaszczku. Niemcy patrzyli tylko na ten jaskrawy kolor, na zakrytą nieraz czepkiem czy chustą buzię już nie... A Ada nigdy nie wychodziła z getta z Joasią. Dziewczynka była nad wiek sprawna i inteligentna, umiała wydostać się przez niewielką dziurę pod murem od strony Szpitala Chorób Zakaźnych – najczęściej czekał tam na nią Władek lub ktoś inny z organizacji.

Dziecko wyrwane z getta Ada eskortowała pod wskazany adres – adresów, nazwisk, pseudonimów uczyła się oczywiście na pamięć. I już. Nie interesowało jej, jakie imię nosi dziecko, jaka jest jego historia, skąd przychodzi i dokąd zmierza, czy udaje mu się znaleźć bezpieczną przystań. Jej zadaniem była tylko droga z punktu A do punktu B. Po drodze nie patrzyła w twarze ludziom, z których domów zabierała dzieci, ani tym, którzy je odbierali. Mało mówiła. Chciała mieć jak najmniej wspomnień – żeby w razie wpadki mieć jak najmniej do zdradzenia.

Poza tym nie brakowało jej własnych problemów. Szybko po przeprowadzce na Dębny okazało się, że Jan nie zaproponował jej mieszkania z altruistycznych pobudek. Już po tygodniu usłyszała nocą kroki na schodach. Nie wszedł na poddasze, stał pod drzwiami. Sytuacja powtórzyła się jeszcze raz i kolejny. Trzeciej nocy, gdy Joasia zasnęła, Ada zeszła piętro niżej. Wszystko odbyło się szybko i po ciemku. Bez słowa. Wróciła na górę, umyła się w misce zimną wodą i wślizgnęła pod kołdrę, koło ciepłego ciała śpiącej Joasi. Nie czuła smutku, złości, upokorzenia, tylko przygnębiającą rezygnację. Tak naprawdę nie miała innego wyjścia. Odtąd regularnie sypiała

z Janem. On jednak nie wydawał się tym usatysfakcjonowany. Patrzył na Adę wzrokiem człowieka spragnionego, któremu nie chcą dać wody.

– Kocham cię – powiedział kiedyś pijany, gdy próbowała zawlec go do łóżka, żeby się przespał i wytrzeźwiał. Pił coraz więcej, na utrzymanie domu musiała zarabiać ona. – Kocham cię. Czemu ty nie kochasz mnie? – zapytał płaczliwym głosem.

– Daj spokój, Janku. Robię wszystko, czego zażadasz – zachnęła się.

– Czego zażadam! Czego zażadam! A ja bym chciał, ja bym chciał, żebyś ty... żebyś ty sama... – Padł na kolana, o mało co się nie przewrócił.

Było późno. Za oknami ciemne lutowe popołudnie, które trudno jest odróżnić od nocy. Adzie cała ta sytuacja zdała się nagle tragikomiczna. Tu obok ludzie umierają z głodu, na tyfus, gruźlicę; czy naprawdę są jeszcze tacy, którzy się uchowali w tym wszechogarniającym pandemonium, którym marzy się jeszcze... miłość?

– Janku, nie bądź śmieszny! – parsknęła.

Jakaś straszliwa zmiana zaszła w twarzy Jana, jakby momentalnie wytrzeźwiał, jakby ktoś wymierzył mu siarczysty policzek.

– Śmieszny? A więc ciebie to bawi, tak? Ja jestem śmieszny? To ty bawisz się moim kosztem, ty parszywa Żydówko! – wrzasnął, przypadł do niej, chwycił za szyję i próbował rzucić na łóżko.

Ada zaczęła się desperacko wyrywać, złapała jedną ręką pustą butelkę po wódce stojącą na kredensie i z całej siły zdzieliła Jana w głowę. Upadł zamroczony, ale nie stracił przytomności, leżał twarzą do podłogi, mamrocąc coś niezrozumiałego.

Ada w jednej chwili pojęła, że to koniec. Musi uciekać, natychmiast. Wiedziała, że zranione ego może skłonić mężczyznę do najgorszych zbrodni. Przeskakując po dwa stopnie, wbiegła na pięterko.

– Joasiu! Wstawaj, wyprowadzamy się! – krzyknęła.

W pośpiechu chwyciła kilka ubranek dziewczynki leżących na wierzchu. Joasia poderwała się jak oparzona, spała w sukience i swetrze, tak było zimno. Ada wsunęła jej czapkę na głowę,

narzuciła na ramiona biały płaszczyk, Joasia wiązała na nogach buciki.

– Szybko, Joasiu, szybciej! – syknęła matka.

Na dole słyhać było jakiś ruch. Złapała córkę za rękę i pociągnęła ją po schodach na dół. Niestety, Jan stał naprzeciwko zejścia z klatki schodowej, chwiejąc się na nogach. Po czole ściekała mu wąska strużka krwi.

– Teraz ci już nie odpuszczę, ty Żydówo! – wycharczał i rzucił się w ich kierunku.

Joasia, która była zwinna i zachowywała zimną krew w każdej sytuacji, schyliła się i błyskawicznie prześlizgnęła pod ramieniem Jana, w trzech susach była już za drzwiami.

Ada odetchnęła głęboko i z wysokości pięciu stopni rzuciła się w dół, na Jana, celując rozczapierzonymi palcami w jego oczy. Dopadła go, wpiła się w niego, drapała ile sił. Jan wrzasnął z bólu, na moment ją puścił. To wystarczyło. Ada doskoczyła do drzwi i wypadła w mrok. W ciemności poczuła, że jakaś mała łapka wślizguje się w jej dłoń. A więc są obie bezpieczne. Muszą uciekać.

Z tyłu dało się słyszeć rumor, huk zatrzaskiwanych drzwi, głucho tąpnięcie, jakby coś ciężkiego i miękkiego upadło na zmrozoną ziemię. Przewrócił się. Już ich nie dogoni – są sto metrów z przodu.

– Ty Żydówo! Wydam cię, słyszysz?! Znajdę cię i wydam, i tego rudego bękarta też, obie zdechniecie! Przysięgam ci, słyszysz?! Słyszysz?! – gonił je wrzask.

W ani jednym oknie na ulicy nie zapaliło się światło, choć Ada była pewna, że wiele oczu musi je obserwować. Nikt jednak nie stanąłby w jej obronie, ale i nie poparłby Jana. I jedno, i drugie było w tych latach niebezpieczne. Najlepiej było siedzieć cicho, być niewidzialnym, rozplýwać się we mgle jak duch. Żeby przetrwać.

One też musiały tak zrobić. Byłoby im łatwiej, gdyby Ada zabrała z domu Jana swój zimowy płaszcz.

\*\*\*

Znowu się udało. Władek, jak zawsze niezawodny, znalazł Adzie i Joasi pokój w domku znajomych na Łagiewnikach. Nastały straszne dni, pełne grozy. Wiosną 1943 roku Niemcy ogłosili, że likwidują krakowskie getto, a wszystkich mieszkańców przesiedlą do obozu w Płaszowie, który zaczęto budować poprzedniej jesieni na terenie dwóch żydowskich cmentarzy. Na i tak nielicznych w tej chwili krakowskich Żydów padł strach. O obozie i jego komendancie krążyły straszne legendy. Kto mógł, próbował uciekać, ukrywać się gdziekolwiek.

Niemcy jeszcze gorliwiej zabrali się do wyszukiwania ukrywających się Żydów. Ada poważnie rozważała wyjazd z Krakowa, może na wieś, gdzieś, gdzie byłoby bezpieczniej. Jednak właśnie teraz, jak powiedział jej Władek, była organizacji szczególnie potrzebna.

Na początku kwietnia o mało nie wpadła. Szła ulicą Dietla, gdy od strony Plant pokazał się odkryty opel w obstawie dwóch niemieckich motocykli. Nie patrzyła w tamtą stronę. To musiał być ktoś ważny. Kątem oka zobaczyła, że obok oficera siedzi jakaś kobieta.

– Jüdin! – rozległ się krzyk.

Ada wiedziała, że nie powinna reagować, ale mimowolnie popatrzyła w stronę samochodu. Spojrzenie jej zielonych oczu spotkało się ze spojrzeniem oczu czarnych, wielkich, okolonych długimi rzęsami. Od razu ją poznała. To była Sara, dawna kochanka Władka, to przez nią się poznali. Była córką zasymilowanych Żydów, lekarzy – rozstrzelano ich jeszcze w 1939, potem słuch o Sarze zaginął, ale nie trafiła do getta – poszła wieść, że wpływowy, wysoko postawiony oficer SS wziął ją na służącą. I jak widać, nie tylko służącą.

Palec Sary wycelowany był oskarżycielsko w Adę. Oficer zwrócił na nią wzrok pełen niechęci, odrazy, wstrętu. Samochód i motocykle zaczęły hamować, Ada dostrzegła, że siedzący na naczepach żołnierze już się podnoszą, szykują do skoku z wyciągniętą bronią.

Nie było czasu do stracenia. Rzuciła się w pierwszą bramę – świetnie знаła te rejony, w przeciwieństwie do Niemców. Minęła w podwórku gołębnik, za wychodkiem w murze była wyrwa –

tamtędy dało się przejść na sąsiednie podwórko, potem wąskim korytarzem między ścianami dwóch kamienic dalej, niewysoki płot, jakiś stary sad, znów podwórko, brama, w bramie otwarte drzwi na klatkę. Ada wbiegła, starannie zamknęła za sobą drzwi z szybami z mlecznego szkła, zdjęła buty, w samych pończochach bezszelestnie biegła po schodach w górę. Ale nie musiała się już bać – tupot ciężkich stóp najpierw się przybliżył, potem oddalił, minęli drzwi, nie zorientowali się, że ukryła się na klatce.

Skrzypnęły drzwi do mieszkania po lewej stronie. Ada spojrzała jak przerażone zwierzę i zobaczyła rękę, która wyraźnie przywoływała ją do środka. Weszła, osunęła się bez tchu po ścianie.

– Przyniosę wody. Czy pani jest ranna? Kogo zawiadomić? – usłyszała spokojny, cichy, szemrzący głos.

Otworzyła oczy. Patrzyła na nią staruszka z twarzą zeschniętą jak jabłuszko.

– Władka... Ale niech się pani mną nie przejmuję, proszę się nie kłopotać, ja... zaraz wyjdę – mamrotała. W głowie kołatała się myśl: nie może narażać tej kobiety.

– Niech są pani mną nie martwi. Mnie już niczego zrobić nie mogą. Mój syn poległ w kampanii wrześniowej, mąż był profesorem polonistyki na UJ, też go zabili. Ja już się bać nie muszę. Proszę tylko podać mi jakiś adres, telefon. Zaraz ściągnę tego Władka – powiedziała.

Ada zupełnie bezmyślnie podała numer i dopiero gdy starsza pani zaczęła wybierać cyfry na telefonie, przeraziła się. Będzie wsypa! Przecież ona nie może zadzwonić do Władka i powiedzieć...

– Władeczku? Witaj, Władeczku. Ciotka Kamińska, z Grzegórzek. Otóż muszę ci bardzo podziękować, bo dotarł do mnie ten piękny rudy sweterek, który dla mnie przekazałeś... No bardzo ci jestem wdzięczna, aż nie mogę się doczekać, jak osobiście cię uściskam! Oczywiście, Władeczku, pa. Pamiętaj o starej cioci – trajkotała staruszka w słuchawkę, jakby była urodzoną konspiratorką.

A potem uśmiechnęła się do niej i to była ostatnia rzecz, jaką Ada pamięta, gdyż chwilę później naprawdę zemdląca.

\*\*\*

Przypadkiem uchwyciła swoje spojrzenie w dworcowym lustrze i – jak było już od kilku dni – nie rozpoznała samej siebie. Po ucieczce na Dietla Władek odebrał ją od pani Kamińskiej i kazał natychmiast zmienić fryzurę. W warszawskim getcie wybuchło powstanie. Niemcy uważnie studiowali każdą mijaną twarz, teraz ich niepokój budziły już nie tylko semickie rysy twarzy, ciemne włosy, lecz także rude. Poza tym Sara, która jak się okazało, zabawiała się ze swoim oficerem SS, wyłapując ukrywających się Żydów, mogła podać rysopis Ady policji, burza rudych loków była zbyt charakterystyczna, jak ogłoszenie: „Tu jestem. Aresztujcie mnie i rozstrzelajcie na Montelupich”.

Dlatego teraz Ada miała brązowe, krótko przystrzyżone włosy. Joasia, gdy ją zobaczyła po raz pierwszy, rozplakała się żałością. Adzie też było smutno. Po raz pierwszy od początku wojny dopadła ją prawdziwa rezygnacja. A jeśli to wszystko nie ma sensu? Może powinny pójść z córką na Jerozolimską, pod główną bramę płaszowskiego obozu, powiedzieć, że są Żydówkami. Może nie ma sensu już dłużej tego ciągnąć? Bo i po co, znikąd nadziei...

Władek musiał wiedzieć o nastrojach Ady, ale też sama robota konspiracyjna stała się dla niej niebezpieczna. A raczej to Ada była niebezpieczna, stanowiła zagrożenie dla organizacji. Dlatego dostała nowe papiery, imię, nazwisko. I polecenie wyjazdu z Krakowa do Radomia, przez Kielce. W Radomiu miał już ktoś na nie czekać i przewieźć do bezpiecznego domu na wsi. „Może tam doczekacie końca wojny? Niemcy cienko przędą po Stalingradzie... Liczymy, że może jeszcze rok i alianci ruszą, a wtedy dni Hitlera będą policzone... Na palcach jednej ręki!” – pożegnał ją Władek dzień przed wyjazdem z Krakowa. A już w samych drzwiach mocno uściskał rękę i szepnął: „Dziękuję ci. Jesteś nie tylko wyjątkowo piękna, lecz także wyjątkowo odważna i mądra. Nie mówiłem tego wcześniej, były inne, ważniejsze sprawy, ale... Mam nadzieję, że po wojnie się spotkamy. I że jeśli szczęście mi dopisze, przyjmiesz



wtedy moje oświadczyń”. Po czym zniknął w czeluści niczym nieoświetlonej klatki schodowej.

Ada dotknęła krótkiego pasma włosów wymykającego się spod toczka i uśmiechnęła się na wspomnienie Władka. Faktycznie stali się sobie przez ostatni rok nader bliscy. I właściwie w niej także odżyła dawna namiętność... Kto by pomyślał, że tak się to wszystko poukłada?

Wagon był zatłoczony, pociąg włókł się niemiłosiernie – Polacy nie mogli korzystać z pośpiesznych. Ada trzymała na rękach Joasię. Stała w korytarzu. Ktoś otworzył drzwi, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza w ludzką cizbę.

– Idą! – usłyszała ostrzegawcze syknięcie.

Zobaczyła, że przez tłum w jej kierunku przepychał się konduktor w towarzystwie przedstawiciela niemieckiej policji kolejowej, Bahnschutzu, i dwóch żołnierzy z bronią długą.

To było niecodzienne. Kogoś szukali? Z pewnością nie Ady, historia ucieczki z Dietla nie była przecież tak głośna ani nie budziła zainteresowania Niemców – ot, jedna Żydówka wymknęła się obławie, wcześniej czy później i tak ją znajdą. Nie, prawdopodobnie musiało dojść do jakichś aktów sabotażu, może Związek Walki Zbrojnej wykoleił jakiś parowóz, może wysadzono tory, przez co uniemożliwiono Niemcom transport wojsk lub towarów? Pewnie z tego powodu wprowadzono zaostrome kontrole.

– Ausweis bitte – wycedził policjant.

Żołnierze przyglądali się Adzie obojętnie. Tak, to nie jej szukają, jest bezpieczna.

Mimo to policjant nadspodziewanie długo oglądał ausweis, zbliżał dokument do twarzy, wpatrywał się to w literki, to w Adę. Zaczęła się niepokoić. Dokumenty dał jej Władek, ale były świeże, Ada jeszcze nigdy się nimi nie legitymowała. Teraz przyszła jej do głowy straszna myśl: a może są źle podrobione? Może Niemcy się zorientowali?

Zrobiła krok w tył, w stronę otwartych drzwi wagonu. Była gotowa skoczyć razem z Joasią, ale jeszcze się wahała: może to nic? Może jej się wydaje? Jeśli skoczy, nie będzie odwrotu. Zaczną strzelać, to po pierwsze. A po drugie, będzie ścigana, jak dotrze do

Radomia, jak znajdzie łącznika, wreszcie jak zostanie sama gdzieś na podkieleckiej wsi.

Te kilkanaście sekund wahania to było za długo. Policjant rzucił jedno porozumiewawcze spojrzenie żołnierzowi, ten momentalnie ocknął się z odrętwienia, mocno złapał Adę za łokieć. Szarpnęła się, ale nie była w stanie się wyswobodzić. Naokoło zrobiło się pusto, wszyscy współpasażerowie zorientowali się w sytuacji: od osoby, która wpadła w tarapaty, jakiegokolwiek, u Niemców, należało trzymać się z daleka. To mogło być zaraźliwe.

Adę dzielił tylko jeden długi krok od otwartych drzwi, za którymi widać było nasyp pokryty świeżą zielenią kielkującej trawy. Ale nie mogła tego kroku zrobić. Mogła za to zrobić coś innego i to zrobiła. Włożyła całą siłę, jaka jej jeszcze pozostała, w jeden ruch: desperacko rzuciła ramionami w stronę otwartych drzwi, Joasia wyskoczyła z jej objęć jak pocisk, biały pocisk, za sprawą ślicznego ciepłego paletka, wpadła w zieloną pachnącą wiosną czeluść i prawie natychmiast znikła jej z oczu, porwana gdzieś w tył. Ada zamknęła oczy. „Boże, żeby tylko nie upadła pod koła. Niech upadnie na nasyp”.

Niemal natychmiast drugi wolny żołnierz dopadł drzwi i strzelił z karabinu w dal – z tego Ada wywnioskowała, że dziewczynka nie mogła dostać się pod skład, żołnierz nie marnowałby amunicji. A więc, przynajmniej teoretycznie, mogła przeżyć.

Uśmiechnęła się i był to ostatni uśmiech w jej życiu przerwany brutalnym ciosem kolby, który trafił ją prosto w zęby, łamiąc je i kilka wybijając. Poczowała coś lepkiego, gorącego w ustach, a potem oślepiający ból, gdy drugi cios dosięgnął jej kości policzkowej. I runęła w ciemność.

\*\*\*

To, czy uznamy własne życie za satysfakcjonujące, zależy wyłącznie od tego, jak je sobie człowiek opowie. Po śmierci Kazimierza Krystyna najpierw skupiła się na tym, żeby wyprawić mężowi godny pogrzeb. Taki, który mogłaby latami wspominać. Zwróciła się do

kolegów z katedry – tych, którzy przeżyli, nielicznych już i ukrywających się – z prośbą o to, żeby wygłosili nad grobem stosowne mowy. Szczególnie pięknie mówił profesor Witwicki i to po części za jego sprawą śmierć Kazimierza Majewskiego trafiła na listę ofiar złożonych na ołtarzu ukochanej ojczyzny.

„Wielki umysł, prawość, duch wielki... to wszystko, drogi Kazimierzu, nie przeminie. Ofiara twoja korzyść przyniesie twoim dzieciom i wnukom, synowi i najdroższej córce...” – grzmiał Witwicki, który potem na stypie paskudnie się upił i zaczął opowiadać, jak to on i świętej pamięci nieboszczyk w studenckich czasach chadzali razem na... Szczęśliwie żona Witwickiego wepchała mu do ust udko kurczaka i nie pozwoliła, żeby powiedział coś, co mogłoby zranić zboląłą wdowę.

Ale wdowa wcale nie była zboląła. Czuła się wręcz wyzwolona! Uskrzydłona bohaterstwem męża, który – no przecież każdy to wiedział! – stanął w obronie jej i dzieci. A zatem dał dowód, co było dla niego ważne. Ta myśl była dla niej prawdziwie uszczęśliwiająca. Po pogrzebie podszedł do niej ksiądz, aby uściskać jej dłoń i powiedzieć parę słów pokrzepienia.

– Droga pani profesorowo – wyszeptał wzruszony, bo bohaterstwo Kazimierza wywarło i na nim duże wrażenie. – To rozstanie jest chwilowe. Wszyscy połączymy się w Bogu, już wkrótce.

Krystyna podziękowała za słowa pokrzepienia, jednak w głębi duszy pomyślała, że nie musi się ponownie łączyć z Kazimierzem na tamtym świecie. Że istniał – tego była pewna, ale bez niego czuła się całkiem dobrze. Ba! Świadomość tego, że została budzącą głęboki szacunek wdową po bohaterze, sprawiała jej dużą satysfakcję. Było to z pewnością lepsze niż pozycja opuszczonej żony, co do tego nie miała wątpliwości. Wdowieństwo było dla niej korzystniejsze niż rozwód. Nieżyjący Kazimierz stał się jej własnością i mogła nim dysponować do woli. Wyciągnęła odziedziczony po babce sekretnik z czarnym onyxem i zawiesiła na szyi. W środku schowała fotografię Kazimierza – z czasów, gdy jeszcze liczyła na prawdziwą miłość.

Wiosną 1943 roku Krystyna dostała zawiadomienie o tym, że musi opuścić piękne mieszkanie przy Rynku, ponieważ zamierza się tam wprowadzić wysoko postawiony oficer. Ten sam, który zastrzelił jej męża. Zwróciła się o pomoc do ojca, przecież dzięki jego cichej protekcji tyle lat całkiem niezłe egzystowała... Ten jednak odmówił.

– Cóż mam ci powiedzieć, moja droga. – Matka bezradnie rozłożyła ręce. – Lepiej rób, co ci każą, bo jeszcze i na nas ściągniesz kłopoty! Ojciec już nie może tak wiele, a i Niemcy chyba są w strachu. Każdy teraz myśli tylko o sobie. I tobie to radzę.

Krystyna poczuła gniew. Wielki gniew. Pojechała z wizytą do Stasi Bemowej, a ta czym prędzej załatwiła jej zastępcze mieszkanie na Dębniakach, tuż przy rynku, na ulicy Różanej.

– Znikniesz z widoku, poczekasz, aż sytuacja nieco się uspokoi – pocieszała ją przyjaciółka.

Nowe mieszkanie wydało się Majewskiej wyjątkowo, wręcz obelżywie skromne. W dodatku większość sprzętów pozostała w starym i meble, w które wyposażone było to nowe mieszkanie, w jej mniemaniu urągały dobremu smakowi. Na nowe lokum składały się dwa pokoje w amfiladzie, niewielki gabinet i służbówka, do której prowadziło osobne wejście z bocznej klatki schodowej. Do tego łazienka i bardzo ciasna kuchnia. Za nic w świecie nie udałoby się ulokować Józefowej i Mani w ciasnej służbówce. Dlatego z bólem serca profesorowa oddała Józefowej gabinet, Mani służbówkę, a pokoje przeznaczyła dla siebie i dzieci.

„A trzeba było Mańkę dać ze mną do pokoju” – gderała potem Józefowa, gdy wydarzyło się „nieszczęście”. Polegało ono na tym, że Mańka, mająca osobne wejście do mieszkania, wymykała się, jak się później okazało, żeby spotykać się z kawalerem. Był to góral, niejaki Mischczak, który przyjeżdżał regularnie na Rynek Dębnicki z jajkami, serkami i innymi produktami domowego wyrobu. Spodobała mu się czarnowłosa Mańka i zaczął do niej smalić cholewki. Dziewczyna – sierota, która nie zaznała nigdy prawdziwego zainteresowania – „wesza w to jak w masło”, jak twierdziła Józefowa, i dała się kompletnie omotać starszemu mężczyźnie. Ten zalecał się, prawił komplementy i obdarowywał ciastkami, a gdy przyszła stosowna

chwila, „zepsuł dziewczynę”. Po czym zupełnie stracił nią zainteresowanie.

– Ty ladacznico, wywłoko! – grzmiąca profesorowa zupełnie nieelegancko, gdy zauważyła, że pod pocerowaną granatową sukienką rysuje się całkiem spory już brzuszeczek. – I to wszystko pod moim dachem!

– Trzeba, żeby się z tobą ożenił – oświadczyła Józefowa, ale wtedy Mańka wybuchła płaczem.

Miszczak powiedział jej, że nie chce łatwej dziewczyny za żonę. Takiej, co się kładzie na drugim spotkaniu.

– Pokrętna ta męska logika – mruknęła Józefowa. – Najpierw się taki naprasza, dusery prawi, a potem, jak dostanie, czego chciał, to adieu, panno Maniu!

Najgorsze było to, że Miszczak cały czas handlował swoimi serkami na rynku, a gdy Mania przechodziła obok, udawał, że jej nie widzi.

– Haniebne, haniebne! Co sąsiedzi powiedzą – jęczała Krystyna, wachlując się lnianą serwetką.

– Ja to załatwię – oświadczyła w końcu Józefowa. – Dajcie mi tylko dzień wolnego. Muszę pojechać do Poronina.

I pojechała. Co stało się później, Krystyna dowiedziała się od... żony stróża, która zaczepiła ją w bramie, żeby zdać relację z tego, co się wydarzyło. Otóż Józefowa wybrała się z wizytą do Poronina, gdzie mieszkali bracia Celinki. Poprosiła ich o drobną przysługę. Chłopaki przyjechali w piątek na Rynek Dębnicki i przetrzepały futro Miszczakowi, który – jak się okazało – był im znany, jako że mieszkał w sąsiedniej wsi i słynął z tego, że psuł naiwne dziewczęta. Dzielni górale włali chłopu z tym większym entuzjazmem. Efekt był taki, że w kolejnym tygodniu zjawił się Miszczak u profesorowej z podbitym okiem i dwoma bukietami. Jeden przeznaczony był dla gospodyni, którą pokornie poprosił o rękę jej „podopiecznej”, jak się wyraził, drugi dostała Mańka. Dziewczyna nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Po rękach całowała panią dziedziczkę i Józefową, swoją prawdziwą dobrodziejkę.

Ślub Mani odbył się w kościele Świętego Stanisława Kostki. Był skromny, dyskretny – Józefowa załatwiła także i to, że ksiądz nie

robił wielkich problemów.

– Czasy mamy ciężkie, każdy pociesza się, jak umie – oświadczył z nadzwyczajną wyrozumiałością, spoglądając na mocno zaokrągloną pannę młodą i jej ponurego narzeczonego.

Zwolniła się więc służbówka i Krystyna doszła do wniosku, że powinny wziąć nową służącą – bo przecież Józefowa wszystkiego nie ogarnie, a i jej przybyło sporo nowych obowiązków związanych choćby z edukacją Iwusia, któremu w normalnym czasie zatrudniłaby guwernantkę. Jednak teraz musiała sama zająć się nauczaniem syna.

– Może pójde do naszego starego mieszkania. Pamiętam, że stróż miał młodszą siostrę w Rabce. Już raz dopytywał, czybyśmy jej nie wzięli na służbę; może akurat nie znalazła jeszcze pracy?

Jak powiedziała, tak i zrobiła. Po obiedzie ubrała się i ruszyła w stronę Rynku. Stróż stał w bramie, jakby na nią czekał.

– Bogu dzięki, pani Józefowo! – krzyknął na jej widok. – Jak dobrze, że pani przyszła. Nie mam waszego adresu, a tu ktoś na was czeka od wczoraj. – Te ostatnie słowa wygłosił szeptem.

– A kto taki? – zdziwiła się Józefowa.

– Pani za mną pójdzie – oświadczył stróż tajemniczo i zaprowadził ją do swojego mieszkańka.

Tam na łóżku siedziała umorusana dziewczynka w podartych zakrwawionych rajstopkach. Miała rudozłote kędziorki i pokryty piegami zadarty noseć. Och, jakże podobna była do matki!

– Jakiś chłop ją wczoraj przywiózł – wyjaśnił na widok zdumionego spojrzenia Józefowej. – Ponoć podała mu adres profesorostwa, mówiła, że tu mieszka jej tatuś...

– Rozumiem. – Józefowa zasznurowała usta i zmarszczyła brwi. Wyraźnie coś rozważała.

– To co, zabierze pani siostrzenicę do profesorowej? – powiedział stróż i zrobił porozumiewawczą minę.

– Tak, właśnie tak! – Józefowa lekko się uśmiechnęła. – Pójdziemy z małą do domu, jest zmęczona po podróży. Poczekam może tylko, aż się odrobinę ściemni.

– Ma się rozumieć. Niech pani usiądzie, mamy biały barszcz, żona ugotowała.

I tak Joasia trafiła pod skrzydła profesorowej Majewskiej. W kamienicy przy Różanej obie były nowe: sąsiedzi, jak się wydawało, nie zorientowali się, że w domu pojawiło się kolejne dziecko. Zresztą tyle było sierot dookoła. A dziewczynka chodziła z nimi do kościoła, głośno i wyraźnie mówiła Ojciec nasz. Wyglądała jak prawdziwy aniołek. Dziwna rzecz, choć była podobna do swojej matki jak dwie krople wody, po ojcu wzięła tylko kształt ust i dłoni. A mimo to Krystyna nie czuła gniewu ani zazdrości. Mała była słodka i przytulna, od razu skradła serce kobiety. Od razu też weszła w rolę córeczki, pieścioszki i ulubienicy. Krystyna nie broniła się przed tym. W czasie pierwszych tygodni próbowała odrobinę na siłę zaprzyjaźnić Joasię z Wandzią. Dziewczynki były w podobnym wieku. No i miały wspólnego ojca. Dlatego można je było traktować jak siostry. Tylko że Wandzia wcale nie miała ochoty na taką siostrę! Być może nie pamiętała świadomie sceny, jakiej była świadkiem: jej ojciec, rozradowany i pełen czułości, podnosił do góry małą Joasię i podrzucał, wołając: „Do słoneczka! Do słoneczka!”.

Nigdy w podobnie pieścizotliwy sposób nie traktował Wandy. Dziewczynka była zbyt mała, żeby poczuć prawdziwą zazdrość, ale jej ciało zakodowało ból i żal, które obudziły się w niej w tamtej chwili. Sama nigdy nie doświadczyła ojcowskiej miłości w podobny sposób. Tak, była za mała, żeby to pamiętać, ale jej ciało zapamiętało to doskonale. Dlatego instynktownie traktowała małą Joasię jak intruza, uzurpatorkę. No i trudno było się jej dziwić, skoro również jej matka darzyła małego rudzielca szczególnymi względami.

– Pobawisz się z Joasią, Wandziu? – zapytała profesorowa Majewska, wręczając przysposobionej córce nowiutką niebieską piłkę.

Obie dziewczynki wyszły pod opieką Krystyny na podwórko. Oj, jak bardzo Wandzia nie miała ochoty na zabawę z tą małą przybłądą. Powiedziała jednak:

– Pobawię się.

A kiedy Joasia rzuciła piłkę w jej kierunku, Wanda złapała ją, a potem cisnęła z całej siły tak, że zabawka wpadła za parkan

dzielący dwie posesje.

– No ładnie – jęknęła Krystyna. – I kto teraz pójdzie po piłkę?

– Ja nie pójdę – oświadczyła Wanda mściwie. – Niech ona idzie, skoro taka niezdara.

I mała poszła, bez szemrania. Bo właśnie taka była: posłuszna, rozumna i bezproblemowa. Naprawdę, trudno jej było nie lubić.

\*\*\*

Pojawienie się Joasi w domu Majewskich wniosło w surową rutynę, jaką jednak narzucała Krystyna, element beztroskiej radości – na przekór tragicznym okolicznościom. Dziewczynka była bystra, wesoła i całkowicie bezproblemowa. W dodatku od najmłodszych lat wykazywała wyjątkową inteligencję i rozmawiając z nią, wdowa po profesorze łapała się na tym, że przemawia do małego dziecka, jakby było ono jej rówieśnicą. Być może sprawiły to tragiczne miesiące spędzone w ukryciu i strachu – każdy by w takiej sytuacji wydorósł. Joasia, która wcześniej starała się nie sprawiać trosk swojej mamie i stale podnosiła ją na duchu, podobnie zaczęła postępować w nowym domu. Zupełnie inaczej niż Wandzia, która rosła na zakapiorka. Nie chciała jeść tego, co matka i opiekunka gotowały, wkładając w to całe serce, nie podobała jej się żadna zaproponowana zabawa, żadne zajęcie czy wycieczka. Kiedy z okazji Wielkanocy zajacek przyniósł obu dziewczynkom takie same błękitne sukienki szyte z satynowej zasłony wyniesionej w ostatniej chwili z domu przy Rynku, Joasia odtańczyła dziki taniec radości, podczas gdy Wandzia wydeła usteczka i oświadczyła, że nie będzie tego nosić. A następnego ranka, gdy Józefowa weszła do pokoju dziewczynek, żeby ubrać je do kościoła, znalazła sukienkę Wandy pociętą na kawałki, a samej dziewczynki nie było w mieszkaniu.

– Iwusiu, gdzie Wandzia? – zapytała przerażona, bo chłopiec, w przeciwieństwie do Joasi, siedział spokojnie w kącie pokoju i bawił się klockami.

– Wyszła – powiedział spokojnie. – Powiedziała, że już nie wróci, bo jej nie kochacie.



– Rany boskie! – Józefowa nie czekała dłużej, tylko złapała palto i wybiegła z mieszkania.

Chwilę później dołączyła do niej Krystyna, która najpierw musiała ubłagać syna, aby siedział spokojnie i „przynamniej on nie rozrabiał”.

– Jakbym kiedykolwiek rozrabiał – mruknął Iwo znad zabawek, a Joasia posłała przyszywanej matce przepiękny uśmiech. Tym razem nie roztopił jej serca.

Biegła przez Rynek Dębnicki, łapiąc przechodniów śpieszących do kościoła Stanisława Kostki. Czy nie widzieli... nie zauważyli... Ale nikt niczego nie widział. Po trzech godzinach poszukiwań weszła wreszcie do świątyni, która akurat wyludniła się po kolejnej mszy wielkanocnej. Usiadła w ostatniej ławce i zaczęła szlochać. Nawet nie usłyszała, jak ktoś usiadł obok niej. Gdy poczuła ciężar dłoni na ramieniu, podskoczyła.

– Przepraszam – usłyszała miły męski szept. – Nie chciałem pani przestraszyć.

Nieznajomy wyglądał bardzo niepozornie. Był niewysoki, miał mały wąsik i zaczesane do tyłu, falujące włosy. Tylko oczy... oczy robiły wrażenie niezwykłych.

– Dlaczego pani płacze? Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał.

Krystyna sama nie do końca rozumiała, czemu nagle postanowiła się zwierzyć temu nieznajomemu człowiekowi, dlaczego wyjawiała przed obcym to, czego nie ośmieliła się wypowiedzieć na głos nawet w obecności przyjaciółki. Najszczerzej, jak umiała, powiedziała o sobie, o mężu i wreszcie o tym, że cudze dziecko jest jej bliższe niż własne. I że to własne musi to czuć, bo uciekło z domu.

Mężczyzna słuchał w milczeniu, a na koniec powiedział:

– Pomodłę się za panią i pani rodzinę. Proszę się nie martwić. Bóg potrafi przeniknąć nasze serca, on wie o nas więcej niż my sami. Dziecko się za chwilę znajdzie, zobaczy pani. Jeśli będzie pani potrzebowała mojej pomocy, to proszę zejść dwa piętra niżej. Jesteśmy sąsiadami.

– Tak? – zdziwiła się Krystyna. A potem speszona dodała: – Bardzo przepraszam, jestem tak skupiona na dzieciach...

– Nic nie szkodzi. – Nieznajomy się uśmiechnął. – Dużo pracuję, rzadko wychodzę. Poznałem jednak pani syna...

– Iwona?

– Tak, Iwona. Wspaniały z niego chłopiec. Ma zadatki na świętego człowieka. I, powiem to pani w sekrecie, będzie z niego kiedyś wielki kaznodzieja.

Krystyna delikatnie odsunęła się od mężczyzny. „Wariat, jak nic!” – pomyślała, a on chyba wyczuł jej nieufność, bo uśmiechnął się i wstał.

– Do zobaczenia, pani Krystyno – szepnął, a nieco głośniejszym głosem dodał: – Dziecko zaraz się znajdzie. Przecież dziewczynka nie chce, żeby mama za nią płakała! Proszę pamiętać, zawsze służę pomocą. Mieszkam na parterze, nazywam się Jan Tyranowski, znajdzie mnie pani bez trudu.

I wyszedł z kościoła, pozostawiając Majewską w stanie lekkiego oszołomienia. Co za dziwny człowiek! Za chwilę jednak całkiem o nim zapomniała, bo zauważyła wychylającą się zza kolumny płową główkę. Ktoś ją obserwował. Mały ktoś. Serce zaczęło jej bić szybciej. Tak! To była Wanda! Cały ranek chowała się w kościele.

– Ty łobuzie! Jak mogłaś mi to zrobić! – zawołała, szlochając. – Tak strasznie się bałam!

Wanda wykrzywiła usteczka, ale oczy miała suche.

– Nawet jakbym zginęła, nic by się nie stało – powiedziała. – Masz Joasię.

– Jak możesz tak mówić, ty niewdzięczne dziecko! – Krystyna ciągnęła małą za rękę, a ta szła niechętnie, obserwując płyty chodnika. – Nie dostaniesz ciasta! – Matka wytoczyła najcięższą artylerię.

– Wcale nie mam ochoty na ciasto – oświadczyła Wanda i tego swojego zdania trzymała się przez dwa kolejne dni. Podczas gdy Joasia wcinała babę drożdżową, Wanda stanowczo odmawiała wszystkiego.

– Ja ci wreszcie dam w tyłek – grzmiała profesorowa, a Józefowa kręciła głową z niedowierzaniem.

– To małe ma taki charakter, że Boże zmiłuj. Oj, nie będzie mieć łatwego życia...

\*\*\*

U progu lata zdarzyły się dwie rzeczy, które zawazyły na dalszym losie rodziny Majewskich. Najpierw w ich domu pojawił się gość. Krewna świętej pamięci małżonka, Maria Latowicka. Była nauczycielką i prowadziła tajne komplety dla młodych panien. Niestety, ktoś ją „podkapował” i musiała zniknąć spod swojego poprzedniego adresu. Taka była wersja oficjalna. Nieoficjalna nie miała jednak konspiracyjnego charakteru. Maria kilka lat przed wojną zakochała się bez pamięci w swoim uczniu, któremu udzielała przed maturą korepetycji z łaciny i historii. Chłopak był z bardzo biednej rodziny, ale wściekle zdolny. Latowicka na początku zachwyciła się jego talentem, a potem ogólnie nim samym, bo dzieciak był wprawdzie młodszy od niej o całe dziesięć lat, ale dorodny i nad wyraz dojrzały. Najpierw udzielała mu za darmo lekcji, później zaczęła opłacać książki i kursy, wreszcie pozwoliła zamieszkać u siebie. Nawiazali romans, Maria liczyła na ślub. Ale gdy „dzieciak” stanął na nogi, dostał się na studia, czym prędzej porzucił swoją protektorkę dla młodszej, ślicznej i dość zamożnej panny. Biedna Maria jakoś to przeboleła. Ale jej protegowanemu coś tam nie wyszło w relacji z posażną panną. Został sam i bez grosza przy duszy. I do kogo się udał? Oczywiście do swojej ukochanej nauczycielki. Ta przyjęła go, najdosłowniej, z otwartymi ramionami. I byli ze sobą przez jakiś rok, planowali ślub, gdy tylko wojna się skończy. Tyle że chłopak zniknął. Maria dowiedziała się, że przebywa w Krakowie. I taki był właśnie powód jej zjawienia się w domu Krystyny. A że przy okazji powinna była zniknąć z rodzinnego miasta, gdzie prowadziła tajne komplety – to inna sprawa.

Maria przywiozła ze sobą zwiewne sukienki, perfumy, rękawiczki, kapelusze i wszystko to, czego zakochana kobieta używa, żeby wabić. Ta jej płochość irytowała Krystynę, która postanowiła do końca życia nosić ciemne stroje stosowne do swego stanu. Ale Maria pragnęła uchodzić za młodą, powabną, lekką – chciała, żeby właśnie tak widział ją jej ukochany. Dosyć szybko udało się jej go odnaleźć.

Zakochana kobieta potrafi zdziałać cuda, żeby wydobyć choćby i spod ziemi adres mężczyzny, za którym szaleje. Niestety, wraz z adresem wydobyła także wiadomość, że jej ukochany po raz drugi spletał jej paskudnego figla. Ożenił się. Jego wybranką okazała się kobieta starsza o półtora roku od Marii i... bardzo bogata. A jakże. Maria przyjęła tę informację ze spokojem. Spakowała walizki i powiedziała, że następnego dnia wyjeżdża. Dokąd – nie chciała zdradzić. Podarowała Wandzi bursztynową broszkę, Joasia dostała od niej pierścionek z zielonym oczkiem, Iwuś natomiast otrzymał obrazek przedstawiający świętego Judę Tadeusza.

– Nie mam nic lepszego dla chłopca – wytłumaczyła się.

Tego dnia słońce świeciło wyjątkowo pięknie. Józefowa zabrała Joasię i Wandzię do jordanika, Krystyna udała się z wizytą do Stasi Bemowej, natomiast Iwuś oświadczył, że chce złożyć wizytę sąsiadowi, panu Tyranowskiemu, który – jak się okazało – prowadził spotkania różańcowe dla chłopców.

– Nic złego mu się od tego stać nie może – mruknęła Krystyna, widząc wątpliwość na twarzy Józefowej. – Niech się chłopak modli.

Tak więc nikogo nie było w domu. Maria Latowicka ubrała się w swoją najładniejszą sukienkę w niebieskie kwiatki, założyła na głowę słomkowy kapelusz z szarfą, jeszcze rękawiczki i buty zapinane na guziczki, a potem poszła na most Dębnicki i skoczyła do Wisły.

Tego samego dnia Krystyna została wezwana na przesłuchanie. Pytano ją o różne rzeczy, między innymi o to, czy wiedziała, że kuzynka była zaangażowana w nielegalną działalność edukacyjną... Wszystko to wyglądało bardzo źle. Prosto z posterunku Krysia pojechała do Woli Duchackiej poradzić się przyjaciółki. Jeśli policja zacznie bardziej się nią interesować, to może złożyć jej wizytę i zobaczyć Joasię, której profil i rude kędziorki na pewno wzbudzą zainteresowanie. Zrobiło się niebezpiecznie.

– Musicie wyjechać – zdecydowała Stasia.

– Ale dokąd my mamy wyjeżdżać?! Do rodziców nie wrócę.

– O tym nie ma mowy. Jedźcie do Warszawy. Akurat zmarła moja stryjenka i zostało po niej pół domu na obrzeżu miasta. Możecie się tam przechować.

I tak pod koniec lipca 1943 roku Krystyna z Iwusem, Wandą i Joasią oraz wierną Józefową pojechali do Warszawy. Joasi, na wszelki wypadek, ogolono miedziane kędziory i zawiązano na główce chusteczkę.

**Warszawa, 1944**

Ulica, na której zamieszkały dzięki protekcji Stasi Bemowej, miała zaledwie dwanaście numerów i bardziej przypominała wieś niż miasto. Rankiem Krystynę budziło pianie koguta i muczenie krów. Oczywiście nikt z mieszkańców skromnych modernistycznych domków nie hodował zwierząt – poza jedną staruszką, Nowakową, która na własne potrzeby trzymała cztery białe kury. Te ciągle jej uciekały i chowały się na pobliskim placu zabaw, budząc uciechę dzieci – były bowiem bardzo przyjacielskie i dawały się karmić z ręki, jak piesek. Nowy dom Majewskich, jak wyjaśniła przyjaciółce Stasia, należał do krewnej, która zmarła, biedaczka, parę miesięcy wcześniej.

Jeśli Krystyna spodziewała się, że w nowym miejscu łatwiej będzie Joasi i Wandzie dojść do porozumienia, bardzo się pomyliła. Zgrzyt nastąpił już pierwszego dnia, przy podziale pokoi. Jasne było, że Józefowa musi mieć osobne pomieszczenie, podobnie jak Iwo, któremu obecność sióstr zaczęła już bardzo doskwierać. No ale poza tym do dyspozycji były jeszcze dwa pokoje, więc Krystyna sądziła, że ulokuje w jednym z nich dziewczynki, a drugi zajmie sama. Niestety, Wanda twardo oznajmiła, że nie zamierza dzielić sypialni z Joasią, na co ta ostatnia zgodziła się z uśmiechem: stwierdziła, że w takim razie ona „będzie spać z mamusią”. I żeby jeszcze dobitniej podkreślić swój zamiar, przyłgnęła do Krystyny, obejmując ją pulchnymi rączkami.

Gdyby Krystyna umiała przeniknąć duszę własnego dziecka, zgasiłaby ten uśmiech pełen tkliwości, jaki wypłynął jej na oblicze. Nie przygarnęłaby do siebie Joasi gestem pełnym czułości. Nie powiedziałaby tych strasznych słów:

– Dobrze, w takim razie ja zabiorę Joasię, a ty będziesz sobie sama.

Nawet po wielu latach, gdy dorosła już Wanda przywoływała wspomnienie owej chwili, czuła, jak wokół serca rozlewa jej się lodowaty strach. Że matka naprawdę weźmie Joasię, a ją pozostawi na pastwę losu. W tym pokoju, w tym mieście, w tym życiu...

Krystyna zupełnie nie miała świadomości dramatu rozgrywającego się pod jej boki. Miała inny problem na głowie. Przyzwyczajona do przestronnych pięknych pokoi, pełnych mahoniowych mebli i brązowych kinkietów, potraktowała tę przeprowadzkę jako kolejny krzyż, który przyszło jej dźwigać. Towarzystwo mieszkające w sąsiedztwie również nie odpowiadało jej aspiracjom. Gdzież im było do Bemów, Majewskich czy Wolfów! Niewielkie domy – dzieło inżyniera Millera, który miał za zadanie zaprojektować osiedle na miarę możliwości skromnych urzędników państwowych, pracowników poczty, nauczycieli szkoły powszechnej, a powierzone mu zadanie wykonał lepiej niż dobrze. Domki były estetyczne, przytulne, ale jednocześnie niewielkie i dość ciasne. Dla profesorowej, bywającej w salonach Krakowa, stały się już na zawsze symbolem jej upadku. „Zdeklasowałyśmy się, Józefowo” – szepnęła któregoś dnia do wiernej służącej, patrząc, jak ta krząta się po kuchni, w której gotowało się na czymś w rodzaju kozy, bo na nic większego nie było tam miejsca. Józefowa wzruszyła ramionami i odburknęła: „Niech się pani profesorowa puknie w głowę, dobrze?”.

Krystyna westchnęła ciężko, ale nic nie odpowiedziała. Wiedziała, że to Józefowa – a nie ona – ma rację. Żyły. Były na razie bezpieczne. Wszystkie cztery, w tym także Joasia. Mała rosła i piękniała w oczach, coraz bardziej upodabniając się do matki. Nie było nikogo, kto nie zwróciłby uwagi na tę radosną buźkę okalaną rudymi, krótkimi jeszcze kędziorami. W niedzielę wszystkie cztery chodziły przez pola bielańskie do kościółka Świętej Marii Magdaleny. Krystyna zawsze starała się, aby dziewczynki wyglądały szczególnie elegancko i żeby ich wspólna wyprawa nie uszła uwagi sąsiadów. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże” – szeptała do ucha Józefowej, która wznosiła oczy do nieba, widząc, jak profesorowa

wiesza na szyi Joasi różaniec. Wydawało się, że nikt niczego nie podejrzewa. Ubrane w identyczne płaszczyki dwie panienki mogły uchodzić za siostry urodzone w odstępie dwunastu miesięcy – co prawda mało podobne, ale czy nie zdarza się, że prawdziwe rodzeństwo jest do siebie kompletnie niepodobne? Przez parę tygodni wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Krystyna poczuła się bezpieczna do tego stopnia, że postanowiła urządzić dla dziewczynek kinderbal – u progu wakacji. „Wojna nie może się położyć cieniem na ich młodych latach!” – zawyrokowała. W okolicy mieszkało trochę dzieci, z którymi Joasia i Wandzia bawiły się w jordanek. Józefowa upiekła ciasteczka, ugotowała kompot z papierówek i powiesiła girlandy między drzewkami morelowymi, które lada moment miały wydać bogaty plon. Gromada maluchów bawiła się w berka i w „Stary niedźwiedź mocno śpi” – wodzirejką była oczywiście niezawodna Józefowa. Dzień był upalny, w powietrzu unosił się słodki zapach dojrzewających owoców, żółte motyle obsiadły krzew różany i Krystyna po raz pierwszy od śmierci męża przypomniała sobie, jak może wyglądać szczęście.

Przestało jej przeszkadzać, że nowe sąsiadki nie są tak eleganckie jak krakowskie damy, wśród których zwykła się obracać. Szczególnie jedna sąsiadka, Maria Sonnenfeldowa, wdowa po urzędniku elektrowni, stała się jej bliska. Pan Sonnenfeld zginął parę miesięcy wcześniej. Miał on i żydowskie, i niemieckie korzenie, choć to te drugie przysporzyły mu kłopotów. W pracy zaproponowano mu podpisanie folklisty – a on stanowczo odmówił. „Nie boi się pan?” – zapytał go urzędnik zdziwiony jego nieprzejednaną postawą. „A boję, jak jasna cholera! – odpowiedział, drapiąc się po łysinie. – Ale wyznam panu, że dużo bardziej boję się swojej żony i tego, co by ona na to powiedziała!”.

Tak właśnie wyglądała droga pani Maryjki do wdowieństwa, bo safandulowaty pan August raz-dwa trafił do obozu. Nosiła swoją żałobę z godnością. Prawdopodobnie ze względu na wspólny los zaprzyjaźniła się z Krystyną, a synek pani Maryjki bardzo lubił się bawić z Iwonem. Poza tym pani Maryjka wspaniale mówiła po francusku i Krystyna namówiła ją, żeby zaczęła udzielać lekcji jej



dziewczynkom. Ta z radością na to przystała i odtąd siadała z nimi obiema w ogrodzie, żeby ćwiczyć wymowę: je suis, tu es, il, elle est... Potem, po kinderbalu, Sonnenfeldowa pomogła Krystynie posprzątać i od tego momentu spotykały się praktycznie codziennie na plotki i kieliszek domowego wina.

Któregoś dnia, gdy właśnie Wanda i Joasia trenowały z panią Marią francuskie słówka, a Krystyna wieszała pościel przed domem, do furtki zadzwonił listonosz. Podeszła, a on – znała go przecież, przyniósł jej parę dni wcześniej list z Krakowa od Stasi – skłonił się i powiedział:

– Pani Majewska, chodzą słuchy, że Niemcy będą robić porządki na posesjach.

– Tak? – zdziwiła się Krystyna.

– Ano, widzi pani, tak. Taki to porządny naród. Więc jak pani ma co do schowania, to niech sobie to pani dobrze schowa.

– Ale... ja mam porządek przecież. – Ciągle jeszcze nie rozumiała, co do niej mówi.

– A ja pani powtarzam, żeby pani dobrze schowała to, co ma do schowania, i... co złego, to nie ja!

Po czym strzelił obcasami i oddalił się, pozostawiając Krystynę w stanie całkowitego osłupienia.

– Ale co ja mam takiego schować? – Rozejrzała się bezradnie, a jej wzrok spoczął ostatecznie na złamanych grabiach opartych o morelę. Czyżby...

– Na pewno nie miał na myśli grabi! – oświadczyła Józefowa, gdy Majewska zreferowała jej wymianę zdań z listonoszem. – On wie i panią ostrzegł. Musimy ukryć Joasię!

– Ale jak mam ją ukryć, kiedy już wszyscy tu wiedzą, że mam dwie córki! Nikt się nawet nie domyśla, że Joasia to Żydówka! – lamentowała Majewska.

Powrócił do niej strach, który czuła zaraz po śmierci męża. Przez ułamek sekundy miała nawet taką myśl, żeby się odezwać do rodziców... Chociaż wcześniej przysięgała sobie, że tego nie zrobi. Że jej matka i ojciec w istocie dla niej umarli, a ludzie, którzy żyją, to jacyś obcy, z którymi nie ma nic wspólnego.

Szybko wyszło na jaw, że nie tylko listonosz wiedział nieco więcej, niż się wydawało. Świadoma sytuacji była także Maryjka Sonnenfeldowa, u której Majewska szukała rady.

– Moja droga... to dziecko jest śliczne, prześliczne. Ale ma takie klasyczne semickie rysy. Nie sposób się nie domyślić. Tym bardziej kiedy stoi przy twojej córce, która jest taka do ciebie podobna. Niestety, nie tylko ja tak uważam.

Ratunek przyszedł z najmniej spodziewanej strony. Pomocną dłoń wyciągnęła do nich inna sąsiadka. Po prostu zadzwoniła do furtki, a gdy Józefowa otworzyła jej drzwi, bez słowa zaproszenia wpakowała się do przedpokoju.

– Niech pani wybaczy, że nie przestrzegam zasad dobrego wychowania – odezwała się do Krystyny zdumionej jej bezczelnością – ale nie mam zbyt wiele czasu. Wiem, że zostały panie ostrzeżone. Cała nasza ulica została i... to ja kazałam państwa poinformować. Z racji mojego, że tak powiem, położenia mieszkam dostępnym do niektórych informacji. Sąsiedzi nie mają o mnie zbyt dobrego zdania, ale niech mi pani wierzy: nic nie jest takie, na jakie wygląda...

Krystyna uśmiechnęła się lekko: tego ostatniego jej akurat nie trzeba było tłumaczyć. Całe jej życie nie było tym, na co wyglądało. Sąsiadka faktycznie nie cieszyła się dobrą opinią. Mieszkała na sąsiedniej ulicy i jej dom był największy w tej części Bielan. Urządzała ogrodowe przyjęcia, na których często bywali Niemcy. Podobno jej mąż podpisał folkslistę. Stasia Bemowa, jak zwykle dobrze poinformowana, uspokoiła jednak Krystynę, że przecież „najciemniej nad latarnią” i że właśnie dlatego, że ma pod bokiem ustosunkowanego folksdojczka, może się czuć bezpiecznie, byle tylko specjalnie nie zwracała na siebie uwagi. Wtedy Majewska uśmiechnęła się ponuro. Kiedyś, jako młoda dziewczyna, bardzo chciała błyszczeć, pokazywać się, bywać... Ale z tym już koniec, wszystko skończone. Liczyło się tylko to, żeby ochronić Joasię, pomóc jej przetrwać wojnę. Teraz się nie uśmiechała. Czuła, jak serce zmienia jej się w sopel lodu z przerażenia, zakręciło jej się w głowie tak, że musiała się oprzeć o ścianę. Sąsiadka potwierdziła to, co Krystyna usłyszała już od Maryjki. Po kinderbalu któraś

z matek zaczęła głośno wyrażać obawy co do prawdziwego pochodzenia Joasi... „Zupełnie nie wygląda na Polkę” – miała podobno powiedzieć.

– Niestety, tego typu wiadomości lubią trafić do niewłaściwych uszu, właśnie dlatego planowana jest kontrola na waszej ulicy.

– Ale co ja mam teraz zrobić? – szepnęła Majewska.

– Jak to co? Wyjedziemy gdzieś na wieś – zawyrokowała Józefowa, która przysłuchiwała się tej rozmowie z kamienną twarzą. Ta kobieta nigdy nie okazywała lęku.

– Mam lepszy plan – oświadczyła sąsiadka. – Wezmę do siebie dziewczynki na tydzień. Obie.

– Ale... jak to?

– Pani musi wyjechać, a ja, jako dobra sąsiadka, wezmę córeczki do siebie. Mamy duży dom, a mój mąż wie, że cierpię z powodu braku dzieci...

Majewska przyjrzała się jej uważnie, ale nie wyczytała z oblicza kobiety niczego podejrzanego.

– Zresztą naprawdę chętnie z nimi pobędę – ciągnęła sąsiadka. – Dzięki temu pani przeczeka kontrolę, pani Józefowa zajmie się domem i synkiem pani. W razie czego wpuści Niemców do środka, a gdy już znikną, wróćcie wszyscy do siebie.

Na wątpliwość Krystyny, czy mąż sąsiadki – który przecież współpracował z okupantami – niczego się nie domyśli, kobieta gniewnie prychnęła.

– Już moja w tym głowa. Muszą mi panie zaufać.

I tak się stało. Wandzia i Joasia przeniosły się do pani Mileny Darskiej. Później, gdy obie były już dorosłe, wspominały ten tydzień jak cudowne wakacje w luksusowym kurorcie. Dom Darskich był, jak na okolicę, naprawdę wystawny – nie należał do serii modernistycznych domków wybudowanych dla niezbyt zamożnych urzędników niższego szczebla. Był piętrowy, murowany, z pięknym tarasem, z którego spoglądało się na duży ogród. Gospodyni kochała kwiaty, więc obsadziła go najrzadszymi odmianami magnolii, peonii i róż. Pośrodku ogrodu stała wielka huśtawka i dziewczynki bujały się na niej od rana do wieczora. Albo bawiły się z psami. Pani Milena miała parę pięknych wyżłów, które – choć robiły groźne

wrażenie – były potulne i przyjacielskie. Joasia zaraz dosiadła jednego z nich, a pocziwe psisko obwoziło ją na grzbiecie dookoła ogrodu. Gdy panny znudziły się psami, ich nowa opiekunka wyciągnęła z kuferka kilka starych książek dla dzieci, być może własnych pamiątek z dzieciństwa, i czytała dziewczynom piękne bajki. Rzecz, której nigdy nie robiła Krystyna.

– Chciałabym mieć taką mamę jak ty – wyszeptała jej do ucha Wandzia, gdy Darska przysłała do tymczasowego pokoju dziewczynek, żeby powiedzieć im dobranoc. – Jesteś taka kochana.

Kobieta poczuła, że łzy nabiegają jej do oczu, więc nic nie powiedziała, tylko przytuliła dziewczynkę do siebie i nim wyszła, szepnęła:

– Jesteś największym skarbem na świecie. Twoja mama ma szczęście.

Joasia szybko zasnęła, ale Wanda długo jeszcze leżała z szeroko otwartymi oczami, przepowiadając sobie w myślach słowa Mileny Darskiej jak najpiękniejszą modlitwę. „Moja mama ma szczęście... ma szczęście”.

Następnego dnia przysłała spodziewana kontrola, ale nic złego się nie stało. Niemcy skonstatowali, że wszystko jest w porządku i na posesji nie widać śladów ukrywania ludzi. Podobna była konkluzja po wizytach na sąsiednich działkach. Gdyby jednak zechcieli nieco uważniej przeszukać dom numer dwanaście – czyli stojący po przeciwnej stronie ulicy niż ten, w którym mieszkała Majewska – być może przyszłoby im do głowy, żeby odsunąć od ściany wielką dębową szafę stojącą w kuchni. Wtedy ich oczom ukazałby się otwór w ścianie. Dom był częściowo podpiwniczony i przez otwór można było dostać się pod kuchnię. Tam przy świetle świecy za dnia siedział profesor Infeld, astronom. Wychodził pod osłoną nocy, przyglądał się gwiazdom i szeptał: „Niech będzie wywyższone i uświęcone Jego wielkie imię, na świecie, który On stworzył, wedle Swego postanowienia i niech nastąpi Jego królowanie za naszego życia i za naszych dni...”. Jemu także się udało. Przeżył. Przechowała go staruszka, Nowakowa, ta sama, która hodowała kury.

\*\*\*

Ojciec Hieronim na moment przerwał opowieść, żeby podnieść z ziemi dorodne jabłko.

– To kosztela – powiedział z uśmiechem. – Weź, Uleczko, u was w Warszawie już takich nie robią.

– I co było dalej? – dopytywała Urszula, jakby to był film, książka, ale nie życie jej babki i matki. – Dlaczego Joasia zniknęła z naszego życia?

– Nie niecierpliw się. Spokojnie. Daj odetchnąć staremu wujowi. Muszę zwilżyć czymś gardło. Może... dasz się namówić na kieliszek wina? Mszalnego?

– To wam tak wolno? – burknęła obruszona Urszula.

– Dzieło Boże wymaga uwielbienia. Ja, pijąc, wielbię. Ale jeśli masz ochotę, możesz wielbić sok z kapusty. Nasz brat Joachim robi świetną kiszoną kapustę i wpadł na pomysł, żeby sprzedawać sok z niej jako „dobroczynny kwas benedyktyński”.

Urszula parsknęła śmiechem.

– Ma chłopak głowę na karku – powiedziała.

– Ano ma – uśmiechnął się Hieronim. – A że kwas dobrze działa, to sam Joachim jest tego dowodem. W przyszłym tygodniu skończy dziewięćdziesiąt sześć lat!

– Powiedz, co z tą Joasią się stało. – Urszula za nic na świecie nie chciała, żeby właśnie teraz wuj zбочzył na jakieś kulinarne tematy.

Zatem Hieronim opowiadał dalej.

\*\*\*

W czerwcu 1944 roku w Warszawie czuć było napięcie. Mieszkańcy miasta byli tak strasznie zmęczeni okupacją, zagniewani i zdeterminowani, że wybuch powstania był wyłącznie kwestią czasu. Po prostu musiało do tego dojść. Zanim jednak wybiła godzina W, zdarzyły się dwie rzeczy, które skierowały myślenie mieszkańców niewielkiej bielańskiej uliczki na inne tory. Pewnego

dnia jak grom z jasnego nieba gruchnęła wieść, że Milena Darska nie żyje.

– Nie wiem, co się stało, pani profesorowo – mruzczała Józefowa – ale biedna kobieta zastrzeliła się w wannie.

– Boże jedyny, jak to możliwe? – jęczała Krystyna, łapiąc się za głowę.

– Może jej co ten folksdojcz zrobił? – dociekała Józefowa.

– Może już nie mogła znieść dłużej takiego życia w rozdarciu? – Majewska czuła, że rozumie desperacki krok sąsiadki, i było jej głęboko żal.

Żadna z kobiet nie zauważyła, że rozmowie przysłuchuje się Wandzia schowana za drzwiami kuchni. Dziewczynka niewiele rozumiała z tej wymiany zdań, doszło do niej jednak, że wydarzyło się coś strasznego i że kobieta, która uważała ją za szczęście i skarb, nie żyje. Co prawda z Mileną Darską miała do czynienia tylko ten jeden raz, gdy tamta zabrała ją do siebie na kilka dni, ale ów pobyt odcisnął na psychice dziewczynki mocny ślad. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, że i ona może być dla kogoś skarbem, jedynym, najcenniejszym. I wtedy też chyba zrodziło się w niej pragnienie, aby o ten status wyjątkowej osoby walczyć do ostatniej kropli krwi. Józefowa nie rozumiała, dlaczego Wandzia płacze, siedząc w kącie pokoju, choć przecież dostała ulubioną zupę nic z piankami i ryż z jabłkami. Dlaczego jest tak przybita i dlaczego w końcu dostała gorączki.

– Muszę iść do apteki po aspirynę – zawyrokowała, gdy termometr pokazał trzydzieści osiem i trzy.

Wybiegła z domu – w pobliżu była dość dobrze zaopatrzona apteka, jednak w jej drzwiach zastała kartkę: „Nieczynne z powodu choroby”. Musiała więc iść dalej. Kolejna apteka również była nieczynna i biedna Józefowa biegła dalej. Znalazła się raptem na ulicy, na którą wcześniej się nie zapuściła. Dość daleko od domu. Z niewiadomej przyczyny poczuła niepokój. Czasem tak się zdarza, że ludzie instynktownie wyczuwają zagrożenie – choć nie ma po temu żadnych racjonalnych przesłanek. Być może chodziło o ten duży samochód, który wyjechał zza zakrętu i nagle zwolnił, a potem się zatrzymał. Józefowa zaczęła szukać wzrokiem jakiejś bramy,

miejsca, gdzie mogłaby się schować. Za późno. Spod plandeki wozu wyskoczyło dziewięciu uzbrojonych żołnierzy, którzy zaczęli zaganiać ludzi z ulicy pod mur. Nie udało jej się uciec. Poczła nagle brutalne szarpnięcie, a potem czyjeś ramię pchnęło ją w stronę przerażonych osób. Józefowa oparła się plecami o ścianę, a potem wsunęła rękę do kieszeni, gdzie zawsze nosiła niewielki różaniec. Usta zaczęły szeptać słowa modlitwy, bo śmierć była blisko.

Tym razem jednak minęła ją bokiem. Niemcy zapędzili wszystkich na pakę i powieźli na drugą stronę Wisły. Józefowa, która słabo znała Warszawę, dowiedziała się, że pewnie umieszczą ich w obozie przejściowym na Pradze. A potem kto to wie... Do dołu w ziemi, do obozu albo do Reichu, do roboty. Nie miała wątpliwości, że nikt nie będzie chciał jej wysyłać do pracy. Przekroczyła sześćdziesiątkę, więc kto by ją brał do pracy. Zatem obóz albo śmierć. Śmierć albo obóz. A właściwie to w jej wypadku na pewno na jedno wychodzi.

Los jednak chciał inaczej. Listonosz, który ostrzegł Krystynę, że będą przeszukania, tym razem siedział nad filiżanką herbaty u jednego z mieszkańców. Przez szybę widział, co się stało, w potarganej starszej pani rozpoznał Józefową. I tak, dzięki jego życzliwości, Krystyna dowiedziała się, że ma stracić najbliższą sobie osobę. Jedyną tak bliską i oddaną w całym jej życiu. Najpierw wpadła w czarną rozpacz, a potem zaczęła szukać sposobu.

– Jest taki człowiek – powiedziała Maryjka Sonnenfeldowa, która jak co dzień wpadła do niej na plotki. – Ma kontakty z Niemcami. Ale to będzie ogromny wydatek, nie wiem, czy jesteś na to gotowa.

Krystyna skinęła głową w milczeniu, a gdy przyjaciółka wróciła do domu, ściągnęła z palca pierścioneł z wielkim brylantem – prezent zaręczynowy od męża. Wyjęła z uszu kolczyki z koralem. Wyszperaa też złoty wisior – ten z kolei był prezentem od babki z okazji szesnastych urodzin. Na koniec, z pewnym ociąganiem, zsunęła ze spuchniętego palca dwie obrączki: cieńszą i grubszą. Obie miały wygrawerowaną w środku datę jej ślubu. I słowa: „Na zawsze twój”, „Na zawsze twoja”. Krystyna przypatrywała się grawerunkom ze zdziwieniem. Jedenaście lat... tak, to było jedenaście lat temu,

a jakby minęło całe stulecie. Świat jest inny i ona też jest inna. Tak bardzo inna, jakby chodziło o zupełnie innego człowieka.

To się już zresztą nie liczyło. Liczyło się tylko to, że dzięki tym dość skromnym fantom udało się Józefową wykupić i przewieźć na Bielany. Kucharka ciężko odchorowała tę przygodę, przez dwa tygodnie leżała w łóżku. Ale potem wstała jak nowo narodzona i... zabrała się do szorowania podłóg.

– Strasznie pani profesorowa zapuściła dom, mój Boże, co to by było, gdyby mnie zabrakło! – lamentowała.

Kończył się lipiec, słoneczny i suchy. Krystyna słuchała utyskiwań Józefowej i pomyślała z ulgą, że teraz to może w końcu trochę odpoczną.

Zapomniała o starej prawdzie: nieszczęścia chodzą parami.

\*\*\*

– Nie marudź, Wandziu! Spójrz na Iwona, nigdy nie grymasi. Popatrz na Joasię, jak zajada. Zawsze uśmiechnięta dziewczynka, weź z niej przykład.

Krystyna zorientowała się, że powiedziała to nieco zbyt ostro. Wanda posłała jej naburmuszone spojrzenie znad porcelanowego talerza ręcznie malowanego w rajskie ptaki na gałęziach jabłoni, na którym leżały dwie kromki czarnego chleba posmarowane marmoladą buraczną. W filiżance, dla odmiany pokrytej malunkiem róż, znajdowała się kawa palona z tego samego surowca co marmolada i dosładzana sacharyną.

Jednym słowem: ohyda.

Krystyna westchnęła. Ostatnio wiodło im się naprawdę nędznie. Jak można by dzieciom uprzyjemnić ten pochmurny sierpniowy wtorek?

– Chodźcie, pojedziemy tramwajem na spacer. Wsiądziemy na placu Unii i pójdziemy w stronę parku Ujazdowskiego.

Krystyna klasnęła w dłonie, starając się włożyć w ten gest cały entuzjazm, na jaki było ją stać. Joasia natychmiast się do niej



uśmiechnęła. Wanda natomiast nadal miała ponury wyraz twarzy. Mój ty świecie, tej dziewczyny nic w życiu nie ucieszysz.

– Mogę zostać w domu, mamó? Boli mnie głowa – szepnął Iwo.

Krystyna pogłaskała go po policzku. Wiedziała, że Iwo śmiertelnie bał się zielonoszarych mundurów, krzyku żołnierzy. Niechętnie jeździł „do miasta”, jak nazywali warszawskie Śródmieście. U nich, na Bielanach, było prawie jak na wsi...

Obie dziewczynki zgodnie włożyły sznurowane trzewiczki i letnie paletka uszyte z cienkiego zielonego płótna. Były tego samego wzrostu, Majewska kupowała im więc bądź sama szyła takie same ubrania, dla wygody. Nie ona jedna zauważyła, że Joasia prezentuje się w tych biedakreacjach znacznie lepiej od Wandy. Córka Majewskiej miała bowiem dziwną przypadłość: ubrania osobliwie na niej sterczały, wybrzuszały się w nieoczekiwanych miejscach, sukienki były albo za krótkie, albo za długie, sweterki zbyt ciasne lub szerokie i zawsze w nietwarzowych kolorach.

Ruszyły w stronę przystanku. Na ścieżce minął je pędem jakiś młodzian w skórzanym płaszczu, choć przecież było ciepło, jakieś osiemnaście stopni. Krystyna odniosła wrażenie, że chłopak chowa coś za pazuchą.

– A ty łapserdaku jeden! A niech cię! – rozległ się wrzask.

Krystynę chłopak tylko musnął ramieniem, za to niemal wpadł na idącą również w stronę przystanku Nowakową. Babulinka prawie się przewróciła, udało jej się jednak odzyskać równowagę. Krystyna podbiegła, chwyciła starszą panią pod ramię.

– Widziałaś pani? Jaka to teraz młodzież, nawet nie przeprosił! Skaranie boskie, co ta wojna z ludźmi powyczyniała! – zaczęła swoje utyskiwania Nowakowa.

– Niestety, zdziczenie obyczajów... – westchnęła Krystyna.

Przez zamieszanie nie zdążyły na tramwaj, musiały poczekać na kolejny, spędziły pół godziny, słuchając narzekania sąsiadki.

Gdy tramwaj przejeżdżał przez wiadukt przy Dworcu Gdańskim, z daleka, od strony ulicy Suzina, dało się słyszeć huk i terkotanie, jakby... broni? Pasażerowie nerwowo rozejrzeli się po sobie, ale tramwaj jechał dalej. Krystyna, która siedziała z dziewczynkami na końcu wagonu, zdążyła się jeszcze obejrzeć za siebie i zobaczyła, że

wokół dworca robi się zielono od żołnierzy. Łapanka? Niewykluczone. Na szczęście droga przed nimi była wolna, a na dodatek wyszło słońce. Zapowiadało się całkiem miłe popołudnie. Było tuż po czternastej.

Gdy wysiadły na placu Unii, Krystyna poczuła narastający niepokój. Coś było nie tak. Tu i ówdzie widziała młodych ludzi idących grupkami, niektóre z nich kryły się w bramach na widok niemieckich patroli, inne – wprost przeciwnie. Chłopcy, na oko żaden nie był nawet pełnoletni, szli prosto na żołnierzy z zaciętymi minami i rękami w kieszeniach. A Niemcy... tak, to była nowość, coś zadziwiającego: oni się bali, Krystyna doskonale to widziała, te blade twarze, rozbiegany wzrok, już nie czuli się tu jak u siebie, pewnie i bezpiecznie.

Jej zdaniem nie wróżyło to niczego dobrego.

Mimo to ruszyła ulicą Klonową, trzymając dziewczynki za ręce i rozglądając się bacznie. Tak, nie myliła się. Wszędzie było pełno Niemców, wyraźnie zdenerwowanych.

Już prawie dochodziły do Belwederskiej, gdy z lewej strony, od ulicy Flory, rozległ się ten sam grzechocący, ale tym razem znacznie głośniejszy niż na Żoliborzu dźwięk: seria z broni maszynowej. Krystyna skuliła się, pociągnęła dziewczynki w tył, ukryła się za słupem ogłoszeniowym i stamtąd zobaczyła, jak na Flory, dokładnie naprzeciwko cukierni Dakowskiego, pada młody chłopak. Nawet z tej odległości widziała, że jest martwy. Usłyszała tupot nóg, oddalający się i przybliżający, za chwilę grupkę schowaną za słupem minęło dwóch nastolatków.

– To „Sadowski”! Syn premiera Świtalskiego! Za miesiąc skończyłby szesnaście lat! – usłyszała trzęsący się ze zdenerwowania i rozpaczony głos jednego z chłopców.

Nie było czasu do stracenia.

– Musimy wracać do domu, do Iwona, za wszelką cenę, jak najszybciej! To powstanie! – syknęła do dziewczynek.

Odwróciły się i prawie biegiem ruszyły w stronę placu Unii Lubelskiej. W oddali słychać było wycie syren.

Nagle Krystynę naszała straszna myśl: a jeśli ten huk i zamieszanie na Żoliborzu to były elementy tej samej akcji? A ci Niemcy, których

widziała, gdy odwróciła się w tramwaju... Boże, tak, na pewno odcięli wiadukt. Nie dostaną się na Żoliborz, nie tramwajem, nie koło Dworca Gdańskiego, tam raczej wszystko pozamykane, obstawione, a Niemcy pewnie rozstrzelują już ludzi, jak zawsze, gdy Polacy podnosili głowy...

– Boże przenajświętszy, jak tu iść? Musimy dostać się na Bielany od tyłu. Przejdziemy przez Powązki.

Wiedziała, że miasteczko Powązki było słabo zaludnione. Jeszcze przed wojną rozparcelowano działki rodziny Cohenów, działały tu liczne zakłady produkujące chałwę, artykuły metalowe, kosztowną żywność, funkcjonowały składy towarowe i przemysłowe prowadzone głównie przez Żydów, więc teraz opustoszałe. Krystyna nigdy nie zapaściłaby się na te dzikie tereny. Doszły ją słuchy, że nawet organizowano tu nielegalne pogrzeby młodziutkich żołnierzy AK zamordowanych przez Niemców. Należało tylko trzymać się jak najdalej od Fortów Bema i Instytutu Chemii Przemysłowej, w którym rezydowało na stałe SS.

Nie miały jednak wyjścia. Krystyna postanowiła, że będą unikać tramwajów, pieszo dojdą na Wolę. Uważała, że w razie łapanek – a jeśli coś działo się w mieście, łapanek były prawdopodobne – tramwaj jest jak żelazna trumna. Nie da się z niego uciec.

– Będziemy długo iść i musimy iść szybko. To gra na czas. Nie chcę słyszeć, że którąś bolą nóżki. – Spojrzała na dziewczynki ostro, karcąco. Nie było czasu na patyczkowanie się, tłumaczenie, przytulanie. Musiała działać.

Szły przez coraz bardziej niespokojne miasto, a raczej to Krystyna wlokła je ulicami, starając się nie dostrzegać łez płynących po twarzy Wandzi. Joasia miała zaciętą minę i zaciśnięte zęby. Krystyna widziała, że piętę ma obtartą do krwi.

„W mieście działają bandyci i rozpoczyna się wymierzona przeciwko nim akcja” – trzeszczały na ulicach szczekaczki.

Było już po czwartej, gdy Krystyna z dziewczynkami przecięły Obozową i zmierzały w stronę Lasku na Kole. Jego skrajem Krystyna chciała przedostać się przez tory kolejowe na bielańską stronę. Wtedy usłyszała, że do komunikatu nadawanego z głośników

dodano ciąg dalszy: „Każdy cywil, który się znajdzie na ulicy, będzie zastrzelony”.

– Zastrzelony! – rozpląkała się Wanda. – Zastrzelą nas!

– Uspokój się natychmiast! – warknęła Krystyna. – Bo jeśli nas zastrzelą, to przez ciebie.

Córka ucichła, choć Krystyna wiedziała, że bardzo ją uraziła. Dochodziły już do torów, kryjąc się w gęstych krzakach. Teraz czekała je prawdziwa przeprawa: musiały wyjść na otwartą przestrzeń, przejść przez tory.

Wciąż z tyłu, od strony Woli i Śródmieścia, słychać było strzały. Czekały w gęstych zaroślach czarnego bzu prawie kwadrans. Nie było słychać żadnego ruchu na torach ani wzdłuż nich, panowała cisza.

– Teraz. Biegniemy – zakomenderowała Krystyna i poderwała się do biegu, ciągnąc za sobą dziewczynki.

Były w połowie torowiska, gdy rozległa się seria z karabinu. Wandzia i Joasia pisnęły przestraszone. Krystyna widziała kątem oka pył i kamienie pryskające spomiędzy podkładów kilkadziesiąt metrów od nich, tam gdzie trafiały kule. Potem było to już tylko kilkanaście metrów. Strzelec mierzył, celował w nie. Próbowwała przyspieszyć, ale dziewczynki były bardzo zmęczone, przerażone, poza tym biegły na miarę możliwości swoich krótkich nóżek.

Tylko kilka metrów od nich wzbił się tuman kurzu, trysnęła fontanna drobnych kamyczków, jeden z nich uderzył Krystynę w twarz. Chwyciła za to miejsce, zapiekło, zabolalo, przez chwilę myślała, że to odłamek, ale nie: na dłoni nie było śladu krwi.

Dopadły krzaków po drugiej stronie torów, skryły się w nich, mimo to nadal biegły. A jeśli ktoś ruszy w pościg? Nie mogły się zatrzymać.

Wanda poślizgnęła się na wystającym korzeniu i upadła, Krystyna mocno szarpnęła ją za rękę, widziała, że córka ma kolana zdarte do krwi, płaszczyk porwany, uwalany ziemią.

– Szybciej! Rusz się! Chcesz, żeby nas przez ciebie zabili? – wyszeptała groźnie.

Wanda spojrzała na nią z żalem, podniosła się, płakała bezgłośnie. Joasia natomiast była jak w transie, miała spokojną twarzyczkę,

zapatrzona gdzieś daleko, w przestrzeń.

Znów ruszyły, ale po chwili to Krystyna zwolniła zdyszana. Zagajnik wokół nich pozostawał cichy, huk i terkot broni, teraz już bardzo wyraźny, słabł z każdym metrem. Nikt ich nie gonił. Nie musiały już biec.

Żoliborz i Bielany zdawały się spokojne. Może walki tu nie dotarły? Może niepotrzebnie ciągnęła dziewczynki przez tory, naraziła na niebezpieczeństwo?

Mimo to nie zdecydowała się iść głównymi ulicami, wciąż dudnił jej w głowie komunikat ze szczekaczek: każdy cywil napotkany na ulicy zostanie zastrzelony.

Przedzierały się opłótkami, podwórkami, nie widziały nikogo i przez nikogo nie były widziane.

Do domu dotarły wieczorem, już zmierzchało. Iwo, przerażony, zapłakany, leżał pod łóżkiem. W dłoni ścisnął stary drewniany różaniec przywieziony podobno z Ziemi Świętej. Obok klęczała Józefowa. Też się modliła.

Obie kobiety padły sobie w objęcia i zapłakały.

– Jesteście. Najważniejsze, że jesteście – szeptała Józefowa.

Krystyna siarczyście ucałowała ją w oba policzki.

Koło dwudziestej zaczął padać deszcz. Krystyna nie zdecydowała się zapalać światła, umyła dziewczynki w misce zimnej wody, przebrała, położyła do łóżek w ciemności, a potem opłukała się w tej samej wodzie.

Iwo, Wanda i Joasia nie spali, ale i się nie odzywali. W oddali wciąż słyhać było wybuchy i strzały, widać też było łunę od strony Śródmieścia.

Była prawie noc, gdy Krystyna usłyszała ciche pukanie do drzwi. Podeszła z lękiem.

– To ja, Nowakowa – odezwał się głos starszej sąsiadki.

Krystyna otworzyła drzwi, podała starszej pani rękę, aby doprowadzić ją w ciemności do stołu. Usiadły.

– Czekałam, czy pani wróci. Odcięli wiadukt przy Dworcu Gdańskim, po południu. A po siedemnastej w całym mieście zaczęli strzelać. Mówią, że to powstanie – szepnęła starsza pani.

– Na Żoliborzu i Bielanych też?

– Też. Młodzi tacy, tacy młodzi... Chłopcy, dziewczynki, widziałam. Ale podobno nie udało im się, co planowali, i wyszli w stronę Kampinosu. Część z nich. Pewnie dołączą do partyzantki. I lotnisko bielańskie chcieli odbić Niemcom, ale też nic z tego. Co to będzie, pani Majewska, co to będzie... – zaczęła biadolić Nowakowa.

Krystyna przygryzła wargę. Jedno dla niej było jasne: pozostawanie w mieście z dziećmi w trakcie walk było ryzykowne. Będą bombardowania, rozstrzeliwania, łapanki. Trzeba z Warszawy uciec.

– Ale dokąd, dokąd uciec? – zapytała z rozpaczą.

Nowakowa milczała przestraszona. Ona też nie miała gdzie pójść. Jak większość mieszkańców tego miasta znękanego wojną, teraz wystawionego na straszną próbę.

\*\*\*

Przez całą noc od strony lotniska słyhać było strzały i huk wybuchów. Dopiero nad ranem Krystyna i dziewczynki usnęły. Iwo nie zmrużył oka. Wciąż nie wypuszczał z dłoni różańca, przesuwając cicho jego paciorki między palcami. Modlił się.

Następny dzień minął w miarę spokojnie. Krystyna zaciągnęła ciężkie zasłony, spędziły przedpołudnie, odsypiając eskapadę do parku Ujazdowskiego. Po południu Krystyna ugotowała trochę ziemniaków, zjadły je z resztką margaryny. Jedzenie się kończyło. Krystyna nie miała pojęcia, skąd zdobyć nowe.

Trzeciego dnia sierpnia pod wieczór rozległo się pukanie do drzwi.

– To ja, Nowakowa! – Głos sąsiadki był cichy, ale wyraźnie zalękniony.

Krystyna otworzyła. Do salonu wpadła Nowakowa. Nie w starannie zaczesanym koczku. Siwe włosy miała w nieładzie, rozpuszczone, pełen przerażenia wzrok.

– Słyszała pani, pani Majewska? Ci z Żoliborza odparli atak niemiecki i Niemcy weszli do Wawrzyszewa, wszystkich, którzy nie

uciekli, zabili! Kobiety i dzieci też, słyszy pani? Malutkie takie dzieciątka, że też Boga się nie boją! – Nowakowa zapłakała, zasłoniła dłonią usta. – I ludzie mówią, że to samo robią na Woli. Spędzają wszystkich i kulka w łeb, a dla małych dzieci to nawet kul im szkoda, łapią za nóżki i...

Umilkła, bo zobaczyła wpatrzona w nią oczy Wandzi i Joasi. Iwo, ze wzrokiem wbitym w podłogę, milczał. On znacznie lepiej od dziewczynek rozumiał, co można zrobić z dzieckiem, dla którego szkoda kuli.

– Dobrze. Nie ma czasu do stracenia. Dziewczęta, zabierzcie każda po jednej zmianie ubrania i koniecznie po jednym swetrze. Ty, Iwo, także. Pomożesz siostronom nieść rzeczy. Jeszcze dzisiaj wyjdziemy z miasta – powiedziała Krystyna nader spokojnym tonem, jeśliby uwzględnić, jak bardzo była zdenerwowana.

– Nocą? Pani Majewska, jak was znajdą, to was... Pani Majewska, pani tego nie robi! I gdzie, gdzie się pani podzieje z dziećmi, przecież pani tu żadnej rodziny nie ma! – Nowakowa była tym pomysłem jeszcze bardziej przerażona niż strasznymi wieściami z Wawrzyszewa i Woli.

– Nie mamy rodziny. Ale mamy Boga. W Domu Bożym zawsze znajdzie się schronienie dla tych, którzy wierzą. Idziemy do Lasek – powiedziała Krystyna poważnie.

Wyszli wieczorem, właściwie nocą: Krystyna, Józefowa i dzieci. Ulice były ciemne i nieoświetlone. Krystyna nawet nie obejrzała się za siebie, choć spodziewała się, że nigdy już nie zobaczy tego domu. Ani nawet Warszawy.

Szli głównie podwórkami, ogrodami w stronę Lasu Młocińskiego. Wśród nielicznych darów, które Krystyna dostała od Boga, był niezwykle wprost zmysł topograficzny. Zawsze wiedziała, gdzie jest północ, w którą stronę iść. Teraz też wiodła ich grupkę bezbłędnie w kierunku Lasek. Wędrowali przez całą noc. Świtało, gdy dochodzili do zakładu dla niewidomych. Krystyna zauważyła, że pod niewielką kapliczką w stylu zakopiańskim zgromadził się tłumek uciekinierów z Warszawy. Siedzieli na trawie, milczący, wymizerowani, kobiety miały oczy czerwone od płaczu.

Opadli na trawę. Dziewczynki trzęsły się z zimna pomimo swetrów, które całkiem zamokły od rosy. Krystyna była jak odrętwiała. Udało im się wyrwać z miasta. Ale co będzie dalej? Co dalej?

Iwo opadł na kolana, w brudnej dłoni wciąż ścisnął różaniec. Modlił się bezgłośnie, jak w transie.

Potem zapadli w dziwny ni to sen, ni to letarg. Obudziło ich wschodzące słońce, którego ciepłe promienie poczuli na twarzach. Spojrzeli w stronę światła i...

\*\*\*

– ...i wtedy je zobaczyłem po raz pierwszy. Trzy ciemne postacie w welonach i habitach na tle oślepiającej jasności. Przyszły do nas z koszami pełnymi chleba, z bańkami wody. Nakarmiły nas, napoiły, ale przede wszystkim... dały nam nadzieję. Nie rozumiałem wtedy, skąd bierze się taki hart ducha, taka pewność, że wszystko będzie dobrze... Dziś wiem, że daje ją wiara. Pewnie dlatego jestem przekonany, że i tobie, Urszulko, wszystko się ułoży... A przecież siostry nieprawdopodobnie ryzykowały. Od początku powstania i one zadeklarowały się, że wezmą w nim udział. Choć na terenie zakładu stacjonowali Niemcy, udało im się zorganizować szpital dla powstańców i rannych cywili, pomagały też w przerzucie żywności, broni, działały jako łączniczki. Matka Róża Czacka była niezwykłą osobą, obdarzoną siłą, odwagą i mądrością, których to cech wielu jej zazdrościło. Obserwowałem siostry w trakcie tych pierwszych strasznych dni walczącej stolicy, czułem dla nich coraz większy podziw, ale wydaje mi się, że decyzja, aby wstąpić do zakonu, została przeze mnie powzięta właśnie wtedy, gdy o świcie zobaczyłem idące w naszą stronę w powodzi światła zakonnice. To był znak, tak to dzisiaj widzę, dany mi przez Boga. – Iwo zamilkł na chwilę, zapadł się w siebie, we wspomnienia, które były tak żywe i barwne, jakby nie było tych ponad siedmiu dekad potem, jakby opisywane wydarzenia nastąpiły wczoraj.



Urszula milczała. Chciała usłyszeć ciąg dalszy tej historii. Czuła, że jest w niej coś jeszcze, jakaś kolejna tajemnica. Nie tylko skrywana przez dziesięciolecia „gorsza siostra” jej matki.

Tu, była tego pewna, kryła się odpowiedź na pytanie o to, dlaczego jej matka stała się takim właśnie człowiekiem: zgorzkniałym, przekonanym o własnej przegranej i... chyba o winie? Tu kryła się odpowiedź na pytanie o to, co może uratować Idę. W przeszłości.

Przecież chodziło o krew...

– Powiedziałem matce o moim zamierzeniu. Uśmiechnęła się tylko. Czy nie brała tego na serio? Nie wiem. Wiem jednak, że miała inne rzeczy, inne zmartwienia na głowie... U sióstr zostaliśmy do października. Kilka tygodni później ruszyliśmy do Warszawy. Nie pamiętam miesiąca, ale już leżał śnieg. Byliśmy jednymi z pierwszych powracających. Wcześniej było zbyt niebezpiecznie, żeby zaryzykować podróż do domu. Przez całe powstanie widzieliśmy łunę znad płonącego miasta, huk wybuchów docierał nawet do Lasek. Ale po kapitulacji nie było sensu dłużej siedzieć u sióstr. I tak miały sporo gąb do wykarmienia, a my mogliśmy dać sobie radę sami. Matka mówiła, że oby tylko ocalał dom, jej formy do ciast, makutry, misy, blachy, a poradzimy sobie. Oby tylko dom ocalał... Gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną, nie było na to wielkich nadziei. Ludzie straszne rzeczy opowiadali o Warszawie: że Hitler tam kamienia na kamieniu nie zostawił, że na ulicach leżą stosy trupów... Ale Bielany były prawie nienaruszone, tylko drzewa powycinani na opał.

Gdy dochodziliśmy na naszą uliczkę, zobaczyliśmy dwóch mężczyzn wychodzących z naszego domu. Matka powstrzymała nas gestem, zabroniła się odzywać. Na naszych oczach wynieśli komplet krzeseł i kołdrę. I odjechali furą. W środku nic się nie ostało, tylko jeden stół, rozkładany, jeszcze z Krakowa. No i te formy, makutry, blachy, tego nikt nie ruszył, pewnie dla szabrowników wyposażenie kuchni przedstawiało małą wartość. Nie znali się, widać, na gotowaniu, bo matka makutry miała pierwszej klasy. Od starej Nowakowej – bo staruszka przeżyła – dowiedziała się, że działają już na Bielanych jadłodajnie. Dwa dni po powrocie poszła się

rozeznąć, a wróciła z zamówieniem i torbą pełną mąki, jaj, cukru. Ale w samej cienkiej jedwabnej bluzce. Za składniki do ciasta oddała sweter z owczej wełny i ciepłą piękną chustę, przywiozła ją jeszcze z Krakowa. Interes zaczął się kręcić. Na święta piekliśmy baby przez całą noc, makowce robiliśmy. To znaczy: matka robiła, Joasia jej pomagała.

Wanda nie, ona zawsze dwie lewe ręce miała do domowych prac, ale wstydziła się do tego przyznać. Udawała, że nie chce. A raz, dobrze to pamiętam, Wandzia się przełamała, miała pomóc piec serniki, akurat Joasia się przeziębiła, leżała w łóżku z gorączką. Wanda starała się, choć matka patrzyła na nią krzywo, bo a to jajko źle rozbiła i kawałki skorupki poleciały do masy, a to mało nie upuściła miski z serem na podłogę, ja w ostatniej chwili ją złapałem. Tak się zdenerwowała, że przez pomyłkę zamiast cukru do masy serowej sypnęła soli. Matka się zorientowała już po upieczeniu, bo serniki nie wyrosły, a w smaku były okropne, całą partię trzeba było zanieść do pana Flisa, on trzymał dwie świnie, ale nawet one nie bardzo chciały to zjeść. Matka się wściekła na Wandę, a ta jak nie ryknie! „Bo Joasia tak wszystko wspaniale robi, taka jest cudowna, szkoda, że to nie ty Joasię urodziłaś, tylko kochanka ojca!”. Do dziś to pamiętam, matka biała jak płótno, zamachnęła się i na odlew dała Wandzie w twarz. „O ojcu tak mówić zabraniam”, tyle tylko powiedziała. Wanda złapała palto, bez żadnej chustki wyleciała na dwór, a już był wieczór, chłodno, początek kwietnia... Wróciła po północy. Cichutko się położyła do łóżka i całą noc przepłakała... Tak, bardzo kochała matkę. I myślę, że wtedy już naprawdę nienawidziła Joasi. A własnej krwi nie wolno nienawidzić, to się zawsze mści...

Powstanie nie ominęło Bielan, ale też nie zrujnowało tego kawałka świata, w którym przyszło żyć Majewskiej z dziećmi i Józefową. Po powrocie do domu Krystyna ze zgrozą się przekonała, że nie tylko wyszabrowano wszystko, ale to dosłownie wszystko, co cenne, lecz także – że na podłodze w przedpokoju widnieje ogromna brunatna plama.

– Co tu się mogło wydarzyć? – zapytała przestraszona.

– Lepiej się nie zastanawiać, pani profesorowo – burknęła Józefowa i wzięła się do szorowania drewnianych desek.

Szybko jednak wyszło na jaw, że plama to krew Niemca, który stracił życie właśnie w przedpokoju, tuż pod wieszakiem.

– Straszne, straszne! – łkała Majewska. – Teraz będzie nas nawiedzał!

– Naprawdę uważa pani, że lepiej byłoby, gdyby to była polska krew? Gdybyśmy miały w domu polskiego ducha? Ja tam uważam, że wszystko jedno. – Józefowa patrzyła z ukontentowaniem na lśniące deski. Udało jej się wyługować plamę i prawie nie było po niej śladu.

– Ciekawe, gdzie go pochowali, oby nie w ogródku! – Krystyna nie była w stanie wyzwolić się od wizji zastrzelonego żołnierza.

– A jeśli nawet... no, niech pani pomyśli logicznie. Ziemia taka mała, ludzi tak dużo. Wszędzie z pewnością leżą jakieś zwłoki.

– No, teraz to na pewno, to miasto, o ile kiedykolwiek się odrodzi, zawsze będzie jednym wielkim cmentarzem – westchnęła Majewska, a potem otworzyła drzwiczki kredensu, w którym przed ich ucieczką stały słoje z morelową marmoladą. – No, niech Józefowa popatrzy tylko... – Załamała ręce. – Wszystko wynieśli, dosłownie wszystko! Nawet słoika nie oszczędzili.

– Cóż począć, pani profesorowo, mnie ukradli nawet stare majtki, których nie zabrałam, uciekając. – Józefowa wzruszyła ramionami. – Tak właśnie działa wojna, zawsze i wszędzie. Z przestraszonych

biednych ludzi robi zwierzęta. Ale nie martwmy się dżemem morelowym. Żyjemy wszyscy! I jak Bóg da, dotrwamy do końca tej strasznej wojny, kochana pani profesorowo.

Majewska klapnęła na pieńku, który przytargały z ogródka, bo w domu nie było ani jednego krzesła. I nagle się rozplakała. Łkała tak jak jeszcze nigdy w życiu.

– Józefowo – wyszłochała – moja kochana Józefowo... jeśli jeszcze raz powiesz do mnie „pani profesorowo”, to jak mi Bóg miły, wywalę cię ze służby!

– Mowy nie ma! – Józefowa wyglądała na prawdziwie poruszoną tymi słowami. – Ze mnie wojna zwierzęcia nie zrobi, pani profesorowo. Dobrych obyczajów należy pilnować. Ja będę do pani mówić: pani profesorowo, a pani będzie do mnie mówić: Józefowo. I proszę, żebyśmy więcej tego tematu nie poruszały.

– Jak sobie chcesz, kochana – wyszłochała Krystyna i z całej siły przytuliła się do wychudzonego ciała swojej „służącej”.

Niestety, nie był to koniec nieszczęść, choć taką wszyscy mieli nadzieję. Dwa dni po Majewskiej i dzieciach do domu wróciła także Maryjka ze swoim prawie dorosłym synem i córką. Chłopak przez kilka dni walczył w powstaniu, jednak został ranny w ramię i to, paradoksalnie, uratowało mu życie. Matka wyciągnęła go ze szpitala polowego i sama się nim zajęła. Upadek powstania zastał ich w Izabelinie, gdzie schronili się u kuzynki pani Maryjki. Teraz wrócili do swojego domu i zajęli się porządkowaniem tego, co zostało z ich dobytku.

– Z całego kuchennego wyposażenia mam tylko blaszkę do ciasta – powiedziała ze śmiechem. – Co my z tym zrobimy?

– No jak to co?! – Józefowa wzięła się pod boki. – My mamy misy, makutry, będziemy piec ciasta!

I tak z dnia na dzień odbudowywało się życie na Bielanach. Krystyna piekła ciasta, Sonnenfeldowa uczyła francuskich słówek, a Józefowa każdego ranka wychodziła z domu, a po południu wracała, niosąc jakąś rzecz, która dawniej należała do wyposażenia domu.

– Jak Józefowej się udaje to odzyskać? – pytała zdziwiona Majewska.

– Ano po prostu wiem już, u kogo szukać. Ludzie wszystko wiedzą, ale nie zawsze chcą mówić. Tylko że ja mam argument!

– Ciekawe jaki. – Krystyna uniosła wysoko brwi.

– Gniew Boży. Mówię im, że będą się smażyć w piekle, jeśli nie oddadzą tego, co ukradli. I oddają.

– Coś podobnego... – Majewska pokręciła głową z powątpiewaniem.

Co do dziewczynek, nastał dla nich odrobinę lepszy czas. Krystynie wydawało się nawet, że uda im się zaprzyjaźnić. Aż do dnia, gdy Józefowa przyniosła do domu lalkę. Była naga, brudna i miała wyłupione jedno oko, ale dzielna służąca postanowiła uszyć jej strój pirata, a pusty oczodół przysłonić czarną opaską.

– Jak ją nazwiemy? – zapytała dziewczynek.

– Klara – oświadczyła stanowczo Wandzia.

– A może nazwiemy ją po prostu Joasia? – Druga z dziewczynek uśmiechnęła się przymilnie.

– To bardzo ładne imię dla pirata – oświadczyła Krystyna i cmoknęła przyszywaną córkę w czoło.

Prawda była taka, że nie znosiła imienia Klara, gdyż tak nazywała się jej kuzynka, z którą w dzieciństwie bardzo nie lubiła się bawić. Klara Wolf miała też miły zwyczaj płatania różnych psot i zwalania winy na Krystynę, a ona, młodsza, nie potrafiła się bronić. Dlatego teraz zareagowała instynktownie.

– Niech będzie Joasia – powiedziała i to był jej pierwszy błąd.

Ponieważ lalka była jedna, a dziewczynki dwie, Józefowa wymyśliła, że w parzyste dni będzie się nią bawić Joasia, a w nieparzyste – Wanda. Cóż, kiedy dosłownie trzy dni po pojawieniu się zabawki w domu Joasia zachorowała i wyładowała w łóżku. Miała gorączkę, bolało ją gardło i czuła się bardzo źle.

– Jak ci pomóc, moja maleńka? – Krystyna pochyliła się nad dziewczynką i cmoknęła ją w rozgrzane czółko okalane miedzianymi loczkami.

– Chcę lalkę – wyszeptała Joasia, a przybrana matka skinęła głową. A potem podeszła do Wandy, wyjęła jej z rąk pirata i podała choremu dziecku.

Wanda nie protestowała, ale utkwiała w matce nienawistne spojrzenie. A potem powiedziała głośno i dobitnie:

– Ta Żydówka wszystko mi zabrała. Ojca, matkę, a teraz tę głupią lalkę. Nienawidzę jej. I ciebie też nienawidzę.

Krystyna stała oniemiała z przerażenia. A potem poczuła falę gniewu, która napływa do głowy.

– Zabraniam ci tak mówić. Gdy tak mówisz, ja ciebie także nienawidzę – oświadczyła, zanim zdążyła pomyśleć.

Wanda najpierw zamarła, a potem rzuciła się na podłogę i wybuchła strasznym histerycznym płaczem. Starszy brat próbował ją pocieszyć, przytulił i głaskał po plecach trzęsących się od spazmu. Wszystko na nic.

– Nienawidzę was, chcę umrzeć.

Krystyna zacisnęła usta. Wzięła ciasto, które upiekła poprzedniego dnia, i po prostu wyszła z domu. Poczowała, że musi ochłonąć i zebrać myśli. Co się stało? Dlaczego tak? Czym zawiniła? Przecież chciała tylko ulżyć tej biednej sierocie! Ba, miała względem niej moralny obowiązek! W końcu było to dziecko jej męża, tego męża, który ostatecznie oddał życie, tak jest, oddał życie za swoją prawowitą żonę i dzieci! Maszerowała żwawo, jednak im bardziej oddalała się od domu, tym wyraźniej docierało do niej, że popełniła błąd: w końcu Wandzia była tylko dziewczynką... Nagle, zupełnie zniecka, przypomniało jej się, jak strasznie płakała, kiedy jako małe dziecko chciała się przytulić do swojej mamy, a ta przegoniła ją ostrymi słowami i jeszcze dała klapsa, bo córeczka brudnymi łapkami wyplamiła jej suknię... Wróciło do niej wspomnienie własnej krzywdy i ogarnęła ją przemożna chęć, żeby przytulić Wandzię, szepnąć jej do ucha kilka dobrych słów. Bo przecież ją kocha. Bardzo. Nad życie!

Przystanąła. I wtedy zobaczyła Jurka, syna Maryjki. Najwyraźniej wracał do domu. Przywołała go gestem ręki. Chłopak uklonił się grzecznie, podbiegł. Czy zgodziłby się zanieść ciasto? Ależ oczywiście, z radością!

Krystyna wręczyła mu więc paczki i zawróciła. Wiele lat później, kiedy umierała i ksiądz przyszedł z ostatnim namaszczeniem, w wyniku jakiejś nadzwyczajnej jasności umysłu wyznała:

– Gdybym tamtego dnia wykazała się większym rozumem, gdybym nie zraniła Wandy i nie wyszła z domu, żeby ochłonać... Wiele złych rzeczy by się nie wydarzyło. To była moja wina, wszystko moja wina...

Jednak w tamtym strasznym wojennym momencie nie miała świadomości czynionego zła. Biegła, żeby dać upust swoim uczuciom. A w tym samym czasie pogwizdujący pod nosem Jurek wpadł na dwóch członków Schutzmannschafts-Bataillon, którzy zapędzili się w tę część miasta. Najpierw zabrali mu ciasto, potem zastrzelili i ograbili z wszystkiego, co miał przy sobie. Z butów i scyzoryka, który dostał po ojcu. To nad tym scyzorykiem najgłośniej szlochała potem Maryjka, że nie może go dziecku wsadzić do trumny. Dobra to była kobieta i mądra. Nie obwiniła za śmierć ukochanego dziecka sąsiadki. „To wojna – powtarzała. – Ta przekłeta wojna!”

Za to Krystyna – owszem. Znalazła winnego. Tym winnym była oczywiście Wanda. I jej histerie. To przez wybryki córki Krystyna nie mogła spokojnie zanieść swojego ciasta do ulicznej cukierni.

\*\*\*

Maryjka Sonnenfeldowa włożyła w pogrzeb Jurka całą energię, jaka jej jeszcze została. Ubrała chłopca w elegancki garnitur po ojcu, włożyła do ręki różaniec, a do kieszeni zdjęcie szkolnej sympatii, Zosi Żurawskiej, która na samym początku wojny uciekła z rodzicami za granicę. „Zobaczysz mamó, Zosia wróci i ja się z nią ożenię!” – powtarzał Jurek, a Maryjka uśmiechała się dwuznacznie, jakby chciała powiedzieć, że nie traktuje poważnie tej młodzieńczej miłości, a jednocześnie ma wielką nadzieję, że będzie dokładnie tak, jak chłopak mówi.

Nie udało się. Wiele lat później, na początku lat sześćdziesiątych Zosia – a właściwie Zofia Aitken, bo po wojnie wyszła za brytyjskiego dyplomata – przyjechała po raz pierwszy do Polski i odwiedziła Maryjkę. Powiedziała jej, że w dniu, kiedy Jurek został zastrzelony, miała jakiś straszny sen, w którym siadają jej na

ramionach czarne kruki, a potem jeden po drugim padają martwe na ziemię. Powiedziała sobie: „Sen mara, Bóg wiara”, ale potem, w środku dnia, nagle, ni z tego, ni z owego, zobaczyła kruka – tym razem na jawie – i zemdląca.

– Myśmy się tylko jeden raz pocałowali – opowiadała Maryjce – ale to było, jakby nasze dusze zrosły się na zawsze. Bardzo kocham mojego męża, ale...

Zawiesiła głos, a Maryjka dołąca jej herbaty. Chwilę pomilczała, a potem powiedziała:

– Jestem pewna, że tam, po drugiej stronie, to wszystko będzie do odrobienia.

Taka była ta Maryjka. Zupełnie inna niż Krystyna, która po pogrzebie chłopaka zamknęła się w pokoju i nie wychodziła przez wiele godzin. Gdy wreszcie Józefowa wywabiła ją na obiad, zeszła, mroczna i milcząca, a gdy Wanda, nieświadoma, jak wielka wina na niej spoczywa, zaczęła kaprysić, że to chce, a tego nie, matka z wściekłością cisnęła widelcem, aż pękł talerz.

– Ty mała zmijo – wysyczała do córki. – Jak śmiesz czegokolwiek się domagać?! Ty, przez którą chłopak stracił życie! Gdyby nie twoje podłe zachowanie, dzieciak by żył! Zabiłaś człowieka, słyszysz, Wando?! Zabiłaś go!

Biedna Wanda stała na baczność i nie miała siły się ruszyć. Zabiła? Ona? Ale kogo, Jurka?! Chyba jego miała na myśli matka, bo nie wiedziała o nikim, kto by stracił życie w ostatnim czasie.

– Nienawidzę... – wysyczała jeszcze Krystyna i jakby nagle coś ją zatrzymało.

Nie powiedziała do Wandy: „Nienawidzę cię”. Po prostu powiedziała: „Nienawidzę”. Tym czymś, co nie pozwoliło jej pójść krok dalej, był wzrok Józefowej. Tak jest. Józefowa utkwiła go w swojej chlebobawczyni (choć to słowo od dawna nie miało racji bytu, bo Krystyna przestała jej płacić i to raczej „służąca” pomagała przetrwać profesorowej wojenną biedę). Profesorowa w końcu powiedziała tylko: „Nienawidzę takiego zachowania”, ale i to wystarczyło, żeby strącić Wandę w otchłań, z której przez wiele, wiele lat nie udało jej się wydostać na powierzchnię.



Oczywiście, koniec końców, wszystko to była wina wojny, nie da się jednak zaprzeczyć, że matka odepchnęła rodzoną córkę, a przygarnęła nieślubną córkę męża. Wszystko to odcisnęło się piętnem na życiu Wandy. Nigdy nie umiała myśleć o sobie inaczej niż jak o tej gorszej, tej odepchniętej, zdradzonej. Przyszło jej do głowy, że może wszystko wróciłoby do normy, gdyby Joasia zniknęła z ich życia. W jej głowie zrodził się szatański plan...

Pewnego dnia, gdy szły zanieść ciasto do cukierni razem z Józefową, zobaczyła Włoszczyńskiego, o którym mówili, że dorobił się na szmalcownictwie. Ni z tego, ni z owego podeszła do niego i wypaliła:

– A moja mama przechowuje Żydówkę...

Włoszczyński popatrzył na nią i udał, że nie słyszał tych słów. Albo nie zrozumiał. Józefowa, która nie zdążyła jej powstrzymać, stała jak skamieniała, a potem pociągnęła ją za rękaw i zabrała jak najszybciej od tego człowieka, którego wszyscy na Bielanych się bali. Ten zaś stał przez moment, jakby nad czymś się zastanawiał, a potem odwrócił się i pomaszerował, mruczając pod nosem tak, żeby Józefowa mogła go usłyszeć:

– Straszne mam kłopoty ze słuchem, odkąd pocisk wybuchł parę metrów ode mnie. Niech ta wojna wreszcie się skończy.

– Oszalałaś, dziecko?! – wysyczała Józefowa, gdy mężczyzna zniknął za rogiem. – Jaki diabeł cię podkusił?!

A wtedy Wanda wybuchła płaczem. Łkała tak głośno, że aż stara kucharka zaczęła się bać, że będą z tego jakieś kłopoty. Józefowa ciągnęła ją za rękę, ale dziewczynka stawiała opór. Poczciwa kobieta nagle poczuła, że dłużej już nie da rady.

– No dobrze – powiedziała i stanęła. – Jeśli chcesz, możesz tu zostać, a ja wrócę do domu, tak? O to ci chodzi?

Wanda oglądała buty, popłakując, ale już ciszej.

– Albo teraz wrócimy do domu, albo ja mówię „dość”. Nie mam siły, żeby się tobą zajmować. Decyduj.

Dziewczynka popatrzyła w oczy swojej opiekunce. Ta nie żartowała. Wanda się zawahała. Z jednej strony czuła, że nie może już zrobić ani kroku dalej, z drugiej – za nic nie chciała skapitulować. Chyba właśnie tę zaciekłość wyczytała w jej

spojrzeniu Józefowa, w niej także ważyły się różne emocje i racje. I nagle, jakby coś w niej pękło, złapała Wandę za ramię tak mocno, że dziecko aż krzyknęło z bólu, a potem zaczęła wlec dziewczynkę w stronę domu. Wanda wrzeszczała, wiała się i próbowała stawiać opór, ale Józefowa nie dawała za wygraną. W pewnej chwili przystanęła, żeby złapać oddech, a wtedy Wanda wyrwała się jej i próbowała uciekać. Nic z tego. Józefowa, która nie była już kobietą pierwszej młodości, zachowała swój dawny refleks. Złapała dziewczynkę za tył płaszcza i pociągnęła do siebie. A potem uniosła rękę i dała Wandzie kilka solidnych klapsów w tyłek.

Gdy dotarły do domu, obie przedstawiały obraz nędzy i rozpacz. Potargane, w wygniecionych ubraniach, wyglądały, jakby prowadziły jakąś wojnę. Zresztą prawie tak było. Krystyna ze zdumieniem obserwowała, jak Józefowa wepchnęła dziewczynkę do pokoju, a potem zamknęła za nią drzwi na klucz. Wandzia sprzedała kilka kopniaków drzwiom, a potem, prawdopodobnie zmęczona wywołaną przez siebie awanturą, położyła się na dywanie i zasnęła.

– Profesorowo – powiedziała Józefowa. – Dłużej tak być nie może, bo zmarnujemy całkiem tego dzieciaka.

– Jak zmarnujemy, co Józefowa ma na myśli? – Krystyna zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, co dzieje się w pani sercu, ale dla każdego jest jasne, że nie dzieli pani równo swojej miłości względem dzieci.

Krystyna zaniemówiła z wrażenia.

– Co... co masz na myśli? – wyszeptała.

– Ano to, że nie traktuje pani dziewczynek sprawiedliwie. Iwuś to inna sprawa. To chłopiec, w dodatku grzeczny. Ale odkąd w naszym domu zjawiała się Joasia, to pani jakby zapomniała, kto jest jej prawdziwą córką!

– Józefowo, Józefowa sobie za dużo pozwala! – Po raz pierwszy od dłuższego czasu Krystyna uderzyła w wielkopański ton i to ją zdradziło.

– Nie ma pani nic do powiedzenia, bo nie potrafi mi pani zaprzeczyć! – Józefowa nie dała się zbić z tropu. – Albo mnie pani posłucha, albo jak mi Bóg miły, umyвам ręce.

– Co to znaczy: umyвам ręce? – zaniepokoiła się Krystyna.

– To znaczy, że mimo całej miłości, jaką do pani czuję, całego przywiązania do dzieci i poczucia obowiązku wypowiem służbę! – Teraz dla odmiany to Józefowa użyła zwrotu z dawnego świata, jakby było co wypowiadać! Od dawna nie była służącą, o czym obie doskonale wiedziały.

Dlatego Krystyna uśmiechnęła się lekko.

– Co radzisz?

– Podzielmy się – powiedziała Józefowa.

– Czym, na Boga? – zdumiała się Krystyna.

– Podzielmy się dziewczynkami.

Krystynę zatkało ze zdumienia.

– Jak to sobie Józefowa wyobraża?

– Ano wyobrażam to sobie tak, że będę starała się wspierać to dziecko, żeby czuło, że ktoś za nim stoi murem. Bo na razie nie robił tego ani jej świętej pamięci ojciec, ani szanowna pani profesorowa.

Krystyna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nagle zrobiło jej się strasznie smutno.

– Ty nie masz racji – wyszeptała. – To wszystko przez tę wojnę. Gdyby nie wojna, Kazio by żył i ja...

– I byłaby pani dziś rozwódką. – Józefowa nie pozwoliła jej brnąć w tę czułośćkowość. – Ja doskonale rozumiem, że Joasia jest pani misją, że pani czuje, że jest jej winna opiekę ze względu na pamięć męża. Ale, na litość boską, to nie może się odbywać kosztem prawowitej córki!

\*\*\*

Od tego dnia sporo się zmieniło. Józefowa zaczęła wobec Wandzi odgrywać rolę matki. Na początku Krystynę to śmieszyło, gdy służąca zaczęła brać dziewczynkę na kolana, zaplatać jej warkocze, wynagradzać jej, jak umiała, każdy gest czułości, który ona sama wykonywała względem przybranej córki. Kiedy tylko odruchowo przeczesywała dłonią rude kędziory Joasi, Józefowa rzucała się w stronę Wandzi i albo wycierała jej buzię fartuchem, albo podsuwała kromkę chleba z masłem. Byle tylko mała nie odczuła, że

jest między nią a siostrą jakakolwiek nierówność. Choć faktycznie nierówność była. Krystyna, całkiem po prostu, dużo bardziej lubiła potulną, grzeczną, wybiegającą jej naprzeciw Joasię. Poza tym córka Ady miała urok, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Gdziekolwiek się pojawiła, natychmiast stawała się królową serc. Nie była to tylko kwestia wrodzonego wdzięku. Joasia bardzo szybko nauczyła się przypodobywać ludziom, od których coś zależało w jej życiu. W dzieciństwie rozdawała uśmiechy i rysunki – w późniejszych latach potrafiła prawić komplementy, robić drobne upominki. Była jak kot, który nie przyjmował odmowy i potrafił się łąsić, przymilać – aż dostawał dokładnie to, czego chciał. Z kolei Wanda przypominała raczej obitego psa, którego jedyną reakcją na nieprzyjazny gest było stroszenie sierści i pokazywanie ostrych zębów.

– Gdybyś była miłsza, mama też byłaby dla ciebie miłsza – powiedziała jej pewnego dnia przybrana siostra.

– Mama byłaby miłsza, gdybyś mi jej nie ukradła – odparła rozgniewana Wanda i chciała powiedzieć jeszcze parę ostrych słów, jednak w tym momencie do pokoju weszła Krystyna i Joasia zerwała się, żeby podbiec do niej i ją wycalować.

Wanda stała, obserwując te dwie, które zachowywały się tak, jakby poza nimi nikogo nie było w pokoju. Przysięgła sobie, że przyjdzie jeszcze taki moment, gdy zemści się za wszystkie krzywdy, jakich doznała. Od tego dnia zaczęła przed snem snuć w głowie fantastyczne wizje, w których dzieje się coś strasznego – na przykład wybucha pożar. Wszyscy tracą głowę z przerażenia, tylko ona rzuca się na pomoc i ratuje swoją matkę z płomieni. A do matki wreszcie dociera, która córka jest prawdziwa, która kocha naprawdę. Krystyna bierze ją w ramiona i tuli do siebie. I tak, utulona tą słodką wizją, Wanda zasypiała.

\*\*\*

**Warszawa, 1945**

Śniegi stopniały, zazieleniły się trawniki i nasypy kolejowe. Przyszła wiosna i choć wszyscy mówili, że to już ostatnie dni wojny, w kwietniu najedli się strachu. Ni stąd, ni zowąd rozległ się warkot silników.

– To Niemcy! Meserszmity! – darła się stara Nowakowa na podwórku.

Zaskoczeni, przerażeni, zbiegli do piwnicy, by przeczekać nalot.

– Czyli to jeszcze nie koniec – oświadczyła w ciemności Wanda szyderczym głosem.

Nikt jej nie odpowiedział, Józefowa przytuliła ją w ciemności. Znała Wandę jak nikt. Urodzona pesymistka.

Kolejne dni minęły spokojnie. Samoloty już się nie pojawiły. Zaczął się maj. Wieczorem ósmego maja znów rozległ się huk wystrzałów.

– Dzieci, Józefowa, do piwnicy! – zakomenderowała Krystyna. Wszyscy byli już na schodach na dół, gdy rozległo się walenie do drzwi.

– To ja, Nowakowa! – usłyszeli dobrze znany głos.

– Chce pani zejść z nami do piwnicy, pani Nowakowa? – zapytała Krystyna, otwierając drzwi. Wciąż słychać było w oddali salwy.

– A po co mi teraz do piwnicy leźć? Noga moja w piwnicy już nie postanie, w życiu! Pani Majewska, doczekaliśmy! Doczekaliśmy końca wojny! To na wiwat strzelanie!

Krystyna zastygła z dłonią na klamce, jak z kamienia. Dzieci, w pół kroku na schodach, przez chwilę kontemplowały tę informację. Czy to możliwe: koniec wojny? Właściwie żadne z nich nie pamiętało świata sprzed wojny, dla nich wojna była codziennością.

I nagle Krystyna zaczęła spazmatycznie płakać. Dobrą chwilę zajęło im zorientowanie się, że nie był to płacz ze smutku. Płakała i śmiała się równocześnie, osunęła się na podłogę i ukryła twarz w dłoniach.

– Boże... Boże... Doczekaliśmy... – szepnęła wzruszona. – Pani Nowakowa, napije się pani kawy zbożowej z cukrem? Cukru nigdy nie jemy, używam go tylko do ciast, ale taka okazja...

– Mam coś lepszego. Wino porzeczkowe, rocznik tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. – Staruszka puściła oko. – Może i dzieciom coś skapnąć, wojna kończy się tylko raz...

– ...i niech ta świadomość im wystarczy. Ale ja, owszem, chętnie wychylę kieliszek. Niech pani wejdzie, usiądźmy – zaprosiła sąsiadkę Krystyna.

Dzieci i tak czuły się jak pijane. Nastąpiły dziwne, szalone dni. Ludzie ściskali się na ulicach. Na placu Teatralnym na kupie gruzów zorganizowano wiec. Żołnierze sowieccy dzielili się wódką z dawnymi powstańcami i razem śpiewali pieśni bojowe, ci pierwsi po rosyjsku, ci drudzy po polsku.

– Mój Boże, teraz już wszystko będzie dobrze – powtarzała z wyraźną ulgą Krystyna.

I wierzyła w to, nie tylko ona.

Po wakacjach dwie przecznice od ich domu ruszyła szkoła, wreszcie polska. Krystyna zapisała do niej wszystkie dzieci, choć dziewczynki mogły jeszcze rok zaczekać.

Nie od początku uczono wszystkich przedmiotów – najpierw były lekcje polskiego, arytmetyki z geometrią, religii, geografii, rysunku. Poszukiwano nauczyciela przyrody i historii, w połowie września program wzbogacił się o lekcje śpiewu prowadzone przez solistkę z Teatru Wielkiego, chwilowo bez pracy – bo i samego teatru nie było.

Wandzia i Joasia szły do szkoły z ogromną nadzieją. Łaknęły wiedzy, ale i kontaktów z rówieśnikami, możliwości sprawdzenia się. Joasia była najlepsza w klasie z arytmetyki i geometrii, świetnie radziła sobie na polskim i geografii, a kiedy zaczęły się zajęcia ze śpiewu, nauczycielka nie mogła wyjść z podziwu nad jej talentem. „To dziecko ma słuch absolutny, a ten głos... Powinna ją pani kształcić, to piękny głęboki sopran, dziewczynka ma wyjątkowy dar, umie włożyć emocje w śpiewaną frazę, a to rzadkość” – klarowała Majewskiej solistka. Majewska grzecznie podziękowała, ale kształcić Joasi na śpiewaczkę nie zamierzała. Uważała, że jedna artystka w rodzinie to już nadto. Tak, po latach zaczęła myśleć o Adzie jak o członku rodziny, dalekiej zapomnianej krewnej. Rzadko uświadamiała sobie, że przecież tamta kobieta była kochanką jej

męża, rozbiła jej małżeństwo. Nie chciała, bo wolała pamiętać Kazimierza czułego, oddanego jej, jak w czasach narzeczeństwa. Albo zdolnego do poświęceń, jak wtedy, gdy zaryzykował życie dla niej, Wandzi i Iwona... Tak przynajmniej lubiła myśleć. No i był jeszcze szacunek dla Ady za jej działalność konspiracyjną. Przecież złożyła życie w ofierze – za Polskę. Była dla Krystyny jak święta. Po śmierci – nietykalna.

Wandzia z ponurą miną słuchała zachwytyłów nauczycieli nad Joasią. Jej samej nauka szła coraz gorzej. Brzydsko pisała, na zeszytach w tajemniczy sposób pojawiały się kleksy z atramentu i tłuste plamy. Trójkąt nigdy nie chciał być równoramienny, a wynik dodawania zgodny z oczekiwaniami profesora.

W październiku zorganizowano w szkole inauguracyjny bal. Była to wyjątkowa okazja. Krystyna przeznaczyła cały miesięczny dochód na zakup kuponu jedwabnej organzy – tkanina nie była nowa, zapewne kiedyś służyła po prostu jako zasłona w jakimś bogatym domu. Była w kolorze głębokiej butelkowej zieleni. Zachwycone dziewczynki przez kwadrans dotykały materiału, zarzucały go sobie na głowy jak welon, owijały się nim.

– Józefowa uszyje wam sukienki na bal. Takie prawdziwe dorosłe suknie. Będziecie wyglądały jak księżniczki – oświadczyła dziewczynkom Krystyna i zdjęła z nich miary.

Józefowa szła więc nocami, żeby zdążyć, a dziewczętom zabroniono podglądania. W dniu balu, w samo południe, Józefowa pojawiła się w salonie z dwoma pakunkami.

– To dla Dziunieczki. To dla Joasi – oświadczyła, wręczając dziewczynkom zawinięte w szary papier pakunki.

Uważnie patrzyła na poważną, pełną skupienia minę Wandy. To miała być jej pierwsza piękna, prawie dorosła sukienka i dziewczynka wiązała z nią wielkie nadzieje. Uważała, że w tym cudownym zwiewnym materiale przejdzie przeobrażenie i stanie się tą, którą zawsze się czuła i którą w swoim mniemaniu powinna być: śliczną, pełną gracji córką profesorowej Majewskiej, jedyną córką, najwspanialszą.

Pośpiesznie zrzuciła znoszoną spódniczkę i bury sweterek, trzęsła się z zimna – dnie i noce były już chłodne, a Krystyna oszczędzała

na opale, węgiel rezerwowała właściwie pod kuchnię, do pieczenia ciast i ciasteczek, na które w odradzającej się Warszawie, puchnącej od powracających mieszkańców, był coraz większy popyt.

Materiał szeleścił delikatnie i uroczyście, był gładki, śliski, a jednocześnie cudownie miękki w dotyku. Wanda czuła, że to właśnie ta chwila. Odtąd będzie najpiękniejsza i najbardziej godna miłości, będzie na pierwszym miejscu w sercu matki, Józefowej, a może nawet zostanie królową balu... Tak, to jej się należało!

Nie patrzyła na Joasie, która też włożyła już swoją sukienkę, uszytą zresztą według identycznego wykroju, z szeroką spódnicą suto marszczoną w pasie i bufkami przy rękawkach. Jedyne lustro w domu – pęknięte, dlatego porzucone przez szabrowników – znajdowało się w holu, tuż koło drzwi. Obie, przepychając się, podniecone, podekscytowane, pobiegły do zwierciadła. Za nimi szły Krystyna i Józefowa.

Lustro było przedwojenne, spokojnie obejmowało dwie osoby stojące przed nim, nawet dorosłe. Joasia i Wanda stanęły na wprost niego, dopiero wtedy Wanda podniosła wzrok, spojrzała na swoje odbicie i...

Zamarła z przerażenia i rozczarowania. Nie patrzyła na nią wcale żadna królewna, patrzyła na nią... zielona ropucha. Tak samą siebie widziała. Przysadzista, o potężnych łydkach, krótkiej szyi. Zielona materia falowała jej w talii, marszczyła się pod pachami.

– Oj, może tu jeszcze trzeba by przyfastrygować – zafrasowała się Józefowa.

– Niech Józefowa da spokój. Jest dobrze i lepiej nie będzie. – Krystyna ucięła wątpliwości starej kucharki.

Wpatrywała się w odbicie w lustrze, ale nie w odbicie swojej córki, Wandy. Patrzyła jak zahipnotyzowana na drugą postać. Smukła, szczupła, obdarzona tym wrodzonym czarem, elegancją sylwetki i ruchów, która jest właściwa tylko nielicznym kobietom i którą widać od najmłodszych lat. „Jaka ona jednak podobna do matki, wypisz wymaluj Ada” – pomyślała profesorowa z goryczą.

Odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni, ale swojej zrozpaczonej córki nie zaszczyciła ani jednym spojrzeniem. Nie lubiła patrzeć na Wandę, zbyt jej przypominała ją samą – a na siebie



też nie patrzyła, jeśli nie musiała. Uważała, że brzydka kobieta nie powinna łać łez nad swoimi brakami, ale skupić się na innych talentach. Kulinarnym, jak ona. Lub... Właściwie jakie talenty miała Wanda? Nieważne, to jeszcze dziecko, dopiero zaczyna szkołę, z pewnością odkryje w sobie jakieś uzdolnienia i fascynacje.

Wanda z całych sił powstrzymywała łzy. Patrzyła na Joasię z odrazą. Nawet Iwo to zauważył, choć od powstania bardzo się zmienił: codziennie choć raz odmawiał różaniec, dużo czasu spędzał sam, z dala od rodziny, zatopiony we własnych myślach. Józefowa też zorientowała się w sytuacji.

– Ładnemu we wszystkim ładnie. – Machnęła ręką w kierunku Joasi. – Ale ty, Wandziu, wyglądasz wyjątkowo. Ten kolor... to jakoś tak podkreślił odcień twoich oczu – wydukała. Musiała długo szukać w głowie tego komplementu i raczej nie był on wynikiem obserwacji, tylko jakimś zdaniem zapamiętanym z filmu, a może ze starego domu, jeszcze z Krakowa?

Wanda parsknęła złośliwie.

– Ale Józefowa powiedziała! Chyba już Józefowa całkiem oślepla – dodała z premedytacją.

Doskonale wiedziała, że stara kucharka ma coraz większe problemy ze wzrokiem, ale ukrywa to, głównie przed Krystyną. Obawiała się, że gdy mocodawczyni dowie się o pogłębiającą się przypadłości, wyrzuci ją na ulicę. Tak przecież robili na wsiach z tracącymi wzrok staruszkami.

Wtedy właśnie Wanda odkryła w sobie swój wyjątkowy talent – do uderzania ludzi w to jedyne, najczulsze miejsce: bezbłędne sprawianie im bólu. Oczy Józefowej zaszkliły się, przygryzła wargę. Cicho poczłapała do kuchni.

Na balu spojrzenia wszystkich skierowane były na Joasię. To z nią zatańczył profesor matematyki, to z nią zaśpiewała solistka teatru. To na nią patrzyły z zazdrością koleżanki z klasy, a z ciekawością i rodzącym się uwielbieniem – koledzy, także ze starszych klas. Wanda dobrze to wszystko widziała z kąta sali, w którym zaszyła się natychmiast, jak tylko przyszły.

Fakt, że Joasia została okrzyknięta królową balu, a na jej głowę włożono koronę z białego brystolu, wcale jej nie zdziwił. Wanda

spodziewała się tego. Straciła w tym dniu wszystkie złudzenia, nadzieję na zmianę swojego losu, stanie się w czymś pierwszą, najlepszą – a w każdym razie: lepszą od Joasi.

I nigdy miała ich już nie odzyskać.

\*\*\*

Gdy Joasia brylowała w szkole i na lekcjach śpiewu, Wanda uczyła się tajników ludzkiej natury. Lubiła już być tą cichą, bardziej niepozorną, podglądać wszystkich wokół, gdy Joasia robiła wokół siebie teatralne przedstawienie. Dzięki temu bardzo szybko umiała powiedzieć, czego który człowiek pragnie najbardziej na świecie.

Józefowa pragnęła dziecka.

Iwo – spokoju.

Jej matka pragnęła być przyzwoita.

Joasia najbardziej na świecie chciała być kochana. Zdarzyło jej się opowiedzieć Wandzie historię, w której malutka dziewczynka w czerwonym płaszczu szła za mur i bardzo się bała. Po przekroczeniu bramy było jak w książce o Alicji w Krainie Czarów – ale to były złe czary. Mijała ludzi straszliwie chudych, o ciemnych podkrążonych oczach. Niektórzy leżeli na ulicach zapatrzeni niewidzącym wzrokiem w niebo, bez ruchu, mieli sine twarze. Czasem ktoś przykrywał ich gazetą.

Dziewczynka widziała to wszystko, a potem zostawała sama, bez mamy, i musiała uciec na drugą stronę. Zawsze bardzo się bała i bardzo tęskniła za mamą, ale mama nie miała dla niej czasu. A potem... a potem gdzieś razem szły, był stukot, huk, dużo ludzi, przeciskały się przez tłum i nagle mama ją wzięła w objęcia, ale nie przytuliła jej, tylko odepchnęła od siebie. Potem był świst wiatru i ciemność. I nie było już mamy.

Joasia, gdy opowiadała tę historię, płakała. Wandzie było jej żal. Co z tego, że tak pięknie wygląda we wszystkich sukienkach i wszyscy ją lubią, zachwycają się nią? Nie ma mamy. To ona, Wandzia, ma mamę, mamę swoją i Iwona. A Joasia jest przybłądą.

Tak kiedyś ktoś o niej powiedział: przybłęda, wojenne dziecko, którego nikt nie chce.

– Może twoja mama gdzieś jest? Może cię szuka? – rzuciła kiedyś i z satysfakcją obserwowała, jak porażające wrażenie robi na Joasi ta informacja.

Następnego dnia z samego rana Wanda patrzyła spod półprzymkniętych powiek, jak Joasia pakuje do tobołka sweterek, jedną sukienkę, pończochy. Cieszyła się. Teraz pójdzie sobie, ta przybłęda, da im spokój, odtąd Wandzia będzie mieć mamę tylko dla siebie.

Chciała zasnąć zadowolona z siebie i swojego pomysłu, ale usłyszała z dołu najpierw szcęk zamka, skrzypnięcie drzwi, a potem... głos matki.

– Co ty wyprawiasz? Gdzie się niby wybierasz o świcie? – zapytała srogo Krystyna.

Cichutkiej odpowiedzi Joasi nie dało się słyszeć.

– A skąd ci taka bzdura do głowy przyszła? Mówiłam ci wielokrotnie, twoja matka zginęła, poległa w walce o naszą ojczyznę... Kto ci tych głupot do głowy nakładł? – Matka mówiła coraz głośniejszym, wyraźniej rozeźloną.

I znów przez chwilę cisza, pewnie Joasia odpowiadała...

– Co? Co takiego? Wanda?! Zejdź mi tu zaraz, głupia dziewucho, słyszysz? – wrzasnęła Krystyna.

Wanda nigdy nie poznała swojej matki cichej, potulnej, zagubionej w nieodwzajemnionym uczuciu do Kazimierza. Pamiętała i znała ją już z czasów wojny: hardą, twardą, zdeterminowaną, żeby przeżyć godnie i ocalić dzieci. Takiej matki, w chwilach gniewu, wcale nierzadkich, należało się bać.

Szybko wysunęła więc stopy spod kołdry, zatrzęsła się z zimna – w pokojach panował przejmujący ziąb – i zbiegła po schodach.

– Co się stało? – zapytała możliwie najbardziej niewinnym tonem, choć głosem lekko drżącym, czy to z przerażenia, czy z tego przenikliwego zimna.

– Co się stało? Ty się jeszcze pytasz, co się stało? Po co jej naopowiadałaś, że jej matka żyje i szuka jej? Przecież wiesz, że to nieprawda!

– A czemu nieprawda? Dużo ludzi przeżyło wojnę i szuka bliskich przez Czerwony Krzyż, więc może...

– Nic nie może! Ona zginęła, rozumiesz? Ada zginęła i wiem to na pewno!

– Dlaczego tak o niej mówisz: Ada?! Przecież to była kochanka taty, a ona jest przybłądą, której nikt nie chce! – wybuchła Wanda.

Zaraz zorientowała się, że przeholowała. Oczy matki pociemniały z wściekłości. Raz – że Wanda powiedziała na głos straszną prawdę. Dwa – że zachowała się nieprzyzwoicie i niestosownie.

– Nikt nie chce takich złośliwych, podłych i nikczemnych dzieci jak ty! Nie odezwę się do ciebie przez następny miesiąc! – oświadczyła Krystyna lodowatym głosem po chwili milczenia.

– Nie musisz się do mnie odzywać, bo ja... ja odchodzę! – wrzasnęła Wanda, zupełnie już rozstrojona.

Pobiegła na górę, ubrała się byle jak, zapakowała w tobołek kilka najpotrzebniejszych rzeczy i powoli zeszła na dół. Była przekonana, że matka ją zatrzyma. Krystyna krzątała się już w kuchni, brzęczały blachy, stukwały misy, słychać było dźwięk rozbijanych jaj.

– Wandziu, dokąd idziesz? Tam śnieg zaraz zacznie padać! – Józefowa załamała rękę.

– Niech jej Józefowa nie zatrzymuje! Niech idzie, gdzie ją oczy poniosą, skoro uważa, że w świecie będzie jej lepiej – prychnęła Krystyna.

Minę miała zaciętą, wargi zaciśnięte w wąską, prawie białą linię, w ogóle nie patrzyła na Wandę. Joasia w ciszy przesypywała mąkę przez sito. Rzuciła na Wandę bojaźliwe i przepraszające spojrzenie. Wanda wywróciła oczami. No tak, ta biedaczka znowu ma poczucie winy, znów chciała dobrze, ale nie wyszło.

Kolejny krok, chwyciła za klamkę. Józefowa pociągnęła nosem. Ona inaczej by to urządziła. Kochała Wandę i uważała, że jej ulubienicy serce pęka przez matkę. Ale cóż jej o tym mówić... Nie wypadało.

Wanda jeszcze przez chwilę się łudziła, nacisnęła klamkę – ale nic się nie stało. Otworzyła więc drzwi i wyszła. Po prostu.

Za progiem stanęła i zaczęła się zastanawiać nad tym, co zrobiła. I co właściwie ma zrobić dalej? Może pójść do domu jakiejś

koleżanki ze szkoły. Ale... której? Z żadną się nie zaprzyjaźniła. Rodziny w Warszawie nie mieli, a przynajmniej jej nic na ten temat nie było wiadomo. Pomysł, aby jechać do Krakowa, do babci lub którejś z licznych ciotek, stryjecznej babki, natychmiast odrzuciła. Nikt, kto absolutnie nie był do tego zmuszony, nie podróżował w tych czasach pociągami.

Poszła więc w stronę Żoliborza i Śródmieścia, „do miasta”. Skoro działały już restauracje, jadłodajnie, bary, kawiarnie, to może i kina? Sklepy? Może będzie mogła gdzieś pójść, spędzić czas w cieple, przemyśleć, co dalej.

Gdy doszła do placu Bankowego, stanęła zdziwiona. Zewsząd otaczały ją ruiny, po szczytach zawalisk lub dolinach między nimi prowadziły ścieżki jak w górach. Wanda wiedziała już, że za żadne skarby świata nie można schodzić z tych wydeptanych szlaków. Tu, pod tymi budynkami rozwalonymi przez bomby, strawionymi przez ogień, mogły kryć się groźne niewybuchy. Słyszała też rozmowy, które kobiety prowadziły ściszymi głosami: że w ruinach napadają, gwałcą, że sowieccy żołnierze potrafią okrutnie zabawić się z młodymi dziewczętami, a nie tak dawno znaleziono w ruinach dawnej ulicy Rymarskiej poćwiartowane dziecko.

Zaczął padać śnieg, najpierw drobny, suchy, potem sypał gęściej dużymi pozlepianymi płatami. Wanda trzęsła się z zimna, ale szła dalej przez zamieć, widząc przed sobą tylko tę wydeptaną ścieżynkę, raz to wznoszącą się, raz opadającą w morzu cegieł i rozłupanych kamieni.

– Jesteś wreszcie! – usłyszała przed sobą głos.

Nawet nie zdążyła się przestraszyć. Jakaś postać zakutana w trzy chusty, dziurawe, brudne i zmechacone, przypadła do niej.

Kłęczała przed nią kobieta o twarzy z pewnością nie starej, ale wychudzonej i wyniszczonej głodem i cierpieniem. Na tym zszarzałym, przedwcześnie pomarszczonym obliczu lśniły jak gwiazdy oczy, gorejące, młode, pełne miłości.

– Córeczko moja kochana! Tak cię szukałam, tyle dróg zeszałam, pół miasta przedeptałam, a ty tutaj, kochana, najukochańsza, jedyna! – Kobięcina chwyciła niczego nierozumiejącą Wandę w objęcia i mocno ją przytuliła.

Wanda nie mogła z siebie wydobyć głosu nie tylko dlatego, że była zaskoczona sytuacją i nie umiała powiedzieć kobiecie, że to pomyłka. Także dlatego, że nagle poczuła, że jest jej strasznie, wręcz okropnie dobrze w tych czułych objęciach. Przytuliła się do kobiety, pozwoliła, żeby tamta zsunęła jej chustę i głaskała ją po włosach... Zorientowała się, że się uśmiecha i płacze jednocześnie. Łzy mieszały się na jej twarzy z wodą z roztopionych płatków śniegu i płynęły po policzkach w dół...

– Irena? Irka? – dało się słyszeć przez zasłonę śniegu głos, a potem posapywanie, jakby ktoś z wysiłkiem drapał się na szczyt rumowiska. – Ach, tu jesteś.

Z zamieci wyłoniła się kobieta, na oko starsza od pierwszej, podobnie jak ona zakutana w kozuch i chusty.

Wanda poczuła, że uścisk zelżał. Spojrzała na twarz kobiety nazwanej Irką – w jej oczach nie było już miłości, jedynie... zaskoczenie, zadziwienie, przykrość? Jakby obudziła się ze snu, a obraz, który ujrzała, był dla niej raczej nieprzyjemny.

– To nie jest Celina. To nie moja Cesia... – wyszeptała. Potem rozejrzała się trwożliwie dookoła i nagle jakby opanowało ją straszliwe przerażenie. – Cesia! Ceśka, gdzie moja Celina?! Szukajmy, szukajmy Celiny, Kaśka, słyszysz? – Te ostatnie słowa były skierowane do drugiej, starszej kobiety, jej twarz była bliźniaczo podobna, ale nie tak zniszczona, poorana zmarszczkami, wzrok miała normalny, nie szalony, jak tamta.

– To moja siostra, Irena. Wybacz jej, dziewczusko. Córkę jej zabili Niemcy na Woli czwartego dnia powstania. Zmysły jej się od tego pomieszały. Od tamtej pory nic, tylko chodzi, zaczepia obce dziewczynki, rzuca im się na szyję, myśli, że to jej Celinka... I tak wędrujemy całe dnie w poszukiwaniu Celinki. A Celinki nie ma, nawet garść popiołu nie została, spalili wszystkich, tyle trupów, tyle trupów... Idź do domu, dziecko, matka pewnie oczy sobie przez ciebie wypłakuje! – zakończyła karcąco.

Kobieta nazywana Ireną nie patrzyła już na Wandę: jej spojrzenie prześlizgnęło się po niej, jakby była przezroczysta, i pomknęło dalej, w poszukiwaniu nieżyjącej Celiny.

Obie kobiety za chwilę rozmyły się w zadymce.

– Matka oczu sobie przeze mnie nie wypłakuje. I raczej nawet na mnie nie czeka – mruknęła Wanda.

Zawróciła jednak i wydeptaną ścieżką, przez ruiny, ruszyła z powrotem, w stronę domu. Bo dokąd miałyby iść?

## Małe Ciche, 1950

To miały być ich pierwsze wspólne wakacje. Co prawda obie dziewczynki jeździły na rozmaite kolonie i obozy. Joasia była prawdziwym typem sportowca. Uwielbiała piesze wycieczki, śmigała na nartach, lubiła się też wspinać. Wanda nie miała tej sportowej żyłki, ale robiła wszystko, aby przekonać otoczenie, że nie jest gorsza od siostry. Jednak do tej pory żadnych wakacji nie spędziły we trzy. I Krystyna miała szczerzy zamiar przeżyć to lato, jakby wojny nie było. Także tej między nimi trzema. Dziewczęta były już młodymi kobietami, bardziej niż podlotkami. Majewska pragnęła widzieć w nich beztroskę młodości. „W końcu – dumiała – młode organizmy szybciej się regenerują. Wprawdzie obie kogoś straciły: Wanda ojca, a Joasia ojca i matkę, czyż jednak razem z Józefową nie starałyśmy się im zrekompensować sieroctwa? Czy nie wypruwałyśmy sobie dla nich żył?!”. Samą siebie próbowała przekonać, że całkowite wymazanie przeszłości jest możliwe, przynajmniej dla nich. A i dla niej byłaby to pociecha: móc popatrzeć na świat oczami córek, które mają jeszcze wszystko przed sobą. Wielką miłość, macierzyństwo, życie słodkie i obfite w dobre wydarzenia. „A ja – cóż ja...” – westchnęła, wkładając do piekarnika kolejną porcję ciasta, które stanowiło główne źródło utrzymania całej rodziny.

Wielkim wysiłkiem Krystynie udało się otworzyć na Żoliborzu niewielką cukiernię. Tym razem zamierzała oczarować klientów czymś specjalnym. Był to czekoladowy, ostatnio bardzo modny w całej Warszawie wielowarstwowy torcik, na który składały się czekoladowy biszkopt, bita śmietana, marmoladka i błyszcząca czekoladowa polewa. Od jakiegoś czasu deser zaczęto nazywać wuzetką – na cześć nowo otwartej trasy wschód–zachód, czyli



właśnie W-Z. Była ona szczytem nowoczesności i każdy czuł się odrobinę jej autorem, gdyż wybudowano ją z funduszków całego społeczeństwa, „wysiłkiem ludu pracującego miast i wsi”, jak grzmiał z mównicy prezydent Bierut. Trasa – wiadomo, rzecz potrzebna, dzięki niej córkom Majewskiej udawało się szybko dostać na Pragę, gdzie otwarto dwa wielkie kina – Prahę i Syrenkę na Inżynierskiej. Krystyna była zapaloną kinomanką i wprawdzie uważała, że żadne osiągnięcie polskiej kinematografii nie jest w stanie dorównać przedwojennym produkcjom, jednak oglądając Kapelusza pana Anatola, zaśmiewała się do rozpuku. Na tę lekką komedyjkę wyciągnął ją wierny klient. Przychodził do jej cukierni po wspomnianą wuzetkę prawie codziennie, a za każdym razem opowiadał o sobie coś ciekawego. A to, że przed wojną był w Afryce, a to, że jego ojciec latał na pierwszych zeppelinach... I tak, dzień po dniu, Krystyna budowała sobie obraz tego człowieka – pana Piotra Gołębińskiego, bo za drugim lub trzecim razem jej się przedstawił. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że czeka na te krótkie odwiedziny. A gdy za którymś razem pan Piotr nie przyszedł, poczuła głębokie rozczarowanie i niepokój: czyżby coś mu się stało? On jednak zjawił się po kilku dniach i wyjaśnił, że musiał wyjechać z Warszawy do Sochaczewa w sprawach rodzinnych. „Do siostry”. Ulga, jaka odmalowała się na obliczu Krystyny, gdy tylko stanął w progu cukierni, najwyraźniej ośmieliła mężczyznę, bo zaproponował jej wyprawę do kina. Po krótkim wahaniu zgodziła się. Ta „randka”, „z kawalerem” wprowadziła wszystkie kobiety, łącznie z Józefową, w stan radosnego podniecenia. Najbardziej jednak przejęta była Joasia – wyciągnęła ze swojej szkatułki kolorowe klipsy (szczyt płochości!) i przyłożyła Krystynie do twarzy.

– Mamusiu, jesteś taka piękna, najpiękniejsza! Załóż te klipsy, a na bank się w tobie zakocha!

Twarz Krystyny przybrała barwę intensywnego buraka. Nie była pierwszej młodości, przekwitanie dawno miała już za sobą i jej obfite kształty stały się jeszcze bardziej imponujące. A tu nagle taka gratka! Kawaler!

– Lepiej niech się pani profesorowa dopyta, czy on aby na pewno nie ma żony – poradziła Józefowa, najbardziej sceptyczna z czterech kobiet.

Krystyna niechętnie skrzywiła brwi. Nie chciała, żeby ją budzić z tego cudownego snu.

Bo jednak był to sen. I jeśli ktokolwiek miał rację, to Józefowa, z jej brakiem zaufania. W kinie było miło, uroczo wręcz. W pewnej chwili pan Piotr – Piotr, jak prosił, żeby go nazywać, na co Krystyna ochoczo przystała, trzepiąc rzesami jak nastolatka, gdy jego pełne gorące usta spoczęły na jej policzku (bo przecież to przejście na ty trzeba było przypieczętować!) – położył jej dłoń na kolanie. W sumie gest mógł uchodzić za niewinny: zrobił to, bo pochylił się w jej stronę, żeby rzucić jakąś uwagę na temat gry aktorskiej Tadeusza Fijewskiego. Jednak zanim cofnął dłoń, przesunął palcem po wewnętrznej stronie uda Krystyny. I tak popatrzył... Poczwała, że brakuje jej tchu, jednak zamiast się rozgniewać, dać mu odczuć, że przekroczył dopuszczalne granice, Majewska nagle poczuła, że pragnie, żeby tej ręki nie cofał i żeby zrobił z nią to wszystko, co podsunęła jej rozgoniona nagle wyobraźnia. Niestety, czar prysł kilka dni później. Piotr zjawił się w cukierni i oświadczył, że oto ma do zrobienia interes życia i czy ona – Krystyna, jego droga Krysieńka – nie zechciałaby mu pomóc. Bo taka okazja może się nie powtórzyć, a jemu potrzeba odrobiny gotóweczki, której, jak raz, nie posiada. Natomiast ona, właścicielka dobrze prosperującego interesu, na pewno ma to i owo upchane w swojej ślicznej pończoszce...

Krystyna poczuła gwałtowny przypływ niepokoju. Starając się zapanować nad swoim głosem, wyjaśniła Piotrowi, że ma na utrzymaniu troje dzieci i że niestety, żadnych oszczędności nie posiada. „Ani kosztowności?” – dopytywał jeszcze rozczarowany absztyfikant. „Ostatnie rodzinne kosztowności wymieniłam na wolność Józefowej” – oświadczyła spokojnie i nagle z nieprawdopodobną wyrazistością zobaczyła, jak z Piotra uchodzi całe zainteresowanie jej osobą.

Tego dnia wracała do domu okrężną drogą, próbując złapać utraconą równowagę. Zawędrowała prawie do samych Kamedułów

w Lasku Bielańskim, a że był on o tej porze, jak sądziła, całkiem pusty, zaczęła głośno łkać, aż w pewnej chwili to łkanie przerodziło się w skowyt. Gdy godzinę później stanęła w progu mieszkania, po tej chwilowej hysterii nie było już śladu. Natomiast właśnie wtedy w jej głowie zrodził się plan, aby wyjechać na prawdziwe rodzinne wakacje. Odetchnąć od tego wszystkiego, zmienić otoczenie.

– A dokąd to pani profesorowa chce jechać? – Józefowa wyduła wargi, podkreślając swoje głębokie niezadowolenie.

– W góry – wypaliła Krystyna. – Na Podhale.

To był doskonały pomysł, zwłaszcza że Wanda i Joanna potrafiły wspinać się po górach, a Krystyna żywiła przekonanie, że obie to uwielbiają. Cóż, mogło to tak wyglądać. Tymczasem Wanda szczerze nie znosiła wysiłku fizycznego i w pierwszej chwili pomysł matki wydał jej się kolejnym sposobem na upokorzenie. Potem jednak pomyślała, że nigdzie świat nie wygląda tak pięknie jak ze szczytów Tatr. I że może uda jej się zrobić kilka fotografii swoim aparatem. Tak jest! Na ostatnie urodziny dostała od Józefowej prawdziwy aparat Start B. Skąd staruszka wiedziała, że był on największym marzeniem dziewczyny – tego nie wiadomo, bo Wanda nauczyła się nie wypowiadać na głos swoich pragnień. Coś jednak musiała zdradzić między wierszami, bo w dniu urodzin Józefowa podarowała jej paczuszkę zawiniętą w piękny czerwony papier. I to był właśnie aparat. Tak więc możliwość robienia pięknych zdjęć rekompensowała dziewczynie wysiłek.

Co prawda Krystyna wyobrażała sobie, że będzie uczestniczyć w wyprawach córek, jednak tusza oraz brak formy zdecydowanie dały o sobie znać. Jedną jedyną wspólną wycieczkę – na Wiktorówki i Rusinową Polanę – przypląciła zapaleniem korzonków i kolejny tydzień spędziła, leżąc na plecach i przeklinając swój los. Tym bardziej że pogoda nieszczególnie dopisywała. Niebo pokryte było chmurami, a ich gospodyni – góralka, która wyglądała jak jej matka, ale okazało się, że jest od Krystyny młodsza o pięć lat – co rusz zerkała w górę i mruzczała do siebie, że nic dobrego z tego nie będzie.

Niezadowolona była i Wanda. Przy takiej pogodzie trudno było fotografować. Co prawda podczas wspólnej wycieczki na Rusinową

Polanę udało jej się zrobić kilka zdjęć, jednak matka wymusiła na niej, żeby pozowały razem z Joanną na tle panoramy Słowackich Tatr, które tego dnia pięknie rysowały się na tle nieba. Tak więc jedyna atrakcja – robienie zdjęć – musiała poczekać na zmianę pogody. Wanda leżała więc w łóżku i czytała kryminał, Krystyna leczyła korzonki, a Joasia okropnie się nudziła.

– Może jednak zrobmy wycieczkę? Choćby małą!

– Ale dokąd? Obeszliśmy wszystkie góry wokół Małego Cichego i Murzasichla. – Wanda ani myślała opuścić postanie.

– To może wybierzmy się na Czerwone Wierchy! – zaproponowała Joanna.

– Ale to kawał drogi! – przestraszyła się jej siostra, szukając wzrokiem poparcia u matki.

Jednak matka, która jeszcze poprzedniego dnia je przekonywała, że nie powinny ruszać się same za daleko od domu, stwierdziła nagle, że zdobycie Czerwonych Wierchów to doskonały pomysł. Tak naprawdę miała ochotę zostać sama, bo trajkotanie nastolatki od rana do wieczora zaczęło ją wyprowadzać z równowagi. Zwłaszcza że Wanda w irytujący sposób nagle zaczęła jej przypominać własną matkę, starą panią Wolfową.

Wanda zacisnęła zęby, a potem wrzuciła aparat fotograficzny do płóciennego plecaka. Mąż gospodyni akurat jechał do Doliny Kościeliskiej, gdzie mieszkali jego krewni, więc zabrał dziewczynki ze sobą – w ten sposób wycieczkę rozpisano na dwa dni. Jednego miały wejść na Czerwone Wierchy, a potem przenocować w schronisku na hali Ornak, a następnego dnia wrócić do Małego Cichego. Nie było słonecznie, ale nic nie zapowiadało deszczu. Taka pogoda utrzymywała się od kilku dni i nawet górale twierdzili, że dziewczynki spokojnie mogą zrobić sobie tę wycieczkę. Tymczasem gdy były już w dwóch trzecich drogi pod górę, pogoda gwałtownie się zmieniła. Najpierw zaczął padać rześisty deszcz, potem dołączył do tego przenikliwy lodowaty wiatr. Wprawdzie obie miały na nogach pionierki, jednak droga i tak stała się potwornie śliska. Zaczęły się wycofywać. Najpierw próbowały iść szybko, potem zwolniły. Wreszcie zaczęły prawie pełzać na czworaka, starając się z wszystkich sił nie ześlizgnąć z bezpiecznej dróżki. Dosłownie metr

od nich rozciągała się przecież kamienna przepaść i wystarczyło wykonać jeden fałszywy krok... I ten właśnie zrobiła Joasia, ta, która dotąd wspinała się z dużo większą wprawą niż siostra. Może zresztą właśnie dlatego, że była pewna swoich umiejętności, nazbyt śmiało postawiła stopę. To trwało zaledwie ułamek sekundy. Wyprostowała się i nagle ześlizgnęła w stronę przepaści. Dosłownie w ostatniej chwili Wanda złapała ją najpierw za pasek plecaka, a potem za ramię. Działała jak automat – skąd wiedziała, jak się zachować, tego nie była pewna. Położyła się na brzuchu, zahaczając stopami o wystający kamień tak, żeby ześlizgnąć się za siostrą. A potem, centymetr po centymetrze, głęboko oddychając, wciągnęła ją na górę.

Same nie wiedziały później, ile czasu zajęło im zejście do schroniska. Dopiero gdy siedziały otulone kocami i napojone gorącą góralską herbatą, Wanda zauważyła, że ma na łokciach i kolanach skórę zdartą do żywego mięsa. Jakby to ona spadała w przepaść, a nie Joasia. Bo Joasi nie stało się zupełnie nic.

– Uratowałaś mi życie – powiedziała w pewnej chwili, gdy zarzuciła siostrze ramiona na szyję i patrzyła jej głęboko w oczy.

Wanda wytrzymała to spojrzenie, ale w jej własnym nie było miłości.

– Kiedyś mi za to zapłacisz – powiedziała hardo i się uśmiechnęła. Ale nie był to dobry uśmiech.

\*\*\*

## **Warszawa, 1953**

Mijały lata. Jak można się było spodziewać, Joasia ukończyła szkołę z najlepszym wynikiem. Złamała też najwięcej serc – była tego jednak kompletnie nieświadoma. Dla wszystkich była tak samo miła, wszystkim tak samo chciała się podobać. Wciąż tkwiła w niej ta rozkoszna dziewczynka próbująca ściągnąć na siebie uwagę otoczenia, Schatzi, skarbek.

Wanda natomiast wyrosła na dziewczynę niewysoką, milczącą, nader inteligentną – czego raczej nie potwierdzały oceny na świadectwie. Aż do końca liceum, do którego poszła oczywiście razem z Joasią, nie zakochał się w niej żaden chłopak. Nie przeszkadzało jej to. Miała niezbyt dobre zdanie na temat mężczyzn. Nie znała ich zresztą zbyt wielu.

Iwo w domu był właściwie nieobecny. Rano szedł do kościoła pomodlić się, po południu czytał Apoftegmaty Ojców Pustyni czy dzieła ojca Mertona, wieczorem znów się modlił. Wakacje spędzał w Tyńcu, u benedyktynów. Zakonnicy powrócili do zniszczonego klasztoru tuż przed wybuchem wojny, przetrwali w nim. Od 1947 roku odbudowywali zrujnowane, częściowo spalone budynki. Iwo chętnie im pomagał. Nie zmienił zdania, wciąż powtarzał, że wstąpi do zakonu. Przez chwilę miał jeszcze nadzieję na studia – marzył o architekturze. Ale odrzucono jego podanie ze względu na pochodzenie. Ojciec – profesor, dziadek – folksdojcz i matka – współpracująca z AK...

Tymczasem Krystyna radziła sobie nieźle, przynajmniej biznesowo. W swojej cukierni zatrudniała już dwie kobiety do pieczenia ciast i ciasteczek, które dostarczała też do kilku restauracji. Józefowa nie mogła jej dłużej pomagać, miała zwyrodnienie płamki żółtej, prawie nic nie widziała, sama wymagała opieki i wsparcia. Zajmowała się nią głównie Wanda. Dziesięć lat po wojnie całą rodzinę wykwaterowano z domu na Bielanach. Ale było ich w sumie pięć osób, z dziećmi i Józefową – dostali z kwaterunku duże trzypokojowe mieszkanie przy szerokiej arterii, niedaleko Lasku Bielańskiego. Jeden pokój zajął Iwo. Drugi przypadł Joasi i Wandzie, ale ta wolała być blisko Józefowej. Ostatecznie Wanda i Józefowa dostały pokój przy kuchni, a Krystyna z Joasią zajęły salon.

Joasia i Wanda były w klasie maturalnej, gdy Józefowa zachorowała. Gorączkowała, bardzo kasłała. Krystyna podejrzewała gruźlicę, ale pneumolog w szpitalu nie pozostawił wątpliwości. Rak płuc, obustronny.

– Niech mi pani profesorowa pozwoli zostać w domu. Co będę się na starość po szpitalach wycierać, w szpitalu, to wszyscy wiedzą,

ludzie umierają – błagała Józefowa Krystynę.

Ale Majewska pozostawała nieubłagana. Skoro lekarz kazał przywieźć Józefową do szpitala, tak należy zrobić. Krystyna ślepo ufała naukowcom, a zwłaszcza tym z profesorskim tytułem.

Wanda obraziła się za to na matkę. „Zostawiasz ją tam, żeby zdechła, a ona całe życie na ciebie ciężko pracowała!” – krzyczała. Krystyna jednak odpowiedziała z twardą miną: „Nie desperuj, Wando, wiesz, że tego nie toleruję. I nie chodzi wcale o to, co Józefowa zrobiła dla mnie, tylko o to, co zrobiła dla ciebie. Kochała cię. I ty ją bardzo kochasz”.

Wanda się wściekła. Niechętnie przyznawała się do jakichkolwiek odruchów serca, a już do tego, że jej na kimś zależy, nie przyznałaby się za nic na świecie. Ale tak, kochała Józefową, może nawet bardziej niż własną matkę? Tak naprawdę to była jedyna osoba, która okazała jej w życiu czułość bezinteresownie i która akceptowała ją w całości, taką, jaka Wanda naprawdę była.

Zaczęła się wiosna. Wanda miała świadomość, że powinna się uczyć do matury, ale nie potrafiła się do tego zmobilizować. Woląa siedzieć w szpitalu z Józefową. Na początku zabierała staruszkę, prawie zupełnie ślepą, do parku otaczającego szpitalne zabudowania. Józefowa nie widziała już świeżych zielonych listków ani drobniutkich kwiatów na jabłoni, ani lazurowych skrzydełek modraszek przemykających między gałęziami drzew. Ale czuła zapach wiosny, ziemi nagrzanej słońcem, słyszała świergot ptaków. Obie siadały na ławce, trzymały się za ręce.

– Wiesz, Dziunieczko, jestem naprawdę szczęśliwa – powiedziała kiedyś podopiecznej stara kucharka.

Wanda uśmiechnęła się rozpromieniona. Na niczym innym jej nie zależało.

Wkrótce jednak stan Józefowej się pogorszył. Nie mogła już wstawać, a Wandzie nie pozwolono wnieść do szpitalnej sali gałązki kwitnącego migdałka. Mogła już tylko siedzieć na łóżku i trzymać w swojej dłoni suchą gorącą dłoń Józefowej.

Tydzień przed maturami Józefowa umarła. Wanda pojechała do niej do szpitala, ale zastała puste łóżko. Nie musiała nikogo pytać, co się stało. Zrozumiała to od razu.

Nie wróciła do domu, chodziła po mieście do północy.

– Czyś ty postradała rozum? Za chwilę matura, egzaminy, czy ty chcesz krowy pasać, czy iść na studia, jak twój ojciec? – Krystyna nie poszła spać, czekała na Wandę w kuchni przy zgaszonym świetle. Zaskoczyła ją, ale to potrwało tylko chwilę.

– I co z tego? I co z tego, pytam? Przecież i tak nie dostanę się na żadne studia, jak Iwo! – Wanda szybko się pozbierała, zrobiła drwiącą minę.

– To było kilka lat temu. Przecież komuniści to nie idioci, nawet oni muszą mieć jakieś kadry, inteligentnych ludzi! Gdybyś złożyła papiery na jakiś sensowny kierunek... Może medycyna? Może coś na Politechnice, bardzo namawiają teraz na to dziewczęta, słyszałam, że dostają fory na egzaminach. Mąż pani Wenclowej, mojej klientki, pracuje na Wydziale Inżynierii Produkcji, mógłby szepnąć do rektora jakie dobre słowo...

– Nie interesuje mnie dobre słowo męża pani Wenclowej z tej prostej przyczyny, że nie interesuje mnie inżynieria produkcji. Nie chcę spędzić całego życia w fabryce, przy robocie, jak ty.

– Tak? A cóż to niby interesuje cię, Wandeczko? Bo ja, twoja matka, nic o tym nie wiem! – huknęła Krystyna i wzięła się pod boki. Czemu, no czemu ta Wanda musi być taka krnąbrna?!

– Interesuje mnie historia sztuki, o! – wypaliła Wanda. I zaraz tego pożałowała. Bo wcale nie chciała wtajemniczać matki w swój plan, bała się wyśmiania...

Ale Krystyna zaniemówiła. Wpatrywała się w Wandę oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

– Wandziu, ale... To nie są czasy dla marzycieli, myśl, proszę, poważnie! Wencel mógłby pomóc, to serdeczny człowiek, zna naszą sytuację... Sama rozumiesz, twój ojciec, twój dziadek fabrykant, moja działalność wojenna... I jeszcze Iwo, wiecznie siedzi w Tyńcu, to źle wygląda, chce iść na duchownego, wtedy to mi taki domiar dowalał do cukierni, że się nigdy z tego nie wydobędziemy... Wandusiu, zaklinam cię, wybierz coś bardziej praktycznego. Coś, co pozwoli ci się utrzymać. Błagam, Wanda, wiesz, że ja rzadko o coś cię proszę.



Wanda milczała. Na jej ustach błąkał się dziwny uśmiezek. Tak, to prawda, matka rzadko o coś prosiła. Najczęściej kazała, wymagała, dyscyplinowała albo groziła.

– Nie. Nie, nie spełnię twojej prośby. Bo to pierwsza rzecz, którą chcę zrobić dla siebie i która będzie tylko moja. I wiesz co? Mam przecucie, że będę w tym świetna.

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Egzaminy maturalne Joasia zdała na samych piątkach od góry do dołu, a Wandzie poszło zaskakująco dobrze: na świadectwie miała czwórki, piątki i jedną tróję, z matematyki. Jak powiedziała matce, tak zrobiła: złożyła papiery na historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Joasia wybrała romanistykę – słyszała, że jej matka biegle mówiła po francusku, w ogóle miała talent do języków: znała polski, jidysz, francuski, niemiecki...

Wanda miała świadomość, że jej „karta kandydata” i ankieta, które trafiły do komisji rekrutacyjnej, nie będą ocenione pozytywnie. Matka – drobna inicjatywa. Córka folksdojcza. Ojciec – profesor o arystokratycznych korzeniach, na dodatek „żyjący z pracy ludu” (udziały w tych nieszczęsnych cementowniach!). Ale najgorzej wyglądała współpraca matki z AK.

Pocieszało ją jedynie to, że i Joasia będzie miała tak samo fatalną kartę, jej podanie z pewnością nie spodoba się organom bezpieczeństwa! Wszak miały jednego ojca, a Ada – osoba znana z nieobyczajnych zachowań, zapewne kosmopolitka, malarka – też przecież współpracowała z AK.

Podanie Wandy bardzo szybko rozpatrzono negatywnie. Jak dowiedziała się Krystyna, zaważyło właśnie owo nieszczęsne pochodzenie klasowe. Ku zdumieniu zarówno Wandy, jak i Krystyny Joasia została przyjęta.

– Nazwisko Joasi okazało się znane w Komitecie Rekrutacyjnym. Zasiada w nim jakiś profesor powojenny, fatalna figura. Podobno znał Adę jeszcze z Krakowa, była w głębi duszy komunistką, jak on twierdzi. I na dodatek w jej papierach znalazła się informacja o współpracy z AL... Zdaje się, że niektóre akcje w getcie organizowali wspólnie, to ktoś z AL miał też Adę ukrywać po jej ucieczce z Krakowa... Zdziwiająca historia. No, w każdym razie

dzięki temu właśnie Joasi pozwolono studiować – usłyszała Wanda wieczorem rozmowę matki z przyjaciółką.

Przeplakała potem całą noc. Po śmierci Józefowej została sama w pokoju, Joasia w zasadzie zajmowała dawny pokój Iwona, bo on niezwykle rzadko pojawiał się w domu i raczej na prawach gościa. A więc to tak! A więc nawet to udało się temu bękartowi, temu podrzutkiowi lepiej niż Wandzie! A przecież to jej należał się indeks, pochodziła z rodziny inteligenckiej, dawnej szlachty! „Znów wyprzedziła mnie wnuczka jakiegoś... parcha” – przebiegło przez głowę Wandzie i sama się zdumiała. Nigdy nie myślała w ten sposób o Żydach. Nie słyszała nawet, żeby ktoś o nich tak mówił, nie w jej domu, nie w jej otoczeniu! Skąd wzięło jej się to słowo?

Rano wyszła z pokoju potargana, przygarbiona, z podkrążonymi oczami.

– Mówiłam ci, ale jak zwykle byłaś mądrzejsza. A mąż Wenclowej na pewno by to załatwił. Może nie tak, jak marzyłaś, ale miałabyś ten indeks. A tak zostałaś z niczym. Wanda, tak będzie zawsze, jeśli nie nauczysz się pokory i... – klarowała Krystyna, już ubrana, w beżowym płaszczku i cieniutkich rękawiczkach. Mimo szarzyzny i grozy PRL-u Krystyna nie wychodziła na ulicę bez rękawiczek i kapelusza.

– Daj mi spokój, mamó! Daj mi wreszcie spokój, raz na zawsze! – rozplakała się Wanda.

Krystyna zrobiła taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie umiała tego ubrać w słowa. Skrzywiła się więc i wyszła.

Na stole w kuchni na Wandę czekało śniadanie. Dobrze ścięta jajecznica ze szczypiorkiem, chleb, kawa. Joasia z przerażoną i smutną miną winowajczyni siedziała pod oknem.

– Nie chce mi się jeść. I nie musisz się tak przejmować, dam sobie radę. W końcu to nie twoja wina, że urodziła cię ta wywłoka, komunistyczna, jak się okazuje. – Nie umiała darować sobie tej uwagi.

Patrzyła, jak oczy Joasi napęniają się łzami, i czuła satysfakcję. A jednocześnie czuła do samej siebie obrzydzenie.

\*\*\*

– Tak, Iwo... Co? Nie, nie będę zwracała się do ciebie „ojcze Hieronimie”, chyba żartujesz! Urodziłam cię, sama wybrałam ci imię i nie zamierzam nazywać cię innym. Daj mi spokój. Halo? Słyszysz mnie? Halo? No więc, Iwo, wyobraź sobie, że Joasia nie tylko fantastycznie się obroniła, jak powiedział profesor, celująco, ale jeszcze zaproponowali jej, aby została na uczelni, robiła doktorat! Czy to nie cudownie? Pójdzie w ślady ojca, zrobi karierę naukową, jak on i... Halo? Halo?! Iwo, czy ty w ogóle mnie słyszysz? – Krystyna podejrzliwie obejrzała słuchawkę, trzasnęła nią w widełki z wyraźną irytacją. – Skaranie boskie. Pewnie nas podsłuchują, podłe ubole, cholerni komuniści.

Wanda, która siedziała przy stole w kuchni, zajęta lekturą Żółtej gałęzi sir Jamesa George’a Frazera, prychnęła z wyraźną dezaprobatą.

– Po pierwsze, nie ma już UB. A po drugie, dlaczego ci cholerni komuniści mieliby podsłuchiwać Joasię? Przecież dzięki mamusi jest jedną z nich. Oj, przepraszam, znów mi się wyrwało! Przecież ty nie pamiętasz, że ona nie jest twoją córką, tylko żydowskim bękartem!

– Natychmiast przestań! Nie pozwalam ci tak mówić. Żebyś ty, moja córka, wygadywała takie brednie! Skąd się w tobie bierze ten antysemityzm? Przecież nie ode mnie, nie od ojca, nie od Józefowej! – Krystyna załamała rękę.

Wanda z trzaskiem zamknęła okładkę.

– Jeśli cokolwiek się w ogóle we mnie bierze, to tylko od Józefowej. To ona mnie wychowywała, ty byłaś zbyt zajęta Joasią i jej rozlicznymi sukcesami – syknęła i wyszła do swojego pokoju, demonstracyjnie zatrzaskując drzwi.

Czytała całymi dniami. Owszem, powinna była pracować, w PRL-u nie można było tak po prostu nie mieć pracy, nic nie robić. Gdy Joasia zaczęła studia na romanistyce, Wandę skierowano do pracy w domu towarowym. Trafiała do działu odzieżowego. Całymi dniami układała na półkach swetry. Trzy modele, w dwóch kolorach, jeden brzydszy od drugiego. Nic dziwnego, że nikt ich nie kupował.

Czasem przychodziła jakaś para mierzyć dla niego garnitur. Garnitury, zdaniem Wandy, były szczytem ohydy. Czuła się zgnębiona i upokorzona tą pracą, tym bardziej że Joasia miała piękną białą studencką czapkę z amarantowym otokiem i od czasu do czasu opowiadała o tym, co dzieje się na uczelni, czego się uczą, jakie ma koleżanki, kolegów... Oczywiście Wanda miała świadomość, że Joasia się powstrzymuje. Wiedziała, że Joasia ją kocha, zna, rozumie i nie chce ranić. Nie można było tego samego, niestety, powiedzieć o Krystynie, która wciąż wypytywała przybraną córkę o zajęcia, profesorów, znajomych, studenckie życie. I robiła to przy Wandzie, w ogóle nie krępowała się tym, że sprawia jej ból! „Życie jest okrutne. Dla mnie było, dla ciebie jest, dla Joasi będzie. Lepiej się do tego przyzwyczaj, zamiast udawać, że nic się nie stało” – powtarzała Wandzie z lubością.

Entuzjizm – minimalny – do pracy szybko Wandzie minął. Zaszywała się na zapleczu z książką. Wkrótce kierowniczką dała jej do zrozumienia, że powinna poszukać innej posady.

Krystyna była oczywiście wściekła.

– Weź się wreszcie do roboty! Że nie będziesz intelektualistką? Tak, nie będziesz, ja nie jestem i ty też nie musisz. Od wojny ręce sobie po łokcie urabiam, żeby zarobić na rodzinę. Weź ze mnie przykład – mówiła.

– Ale ja nie mam rodziny... – wzdychała wtedy Wanda.

Uważała, że jej życie zmieniliby się diametralnie, gdyby tylko spotkała mężczyznę, którego pokocha i który ją by pokochał. Wyprowadziłyby się od Krystyny, miałyby swoje dzieci, dla których byłaby prawdziwą przyjaciółką i autorytetem, nie tak jak Krystyna dla niej. W jej wyobraźni „rodzina” miała ją przemienić tak jak kiedyś zielona sukienka. Ale w ogóle nie dostrzegała tej analogii.

Po fiasku na posadzie w domu towarowym Wanda zaliczyła jeszcze kilka podobnych porażek. Potem ciężko się rozchorowała, lekarze podejrzewali zapalenie płuc, ale okazało się, że to początki gruźlicy. Wyjechała na prawie rok do Świnoujścia. Gdy wróciła, dowiedziała się, że Joasia skończyła studia z wyróżnieniem.

– A ty? Co teraz zamierzasz robić? – zapytała Krystyna.

Nie chciała dać córce spokojnie dokończyć lektury. Bez pukania otworzyła drzwi jej pokoju, stanęła w progu i patrzyła na nią wyzywająco.

– Muszę się oszczędzać, przecież wiesz.

– Ale musisz też iść do pracy. Pomyślałam, że może spróbowałabyś u mnie, w cukierni? Albo w kawiarni? To lekka praca, przyjemna, parzyłabyś kawę, podawała do stolików.

– Zastanowię się. Co u Iwona? I dlaczego kazał ci się zwracać do siebie... Jak właściwie? Hipolit?

– Hieronim. Wiesz, że Iwo długo wstrzymywał się z decyzją o wstąpieniu do zakonu. Nosi się z tym zamiarem od lat, w zasadzie chyba od powstania. A gdy nie puścili go na architekturę, te ubole przebrzydłe... Utwierdził się w przekonaniu, że ma powołanie i to jest jego droga. Ubłagałam go tylko, żeby zaczekał, aż złożycie papiery na studia i zaczniecie naukę. Była szansa, wierzyliśmy w to wszyscy, że obie się dostaniecie. Ale Iwo, już po złożeniu ślubów, fatalnie by wyglądał w dokumentach. Zgodził się, rozumiał to oczywiście. Ale teraz... w zasadzie nie powinien się już dłużej na nas oglądać – westchnęła Krystyna.

Wanda wiedziała, co ją trapi.

– Boisz się o swoją cukiernię? Że dadzą ci domiar, będą tępić, bo nie dość, że zapluty karzeł reakcji, córka zdrajcy, ze złym pochodzeniem, drobna inicjatywa, prywaciara, to jeszcze matka księdza! – zaśmiała się.

Krystyna wzruszyła ramionami.

– Nigdy żadnemu z was na drodze do szczęścia nie chciałam stać. Nawet tobie, Wandziu. Pragnęłabym nade wszystko, żebyś była szczęśliwa, i boli mnie, że nie umiem ci tego zaoferować – westchnęła.

Wanda poczuła nagły i rzadki przypływ czułości do matki.

– Nie martw się, mamusiu – powiedziała i przytuliła się do niej.

I trwały tak dobrą chwilę, dopóki obu nie przypomniało się, że przecież trwa między nimi ciągła wojna. Jak na komendę odsunęły się od siebie. Wanda skrzyżowała ręce na piersi, Krystyna, zmieszana, poprawiała fryzurę.

– Powiedziałam mu, by to zrobił. Że jestem z niego dumna. I że chętnie przyjedziemy wszystkie na złożenie ślubów, wyściskamy go – stwierdziła już swoim zwyczajnym tonem.

Wanda pokiwała głową. Znów jakaś zadra utkwiała w jej sercu. Dzisiaj matka powiedziała, że jest dumna z dwójki swoich dzieci. I Wandy w tym gronie nie wymieniła.

\*\*\*

– O co ci chodzi? Przepracowywać się nie musisz. Większość klientów je tylko ciastka, o kawę mało kto prosi, możesz sobie siedzieć w kącie i czytać. To tych nielicznych, którzy chcą się napić kawy, musisz przepłaszac? – Krystyna była wściekła. Zagoniła Wandę na zaplecze, wpędziła w kąt i zrobiła jej karczemną awanturę, choć szeptem.

– Nie życzę sobie, żeby jakieś bezzębne indywidua gapiły mi się na biust i klepały mnie po pupie! – Wanda prawie się rozplakała.

– Trzeci klient w tym tygodniu skarży się na ciebie. Dla kolegów też jesteś niemiła! Wanda... to chyba był błąd. Nie powinniśmy pracować razem. – Krystyna miała wyraz bezradności wypisany na twarzy. Usiadła na krześle i sprawiała takie wrażenie, jakby z trudem powstrzymywała się od łez.

– Nie chciałam u ciebie pracować – przypomniała Wanda.

– To prawda. Ale gdzieś musisz pracować. Coś musisz robić. Ja... rozmawiałam z panią Poniatowską. To świetna modystka, cała Warszawa kupuje u niej kapelusze, nawet Cyrankiewiczowa...

– Nina Andrycz – poprawiła ją Wanda. – Wyobraź sobie, że ona ma swoje dokonania, nie jest tylko żoną premiera – prychnęła.

– Co ty wygadujesz? Wanda, ja nie mam pojęcia, skąd ci się takie idee biorą, może ty się stałaś sufrażystką, co? – zaśmiała się Krystyna, ale wzrok Wandy był tak karcący, że uśmiech natychmiast zamarł matce na ustach.

– No i co z tą modystką od Niny Andrycz? – zapytała leniwym tonem Wanda. Właściwie jej to nie interesowało, podobnie jak kłótnia z matką. Po prostu chciała mieć spokój.

– Ona szuka uczennicy. Zazwyczaj przyjmuje na staż młodsze dziewczęta, ale...

Wanda się zadumała. Może to nie był zły pomysł? Kapelusze – to do tej pory było najbliższe sztuce zajęcie, jakie jej proponowano. Gdyby wyuczyła się fachu, mogłaby tworzyć, zestawiać kolory, formy. Nie musiałyby się uśmiechać do głupawych klientów, po kapelusze do pani Poniatowskiej przychodziły tylko kulturalne i zamożne damy. Sama Adela Poniatowska miała oczywiście ciekawą historię, bo była „z tych Poniatowskich”. Zubożenie rodziny, wojenna tułaczka i nędza, a potem własny zakład przy zerowej nadziei na życie na poprzednim poziomie. Dziś Adela Poniatowska była po czterdziestce, ale pewnie i ona kiedyś chciała studiować, może wyjść za mąż... Wanda intuicyjnie czuła, że znajdzie z panią Poniatowską porozumienie.

– Zgadzam się – powiedziała.

Następnego dnia poszła na spacer na plac Wilsona, gdzie mieścił się zakład pani Poniatowskiej. Z odległości spojrzała na witrynę. Była elegancka, do zakładu rzadko ktoś wchodził i raczej nie były to przypadkowe osoby. Zachęcona tą obserwacją Wanda podeszła bliżej.

Na wystawie wyeksponowano tylko trzy kapelusze, ale za to jakie! Jeden był klasyczny, zielony, ozdobiony piórkiem i wstążką. Drugi – męski, w kolorze kości słoniowej, z ciemną taśmą. A ostatni... toczek w kolorze fuksji, z woalką w takim samym kolorze. Wyglądał jak egzotyczny ptak, który sfrunął na wystawę z jakiejś rajskiej wyspy, jakże odległej od szarego przaśnego PRL-u.

Po raz pierwszy od wielu lat – a już na pewno po raz pierwszy od wyboru historii sztuki jako kierunku studiów – Wanda poczuła, że chce coś zrobić. Kapelusze.

Nacisnęła ciężką mosiężną klamkę i weszła do środka. Rozległ się radosny czysty dźwięk dzwoneczka. Z zaplecza wyłoniła się chuda wysoka postać o ciemnych włosach obciętych na pazia i ustach pociągniętych czerwoną szminką.

– Dzień dobry. Nazywam się Wanda Majewska i...

– Pani Wando! Czekałam na panią. – Postać się uśmiechnęła.

I tym razem naprawdę po raz pierwszy w życiu Wanda poczuła, że faktycznie oto ktoś, kto na nią czekał. Właśnie na nią. Rozpromieniła się, bo świat wydał jej się nieoczekiwanie całkiem ładnym miejscem – jakby nagle zza chmur wyszło słońce.

\*\*\*

Iwo złożył śluby na jesieni. W piękny wrześniowy poranek podczas uroczystej mszy świętej, na której wspaniały męski chór śpiewał chorały gregoriańskie. Krystyna nie uroniła ani jednej łzy, choć sama przed sobą musiała przyznać, że serce pękało jej z żalu. Przyzwyczaiła się do nieobecności syna, jednak teraz klamka zapadła: będą się widywać raz, najwyżej dwa razy do roku. Listów też nie mogła do niego słać bez opamiętania, a na jego odpowiedzi mogła liczyć najwyżej raz w miesiącu. To było mało, za mało. „Gdzie to w człowieku drzemie?” – zastanawiała się. Wprawdzie oboje, jeszcze ze świętej pamięci Kazimierzem, przestrzegali katolickich zasad – chodzili do kościoła (jak wszyscy), posypywali głowy popiołem w Środę Popielcową (jak wszyscy), pościli w Wielkim Poście i stawiali na stole dwanaście potraw w Wigilię. Ale gdyby się nad tym głęboko zastanowić, to przecież ani ona, ani tym bardziej jej zmarły mąż nie byli szczególnie religijni. Tymczasem chłopak od małego przejawiał skłonności metafizyczne. „To pewnie sprawka Józefowej” – sama sobie odpowiedziała na niewypowiedziane na głos pytanie. Tak, to Józefowa odmawiała z jej dziećmi codziennie pacierz, prowadziła do kościoła nawet wtedy, gdy ona sama cierpiała na „globus”, szyła dziewczynkom sukienki na pierwszą komunię... Poza wszystkim była jednak osobą głęboko pobożną. Taką, która wszystkie codzienne sprawy odnosiła do Wyższej Instancji. Nie, żeby się obnosiła z medalikami czy książeczkami do nabożeństwa. Przeciwnie. W jej postawie nie było nic z dewocji. A jednak gdyby Krystyna miała wskazać jedną osobę, co do której była pewna, że można ją było nazwać świętą, to była to właśnie jej służąca, niańka jej dzieci, najbliższa przyjaciółka i najukochańszy człowiek na tym łez padole...



To ostatnie zdanie Krystyna wypowiedziała półgłosem. I sama nie zauważyła, że po policzkach zaczął jej płynąć wartki strumyk łez. Stojąca obok niej starsza kobieta w małym czarnym toczku z woalką – najwyraźniej również matka któregoś z młodych zakonników składających śluby – usłużnie podała jej serwetkę.

– Tak – szepnęła w uniesieniu przekonana, że rozumie – to niesłychanie wzruszający moment. Nasi chłopcy oddani na służbę Bogu i człowiekowi.

Krystyna skinęła głową i ukryła nos w chusteczce, żeby przypadkiem usłużna nieznajoma nie dostrzegła wyrazu irytacji, jaki malował się na jej twarzy.

W kazaniu przeor klasztoru benedyktynów mówił o podstawowych cnotach zakonu. O stałości, naprawie obyczajów i posłuszeństwu regule... Krystyna pomyślała, że właściwie całe jej życie upływa pod znakiem tych trzech cnót. Była stała, czyli wierna zasadom przyzwoitości, które wpoił jej mieszczański dom, obyczajów również strzegła jak mało która kobieta, no i zawsze była posłuszna swoim obowiązkom: córki, żony, matki... I co jej z tego przyszło?!

– Przynajmniej nie będziesz teściową dla żadnej okropnej baby – zaśmiał się Iwo, gdy kiedyś próbowała go szantażować wizją utraconych wnuków. – A poza tym masz jeszcze dwie córki.

No tak, miała córki. I może nawet była w tym pewna ulga, że nie będzie musiała dzielić swojego dziecka z kimś, z kim na pewno nie doszłaby do porozumienia. Była świadoma tego, że nie potrafiłaby wyjść z ram stereotypu teściowej, gdyby naprzeciwko siebie miała młodą kobietę, żonę syna. Co innego zięć.

Wytarła odrobinę za głośno nos i schowała chusteczkę do kieszeni, a potem uśmiechnęła się do troskliwej sąsiadki.

– To prawda – powiedziała z serdecznym uśmiechem. – Trudno sobie wyobrazić bardziej wzruszającą chwilę.

\*\*\*

**Warszawa, 1963**

Później, po latach, gdy Wanda przemierzała w myślach swoje życie w poszukiwaniu związków przyczynowo-skutkowych, jaśniejszych i ciemniejszych momentów oraz tego, co można by zaliczyć do tych mgnień, które w sumie tworzą tak zwane szczęśliwe życie, okres, który spędziła w atelier pani Poniatowskiej, nie wyglądał najgorzej. Szefowa była dla niej miła, dawała jej sporo wolności, z czasem zaczęła zostawiać ją samą w zakładzie – cieszyła się nawet, że trafiła się jej tak zdolna uczennica, kto wie, może przejmie po niej zakład? A poza tym Wanda naprawdę lubiła swoje zajęcie. Nie, żeby to była jej pasja, ale przyjemny sposób na spędzanie czasu. A że jeszcze uczciwie jej za to płacono...

W pracowni kapeluszniczej przeżyła też swoje pierwsze miłosne uniesienie. Nie miłość życia, ale uniesienie właśnie. W sumie schemat był podobny jak w przypadku jej matki i Piotra Gołębiewskiego. Niesamowite, jakie dziwne konfiguracje ludzie potrafią dziedziczyć. Bo początek historii jej i Waldka – mężczyzna, który na moment zawładnął jej sercem, miał na imię Waldek (a przynajmniej tak się przedstawiał) – do złudzenia przypominał ostatnią przygodę miłosną jej matki.

Oto pewnego dnia do pracowni kapeluszniczej wszedł mężczyzna. Nie był bardzo przystojny, ale miał w sobie urok, który – jak później stwierdziła Wanda – rezydował w jego gęstych czarnych brwiach. Mężczyzna miał bardzo wyraziste oczy, ciemnobrązowe lub czarne – trudno się było zdecydować. Włosy gęste i sztywne, zaczesane do tyłu. Był raczej przysadzisty i miał lekko krzywe nogi, jednak z całej jego postaci emanowała siła, władczość, po prostu wydawał się tak męski, że Wandzie, wychowanej w domowym babińcu i złaknionej odrobiny testosteronu, od razu wydał się interesujący. Miał na sobie szary prochowiec i brakowało mu – no właśnie, tylko kapelusza. Dokładnie to powiedziała Wanda, gdy tylko nieznajomy przekroczył próg pracowni pani Poniatowskiej.

– Brakuje panu tylko kapelusza!

– Otóż to – poświadczył przybysz i uśmiechnął się, jednocześnie ujawniając drugie źródło swojego niebywałego uroku. Bo uśmiech miał równie czarujący jak brwi.

– Jaki kapelusz chciałby pan zamówić? – dopytywała Wanda.

– Widzi pani... waham się pomiędzy fedorą a homburgiem.

Nieznajomy odwrócił się bokiem i zaczął lustrować modele wystawione w gablocie. Niektóre z nich pani Poniatowska wyniosła z powstania z narażeniem życia. W tym elegancką ciemnobrązową fedorę i właśnie ten kapelusz zwrócił uwagę mężczyzny.

– Czy mógłbym przymierzyć?

– Oczywiście – powiedziała Wanda i wyszła zza gabloty.

Mężczyzna szybko zlustrował jej sylwetkę, a dziewczyna poczuła, że robi się jej gorąco. Nie miała złudzeń. Nie była powabna. Aby ukryć masywne nogi, wkładała długie spódnice o niemodnym fasonie albo spodnie, co budziło sprzeciw jej matki. „Prawdziwa kobieta po prostu się tak nie ubiera” – twierdziła Krystyna, a Wanda wzruszała na to ramionami i udawała, że nic a nic nie obchodzi jej matczyne gadanie. Ale słowa robiły swoje. Drażniły skałę jej serca i mościły się tam w postaci przekonania, że różne rzeczy można o niej powiedzieć, ale nie to, że jest kobieca. Tymczasem ten mężczyzna patrzył na nią z takim zainteresowaniem, jakby była co najmniej... Joanną. Zgrabną, śliczną, długonogą Joanną.

– Proszę usiąść, wezmę miarę – wykrztusiła wreszcie po przedłużającym się milczeniu.

Mężczyzna posłusznie usiadł, nie zdejmując z głowy fedory, którą podała mu chwilę wcześniej. Kapelusz leżał jak ulał, a on wyglądał, jakby się z nim na głowie urodził.

Zdjęła wiszący na ścianie metr krawiecki i otoczyła nim głowę mężczyzny. I nagle poczuła się tak, jakby ktoś jej wstrzyknął coś do krwiobiegu. Ogarnęły ją dziwne ciepło i ciężkość. Tak jakby nagle zamieniła się w posąg. Pochyliła się delikatnie nad głową nieznajomego. Do jej nozdrzy dotarł zapach jakby ambry, piżma, drzewa cedrowego, rozgniecionych jagód jałowca. Miała ochotę zanurzyć się w tych włosach. Widocznie zmienił jej się wyraz twarzy, bo mężczyzna, który obserwował ją w wiszącym na ścianie lustrze, zapytał nagle ni to drwiąco, ni to troskliwie:

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak – odpowiedziała, czerwieniąc się gwałtownie. – Zastanawiałam się tylko...

– Nad czym?

- Co to za zapach?
- Pyta pani o perfumy?
- Tak.

– To Agua Brava – odparł, jakby hiszpańska woda toaletowa to było coś zupełnie naturalnego w PRL-u lat sześćdziesiątych.

– Piękny zapach – powiedziała, mając jednocześnie świadomość, że się ośmiesza. Zaczęła się intensywnie pocić i z przerażeniem myślała o tym, że mężczyzna mógłby to zauważyć. – Sześćdziesiąt centymetrów – wyjąkała wreszcie. – Ma pan całkiem dużą głowę.

Nieznajomy popatrzył na nią figlarnie i znowu się uśmiechnął, a Wanda pomyślała, że jeśli uśmiechnie się raz jeszcze, to ona rozpadnie się na milion drobnych kawałków.

– Kapelusz mógłby być gotowy na przyszły wtorek – próbowała jeszcze trzymać fason. – Czy ten termin panu odpowiada?

On skinął lekko głową, nie spuszczając z niej wzroku. Pochyliła się nad terminarzem i zaczęła zapisywać zlecenie.

– Pana godność?

– Waldemar Rylski – powiedział, a ona pomyślała, że to imię i nazwisko bardzo do niego pasują.

– Zapraszam we wtorek, panie Waldku, będzie gotowy – powiedziała.

A wtedy on pochylił się do samej ziemi – nie do końca zrozumiała w pierwszej chwili, po co to robi, tymczasem on najbezwzględniej w świecie wsunął jej rękę pod spódnicę i przesunął wzdłuż prawej nogi, do samego łona. Potem sprawnie, jakby w życiu nie robił niczego innego, odsunął pasek jej rajstop i dosięgnął palcami tam, gdzie pulsowało intensywne gorąco. Nie spuszczając wzroku z jej twarzy, zaczął pocierać palcem wskazującym w górę i w dół, a ona – choć wiedziała, że powinna coś zrobić – właśnie nie zrobiła nic, tylko coraz szybciej oddychała i coraz obficiej spływała potem. I wreszcie, gdy już czuła, że nie wytrzyma ani chwili dłużej, on nagle się zatrzymał. Delikatnie przeprowadził z powrotem swoją dłoń przez zakamarki rajstop i spódnicy, a potem grzecznie się uśmiechnął i strzelił obcasami.

– Zatem do wtorku, pani Wando!

Była tak oszołomiona, że nie zastanowiło jej, skąd ten nieznajomy mężczyzna znał to imię.

Romans z Waldemarem trwał całe dwanaście tygodni. Był jej pierwszym mężczyzną, rozbudził w niej takie żądze, o jakie się nigdy nie podejrzewała – przede wszystkim dlatego, że znajdował dziwne upodobanie w tym, żeby doprowadzać ją prawie na sam szczyt, a potem nagle opuszczać, wymawiając się pilnymi zajęciami. Kochali się o najdziwniejszych porach dnia, w różnych miejscach – choć głównie między pudłami na kapelusze na zapleczu zakładu pani Poniatowskiej, gdy właścicielki akurat nie było. Kiedy przychodził, Wanda wywieszała tabliczkę z napisem „Zaraz wracam” i zamykała drzwi na dwa zamki. Nigdy nie wiedziała, kiedy przyjdzie – obiecywał być nazajutrz i przez pięć dni nie dawał znaku życia. Przychodził przez tydzień codziennie, a przez kolejny się nie pojawiał. Dostawała szau na myśl o tym, że może go już nigdy nie zobaczyć. A jednocześnie godziła się z tym, że ona jest tu zawsze i zawsze czeka – a on przychodzi, kiedy chce.

Pewnego dnia, gdy akurat był z wizytą, do pracowni wpadła rozradowana Joasia.

– Siostrzo, potrzebuję słomkowego kapelusza – zawołała od progu, zupełnie nie przejmując się obecnością Waldemara.

On natomiast zachowywał się tak, jakby w niego piorun strzelił. Patrzył na nią jak na ósmy cud świata. Przerazona i zraniona do żywego Wanda pojęła od razu, że na nią tak nie spojrział nigdy, w żadnym momencie ich płomiennej znajomości. W jednej chwili zrozumiała wszystkie jego gesty, miny, spojrzenia. Bo to, co wyczytała w jego twarzy, w postawie ciała, w ruchu rąk, było czystym zachwytem i pragnieniem. Ani jednego, ani drugiego Wandzie nigdy nie dał odczuć. To, co było między nimi, właśnie okazało się okrutną zabawą.

\*\*\*

**Tyniec, 2019**

– I widzisz, droga Urszulo, takie jest to życie – westchnął ojciec Hieronim, podając siostrzenicy dorodne jabłko z benedyktyńskiego sadu. – Wanda już wcześniej czuła głęboki żal do siostry. Jednak to, co poczuła teraz, było jak biały płomień. Jej serce rozgorzało czystą nienawiścią.

– Biedna mama – westchnęła Urszula i zatopiła zęby w błyszczącej czerwonej skórce.

**Warszawa, 1967**

Joasia wpatrywała się w plakat od kilkunastu minut. Był dziwny, niepokojący. Na czarnym tle widać było zarys... postaci? Białej i spękanej jak ziemia, na którą od dawna nie padał deszcz. Ale tam, gdzie u człowieka jest klatka piersiowa i serce, ziała ogromna ciemna dziura.

I prawie nic więcej, tylko w lewym górnym rogu malutkie litery: „Dziady. Adam Mickiewicz. Teatr Narodowy”.

– Podoba się pani? – rozległ się głos.

Obejrzała się trochę przestraszona – zatraciła się zupełnie w kontemplacji plakatu, zapomniała, że stoi na Krakowskim Przedmieściu, tuż obok głównego wejścia na teren Uniwersytetu Warszawskiego.

Głos należał do wysokiego szczupłego szatyna w okularach. Zza szkielek błyskały niebieskie oczy o szczerym spojrzeniu. Szatyn był też wyposażony w krótką bródkę, modną w ostatnim czasie. Nosił zieloną wojskową kurtkę. W ogóle wyglądał nonszalancko, dobrze. Joasia skonstatowała z pewnym zdumieniem, że nie, plakat jej się nie bardzo podoba – ale szatyn owszem.

– Nie mogę powiedzieć, że mi się podoba, ale z pewnością robi wrażenie, nurtuje. Interesuję się teatrem, piszę pracę doktorską o recepcji francuskiego teatru awangardowego... – przerwała nagle, zdumiona własną gadatliwością. Po co opowiada temu obcemu człowiekowi takie rzeczy, cóż jego to może interesować?

– O? Fascynujące. Chętnie posłuchałbym o francuskim teatrze awangardowym, a jeszcze chętniej zaprosiłbym panią na ten spektakl. Na Dziady. – Skinął głową w stronę plakatu.

– Pan wybaczy, ale ja pana w ogóle nie znam! – Joasia błyskawicznie się opamiętała. I – zadziwiające – zdała sobie sprawę,

że oblała się pąsem. To jej się naprawdę rzadko zdarzało i poczuła się z tym idiotycznie.

Szatyn natomiast pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie widział tak zachwycającej istoty, ale chyba źle zaczął i to przecudnej urody stworzenie może mu umknąć...

– Przepraszam panią bardzo, popełniłem nietakt. Nazywam się Karol Pawłowski. – Skłonił głowę i jednocześnie wyciągnął do Joasi rękę.

– Joanna Majewska. – Podała mu swoją dłoń.

On przytrzymał ją odrobinę zbyt długo, ona poczuła, że znów się czerwieni.

– Chętnie zobaczę ten spektakl – powiedziała więc, bardziej dlatego, że chciała zakończyć niezręczną sytuację.

Już po minucie wymienili się numerami telefonów i umówili. Karol powiedział, że o bilety trudno, bo po czterech pierwszych przedstawieniach poinformowano reżysera, że odtąd spektakl będzie grany tylko raz w tygodniu. Za oficjalny powód podano antyradzieckie okrzyki, jakie miano wznosić podczas przedstawienia.

– To jest coś niesamowitego. Musi to pani zobaczyć, musisz to zobaczyć... Ja sam jeszcze nie byłem, a to wyjątkowa rzecz, rzadko się zdarza, żeby ktoś tak trafnie podsumował naszą rzeczywistość, a Wielka improwizacja to podobno majstersztyk! – zachwycał się Karol.

Joasia nie śmiała pytać, co to znaczy, że ktoś trafnie podsumował ich rzeczywistość. I w zasadzie: jaka to rzeczywistość? Ona sama nie poświęcała tym zagadnieniom wiele czasu i uwagi. Skupiała się na pisaniu doktoratu, zajęciach ze studentami, miała własną rzeczywistość – wątpiła, żeby jakiś reżyser umiał ją opisać i podsumować, bo sama miała z tym problem.

Do domu, na Bielany, wracała jak pijana. Było jej na przemian gorąco i zimno. Właściwie zaczęła się zastanawiać, czy nie łapie jej przeziębienie... Przecież właśnie zaczynał się grudzień, to nie byłoby wcale dziwne. Ledwo jednak weszła do mieszkania, zadzwonił telefon. Wiedziona jakimś impulsem rzuciła się, żeby odebrać.



– Halo? – Ze zdumieniem stwierdziła, że głos jej drży.

– Dzień dobry, tu Karol. To ty, Joasiu? Mam bilety. Na jutro. Umówmy się za piętnaście przy pomniku Mickiewicza, co sądzisz?

– Świetna myśl. A więc... do jutra. – Starła się, żeby jej głos brzmiał normalnie, bo właśnie do przedpokoju, w którym stał telefon, weszła Krystyna i przyglądała jej się z podejrzliwym wyrazem twarzy.

– Do jutra, Joasiu – powiedział Karol. Uwielbiał powtarzać jej imię. Od chwili, gdy rozstali się na Krakowskim Przedmieściu, powtarzał je w myślach setki razy. A może nawet tysiąc? Joasia, Joasia, Joasia... Joasia.

– Coś się stało? – zainteresowała się Krystyna, niby obojętnie, ale rzut oka na przybraną córkę pozwolił jej natychmiast ustalić, co takiego mogło się stać. Chciała to jednak usłyszeć od niej. „Boże, jaka ona podobna w tej chwili do Ady... Nic nie ma z Kazimierza, może to i dobrze” – przebiegło Krystynie przez głowę.

– Nie, nic takiego. Idę jutro do teatru z kolegą, z... Karolem Pawłowskim – wydukała. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, kim Karol jest, czym się zajmuje. Na studenta był za stary. Wykładowca? Pracownik administracyjny? Tramwajarz, który akurat tamtędy wracał do domu?

Na szczęście Krystyna pokiwała jedynie głową, z aprobatą bądź też z rezygnacją, trudno było stwierdzić, i poszła do siebie.

Następnego dnia Joasia długo wybierała sukienkę. Nie miała ich wiele, tych bardziej eleganckich – raptem trzy. Każdą mierzyła kilkakrotnie, przeglądając się w pękniętym lustrze wiszącym w przedpokoju.

– Daj już spokój, w każdej wyglądasz świetnie. Włóż tę z granatowego aksamitu, najlepiej nadaje się do teatru – powiedziała jej w końcu Krystyna.

Karol już czekał, wręczył Joasi morelowe goździki.

– Nie przepadam za nimi, ale nie było nic innego – tłumaczył się.

– Są piękne – powiedziała z zachwytem Joasia i się zdziwiła: nie cierpiała goździków.

Spektakl wprowadził Joasię w zachwyt i przerażenie. Nie interesowała się polityką, ale gdy zobaczyła na scenie celę

wypełnioną więźniami caratu i gdy z góry zjechała pomiędzy nich skąpana w czerwieni szarfa, zrozumiała aluzję, nazbyt dla wszystkich czytelną. Kiedy Gustaw Holoubek deklamował: „Milczysz, milczysz! wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,/ Zrozumiałem, coś Ty jest i jakieś Ty władał. –/ Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością,/ Ty jesteś tylko mądrością”, miała dreszcze, gęsią skórkę na ramionach i dekolcie. Karol złapał ją w tamtej chwili za rękę i mocno uściskał. Oddała uścisk. Wiedziała, że on przeżywa dokładnie to co ona.

Z tego upojenia, zadziwienia zapomniała zabrać z szatni goździki. Już w sali, w ciemności, docierały do jej uszu okrzyki, z jakimi się jeszcze nigdy nie spotkała. „Precz z cenzurą”, dało się słyszeć. Gdy spektakl się skończył, prawie pół godziny trwała owacja na stojąco i – to Joasię zdumiało jeszcze bardziej – ktoś z tylnego rzędu krzyknął: „Niepodległość bez cenzury”. Spojrzała na Karola. Widziała, że jest bardzo podekscytowany, szczęśliwy.

– Widzisz? Podnosimy głowy. Nie da się nami tak łatwo rządzić, połamię sobie na nas zęby! – powiedział w zachwycie.

Nic nie odrzekła.

– Muszę zapalić – rzucił on, gdy wyszli z teatru. – Nie palę zazwyczaj na ulicy, ale... nawet nie wiesz, jak bardzo czuję się podniesiony na duchu! Nie samym spektaklem, choć jest poruszający, ale tym, że miałem wrażenie, że wszyscy tam, w tej sali, to samo czujemy i tak samo myślimy. Też tak sądzisz? – zapytał. Papieros w jego dłoni się żarzył, ale Joasi zdało się, że jego oczy płoną jeszcze jaśniej.

– Tak – powiedziała więc. I zrozumiała, że tak myśli. Czuła się zjednoczona z tymi wszystkimi obcymi ludźmi, znała ich emocje, one też ją przepełniały. Zasyłała się w swoim światku studentów, książek w bibliotece, ale przecież to był tylko malutki fragment znacznie większego obrazu, jakim mogło być jej życie – jeśli tylko ona odważy się wyjść poza te ciasne ramy, które sama sobie narzuciła.

– I wiesz, Joasiu, ja teraz myślę, że jeśli będziemy umieli pójść razem, być razem, wygramy z nimi. Też tak myślisz?

Spojrzała w jego rozgwieżdżone, rozgorączkowane oczy i poczuła się przepelniona radością, ufnością, dziwnym spokojem. „Boże, ja się chyba zakochałam!” – przemknęło jej przez głowę.

– Tak, też tak myślę, Karolu – powiedziała. Uważała, że ma piękne imię, najpiękniejsze na świecie, lubiła je powtarzać: Karol, Karol, Karol. Karol.

Powiał wiatr, zaczęło sypać drobniutkim śniegiem, a oni szli Krakowskim Przedmieściem w stronę Świątokrzyskiej i dalej, do Marszałkowskiej. Piękny wieczorny spacer. Trochę naokoło – ale co to zakochanym przeszkadza?

– Karolu? – zapytała Joasia.

– Tak, Joasiu?

– Karolu, a czym ty się właściwie zajmujesz? Ja przecież... nic o tobie nie wiem!

– Pracuję na uniwerku, dwa lata temu obroniłem doktorat, jestem matematykiem.

– Tak jak mój ojciec! – krzyknęła Joasia.

– Nie żartuj? Twój ojciec to profesor Kazimierz Majewski?

– Tak, dokładnie!

– Ten, który zajmował się analizowaniem ciągów Fibonacciego?

Pokiwała głową.

– Joasiu, wydaje mi się, że my jesteśmy na siebie po prostu skazani! – zaśmiał się Karol. – Albo raczej... po prostu pisani sobie jesteśmy. Widzisz, ty kochasz teatr i ja lubię teatr, a jaka kobieta lepiej zrozumie matematyka niż córka innego matematyka?!

– Tego jeszcze nie wiemy! Poza tym... nie pamiętam ojca, zginął na początku wojny, zostałam... zostałam z mamą i rodzeństwem. – Skrzywiła się, zacisnęła usta. Nie chciała go teraz wprowadzać w tę zawikłaną historię: Ady, Krystyny, Wandy i jej samej. To bolało. I to trudno było zrozumieć. A poza tym chciała jak najdłużej cieszyć się tą chwilą, swoim szczęściem i bez troską, jego obecnością.

I nagle usłyszeli dźwięk syren. Od strony Marszałkowskiej, od Pałacu Mostowskich, w kierunku Krakowskiego Przedmieścia jechały trzy wozy milicyjne na sygnale. Przyjemny nastrój prysł. Stanęli pod witryną księgarni technicznej, załęknieni, posmutniali.

– Nie odpuszczają. Nie będzie lekko. Ale to nie znaczy, że mamy się poddać. Też tak myślisz, prawda?

– Tak – skinęła głową. I faktycznie, od tego dnia właśnie tak myślała.

Że nie wolno im się poddać.

\*\*\*

Podniosły nastrój szybko prysł. W styczniu Dziady zdjęto z afisza w atmosferze skandalu. Po ostatnim spektaklu spod teatru ruszył ulicami Warszawy pochód. Krzyczano: „Wolna sztuka! Wolny teatr!”, ale oczywiście demonstranci pragnęli innej, jeszcze większej wolności... Joasia i Karol też tam byli, to była pierwsza demonstracja w jej życiu. Gdy pochód zaczęła pacyfikować milicja, udało im się uciec – Karol świetnie znał podwórka, przejścia na Krakowskim Przedmieściu, a przy Świętokrzyskiej mieszkała jego ciotka, u której się ukryli.

Z okien, zza firanki, obserwował, jak milicja wyłapuje na ulicy uczestników demonstracji i pakuje ich do suk. Zostali u ciotki na noc, bali się wyjść. Ciotka miała wolny pokój z ogromnym dębowym łóżkiem i puchową kołdrą. Trzęśli się pod tą kołdrą ze strachu i z emocji. Starali się pocieszyć jedno drugie. Przytulali się, a potem kochali po raz pierwszy.

Rano Joasia wróciła do domu. Trzy dni później, pod wieczór, na Bielany przyjechał Karol.

– Mamusiu, to jest Karol Pawłowski, matematyk z Uniwersytetu Warszawskiego – przedstawiła go Joasia. – A to moja matka, Krystyna Majewska, wdowa po profesorze Majewskim.

Krystyna była zachwycona, oczarowana! Matematyk, jak jej Kaziu! Naukowiec! Była szczęśliwa, że choć Joasi życie ułoży się tak, jak życzyła tego wszystkim dzieciom, całej trójce. Studia, praca naukowa, grono znajomych, kulturalnych, obytych ludzi, rauty, przyjęcia, wizyty w teatrze, spacerzy w parku... Tymczasem Iwo wybrał życie samotne, w podupadłym klasztorze, a Wanda... szkoda gadać. Choć ostatnio córka jakby poweselała, podobno świetnie

radziła sobie w pracowni Adeli Poniatowskiej. Może przynajmniej zarobi na sobie, bo na rodzinę raczej, według matki, nie mogła liczyć. Nie była ładna, a tylko ładnym kobietom, zdaniem Krystyny, mężczyźni wybaczały różne dziwactwa i bzdury, na przykład oryginalne poglądy godne sufrażystek.

Gdy ciasto – wyśmienity miodownik, który Karol chwalił wielokrotnie – zostało zjedzone, a herbata – podłej jakości – wypita, Krystyna postanowiła być nowoczesna i zostawić „młodzież” na pół godziny samą. Dłużej byłoby niestosownie.

– Rozmawiałem z Jurkiem i Michałem – wyszeptał Karol, gdy tylko zamknęły się drzwi za Krystyną. – Zgarnęli ich ze Świętokrzyskiej i zawieźli na komendę. Jurka strasznie pobili, ma złamany nos. Michał trochę lepiej. Opowiadali mi, że esbecy zadawali im dziwne pytania.

– Jakie pytania? – Nastrój tajemniczości udzielił się Joasi, też mówiła szeptem.

– Podobno pytali, nie tylko ich, wszystkich zresztą, dlaczego dają się wykorzystywać „moškom”.

– Słucham?

– To zadziwiające, ale oni chcą zwalić wszystko na Żydów. Że to była żydowska prowokacja, że to nie Polacy byli w tym teatrze i nie oni krzyczyli o wolności...

– Karol, to jakaś bzdura! W Polsce prawie nie ma Żydów, miałam jedną koleżankę w szkole, i oprócz tego ja... – chciała mu powiedzieć, że ona chyba jest Żydówką, bo jej matka z pewnością była, ale zabrakło jej odwagi. Przecież przed chwilą przedstawiła Krystynę jako swoją matkę i co? Teraz ma powiedzieć, że tak naprawdę urodziła ją kochanka ojca, męża kobiety, która ją wychowała? To zbyt zagmatwane. Kiedyś, gdy lepiej się poznają, gdy bardziej mu zaufa, opowie. No i gdy będzie możliwość, żeby o tym spokojnie porozmawiać.

– Oczywiście, że to bzdura! Nikt nie wie, co oni kombinują, o co tu chodzi... Nieważne zresztą. Nie możemy się poddać, znowu chować głowę w piasek. Trzeba iść za ciosem, działać. Będziemy zbierać podpisy w obronie Dziadów, ale musimy się bardziej zaangażować. Nie wszyscy wiedzą o tym, co się stało, przecież nie

pisali o tym w „Życiu Warszawy” i „Trybunie Ludu”! Kłamali, a wielu ludzi im wierzy, bo nie ma dostępu do prawdy. Musimy im to zapewnić – zadeklarował twardo Karol.

– Karolu, ale... jak? Będziesz chodził po ulicach i mówił przechodniom, że władza kłamie, że komuniści są na usługach Moskwy i że musimy się zbuntować? Przecież zamkną cię natychmiast! – przeraziła się Joasia.

Karol podszedł do okna, zamyślił się.

– Pamiętasz ten plakat, przed którym się poznaliśmy? My też musimy takie rozwieszać, skłaniać ludzi do myślenia. Żeby pojawiły się w nich wątpliwości, żeby zaczęli pytać. Będę robił plakaty. I przepisywał na maszynie ulotki, przez kalkę. Można je kłaść na uniwerku, zostawiać na przystankach, wszędzie, gdzie będę...

– Karolu, to strasznie niebezpieczne! Wybacz mi, ale obawiam się, że możesz być obserwowany, przecież twoje poglądy są znane, jak zaczniesz coś przepisywać u siebie w domu...

– No właśnie, w domu nie mogę. Masz rację.

Zamilkł.

– Ale o mnie nikt nic nie wie. Spotykamy się od niedawna, byłam tylko na jednej demonstracji. Na pewno nikt mnie nie śledzi. A w pokoju Iwona... To znaczy odkąd Iwo zamieszkał w Tyńcu, to właściwie mój pokój, jest stara maszyna do pisania, Iwo zaczął spisywać swoje przemyślenia i refleksje po lekturze Ojców Pustyni. Maszyna jest jeszcze przedwojenna. Może mógłbyś...

– Naprawdę?!

Karol ucieszył się tak bardzo, że Joasia, która wcześniej wcale nie przemyślała tej propozycji i nie była pewna, czy to dobry pomysł, natychmiast sama uznała, że tak trzeba, koniecznie trzeba to zrobić.

– A więc ustalone! Przyjdę jutro po południu, popracuję trochę. No i dzięki temu będziemy mogli się częściej widywać, prawie codziennie!

Joasia się rozpromieniła. O niczym innym nie marzyła. Pozostał jeszcze tylko jeden szczegół: rozmowa z Krystyną.

– Oczywiście, że Karol może tu przychodzić i prowadzić działalność opozycyjną! – ogłosiła kategorycznym tonem Krystyna.

Joasia poprosiła ją i Wandę, wszystkie domowniczki, o rozmowę. Uważała, że choć głównym lokatorem jest Krystyna, cała rzecz nie powinna być omówiona za plecami Wandy. Wszak i ona w razie wypadki będzie ponosiła konsekwencje.

Wanda słuchała matki z szyderczym wyrazem twarzy.

– Kazałaś Iwonowi czekać tyle lat ze wstąpieniem do zakonu, a teraz tak łatwo, w ciągu kilku minut, decydujesz się podjąć ogromne ryzyko? Wiesz, że jeśli ktoś odkryje, że on robi to w naszym mieszkaniu, mogą nas wykwaterować do jakiejś dziury na Pradze? Z niejednymi tak zrobili. A twoja cukiernia, kawiarnia? Rozniosą wszystko w pył, zostaniemy z niczym – powiedziała.

Zapadła cisza. Joasia wpatrywała się w czubki swoich butów. Wanda miała rację! Jak mogło jej przyjść do głowy coś tak głupiego, jak mogła tak narażać swoje najukochańsze, najbliższe na świecie osoby, matkę i siostrę...

Głęboko i szczerze kochała Wandę. Wiedziała, że ma ona dobre serce. I wiedziała, że Wanda zaryzykowałaby dla niej życie. Przecież już raz to zrobiła...

– Wybaczcie, nie powinnam była... Przepraszam, że to zaproponowałam, to niestosowne. Jesteście szlachetne, nie umiałybyście mi odmówić, ale to ja nie powinnam była w ogóle o to pytać – wydukała po chwili.

– Ani mi się waż! Ani mi się waż wygadywać takie głupoty! Myślisz, że jestem ślepa? Nie widzę, co się wyprawia w tym kraju? Mam oczy i mózg, umiem myśleć... Choć nie skończyłam, niestety, studiów jak wasz świętej pamięci ojciec, wybitny naukowiec i człowiek wielkiej odwagi. – Krystyna przerwała na chwilę, zaszklily jej się oczy. Z biegiem lat wiele negatywnych uczuć i przemyśleń na temat Kazimierza uległo zatarciu. Już nie pamiętała, że w momencie wybuchu wojny nazwała go idiotą, bo tak nietrafne okazały się jego prognozy. – Byłoby dla mnie dyshonorem i ogromną niesprawiedliwością, łajdactwem wobec waszego ojca, gdybym nie umiała zachować się godnie, gdy ktoś pluje mi w twarz. Komuniści! Zero wiedzy, zero klasy, jak tacy

ludzie mogą rządzić Polską! Walczyłam z hitlerowcami, to nie będę się bała własnych rodaków.

– Z tymi rodakami to nie przesadzaj. Nie ich przede wszystkim się boimy – wtrąciła Wanda. Nie znosiła, gdy matka wpadała w patos, zaczynała o Bogu, ojczyźnie, obowiązku...

Choć przecież Wanda nie cierpiała komunistów. Za to, co zrobili jej rodzinie, za to, co zrobili jej. Wciąż nie zapomniała o swoim wielkim marzeniu o studiach, marzeniu, które tak brutalnie zdeptano i unicestwiono jednym głupim papierkiem. Nieodpowiednie pochodzenie klasowe...

– Zdecydowane. Wanda, przestań grać adwokata diabła, wiesz, że tak trzeba – ostro odpowiedziała córce Krystyna.

– To prawda. Tak trzeba – powiedziała z goryczą Wanda i wyszła z pokoju.

Dwa dni później w mieszkaniu na Bielanach pojawił się Karol. Wanda nigdy wcześniej go nie widziała. Nie zrobił na niej piorunującego wrażenia, wymoczkowaty, tyczkowaty naukowiec, w pewnym sensie podobny do ich ojca ze zdjęć.

Jeśli coś nią wstrząsnęło, i to dogłębnie, to stosunek Karola do Joasi i jej uczucie do niego, aż nazbyt widoczne... Wanda wyszła do przedpokoju, żeby przywitać się z gościem, i aż cofnęła się dwa kroki. On wręczył Joasi trzy goździki, ona się zarumieniła, złapała za serce. On patrzył na nią oczami roziskrzonymi, ona aż bała się na niego spojrzeć, on upuścił czapkę, ona jakby zapomniała, gdzie w ich domu wieszają się palta... Farsa. Wanda na tyle znała ludzką naturę, żeby wiedzieć: tak oto zachowują się zakochani.

– Wando, pozwól, to Karol Pawłowski, o którym ci opowiadałam... A to, Karolu, moja siostra Wanda – dokonała prezentacji Joasia.

– Pólsiostra Wanda – nie mogła sobie darować Wanda, ale Karol w ogóle nie zwrócił uwagi na tę korektę, wpatrzony bynajmniej nie w Wandę, lecz w Joasię.

Potem pojawiła się Krystyna, zaprowadziła Karola do znanego mu już pokoju. Maszyna, wydobyta z czeluści starej szafy, stała przygotowana do pracy na biurku, obok leżały ryza papieru i kalka.



– Będę dziś przepisywał fragmenty opery Cisi i gęgacze... Cisi to esbecy, gęgacze to, niestety, my, inteligencja. Właśnie wczoraj wydano wyrok na autora. Podobno główny bohater opery, Gnom, to Gomułka i to wzbudziło absolutną wściekłość w KC. Skazali autora na trzy lata – opowiadał Karol, wyciągając z teczki jakieś wymiętoszone, poplamione kawą kartki.

– Żartuje pan? Trzy lata za paszkwil? Choćby dobrze napisany? Proszę pokazać – zainteresowała się Krystyna.

Wanda też wzięła jedną z kartek.

– „Niech skończą się głędy,/ już renty, procenty/ o dupę czas potłuc i kwita./ Socjalizm w sam raz/ dla ciemnych jest mas,/ a dla nas rycerska jest kita!” – przeczytała, odpowiednio modulując głos.

– No, mamusiu, muszą ci się te frazy podobać. Nawet coś tu jest o szlachcie...

– Wanda, uspokój się. To straszne, żeby za coś takiego wsadzać człowieka na trzy lata, choć przyznaję, że język nie bardzo mi się podoba, przydałaby się tu jakaś korekta. Niech pan przepisuje. I proszę zostawić i dla mnie egzemplarz, chętnie w całości przeczytam o Gnomie. A potem puszczyć dalej rzecz jasna. Niech się pan nie przejmuję, mam grono zaufanych znajomych. Przecież w czasie wojny byłam w konspiracji!

– Pani Krystyno, pani jest dla mnie niedoścignionym ideałem – powiedział wyraźnie wzruszony Karol i pocałował Krystynę w wyciągniętą dłoń.

Wanda w irytacji wywróciła oczami, po raz kolejny tego dnia. Zdecydowanie nie miała w tym domu nic do roboty. Postanowiła więc iść na długi spacer i wrócić, gdy rewolucyjna atmosfera już wywietrzeje.

\*\*\*

Czy Joasia była zalotna? Chyba nie... W każdym razie ona sama tak o sobie nie myślała. Owszem, lubiła się uśmiechać, śmiać, trzepotać rzesami. Ale robiła to odruchowo, jakby nie wiedząc, że to robi. I właśnie ten brak premedytacji był dla Karola taki pociągający. Był

w ich domu częstym gościem, właściwie od któregoś momentu codziennym, i w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że nie potrafi już sobie wyobrazić życia bez Joanny. I że przychodzi do mieszkania Majewskich nie po to, żeby walczyć o Polskę, tylko żeby regularnie widywać tę rudą roześmianą dziewczynę, która witała go w progu, jakby był najbardziej wyczekiwany, upragnionym gościem. Za jej plecami prawie zawsze widać było cień... a raczej dwa cienie. Wandy i profesorowej Majewskiej, która niezmiennie rzucała:

– Panie Karolu, jak miło pana widzieć! Joasiu, moje dziecko, zrób naszemu gościowi herbatę.

Chwilę później słyhać było trzaśnięcie drzwiami – odrobinę za głośne, żeby to było niechcący. Krystyna raczej chciała, żeby ci dwoje doskonale wiedzieli, że zabarykadowała się w innym pomieszczeniu i nie zamierza nękać ich swoją obecnością. „Niech się młodzi czują swobodnie” – tak myślała zdziwiona, że ją, krakowską mieszkankę, i to od pokoleń, stać na taki luz i taką wyrozumiałość. Zresztą miała prawo, jako osoba starej daty, uważać, że między nimi jeszcze do niczego nie doszło. Przecież to uczucie, które kiełkowało na całego, ba, wypuszczało już pierwsze listki, wciąż pozostawało w sferze niedomówienia. Choć Karol już przy piątej wizycie wiedział, czuł, że to jest miłość na całe życie. Bawiły go żarty Joasi, mieli podobny gust literacki i raz za razem zdarzało się, że ona zaczynała jakąś myśl, a on kończył. Pewnej nocy miał dziwny sen. Przyśniła mu się twarz Joanny okalana tymi miedzianymi kędziorami. Jednocześnie – co możliwe w rzeczywistości snu, ale niemożliwe do zwizualizowania na jawie – była ona całym światem. W tej twarzy były miasta, wsie, góry, jeziora i rzeki. Wszystko. Obudził się z głębokim przeświadczeniem, że oto coś zmieniło się w nim bezpowrotnie i, owszem, w dalszym ciągu zależy mu na pracy, na studiach, na tym, żeby pchnąć ten smutny szary kraj w lepszym kierunku, a jednocześnie wiedział, że to wszystko nie znaczy dla niego tyle ile ta dziewczyna. Bez niej nic nie miało już sensu. Gdy tego popołudnia przyszedł do mieszkania Joanny, patrzył już na nią inaczej.

– Co ci się stało? – zapytała go lekko przestraszona, a on, nie mówiąc nawet głupiego „Dzień dobry”, nie witając się z Krystyną

ani też z Wandą, która jak zwykle wysunęła głowę z kuchni, podszedł do Joasi i złożył na jej ustach gorący, namiętny pocałunek.

W pierwszej chwili się speszyła, jednak zaraz potem zaśmiała się radośnie, jak dziecko, które dostało piękny prezent. Krystyna mimowolnie uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jest miłość. Będzie ślub, wnuki i... i może ta druga część życia okaże się mimo wszystko lepsza od pierwszej.

– Kocham cię – powiedział Karol i nagle, speszony tym, co zrobił, dodał szybko: – W słońcu. I przy blasku świateł. Kocham cię w kapeluszu i w kaszkiecie...

– W berecie – poprawiła go szybko Wanda.

– Słucham? – Karol wyglądał, jakby go ktoś obudził z głębokiego snu.

– Kocham cię w kapeluszu i w berecie. Nie: w kaszkiecie!

– No jasne! – zaśmiał się Karol, a Joasia popatrzyła na siostrę z uznaniem.

– Jaka ty jesteś mądra, moja kochana! Wszystko tak świetnie pamiętasz!

– Błagam cię! – Wanda zrobiła kwaśną minę. A potem, jakby sobie nagle coś uświadomiła, popatrzyła na siostrę spojrzeniem zdolnym przemienić płomień w sopel lodu i dodała: – Oczywiście, że wszystko pamiętam.

– Nie rozumiem, o czym mówicie. Skąd te nakrycia głowy? Ach, no tak, przecież Wanda jest modystką!

– Pomocnicą kapelusznika według obecnej nomenklatury. Modystka to słowo nie dość poprawne klasowo – poprawiła ją córka.

– A to, co cytował Karol, to Gałczyński.

– Oczywiście – stropiła się profesorowa, której nagle zrobiło się wstyd, że jako jedyna nie rozpoznała cytatu.

Ta krótka, pozornie nic nieznacząca scena miała jednak poważne konsekwencje. Wanda, która o miłości wiedziała tyle, ile wynikało z jej beznadziejnego romansu z Waldemarem, zobaczyła, jak to jest, gdy dwoje ludzi się kocha. Ona sama nigdy nie zaznała takiego uniesienia. Owszem, igraszki na zapleczu sklepu pani Poniatowskiej ten i ów nazwałby pewnie miłością. Albo prędzej romansem, jednak z prawdziwym uczuciem nie miało to wiele wspólnego. Po raz

pierwszy doświadczyła ukłucia nienawiści wtedy, gdy Joaśka przysłała po słomkowy kapelusz. Drugi raz – teraz. Wprawdzie Karol nie wydawał się jej szczególnie pociągający, ale w jednej sekundzie uwiodła ją namiętność, jaką żywił do jej siostry. Zakochała się w jego miłości miłością szaloną, złą, zaborczą. I właśnie wtedy zrodziło się w niej postanowienie, aby odebrać Karola Joannie. „Ona zabrała mi wszystko! Najpierw ojca, potem miłość matki, nawet pokój, który mogłam z nią dzielić! – myślała. – To mnie się to wszystko należało, mnie!” – szeptała w jakimś obłąkaniu, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. Nie, nie mogła się równać z siostrą pod względem urody. Miała lekko toporne rysy swojej matki i ciężką sylwetkę, która już teraz zdradzała jej skłonność do tycia.

Tej nocy źle spała. Budziła się co godzina, rzucała na łóżku. Wróciły do niej wszystkie złe wspomnienia. Wstała, żeby napić się wody. Zza drzwi sąsiedniego pokoju docierało do niej miarowe chrapanie Krystyny. „Ja też pewnie chrapię – przeszło jej przez głowę i natychmiast rozgniewała się w myśli na matkę za te wszystkie mało powabne cechy, które jej przekazała. – Gdybyś mnie choć trochę kochała...” – zaczęła szeptać sama do siebie. Wróciła do łóżka. Leżała kwadrans lub dwa wgapiona w ciemność. Nagle wydało jej się, że drzwi pokoju się uchylają. Usiadła na łóżku. W progu stała... no tak! W progu stała Józefowa! Rozpoznała jej starą haftowaną koszulę nocną i dwa siwe warkocze, które upinała w niewielki koczek z tyłu głowy.

Moje dziecko – wyszeptała stara opiekunka – moje kochane dziecko! Zatrzymaj się, bo zginiesz!

Wanda zsunęła nogi na podłogę, już miała zrobić krok w kierunku Józefowej, kiedy nagle dotarło do niej, że ta przecież nie żyje, że to niemożliwe, żeby ją widziała, rozmawiała z nią! Przestraszyła się i w tym momencie otworzyła oczy. Dookoła panowała ciemność, przez którą nie przebijał się żaden kształt, a jedynym dźwiękiem, jaki można było usłyszeć, było równomierne chrapanie Krystyny.

– Oszalałam – szepnęła do siebie. – Na pewno oszalałam! Boże, dopomóż, co ja mam robić?!

Odpowiedź nadeszła pod postacią cichego brzęknięcia zegara. Był to jeden z nielicznych przedmiotów – poza stołem – jaki udało się im wywieźć z Krakowa i ocalić z wojennej pożogi. Kiedyś zegar miał piękny czysty dźwięk, jednak wiele lat temu mały Iwo stracił go piłką z nakastlika.

„Iwo! – przemknęło jej przez myśl. – No oczywiście! Mój kochany brat, święty człowiek, zakonnik! On mi pomoże! On powie, jak odgonić złe myśli, jak odnaleźć samą siebie w tym potwornym chaosie! Muszę pojechać do Iwona!”.

\*\*\*

## Tyniec, 2019

– I przyjechała? – zapytała wzruszona Urszula.

Ojciec Hieronim westchnął ciężko i spuścił wzrok. Przez dłuższą chwilę milczał.

– Przyjechała – powiedział wreszcie. – Prawdopodobnie nie udało jej się załatwić widzenia ze mną. Przypuszczam, że mogła być zbyt napastliwa, kategoryczna. Bo takie cechy z czasem się w niej wykształciły. Czego nie mogła dostać po dobroci, próbowała zabrać siłą.

– Wiem coś o tym. – Urszula uśmiechnęła się smutno.

– No więc nie udało jej się skontaktować ze mną ot tak, po prostu. Wpadła zatem na pomysł, że ukłęknie w konfesjonale. Zresztą, co ja wiem... Może po prostu chciała się wyspowiadać, wyrzucić z serca te wszystkie złe uczucia, które nią zawładnęły. Może tak właśnie było.

– I co?

– No cóż... Wszystkiego, co wyznała, zdradzić ci nie mogę. Wciąż obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi. Jednak mogę ci powiedzieć to, o czym wiedzieli i inni. A przede wszystkim mogę wyznać, czym ja sam zawiniłem.

\*\*\*

## Tyniec, 1968

Wandzie nie udało się skontaktować z Iwonem. Jedyne numer telefonu, jaki w końcu zdobyła, należał do kurii w Krakowie, ale tam nikt nie przejął się jej prośbą. Wreszcie, po kilku próbach kontaktu, jakiś życzliwy ksiądz poradził, aby sama przyjechała do klasztoru.

– Tak chyba będzie najprościej – powiedział. – Z Bożą pomocą uda się pani skontaktować z bratem.

Załatwiła wolne u pani Poniatowskiej. Postanowiła jednak nie informować o niczym Krystyny, nie chciała odpowiadać na jej dociekliwe pytania, nie zamierzała się też tłumaczyć. Wsiadła w pociąg, potem w autobus. Dotarła do klasztoru. Tyle że furta była zamknięta, a na uporczywe pukanie młodej kobiety nikt nie reagował. Stała pod drzwiami dobre dwie godziny, coraz bardziej zrozpaczona. I prawdopodobnie byłaby zawróciła, gdyby nie zakonnica, która nagle wyłoniła się z sieni.

– Czekają pani na kogoś? – spytała. – Msza święta będzie za piętnaście minut, niech pani przejdzie do kaplicy!

– Czekam na ojca Hieronima – wydukała Wanda.

– A, spowiedź. – Siostra pokiwała głową, sądząc, że rozumie. – No, powinien być dziś w konfesjonale.

Wanda, która widziała siebie już śpiącą w przedsionku klasztoru, poczuła przypływ radości. Pobiegnęła do kościoła. Chwilę później przez gęstą siatkę konfesjonau zobaczyła wyrazisty profil brata.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

– Ojcze, zgrzeszyłam złą myślą – zaczęła spowiedź.

Była przekonana, że Iwo ją rozpozna, jednak tak się nie stało. Zaczęło ją to nawet cieszyć. Pomyślała, że to dobry pomysł, opowiedzieć wszystko krok po kroku – począwszy od wczesnego dzieciństwa, którego wspomnienie wciąż wywoływało w niej ból. Nie mówiła zbyt wiele o Joasi – skupiła się na sobie, na swojej zazdrości, gniewie, pragnieniu zemsty.

– Ona zabrała mi wszystko – zakończyła opowieść. – Ojca, matkę, pierwszeństwo w dostępie do ich bezwarunkowej miłości, do bycia

tą najważniejszą. Ona ma wszystko, o czym ja tylko marzę. Urodę, talent, studia, mężczyznę. Pragnę jej to odebrać, zemścić się za lata upokorzenia i odsunięcia, a jednocześnie wiem, że to grzech. Proszę, ojcze, pomóż mi...

– Drogie dziecko – zaczął Hieronim uroczyście – Pan nasz, Jezus Chrystus wybacza ci twoje grzechy. Módl się, a otworzy twoje serce na łaskę. W ramach pokuty odmów cały różaniec. Pan odpuszcza ci twoje grzechy...

– I co, to już wszystko?! – Wanda nie wytrzymała. – Tylko tyle dały te twoje studia? Tyle masz mi do powiedzenia, Iwo?!

Biedny ojciec Hieronim. Jakby w niego piorun strzelił. Wyskoczył z konfesjonau jak oparzony. Złapał siostrę za ramię, a potem wywlókł z kościoła bocznym wyjściem. Nie opierała się, być może liczyła na to, że powie jej coś jeszcze. Ale on, zwykle tak spokojny, aż się gotował z gniewu.

– Ty?! To ty?! – wysyczał. – Co ty w ogóle opowiadasz?! Jaka zemsta?! Co ty chcesz zrobić, Wando? Jak możesz być tak podła?! I to dla własnej siostry!

– Ona nie jest moją siostrą – krzyknęła Wanda, czując, że traci swoje ostatnie oparcie. Do tej pory miała nadzieję, wierzyła, że Iwo mógłby ją zrozumieć, stanąć po jej stronie. Ale nie był do tego zdolny. Nie w tamtym momencie w każdym razie.

– Wynoś się stąd, słyszysz?! – krzyczał, jakby go diabeł opętał.

Zatem Wanda się wyniosła. Ostatnim PKS-em wróciła do Krakowa, wsiadła w nocny pociąg i rano była z powrotem w domu. Owszem, zmieniona. Na gorsze. Od tego momentu pragnienie zemsty już jej nie opuściło ani na chwilę. Coś, co było pokusą, stało się programem.

\*\*\*

**Tyniec, 2019**

– I była to wyłącznie moja wina. – Hieronim spuścił głowę. Nawet teraz, po tylu latach, czuł piekący wstyd. – Zawiodłem jako

człowiek, jako kapłan i jako brat.

Urszula milczała. A więc to tak się stało! Całymi latami nie potrafiła sobie ułożyć stosunków z matką. Całymi latami doszukiwała się własnej winy we wszystkich napięciach i konfliktach. Tymczasem... to nie miało z nią nic wspólnego! To nie była jej wina! Ta myśl, która przebiła się wreszcie do jej świadomości, napęliła ją euforią. Nagle poczuła się wolna. I zaczęła współczuć swojej matce.

– Mów dalej, wujku – poprosiła, kładąc rękę na pomarszczonej dłoni zakonnika. – Bo to chyba jeszcze nie koniec.

– To prawda, do końca jeszcze daleko i najgorsze dopiero przed nami – westchnął Hieronim i wrócił do opowieści.

\*\*\*

## Warszawa, 1968

Przez kilka dni po powrocie do domu Wanda żyła jak we śnie. Niby była obecna, chodziła do pracy, pomagała Krystynie w przygotowaniu obiadu, sprzątała... Z siostrą rozmawiała nadzwyczaj serdecznie, jak nigdy dotąd. Kompletnie odcięła swoje myśli i uczucia od tego co na zewnątrz.

– Wiesz – powiedział pewnego dnia Karol, gdy siedzieli z Joanną zamknięci w pokoju i układali tekst do studenckiej gazetki – myślałem, że ta twoja siostra to taki mruk. Zupełnie do ciebie niepodobna. Tymczasem ona jest bardzo wesołą dziewczyną!

Jakby na poparcie tych słów Wanda wróciła tego popołudnia do domu z pakunkiem zawiniętym w papier Mody Polskiej.

– Masz! – Podała go siostrze. – To dla ciebie!

– Rety! A co to takiego?

– Nie uwierzysz! Wraciałam do domu i zobaczyłam, że rzucili nowe modele... Tylko to zobacz!

Joasia rozerwała papier i wyciągnęła wielobarwną szmatkę. Była to dość udana kopia słynnej sukienki Mondrian, którą kilka lat wcześniej zaprojektował Yves Saint Laurent. Prościutka, za kolana,



złożona z białych, czerwonych, granatowych i żółtych kwadratów obwiedzionych czarną linią. Joasia aż krzyknęła z radości.

– Boże, jakie to piękne!

– Znajdę ci do tego stosowny toczek u Poniatowskiej – powiedziała z uśmiechem Wanda. – Nie będzie piękniejszej dziewczyny od ciebie!

Joasia patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Boże, jakaś ty kochana! – powiedziała. – Nikt nie ma lepszej siostry ode mnie!

Wanda uśmiechnęła się najradośniej, jak umiała. Czuła satysfakcję, jaką może czuć tylko człowiek, któremu udaje się ograć wszystkich dookoła.

– Ale – ciągnęła Joanna – czemu ty jej nie chcesz? Jest przepiękna! Mamo! – zwróciła się do Krystyny, która od dłuższej chwili przyglądała się z progu kuchni temu wybuchowi siostrzanych uczuć. – Mamo, powiedz jej, że robi głupstwo!

– Och, ja... – Wanda machnęła ręką. – Na mnie ta szmatka nie będzie tak dobrze leżeć jak na tobie, przecież to oczywiste! – rzuciła lekko, jakby mówiła najoczywistszą rzecz na świecie.

Gdzieś tam w głębi jej serca tlił się ostatni płomyk nadziei, że może teraz jej zaprzeczą, Joanna, matka, Karol, który z miną „ach, te baby i ich fatałaszk!” obserwował damskie rozmowy o strojach. Może choć jedno z nich wypowie zdanie, które roznieci w niej na nowo wątpliwości i wyrzuty sumienia. I – owszem. Jedno z nich się odezwało.

– Myślę, że na tobie ta sukienka będzie leżeć tak samo dobrze jak na Joasi – powiedział Karol, uśmiechając się serdecznie do Wandy.

– Och, skąd – wtrąciła się Krystyna. – Joasiu, posłuchaj siostry! Naprawdę wspaniała sukienka.

I tak oto ostatnia wątpliwość została zduszona. Wanda przytaknęła matce, a potem zamknęła się w łazience i wymyła twarz zimną wodą. To się musi stać niedługo – postanowiła. Jeszcze nie była pewna, co zrobi, nie miała jednak wątpliwości, że skorzysta z pierwszej okazji, aby odebrać Joannie wszystko, co się da. W jej głowie zaczął się rysować jeszcze nie plan, ale już pewien wstępny koncept. A zaangażowanie polityczne Karola jak najbardziej temu

sprzyjało. Atmosfera w Warszawie była napięta. Studenckie protesty weszły w fazę kulminacyjną. Ósmego marca na uniwersytecie odbył się wiec. Studenci, oburzeni na represje, jakich doświadczyli ich koledzy, żądali umorzenia postępowań wobec uczestników demonstracji pod pomnikiem Mickiewicza. Domagali się swobód obywatelskich i przestrzegania konstytucji. Chcieli, żeby na uczelnię powrócili wydalenii koledzy. Gdy entuzjazm sięgnął zenitu, na teren uczelni wjechały autokary wypełnione „aktywem robotniczym”, milicją i ORMO. Zaczęło się regularne pałowanie, w ruch poszły armatki wodne. Na nic zdała się interwencja dziekanów...

– To oburzające. – Krystyna nie mogła ochłonać ze zgrozy. – Widzicie, co oni tu piszą?! – Wskazała na egzemplarz „Życia Warszawy”, w którym zajścia na uniwersytecie nazwano ekscesami wywołanymi przez grupkę awanturników wywodzących się z kręgów bananowej młodzieży.

– Nazwali ich pasibrzuchami, którym obce są troski materialne... Boże, co za szmatławiec! – Karol był bardzo poruszony. Tym bardziej że na politechnice zwołano wiec popierający demonstrantów z poprzedniego dnia. – Idę – oświadczył stanowczo.

– A ja z tobą. – Joanna narzuciła lekki płaszczyk na sukienkę, którą dostała od Wandy. – Idziesz z nami, siostrze?

Krystyna popatrzyła zdziwiona na Wandę, która bez słowa narzuciła na ramiona płaszcz i ruszyła śladem dwojga zakochanych.

Dojechali do politechniki tramwajem. Przed uczelnią zebrał się już spory tłum. Wznoszono okrzyki: „Prasa kłamie!”, „Dość represji!”. W Joasie wstąpił duch walki. Z zaczerwienionymi policzkami i zmierzwionymi włosami wyglądała jak żywy sztandar rewolucyjny. Ktoś dał jej do ręki transparent, a ona złapała go i ruszyła z grupą ludzi, najwyraźniej część z nich to byli znajomi, których jej siostra oczywiście nie знаła. Karol przecisnął się przez tłum, żeby być obok ukochanej. Z miejsca, w którym stała, Wanda nie mogła zobaczyć napisu, jaki widniał na transparencie. Ludzie maszerowali w stronę redakcji „Życia Warszawy”, gazety, która opublikowała kłamliwe informacje na temat wiecu na uniwersytecie. Nastroje były bojowe.

Wanda szła brzegiem chodnika, czując, że mimo woli udziela jej się euforia tłumu. Przecież i jej zależało na tym, żeby im się udało! Nie miała pojęcia, co będzie dalej – czekała na swój moment. Widziała parę metrów przed sobą falujące na wietrze miedziane włosy swojej siostry i czuła ogarniającą ją coraz silniejszą chęć, żeby ją za te kudły złapać i przewrócić na ziemię, a potem wdeptać, zdeptać, zabić... O tak. Długo czekała na ten moment. Prawie trzydzieści lat. Ale nadeszła chwila, gdy trzeba będzie wyrównać rachunki. Upomnieć się o to, co jej się słusznie należy. Nagle tłum zafalował, a wznoszone bojowe okrzyki przerodziły się w krzyk strachu: „Milicja!”.

Tak jest – z bocznych ulic wyjechały nagle milicyjne furgonetki i wysypali się z nich funkcjonariusze. Ktoś pchnął Wandę, kto inny pociągnął ją za łokieć tak mocno, że prawie się przewróciła. Spojrzała przed siebie: Joaśki ani Karola nie było nigdzie widać. „To naprawdę byłoby zbyt głupie, gdybym się dała teraz aresztować” – pomyślała i rzuciła się w bok. Stała akurat na wysokości bramy kamienicy, więc nie zastanawiała się długo i ukryła się w jej cieniu. Widziała biegnących manifestantów i goniących ich milicjantów. Cofnęła się jeszcze dwa kroki i wtedy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciła się przestraszona.

– Witaj, Wando – usłyszała znajomy głos.

To był Waldemar. Najwyraźniej stał w tej bramie od dłuższej chwili. Prowizoryczna popielniczka zrobiona z puszki po farbie pełna była niedopałków po sportach, a on trzymał w dłoni wypalonego do połowy papierosa. Jakby tu na kogoś długo czekał. Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Czemu się tu czaisz jak jakiś bandzior? – zapytała.

– Mam stąd doskonały punkt obserwacyjny – powiedział. – Mogę też robić zdjęcia. Twoja piękna siostra jest bardzo fotogeniczna. Jej fagas mniej.

Wandzie zrobiło się nieprzyjemnie. Nie, wcale nie dlatego, że właśnie dotarło do niej, że jej były chłopak jest tajniakiem, pogardzanym przez nią „cichym”. Przykrość sprawiły jej słowa „twoja piękna siostra”.

– Moja piękna żydowska siostra – powiedziała ze złym uśmiechem.

– Fiu, fiu, jeszcze i to? – Ryłski uniósł brew. – No pięknie!

Nagle coś mu przyszło do głowy. Złapał Wandę za łokieć i przyciągnął do siebie.

– A może... – poczuła na twarzy jego oddech, w którym wyraźnie dało się wyczuć wczorajszy alkohol – może zechciałabyś mi to i owo opowiedzieć o swojej siostrzyczce?

Oto i przyszło do niej to, na co czekała. Chwila słodkiej zemsty. Wanda poczuła, że ogarnia ją ekscytująca okrutna radość. Delikatnie odsunęła Waldemara od siebie.

– Może i zechciałabym któregoś dnia coś opowiedzieć – szepnęła – ale jeszcze się zastanowię komu.

A potem wyjęła mu papierosa z dłoni, zaciągnęła się i wypuściła w jego twarz wielką chmurę dymu.

## Warszawa, 1968

Karol czuł się jak w gorączce, jak pijany. Poprzedniego dnia był z Joasią na kolejnym wiecu w auli głównej politechniki. Wieczorem musiał pilnie pojechać do chorej matki, do Milanówka. Z powrotem zabrał go do Warszawy wuj. Karol nie wrócił jednak do swojego mieszkania – na ulicy, w pewnej odległości od klatki schodowej, czekał jego kolega, Michał.

– Kwitnę tu od kilku godzin! Nie możesz iść do siebie, czekają już. Była rozróżba... Jakaś awantura w kinie Kultura, powybijali szyby, no i bitwa pod pomnikiem Mickiewicza. Joasia szła akurat Krakowskim Przedmieściem w stronę uniwerku, ona nie brała w tym udziału, ale ją aresztowali. Chodźmy, przenocujesz dziś u mojej dziewczyny, to porządna rodzina, inteligencka, są po naszej stronie. – Wszystkie te informacje Michał przekazał osłupiałemu Karolowi na jednym oddechu.

Noc z jedenastego na dwunastego marca Karol spędził więc w mieszkaniu zupełnie obcych sobie ludzi na Mokotowie. Źle spał, rzucał się po łóżku. Zasnął nad ranem, a gdy się obudził, była jedenasta. Na stole w kuchni leżały gazety – „Życie Warszawy” i „Sztandar Młodych”.

– „W godzinach popołudniowych elementy chuligańskie przejęły inicjatywę ekscesów, dopuszczając się agresywnych wystąpień w różnych częściach miasta...” – przeczytał na głos. – Co takiego? Przecież to jakieś wierutne kłamstwo, bzdura! – krzyknął, ale odpowiedziała mu cisza pustego mieszkania.

Czytał więc dalej. O chuliganach, którzy rzekomo plądrowali sklepy, o elementach antysocjalistycznych, o wyrywaniu ławek, kostek brukowych, o podpaleniach. Nie mógł uwierzyć. Albo

podczas poprzedniego wieczoru stało się coś bardzo, bardzo złego, albo... wszyscy dziennikarze kłamali.

Rozległ się szcęk zamka i ciche kroki w przedpokoju. Karol zmartwił z gazetą w ręku. Do pokoju gościnnego weszła Ewa, dziewczyna Michała. Miała oczy czerwone od płaczu.

– Michał aresztowany! I Jurek, Janek, Władek, Maciek! Wszystkich zgarnęli, rozumiesz? Nawet nie wiem, co im grozi, mówi się, że będą dostawać nawet kilkuletnie wyroki! – wyszeptała i rozpląkała się straszliwie, rzewnie.

Karol objął ją, próbował pocieszyć, a jednocześnie ułożyć sobie to wszystko w głowie. A więc tak oto kończą się ich nadzieje! Nie miał wątpliwości, że władze postanowiły zdusić studencką rewoltę, nie pozwolić, żeby rozlała się po społeczeństwie i kraju. Spacyfikują ich, złamią, powysyłają do więzień, w najlepszym razie zesłają na prowincję. Bo niby czemu nie mieliby ich po prostu odesłać do Moskwy?

Poczuł, że się poci.

– Pewnie nie mogę wrócić do swojego mieszkania. Ale tu też nie mogę zostać, narażać twoich rodziców – powiedział więc cicho do łkającej Ewy.

Ta rozszlochała się jeszcze bardziej.

– Przepraszam cię, Karolu, ale moja mama ma chore serce, boję się, że nie przeżyłaby, gdyby weszli tu esbecy, zaczęli przeszukania. Ona by sobie z tym nie poradziła – wychlipała.

Karol przygryzł wargę. Doskonale rozumiał Ewę i jej strach o chorą matkę. Sam niepokoił się teraz o własną. Czy jej nie będą nachodzić? Mógł tylko mieć nadzieję, że wuj, kardiolog, partyjny, u którego leczyło się wielu esbeków, będzie umiał ją ochronić.

– Dziękuję ci, Ewo, i podziękuj, proszę, rodzicom w moim imieniu. Uratowali mi życie, a przynajmniej ocalili mnie przed odsiadką. Dam sobie radę. I ty się trzymaj. Nie martw się, Michał nie był zaangażowany w nic poważnego, wypuszczą go szybko. – Mógł ją tylko pocieszać.

Zebrał swoje rzeczy, ubrał się i wyszedł. Było zimno, dał nieprzyjemny, porywisty wicher. Na ulicy rozejrzał się czujnie, czy nikt nie obserwuje bramy, nie śledzi go. Ale nie, spokój, cisza. Nic

dziwnego – zaledwie kilka przecznic dalej mieściło się okryte złą sławą więzienie na Rakowieckiej. Pod latarnią zawsze najciemniej.

Przyszło mu do głowy tylko jedno miejsce, w które mógł się udać. Mieszkanie na Bielanach. Krystyna Majewska zdawała się prawdziwą żelazną damą, ona nie będzie się bała go przyjąć, umożliwić dalszą drogę ucieczki. Tyle że nie miał w głowie żadnego planu ani pomysłu na to, jak długo miałyby uciekać, kryć się. Do końca życia? Czy może spróbować prysnąć na Zachód?

Przy Polu Mokotowskim wszedł do tramwaju i pojechał prosto na Bielany.

Zanim zapukał do masywnych drzwi z ciemnego drewna, jednak się zawahał. Czy rzeczywiście ma do tego prawo, czy Krystyna z córkami nie przeżyła już wystarczająco dużo, żeby brać sobie na głowę jeszcze jego walkę z systemem? Ale przeważył egoizm. Naprawdę nie przychodził mu do głowy już nikt, do kogo mógłby pójść, a kto nie skrytykowałby go za żywienie złudnych nadziei, pięknoduchostwo i za „marnowanie sobie życia”, co niewątpliwie zrobiłby wuj. A poza tym tak bardzo chciał dowiedzieć się czegoś o Joasi!

Zapukał więc głośno, śmiało. Przez chwilę nic się nie działo, cisza – zwątpił, że ktoś w ogóle jest w domu. Potem rozległ się za drzwiami skrzyp klepek, znak, że ktoś podchodzi do drzwi.

Szczęknął zamek.

– Cześć, Karolu. Joasi, jak zapewne wiesz, nie ma. – Wanda uśmiechnęła się i złośliwie zmrużyła oczy.

Karol stracił rezon. Wanda nie poprosiła go, żeby wszedł do środka, i nie sprawiała wrażenia, że ma ochotę go zaprosić.

– A czy... czy jest pani Krystyna? – zapytał więc.

– Nie. – Wanda zatrzepotała rzęsami i ułożyła usta w dziobek.

Ależ śmiesznie i rozpaczliwie wyglądał teraz ten Karol, kiedy szukał w głowie jakiegoś argumentu, żeby jednak ją przekonać, że powinna zaproponować mu herbatę, ciasto. Doskonale rozumiała, w jakiej znalazł się sytuacji, i przez chwilę bawiło ją poczucie, że ma nad nim władzę. Potem jednak, gdy zwiesił głowę w odruchu beznadziei, desperacji, poczuła, że kiełkuje w niej inne uczucie. Żal.

Doskonale rozumiała jego osamotnienie, wrażenie opuszczenia – codziennie ich doświadczała.

– No, dawaj. Wchodź do środka, dam ci coś ciepłego do jedzenia – skapitulowała i otworzyła szeroko drzwi.

Poszła od razu do kuchni, on odwiesił swój płaszcz na wieszak, położył na półkę czapkę, rękawiczki i ruszył w ślad za Wandą.

– Rosół z prawdziwej wiejskiej kury – oświadczyła, włączając palnik pod garnkiem. – Nawet nie masz pojęcia, jakie skarby potrafi matka wynaleźć na wsi, na zapleczach sklepów. Gotuje jak anioł, trzeba jej to przyznać. W życiu nie jadłeś lepszego rosółu. Makaron oczywiście domowej roboty.

Nalała Karolowi pełen talerz zupy i postawiła przed nim. Był głodny, jadł łapczywie. Bez słowa komentarza Wanda dała mu dokładkę, potem jeszcze jedną.

– Nie mamy żadnych wieści o Joasi, jeśli o to chciałeś zapytać. Matki też nie ma. Zdaje się, że poszła do któregoś ze swoich wysoko postawionych znajomych, coś ubłagać dla Joasi. Właściwie to nie wiemy, co może jej grozić. – Zamyśliła się.

Karol zrobił taką minę, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– To moja wina, to ja ją w to wciągnąłem... – zaczął łamiącym się głosem.

– Daj spokój. Moja półsiostra bywała już w gorszych tarapatach i radziła sobie, to i teraz sobie poradzi – prychnęła Wanda.

– Pół... siostra? – zdumiał się Karol.

– No tak, to ty nie wiesz, że moja matka nie urodziła Joasi? Choć mogę się założyć, że bardzo by chciała. Ale Joasię urodziła kochanka ojca, Żydówka. Wykorzystywała ją do wyciągania dzieci z krakowskiego getta. Joasia nic ci nie mówiła? – powiedziała przekornie. Oczywiście wiedziała, że Joasia na ten temat nie puściła pary z ust. – Nic, czasem najmniej wiemy o tych, których kochamy. Chodź, wypijmy za to – zaśmiała się.

Wiedziała, gdzie matka trzyma wódkę – do ciast, ale z biegiem lat coraz częściej Krystyna dolewała wódki do porannej kawy i do herbaty wieczorem.

Wanda sięgnęła po kieliszki, nalała. I jeszcze raz. Karol złopał wódkę jak wodę. Widać było, że wstrząsnęły nim informacje, które



przekazała mu Wanda.

– Dlaczego... jak myślisz, dlaczego ona mi nic nie powiedziała? – zapytał cicho po trzecim kieliszku.

– Kto ją tam wie. No to chlup, jeszcze jeden – zachichotała Wanda.

Karol był już mocno wstawiony, nie zauważył, że pije sam – Wanda nie tykała swojego kieliszka, dolewała tylko jemu.

– Kocham ją, a ona... mi nie ufa. Chyba nie kocha mnie – wybełkotał po piątym kieliszku.

– Tak, miłość oznacza prawdę. Uczciwość. Nie powinno się oszukiwać kochanej osoby – podpuszczała Karola Wanda.

Jej tylko trochę szumiało w głowie, ale na tyle, że puściły wszelkie hamulce. Sadystyczną przyjemność sprawiało jej poczucie, że ma Karola w swojej władzy, może nim rozporządzać wedle własnego widzimisie, a obok nie ma nikogo, kto by jej w tym przeszkodził. Była pewna, że matka nie wróci na noc.

Po szóstym kieliszku Karol prawie się rozplakał z żalu nad sobą, rozczarowania zachowaniem Joasi, smutku i potwornego strachu, który dławił go za gardło, a który dzięki wódce w cudowny sposób się ulotnił.

– Och, Karolu, tak mi przykro... Co mogę dla ciebie zrobić? – szepnęła Wanda.

Podeszła do niego, przytuliła jego głowę do swojego brzucha i czule głaskała go po włosach. Karol objął ją w pasie, poczuł jej zapach, mocnych perfum i czegoś jeszcze, tego domu – tak pachniała też Joasia. Poczuł przypływ pożądania. Chwycił Wandę jeszcze mocniej, jedna z jego dłoni ześlizgnęła się po jej pupie. Wanda chętnie poddała się temu dotykowi. Uklękła pomiędzy nogami Karola. On wziął jej twarz w swoje dłonie i zbliżył usta do jej ust. A potem zaczęli się całować, najpierw nieporadnie – w końcu on był bardzo pijany – potem coraz namiętniej.

– Chodź, Karolu, pójdziemy do mojego pokoju – szepnęła do niego, gdy sprawy były już dość zaawansowane.

Kiwnął głową. Pomogła mu wstać i gdy szli, podpierała go, żeby się nie zataczał. W pokoju rzucił się na łóżko. Ona wolno się

rozebrała – nie dla efektu, ale żeby rozkoszować się tą chwilą. Potem rozebrała też jego, sam nie był w stanie tego zrobić.

Gdy w nią wchodził, miała głowę odwróconą w bok, zapach przetrawionej wódki był nie do zniesienia. Przez cały czas kołatała jej się jedna myśl: „I co? Mam tego twojego Karolka. Nie jest wcale taką twierdzą nie do zdobycia, wcale nie jest twój. Teraz jest mój. Pokonałam cię. I co mi zrobisz, przybłądo?”.

\*\*\*

## Tyniec, 2019

Urszula siedziała porażona. Matka... jej matka dopuściła się rzeczy strasznej, okrutnej. Poczwała się nagle jak dziecko, które się zgubiło w tłumie. Stoi i nie wie, dokąd iść dalej. Zaczęło do niej docierać, że całe jej życie naznaczone było kłamstwem, a wokół serca rozlał się zatrważający chłód.

„Czy ja wiem, kim jestem? Skąd pochodzę? I przede wszystkim od kogo?!” – próbowała odgonić od siebie bolesne myśli, jednak one niczym stado rozwścieczonych os zaczęły ją atakować tym zajadlej, im bardziej próbowała je odgonić.

– To straszne – wyszeptała.

Ojciec Hieronim milczał, jakby i on zgubił się we własnej opowieści. Nie do końca była to prawda: raczej szukał odpowiednich słów, którymi mógłby ukoić ból siostrzenicy.

– Uleńko – powiedział wreszcie – córeńko kochana...

– Czuję się teraz jak córka Charlesa Mansona – zaśmiała się nieszczere.

– No nie, proszę cię, nie przesadzaj. – Benedyktyn obciągnął habit, jakby go nagle zaczął uwierać. – Miej więcej zrozumienia dla matki. Wyobraź to sobie, ciągle gorsza, ciągle odrzucona...

– No, nie do końca odrzucona, skoro Karol wziął ją do łóżka – prychnęła niechętnie.

– Otóż właśnie odrzucona. Posłuchaj dalej.

\*\*\*

**Warszawa, 1968**

Wanda obudziła się pierwsza. Wiosenne promienie słońca wpadały do pokoju przez koronkową firankę, rysowały na podłodze barwne plamy. Było cicho. Gdzieś tam w głębi mieszkania było słychać krzątanie się Krystyny. Wyżalała się znajomym, wróciła bardzo późno. Nie było obawy: poprzedniego wieczoru na pewno nie zajrzała do pokoju swojej córki. Nigdy tego nie robiła, nawet kiedy Wanda była dzieckiem. Jedyną osobą, która przychodziła utulić ją na dobranoc, ucałować, była Józefowa, ze swoimi szorstkimi dłońmi pachnącymi masłem. To Józefowa, która nigdy nie powiedziała „Kocham cię”, była źródłem miłości bezwarunkowej, takiej, która nigdy nie zawiedzie. Wszystko inne, wszyscy inni Wandę zawiedli. Wiedziała, że postąpiła źle, okrutnie. Wykorzystała nieszczęśliwy zbieg okoliczności i słabość Karola tylko po to, żeby zemścić się na Joannie. Ale... czy aby na pewno była to tylko wola zemsty? Patrzyła na śpiącego mężczyznę, jego falujące włosy, twarz porośniętą trzydniowym zarostem. Była pewna, że nie знаła nikogo, kto miałby tak pięknie wyrzeźbione dłonie. Czuła je jeszcze na sobie, nieporadne i pośpieszne, ciepłe i dobre. Czy kochające? Oczywiście, że nie, nie miała co do tego wątpliwości. Ale co do własnych uczuć nie była już taka pewna. Czy można kogoś pokochać w jednej chwili? Gdyby ją ktoś zapytał jeszcze dzień, dwa dni wcześniej, czy to możliwe, zaprzeczyłaby. Ale teraz? Wydał jej się piękny jak anioł, a wspomnienie jego pocałunków sprawiło, że poczuła ciepło rozlewające się wokół serca i w brzuchu. Chciała go! Dla siebie, na zawsze. Delikatnie, próbując nie zburzyć tego cudownego obrazu, dotknęła jego włosów. Przekreślił głowę, podniósł powieki. Jego spojrzenie padło na ścianę, na której wisały Chryzantemy Wajsa – przez chwilę nie rozumiał, gdzie jest ani co się stało. Dotknął czoła.

– Jezu, jak boli – jęknął.

Wanda bez słowa podała mu szklanę wody. I wtedy po raz pierwszy tego dnia ją zobaczył. Nie od razu zrozumiał, co się stało, a gdy dotarło do niego, co zrobił, co zrobili razem, jego twarz wykrzywiło przerażenie.

– Boże miłosierny... – Usiadł i obiema rękami złapał się za głowę.  
– Ja chyba oszalałem, co ja najlepszego narobiłem...

Wanda stała jak skamieniała. Oczywiście nie miała wątpliwości, że Karol się w niej nie zakochał. Ba, nie była dla niego zapewne nawet pociągająca, a to, co się między nimi wydarzyło, było impulsem, biologiczną presją wzbudzoną przez strach i rozpacz. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że odebrała Joannie tego mężczyznę. Ale tak naprawdę użyła tylko jego ciała dla chwilowego zwycięstwa.

– Powiedz mi, że to nieprawda – jęknął. – Że nic się między nami nie wydarzyło!

Milczała przez chwilę, a potem ostentacyjnie podniosła z podłogi swój biustonosz. Zrozumiał.

– Jestem potworem – jęknął. – Zwykłą parszywą świnią. Zdradziłem ukochaną z jej własną siostrą!

– Z półsiostrą – poprawiła go, unosząc palec do góry.

I to był błąd, bo Karol nagle wszystko sobie przypomniał, łącznie z kontekstem, w którym doszło do zdrady.

– Ty... ty to zrobiłaś specjalnie? – jęknął.

– Co robiłam specjalnie? – Udała, że nie rozumie.

– Specjalnie doprowadziłaś do tego, że ja...

– Chyba żartujesz! – prychnęła. – Jak niby miałam cię zmusić do czegokolwiek? Jak można kochającego człowieka zmusić do tak okrutnej zdrady?

Chwilowo przekonały go te słowa i zepchnięty na nowo w poczucie winy ukrył twarz w dłoniach.

– To się nie może wydać – powiedział. – Nigdy, przenigdy!

Wanda milczała. Patrzyła na niego kamiennym spojrzeniem, jakby jego słowa do niej nie docierały. „To się nie może wydać. Nigdy”.

– A co, jeśli się wyda? – zapytała cicho.

– Błagam cię... – Miał teraz wygląd psa, którego zagoniono w róg pokoju i zamachnięto się na niego kijem. – Na litość boską, nie możesz jej tego powiedzieć. Ja... ja tego nie chciałem, to nie byłem ja!

„Jakby mnie tam wcale nie było – pomyślała. – Jakby to nie mnie obejmował, pieścił, jakbym była jakimś przedmiotem, kimś, kto nie istnieje!”.

Nagle poczuła wstyd. Przecież stała przed tym obcym mężczyzną półnaga, z rozmazanym makijażem, potargana. Szybko złapała sukienkę wiszącą niedbale na oparciu krzesła. Otworzyła drzwi szafy i za tym prowizorycznym parawanem ubrała się najszybciej, jak tylko mogła.

– Ty też się ubierz – syknęła. – Matka zaraz tu wejdzie.

Jakby w odpowiedzi na jej ostatnie zdanie z kuchni rozległo się wołanie.

– Wstałaś, Wandziu?

Czym prędzej podbiegła do drzwi i przekreśliła klucz.

– No już, ubieraj się!

Karol posłusznie wciągnął spodnie, w czasie gdy ona upychała pomiętą pościel do wersalki.

– Jeszcze buty – syknęła.

Zrobił, co kazała. Wanda ogarnęła spojrzeniem pokój – wyglądał w miarę porządnie. A potem wyszła do przedpokoju.

– Nie słyszałam, kiedy wstałaś – powiedziała matka.

– Rozmawiałam z Karolem – powiedziała i spojrzała hardo w oczy matce.

– Z Karolem? Nie wiedziałam, że jest w domu... – Krystyna wyglądała na przestraszoną.

– Przyszedł bardzo wcześnie, nie mógł spać – wyjaśniła spokojnie córka. – W tej sytuacji to zrozumiałe.

Krystyna odetchnęła z ulgą. W pierwszej chwili pomyślała, że... ale nie, to niemożliwe. Wanda nie zrobiłaby czegoś podobnego. Zresztą Karol też nie.

Córka przyglądała się matce z ukosa. Zgadywała jej myśli i w głębi duszy śmiała się złym, okrutnym śmiechem. Nie była tylko pewna, z kogo bardziej się śmieje: czy z tych wszystkich osób, które

ją zdradziły, czy z siebie samej. W jej ponure rozmyślenia wdarł się dzwonek.

– Kto to może być? – zdziwiła się Krystyna i wyjrzała przez wizjer. – Jezus Maria! – krzyknęła i otworzyła drzwi na oścież.

– Mamuniu, jaka ja jestem głodna – zawołała Joaśka prawie wesoło, wpadając do mieszkania. Za wszelką cenę starała się pokazać, że aresztowanie nie zrobiło na niej wrażenia.

– Co się z tobą działo, gdzie byłaś?

– Zgarnęli mnie z ulicy i zamknęli w komisariacie – powiedziała lekko. – Nic takiego.

– Nic takiego?! – Krystyna wpatrywała się w córkę, nie wierząc w to, co słyszy. – Myśmy tu od zmysłów odchodzili! Karol nie mógł spać, przyszedł po nocy...

– Karol tu jest? Gdzie? – ucieszyła się.

Wyszedł z pokoju Wandy, lekko się ociągając. Popatrzył na nią wzrokiem zbitego psa i rozpłakał się jak dziecko.

– Boże, Karolku! – Joanna złapała go za rękę. – A tobie co? Czemu płaczesz, nic mi się nie stało przecież...

– Dlaczego, dlaczego mi nie powiedziałaś? – Trząśł się, jakby dostał jakiegoś ataku.

– Ale o czym, na litość boską? Mamo, daj mu coś do picia, bo ja wiem, kieliszek wódki. Dostał jakiejś hysterii, a przecież mnie nic się nie stało! – Kompletnie nie rozumiała, co się dzieje z Karolem.

– Mów, jak to wszystko wyglądało – prosiła matka.

– No, po prostu. Najpierw mnie potrzymali parę godzin w celi, a potem przesłuchali. Zapytali, co tam robiłam, z kim byłam, dlaczego brałam udział w manifestacji i tak dalej.

– I co im powiedziałaś? – zaciekała się Wanda.

– Zagrałam słodką idiotkę – zaśmiała się Joaśka. – Machałam rękami i odgarniałam włosy.

– Na pewno byłaś bardzo wiarygodna. – Wanda pokiwała głową z uznaniem, a tylko lekkie drżenie kącików jej ust zdradzało, że kpi w żywe oczy.

– No, mam nadzieję! – zawołała Joasia. – W sumie było to przeżycie, powiem wam. Poznałam w celi jedną dziewczynę, która

się leczy na coś i musiała przyjąć lekarstwo. Nie chcieli jej wypuścić ani zawołać lekarza... No nie było to miłe.

– I co z nią? – zaciekała się Krystyna.

– Chyba też ją zwolnili – powiedziała lekko. Nie chciała opowiadać o krzykach, które słyszała zza ściany, gdy wzięli ją na przesłuchanie. – Jestem potwornie głodna. Mam taką ochotę na twoją jajecznicę, mamusi – powiedziała i zarzuciła Krystynie ręce na szyję.

– Oj, a nam się akurat jajka skończyły. To nic, wyskoczę do sklepu! – powiedziała i zarzuciła na ramiona żakiet.

Gdy za matką zatrzasnęły się drzwi, Joanna odwróciła się w stronę Karola i Wandy. Stali naprzeciwko siebie, oboje patrzyli na nią w ten sam dziwny sposób.

– No, o co wam chodzi? – zdziwiła się. – Przestańcie już, bądźcie normalni! Nic mi nie jest! – powtórzyła po raz kolejny.

– Joasiu. – Karol wreszcie się przemógł. Podszedł do niej i wziął ją za ręce. – Joasiu, proszę cię, przysięgnij mi, że będziesz wobec mnie zawsze szczera, że nigdy... nigdy nie będziesz przede mną niczego zatajać.

– Ale ja niczego nie zataiłam – rozzłościła się Joanna. – Nikogo nie wydałam, jeśli o to ci chodzi. Nie powiedziałam ani słowa o tobie, ani... ani o nikim innym – zakończyła, po raz kolejny mylnie interpretując jego słowa, a on spuścił głowę, żeby tylko nie spojrzeć jej w oczy.

– Karolowi chodzi o to, że nie powiedziałaś mu o sobie, o swoim pochodzeniu – wtrąciła się Wanda.

– O moim pochodzeniu? – Uniosła do góry brwi. Jeszcze nie pojmowała.

– O tym, że jesteś nieślubną córką mojego ojca i Żydówką – powiedziała siostra, wymawiając ostatnie słowo szczególnie starannie.

– Ach, więc o to chodzi! – Joanna zmarszczyła brwi.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – zapytał cicho Karol.

– Po prostu aż dotąd nie sądziłam, że ma to jakiegokolwiek znaczenie. – Joanna podeszła do lustra, zaczęła czesać swoje piękne miedziane włosy.

„Zabiłabym ją, gdybym mogła” – pomyślała Wanda i sama na chwilę przestraszyła się własnych myśli.

\*\*\*

Jeszcze mogła się cofnąć. Budynek, ogromny, żółtawy, budził szacunek i jednocześnie grozę. Pałac Mostowskich, siedziba stołecznej milicji i Służby Bezpieczeństwa jednocześnie. W piwnicach tego gmazyska mieściły się cele, w których więziono opozycjonistów, wrogów systemu... To miejsce zasłużyło się złą sławą.

I właśnie tu zmierzała Wanda. Zawahała się, ale tylko przez moment. Decyzja była powzięta, po wizycie u Iwona nie mogło być wątpliwości. Nie ma dla niej ratunku. Nikt jej już nie pomoże, nie wesprze, została sama. A skoro tak, to niechże chociaż tamta zniknie. Niech też będzie sama, jak Wanda.

– Do pana Waldemara Ryńskiego – rzuciła pewnym głosem na portierni.

Oficer, gdy usłyszał to nazwisko, rzucił Wandzie badawcze spojrzenie. Widać znano tu Ryńskiego, i to chyba od nie najlepszej strony.

– Sierżancie, zaprowadźcie obywatelkę do pułkownika Ryńskiego – polecił po chwili milczenia. – Wybaczcie śmiałość, ale mało kto odwiedza pułkownika Ryńskiego... tak bez specjalnego zaproszenia. Najczęściej swoich gości pan pułkownik przywozi specjalnym samochodem i w specjalnej biżuterii – zarechotał.

Wanda milczała. Po raz pierwszy w życiu straciła rezon. Rozglądała się po tym wnętrzu, surowym, strasznym. Gdzieś z oddali, pewnie od wewnętrznego podwórka, dało się słyszeć szcęk otwieranych drzwi furgonetki, miarowy łomot i zduszone krzyki.

– Za mną, obywatelko – rozkazał drugi, młodszy milicjant o pucułowatej, szczerzej twarzy wiejskiego chłopaka.

Ruszyli w bramę, drzwi w lewo, po schodach, jeszcze raz, jakiś ciemny wąski korytarz. Nagle tuż obok, jakby po drugiej stronie



mijanych drzwi, rozległ się skowyt tak przejmujący i zwierzęcy, że Wanda przestraszyła się: to człowiek tak krzyczy? Czy pies wyje?

Ale sierżant patrzył na nią wyczekująco, z ponagleniem i jakby... zdumieniem, złością? Może sądził, że Wanda wie, czego się tu można spodziewać.

Doszli do ciemnych drzwi obitych blachą, z której łuszczyła się płatami farba. Milicjant zapukał i wszedł, stuknęły obcasy, widocznie zasalutował.

– Pułkowniku, jakaś kobiecina do pułkownika. Tak, sama przyszła. Już proszę. – Wanda usłyszała przytłumione głosy.

„Kobiecina”?

Drzwi się otworzyły i milicjant gestem zaprosił ją do środka. Weszła. Pokój był zaskakująco duży i pusty, nie licząc biurka, dwóch krzeseł i dwóch szaf. Wanda nie mogła oderwać wzroku od ściany z dziwnymi ciemnymi zaciekami i od taboretu, na którym stała miska z wodą. Po co tu miska? Na pewno są w pobliżu łazienki, więc...

– Czyli przyszłaś na zwierzenia, Wandeczko – zaniósł się Ryłski rechotem. – Siadaj, rozgość się. Czy może, zanim usiądziesz, zaliczymy jakiś szybki numererek?

Wandę zdumiało w tym momencie, że kiedyś Ryłski wydawał jej się przystojny. Dopiero teraz dostrzegła, że w jego oczach czai się straszliwa pustka, a uśmiech jest sztuczny, jakby tylko usta rozciągały się w grymasie.

– Usiądę jednak – powiedziała, bo myśl o tym, że ten mężczyzna miałby jej dotknąć, wywoływała w niej obrzydzenie.

Co prawda wcale też nie miała ochoty siadać na wskazanym jej krześle. Zauważyła, że to, której zajmował Ryłski, było nowe, wygodne, natomiast to naprzeciwko okazało się stare, z popękany siedziskiem i krzywymi nogami. Najbardziej jednak niepokoiła ją lampa zwrócona wprost w jej twarz. Wprawdzie nie świeciła, ale sama myśl o tym, że on mógłby ją w każdej chwili włączyć i złapać Wandę w strumień światła jak zająca sparalizowanego blaskiem z reflektorów na drodze, była nieznośna.

– Och, wybacz ten nietakt. Nie podoba ci się mój rekwizyt? – zaśmiał się Ryłski i odwrócił klosz lampy w stronę ściany. – No,

dawaj, Wandeczko, nie mamy stu lat. Z czym do mnie przychodzisz? Co mi przyniosłaś? Tę swoją śliczną siostrzyczkę na tacy? Nie widzę jej tu. To, mówiłaś, zdaje się, córka jakiegoś mośka?

– Żydówki. Elementu burżuazyjnego. Ada, matka Joasi, była malarką, sypiała z artystami i w ogóle, zdaje się, prostytuowała się. Natomiast jej ojcem jest profesor Kazimierz Majewski, mój tata, on... bohatercko zginął w czasie wojny – dukała Wanda.

Zadowolony Ryłski rozparł się na krześle.

– Nie pierdol, Wanda. Twój ojciec, wiem to doskonale, był zwyczajnym śmieciem. Żył z pracy innych ludzi i pieniędzy żony, wziął sobie kochankę, tę Żydówkę. Myślisz, że tego nie sprawdziłem? Twoja rodzina wydała mi się... interesująca.

Wanda zagryzła wargę. Nie miała już żadnych argumentów, a co więcej, nie miała już chyba nic do zaoferowania Ryłskiemu.

– Ona jest Żydówką i pomaga jemu, Karolowi Pawłowskiemu, w robocie opozycyjnej. Byli na Dziadach w Narodowym, potem Pawłowski wciągnął moją siostrę...

– Półsiestrę. Tę Żydówkę – poprawił ją Waldemar z pełnym politowania i wyższości uśmiechem.

Wanda czuła się coraz gorzej, również fizycznie. Miała wrażenie, że te mury, ten pokój wysysają z niej wszystkie siły życiowe. Kręciło jej się w głowie. Pociła się. Zdawało jej się, że zaraz zemdleje.

W oddali znów rozległo się to samo wycie, teraz przyciszone nieco przez mury. Wandę przeszły ciarki. Spojrzała na Ryłskiego. Miał na ustach uśmiech sadysty, patrzył jej prosto w oczy, nieustępliwie, okrutnie.

– My wiemy, jak wyciągać z ludzi informacje. Ale na szczęście z ciebie nic nie trzeba wyciągać, prawda? Sama mi wszystko wyśpiewasz, Wandeczko. Masz znaną imienniczkę, która bardzo nam się przysłużyła, a tak jak ty pochodzi z dobrego domu...

Wiedziała, że mówi o Wasilewskiej. W jej domu, w rozmowach prowadzonych cichaczem, nigdy nie mówiło się o niej inaczej niż „ta zdrajczyni”.

– Dobrze robisz, Wandziu. Mośków i tych awanturników trzeba wyrzucić z naszego pięknego kraju. Ten cały Pawłowski to paskudny typ. Nasze państwo, PRL, wykształciło go, pozwoliło kontynuować

kariere naukową, wyjeżdżał nawet na zagraniczne sympozja, wszystko na koszt naszego kraju i ludu pracującego. I co? I tak nam się odpłaca. Należy mu się, jak w mordę strzelił. Więc mów, co na niego masz, bo sam bilet do teatru i fakt, że pieprzy się z twoją żydowską półsiostrą, mi nie wystarczają.

Wanda chciała tylko, żeby to wszystko się skończyło.

Rylski jakby odczytał to z jej twarzy, poblądłej, o czole pokrytym kropelkami potu. Wstał wolno z krzesła, podszedł do jednej z szaf, otworzył ją i wyjął butelkę wódki i dwie szklanki. Jedną postawił przed Wandą, nalał do pełna. Drugą napełnił dla siebie, wypił duszkiem, nalał jeszcze raz.

– No, na co czekasz? Pij. Pójdzie ci łatwiej. Po wódzie zawsze jest kobietom łatwiej. – Znow ten obleśny uśmiech.

„I nie tylko kobietom” – pomyślała Wanda, bo przypomniała sobie zrozpaczonego Karola na Bielanach i to, jak poła go wódką. Sytuacja się odwróciła. Teraz to ją jakiś mężczyzna chciał upić i wykorzystać, tak jak ona wykorzystała dla własnych celów Karola. Żeby wygrać z Joasią.

Wypiła więc i po chwili poczuła gorąco rozlewające się po żołądku i przypływ desperackiej śmiałości w sercu.

– Więc Joasia zaprosiła tego Karola do naszego domu, żeby przepisywał ulotki na maszynie do pisania mojego brata – wydukała.

Na Rylskim ta informacja zrobiła piorunujące wrażenie. Podszedł do drugiej z szaf, wyciągnął plik papierów.

– Takie ulotki? – zapytał wprost.

Wandzie trochę już falowało przed oczami. Skinęła głową, choć dokładnie nie pamiętała ulotek, które przepisywał Karol.

– No, jakieś takie, tak, podobne – zaplątała się. – I jakąś sztukę przepisywał, coś o gęsiach... Nie, o gęgaczach i cichych – przypomniało jej się.

Rylski sięgnął do szuflady, wyjął jakieś pomięte zabrudzone kartki, rzucił na stół.

– To?

Wanda się przyjrzała.

– Tak, i może to nawet Karol przepisywał, nasza maszyna ma skancerowaną literę s, brakuje jej jednego z brzuszków, tak jak tu. – Wskazała palcem na druk.

– Wiesz, Wandziu, że każda maszyna jest niepowtarzalna i można dokładnie stwierdzić, czy dany dokument wyszedł z tej, czy z innej maszyny? Więc jest bardzo możliwe, że faktycznie twój Karolek w mieszkaniu twojej akowskiej starej wystukiwał te paszkwile na ustrój socjalistyczny i jego przywódców... No, brawo. Bardzo zależało nam na złapaniu szui, która się tym zajmuje. A jeśli możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i jednocześnie pozbyć się tego żydowskiego pomiotu, tym lepiej. – Zatarł ręce. Już nie patrzył na Wandę, miał plan.

– Co... co z nimi będzie? – wyjąkała Wanda. Źle jednak zrobiła, że piła tę wódkę; teraz była pewna, że będzie po niej wymiotować.

– Wyrzucimy śmiecie. Wyjadą. Daleko – zachichotał.

„Czy on ma na myśli Syberię?” – zaszumiało Wandzie w głowie. Co jak co, ale zsyłki na daleką północ nie życzyła nawet Joasi.

– Idź już, Wanda. Przeproś mamusię, bo będziemy musieli wam zrobić w mieszkanku kipisz. Nie, żartuję, lepiej jej nie mów, że to od ciebie wyszło. Ale dzięki temu, że wiemy to od ciebie i zarejestruję cię jako moje źródło, nie straciecie mieszkania. Więc w sumie matka powinna być ci wdzięczna, choć... kto wie. Ludzie jej pokroju miewają dziwną hierarchię wartości. No, na co czekasz, zjeżdżaj. Czy mam ci wcześniej zrobić dobrze? – Wybuchnął złym śmiechem.

Wanda wstała z krzesła, ruszyła w stronę drzwi.

– Stój! Przepustka, inaczej nie wyjdiesz – powiedział, gdy ona już trzymała rękę na klamce.

Specjalnie czekał, musiał dobrze bawić się jej widokiem, wracającej powoli do jego biurka, ze spuszczoną głową. Nie czuła się triumfatorką. Czuła się szmatą.

Wzięła świstek podpisany przez Ryłskiego i wyszła. Pamiętała drogę. Idąc na dół, recytowała w myślach modlitwy, żeby się na tym skupić i nie słyszeć krzyków.

Wyszła i ruszyła w stronę placu Dzierżyńskiego, który świetnie pamiętała jeszcze jako „plac Bankowy”. Szła krzywym chodnikiem,

pod rzędem drzew ogołconych z liści. Nagle zatoczyła się na zgniły wydeptany trawnik, upadła na kolana i zaczęła wymiotować.

Usłyszała tupot stóp i poczuła na ramionach czyjeś dłonie.

– Proszę pani? Źle się pani czuje? Ja widziałem, skąd pani wychodzi. Czy pani potrzebuje pomocy lekarza? Niedaleko stoi mój samochód, mogę panią zawieźć na pogotowie – mówił jej ktoś do ucha głosem spokojnym, melodyjnym.

– Nie, dziękuję, po prostu... zatrzymałam się. Poradzę sobie, nie potrzebuję pomocy – tłumaczyła, podnosząc się z kolan i ocierając usta rękawiczką.

Nieznajomy – miał sympatyczną, przystojną twarz – pokiwał głową z powątpiewaniem. Pewnie pomyślał, że Wanda jest w szoku albo mu nie wierzy, bierze go za esbeka.

Ale Wanda doskonale wiedziała już, jak wyglądają esbecy. I była pewna, że nieznajomy nie ma z milicją nic wspólnego, chce pomóc, wziął ją może za opozycjonistkę, studentkę aresztowaną po którymś z wieców.

Odwróciła się na pięcie i zaczęła iść w stronę przystanku. Nie chciała pomocy, nie mogła spojrzeć temu człowiekowi w oczy, w ogóle chyba nigdy nikomu nie będzie mogła już spojrzeć w oczy.

Popełniła straszny błąd, nie do naprawienia. Było za późno, żeby cokolwiek ratować. Nic już nie zmieni, wydarzenia wymknęły się spod kontroli, odtąd będzie tylko świadkiem w tej sztuce, która nie mogła mieć dobrego zakończenia.

Zrobiło jej się strasznie żal Joasi. I tego, że być może nigdy jej już nie zobaczy. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to jej siostra. Nie półsiostra, nie gorsza siostra, przybłęda. Jej siostra, z którą łączyło ją dzieciństwo: wiele wspomnień, zabaw. Straciła ją. Straciła wszystko. „Będę żyć, ale jestem już martwa. Nic dobrego nigdy mnie już nie spotka. Zasłużyłam na to” – uświadomiła sobie z przerażającą jasnością. I się rozplakała.

\*\*\*

Przez kolejny tydzień żyła jak we śnie. Całymi godzinami przekonywała siebie, że to, co zrobiła, nie mogło przecież być aż tak złe. W końcu cóż takiego! Parę słów wypowiedzianych w gniewie. Zresztą czy powiedziała nieprawdę?! Joaśka była Żydówką, zaprzeczać nie było sensu: to tak, jakby przekonywać otoczenie, że się nie ma niebieskich oczu, jeśli się ma. I w ogóle pochodzenie to nie kategoria etyczna!

Takie właśnie przemowy w głębi serca wygłaszała, a dzięki nim coraz mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że jeśli coś złego by z tego wynikło, to nie będzie jej wina. A jednak wszystko to, co wydarzyło się później, było konsekwencją jej donosu...

Waldemar dotrzymał słowa. Trzy dni później w ich mieszkaniu pojawili się smutni panowie, którzy przetrzepali wszystko, od szafki na buty, poprzez regały z książkami, etażerkę w łazience, aż po spizarkę. Oczywiście zarekwirowali maszynę do pisania oraz brudnopisy gazetek, które Karol porozkładał po wszystkich pokojach. Przy okazji zainteresowali się starym kilimem wiszącym nad łóżkiem Krystyny.

– Piękna turecka robota. – Jeden z przeszukujących uśmiechnął się. A potem po prostu zdjął go ze ściany i zabrał. – Wie pani – powiedział z niewinną miną do zaszokowanej Krystyny – studiowałem historię sztuki. Mam słabość do pięknych przedmiotów.

Profesorowa nie miała odwagi, żeby zaprotestować.

Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Joaśka dostała paszport i bilet w jedną stronę.

– Dokądkolwiek pani sobie zażyczy, czy to nie cudowne? Świat stoi przed panią otworem – pokpiwał Waldemar, wręczając jej pismo.

Karola wydano z uczelni i nic nie wskazywało na to, żeby mógł jeszcze kiedyś rozwinąć swoje naukowe skrzydła.

– Panie kolego... – jęczał rektor. – Robiłem, co mogłem, ale moje możliwości są, ten, tego, ograniczone! Niech mi pan uwierzy!

Karolowi jednak było wszystko jedno. Nie wyobrażał sobie życia bez Joanny. Tego dnia, gdy okazało się, że musi ona wyjechać, Krystyna dostała ataku serca i wylądowała w Szpitalu Bielańskim.

Gdy Wanda dotarła na oddział kardiologii, matka spała, a Joanna warowała przy jej łóżku. Obrzuciła siostrę mrocznym spojrzeniem.

– Wyjdźmy – syknęła.

Wanda posłusznie podreptała za nią na korytarz. Przez ostatnie dni nie rozmawiały ze sobą, Joanna biegała z komisariatu do Pałacu Mostowskich, a stamtąd – na uniwersytet. Godzinami siedziała z Karolem u przyjaciół, rozmawiała nie wiadomo o czym. Wanda miała nadzieję, że uda jej się zataić własny udział w całej sprawie.

– Nie wolno jej przeszkadzać – powiedziała Joanna. – Musi teraz odpoczywać. Na szczęście nic strasznego się nie stało, lekarz powiedział, że to nie zawał, tylko zapaść. Przejęła się, biedaczka. Nie jest już najmłodsza...

– No nie... – szepnęła Wanda, próbując z wszystkich sił zachować wewnętrzny spokój.

– Słuchaj – mówiła Joanna – ja jeszcze nie wiem, co zrobię, ale... ale musisz mi przysiąc, że jeśli mnie nie będzie, zajmiesz się matką najlepiej, jak umiesz.

Wanda popatrzyła na nią gniewnie.

– Co ty wygadujesz?! – powiedziała. – To przecież jest moja matka!

– Zawsze myślałam – ciągnęła Joanna – że będę się nią opiekować na starość, że oddam jej to wszystko, co ona dała mnie. Ale teraz po prostu nie mogę. Muszę jechać, uciekać. Nie wiem, kiedy wrócę.

– A... a Karol? – zapytała Wanda.

Joaska uśmiechnęła się blado.

– Zobaczymy – powiedziała.

Tak naprawdę nie chciała wtajemniczać siostry w swoje plany. Wiedziała już, co robi. Dzień przed atakiem Krystyny Karol jej się oświadczył. Dał jej pierścionek po babce: secesyjny, z białego złota, z ametystem. Ot tak, wręczył jej wytarte welurowe pudełeczko i spytał, czy za niego wyjdzie. Nie padał na kolana, nie błagał, nie obsypał kwiatami.

– A jak sądzisz? – spytała, patrząc mu prosto w oczy.

Wiedział. Wiedział, że go kocha. Nawet wtedy, gdy zdradzał ją z Wandą. Miał do niej pretensje o to, że nie była z nim szczerą. Ale czy on był do końca szczery? No, nie był! Nie od razu wyznał jej, co zaszło między nim a jej siostrą. Jednak w chwili, gdy wręczał jej pudełko z pierścionkiem, ona powiedziała:

– Jesteśmy kwita. Ja nie byłam z tobą do końca szczerą, ale ty też nie jesteś.

Milczał chwilę, a potem spuścił głowę.

– To prawda – powiedział.

– Czy... czy między tobą a Wandą...

Popatrzył na nią tak przestraszony, że nie dokończyła. Nie musiała.

– Zatem naprawdę jesteśmy kwita – oświadczyła. – I nigdy więcej do tego nie wracajmy, dobrze?

Skinął głową.

Oczywiście z dnia na dzień nie udało się im załatwić ślubu cywilnego: urzędy na wiosnę były obłożone, terminy – co najmniej sześciotygodniowe. Od czegoż jednak byli znajomi księża!

– Nic nam to nie da! – zachnął się Karol, gdy zaproponowała mu ślub w niewielkiej kaplicy urządzonej w willi przy ulicy Czarnieckiego na Żoliborzu.

– Nic nie da? – Podniosła brwi. – A przysięga? Słowo dane przed Bogiem?

Stropił się. Była przecież Żydówką. Nigdy nie rozmawiali o sprawach wiary, tymczasem ona...

– Co? – Uśmiechnęła się drwiąco. – Zaskoczony?

Przekonywał ją, że bardzo chce wziąć z nią ślub i może wziąć go wszędzie. Przed księdzem, rabinem, popem, urzędnikiem... wszystko mu jedno.

– A mnie nie – odparła zadziornie.

– Więc będzie tak, jak sobie życzysz, bo ja chcę tego co ty! – powiedział.

W czasie, gdy omawiali szczegóły dotyczące ślubu, Wanda siedziała w toalecie, obejmując klozet, i wymiotowała. Ta noc – zdrady i upodlenia – była dokładnie dwa i pół tygodnia wcześniej i naprawdę nie było jeszcze powodu do niepokoju. Poza tym



mdłości nie przychodzą tak szybko – powtarzała sobie to, co wyczytała w poradach dla nastolatek drukowanych w piśmie „Na przełaj”. Wstyd powiedzieć, ale ona, dorosła kobieta, wiedzę o życiu intymnym czerpała z periodyku dla dużo młodszych kobiet.

Jednak nawet jej mikra wiedza na temat życia intymnego wystarczyła, żeby mogła poczuć się zaniepokojona. Do tej pory jej organizm działał jak szwajcarski zegarek, tymczasem od tygodnia nie dość, że czuła się bardzo źle, to jeszcze...

Wybrała się do lekarza. W poradni K leciwa pani doktor popatrzyła na nią niechętnie.

– Stosunki były? – zapytała szorstko.

– Jasne, że były – odpowiedziała Wanda. – Czy w przeciwnym razie zawracałabym pani głowę?!

– Różne tu już przychodziły pacjentki – odburknęła lekarka. – Niektórym się wydaje, że można zajść w ciążę, wkładając męskie spodnie. Albo kąpiąc się w tej samej wannie co chłopak.

Wanda nic nie odpowiedziała i zagryzła wargi, gdy lekarka niedelikatnie wprowadziła wziernik.

– Nie mogę powiedzieć na sto procent, ale macica wyraźnie jest powiększona – powiedziała. – Obstawiałabym, że to jednak ciąża. Ale za wcześnie pani przyszła. Trzeba było poczekać jeszcze ze dwa, trzy tygodnie. To może być zwykłe opóźnienie miesiączki. Będzie pani chciała usunąć?

Powiększona macica. A więc jednak!

Nie było sensu dłużej czekać, Wanda była pewna, że jest w ciąży. Gdy ta myśl do niej dotarła, poczuła się tak, jakby całe jej życie, ba, nie tylko życie, ale też ciało, należało do kogoś innego. Od dziecka była czegoś lub kogoś pozbawiana. Ojca, matki, miłości, własnego kąta, prawa do bycia wyjątkowym dzieckiem swoich rodziców, a teraz – także prawa do bycia sobą. Do samostanowienia.

Joaska nie powiedziała jej o ślubie, chociaż wzięła go w sukience Mondrian, którą dostała od Wandy. Dlaczego? Cóż, siostra, półsiostra była świadoma zdrady. Podwójnej. Waldemar podczas kolejnego przesłuchania wspomniął mimochodem o wizycie Wandy, o ich bliskiej relacji... Nie musiał wiele mówić, Joanna się wszystkiego domyśliła. W końcu temat jej pochodzenia,

przemilczany latami, wypłynął w ostatnich dniach na pewno nie bez powodu. Najwyraźniej siostra zrobiła z niego użytek. Właściwie Joannie było już wszystko jedno. Do niedawna czuła się wybrańcem losu, osobą, której udało się przeżyć najstraszniejszą wojnę w historii, dostać miłość, żyć szczęśliwie... Teraz to jej odebrano. Szykowała się do wyjazdu, pakowała do walizki kawałki życia: wyliniątego miśka, zdjęcie ojca, album Krakowa, secesyjną broszkę, kuchenną makatkę. Z wszystkich sił starała się nie płakać. I nie płakała.

Pociąg miał odjechać z Dworca Gdańskiego. Postanowiła nie żegnać się z przyjaciółmi. Odpychała od siebie myśl o matce leżącej w szpitalu. Ale matka i tak się dowiedziała. Matki mają swoje sposoby. Krystyna wypisała się ze szpitala na własne życzenie. Zdążyła dosłownie w ostatniej chwili. Pociąg do Wiednia miał odjechać za dziesięć minut. Nie czekali na nikogo, z nikim się nie żegnali. Joanna i Karol stali na peronie wpatrzeni w betonowe przęsła mostu.

– Więc to już na zawsze? – wyszeptała Joanna. – Może kiedyś wrócimy?

– Może kiedyś wrócimy. Tak, na pewno, masz moje słowo! – przytaknął skwapliwie i mocniej ścisnął ją za rękę.

Nagle zobaczyli Krystynę. Biegła wzdłuż pociągu w ich stronę.

– Joasiu, córeńko – szlochała.

Joanna uścisnęła ją najmocniej, jak umiała.

– Nie zostawiaj mnie!

– Mamo... – Joanna nie potrafiła dłużej powstrzymać łez. – Nie płacz, proszę cię, nie płacz. To się wszystko musi zmienić, ułożyć...

– Kochanie, najdroższe moje dziecko... – Majewska trzęsła się tak, że Joannie zdawało się, że za moment matka dostanie kolejnego ataku.

– Musisz się pozbierać – powiedziała twardo, zbyt twardo, żeby to mogło być naprawdę. – Musisz się zająć Wandą, ona cię bardzo potrzebuje. Poza tym... poza tym to nie koniec, zobaczysz, spotkamy się!

Te ostatnie słowa zabrzmiały z kolei zbyt słabo, żeby udało się w nie uwierzyć. Krystyna przylgnęła do przysposobionej córki całym

obfitym ciałem i marzyła o tym, żeby świat się skończył. Żeby już tak zostały, one dwie, na zawsze scalone w jeden pień.

– Wsiadamy! – zawołał konduktor i zamachał lizakiem. – Dość już tych czułości! – dodał mało delikatnie.

Nikt z nich nie wiedział, że kawałek dalej, za słupem wysokiego napięcia i za grupką ludzi, którzy go otoczyli, stoi Wanda. Gdy pociąg już zaczął ruszać, opuściła swoją kryjówkę, w ostatniej chwili chciała podbiec do okna, w którym stali zalana łzami Joanna i obejmujący ją Karol. On pierwszy zobaczył nadbiegającą.

– Wynoś się – ryknął przez okno. – Bądź przeklęta za to, co nam zrobiłaś! To wszystko przez ciebie!

Jego głos z trudem przebijał się przez hałas pociągu i krzyki innych ludzi. Ale Wanda usłyszała. I, niestety, usłyszała również Krystyna.

**Tyniec, 2019**

Bramy zostały zamknięte. W Tyńcu od dwudziestej drugiej do szóstej rano panowała cisza, mnisi milczeli, bo tak nakazywała im surowa reguła, milczeli też goście. Jednak Ula czuła, że myśli wirują jej w głowie jak kolorowe ubrania w pralce. Nie była w stanie usiedzieć w swoim ciasnym pokoiku, próbowała kontemplować przepiękny widok za oknem, ale miała poczucie, że się dusi. Potrzebowała przestrzeni, miejsca, żeby pomyśleć.

Zbiegła po schodach. Drzwi na dziedziniec wciąż były otwarte – zamykano je później, mnisi jeszcze kręcili się po swoich włościach, wracali z kościoła, z przechadzki. Ula wyszła na podwórzec wybrukowany kamiennymi płytami. Było już całkiem ciemno, choć z oddali jaśniała łuna nad Krakowem. Kobieta doszła do niskiego muru okalającego dziedziniec i ruszyła jednak w przeciwnym kierunku, w stronę kawiarni. Stąd, jej zdaniem, widok był najpiękniejszy, nawet po zmroku. Widok na nieodległe Tatry, zakole Wisły. Rzeka szemrała cicho w dole, toczyła swoje granatowe wody w kierunku Krakowa i dalej – do Warszawy, do Gdańska...

„Tak samo od tysiąca lat, od kiedy stoi tu ten klasztor, najstarszy w Polsce. A właściwie i dłużej. Nic się tu nie zmieniło, tylko ci mnisi się zmieniają, mijają, z punktu widzenia wieczności, a choćby i tych murów, jak w kalejdoskopie. A ja? Tylko tu mignę, rozmazana kolorowa plama w przelocie, z moimi problemami, nadziejami, historią, którą opowiedział mi wuj i z którą nie wiem, co mam zrobić” – dumiała Ula. Przypomniała sobie wizytę na cmentarzu, na którym chowano tynieckich mnichów, po drugiej stronie drogi. Groby mieli tylko ci, którzy zmarli w ostatnich dekadach. Szczątki pozostałych leżały we wspólnej mogile. Lakoniczny napis na płycie nagrobnej głosił: „Mnisi tynieccy wieki X–XX”. Tysiąc lat, setki

istnień – i tylko jedna mogła! I jak któremukolwiek człowiekowi może wydawać się, że jest ważny, że coś znaczy, że jego problemy w skali kosmosu są istotne?

„Ale jednak są istotne! Nie może mi dać spokoju opowieść wuja. To przecież nie tylko prawda o mojej matce, o ciotce, o ich skomplikowanej relacji. To też prawda... o moim ojcu. O mojej siostrze. Pólsiostrze” – rozmyślała. Zaśmiała się w noc: ach, jaki przewrotny ten los! Jej matce zafundował pólsiostrę, gorszą siostrę – i przez to złamał jej życie i serce. Ale przecież ona sama dokładnie powtórzyła ten los, teraz się zorientowała. Bo i ona miała pólsiostrę, gorszą siostrę – która zdążyła całkiem sporo jej odebrać, choć do tej pory Ula nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia. Catherine, tak miała na imię córka Joasi i Karola, urodzona już we Francji, miała ojca na wyłączność. Ich wspólnego ojca, z opowieści Iwona wynikało, że pełnego czułości, kochającego...

Nagle zobaczyła ten obraz: mężczyzna z brodą, w okularach podnosi do góry rudowłosą dziewczynkę, a ona śmieje się na całe gardło, uradowana, szczęśliwa, rozbawiona. A wszystko to, gdy Urszula była sama, tylko z matką, wymagającą i nieumiejącą okazać małej córeczce miłości. Ależ dobrze było tamtej dziewczynce, ależ na to nie zasługiwała! Bo niby czym sobie zasłużyła na ojca, ojca Uli? Co takiego niby zrobiła, że dano go jej w całości, a Ulę całkowicie go pozbawiono?

Było ciemno i Urszula pomyślała, że w jej duszy też zapada zmrok. Poczula żal, gorycz, złość. Niechęć do tej rudej dziewczynki z Paryża, Catherine. Niech teraz zapłaci za to, co zabrała, niech odda Uli życie, swój szpik, dla Idy! Urszuli i Idzie to się po prostu należy, bo...

„Boże, co ja wyprawiam, chyba tracę rozum! Przecież nie wolno tak myśleć! Catherine nie było nawet na świecie, gdy Joasia i Karol wyjeżdżali z Polski, Joasia była w bardzo wczesnej ciąży, może nawet nie zdawała sobie sprawy ze swojego stanu! Co mogło to dziecko zawinić? To była wina mojej matki...” – rozważała.

Ale, o dziwo, nie czuła złości na matkę. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej było jej mamy... żal. Gdyby mogła, uściskałaby ją teraz serdecznie, choć ona oczywiście opierałaby się, udawałaby, że tego

nie znosi. Teraz Ula znacznie lepiej rozumiała swoją mamę, przyczyny, dla których nawet wobec niej była chłodna, zdystansowana. Czy mogła widzieć w córce Karola? Nie, raczej widziała w niej Joasię i wciąż męczyły ją wyrzuty sumienia, gorycz triumfu, który przyniósł jej tylko smutek, zniszczenie więzi rodzinnych. Matka przede wszystkim była straszliwie samotna. Odrzucona przez własną matkę, wyklęta przez brata, pozbawiona siostry, która naprawdę ją kochała i, co gorsza, którą ona kochała, bez miłości mężczyzny, bez ojca swojego jedyne dziecko. Nie, Ula nie zazdrościła matce tego losu, nie chciałyby go podzielić. I kto w tym układzie właściwie był „gorszą siostrą”? Joasia, sierota, owoc nieślubnego związku, przygarnięta przez kobietę, która powinna jej nienawidzić, a która umiała wznieść się ponad własne uprzedzenia, zranione uczucia i pokochać tę biedną opuszczoną istotkę? Cena była jednak wysoka: zapłaciła ją w całości druga z sióstr. Wanda, jej matka.

Tyle że przecież Ula nie była skazana na powtórzenie losu własnej matki, na bycie gorszą siostrą! Ona mogła to przerwać. Wuj Iwo dał jej taką możliwość, po to złamał tajemnicę spowiedzi. Z tego, co wiadomo było Uli, był to grzech ciężki, za który groziła nawet ekskomunika! A przecież dla wuja niemożność uczestniczenia w życiu sakramentalnym, wyrzucenie poza obręb społeczności, którą tak kochał od wielu lat, musiałyby być karą niemożliwą do zaakceptowania. Zrobił tak, żeby Ula mogła znaleźć ratunek dla Idy. I oczyścić imię swojej matki, spróbować skleić to, co rozpadło się przed laty. Rodzinę.

Głęboko wciągnęła w płuca zimne czyste powietrze pachnące wodą, lasem, mokrym piaskiem. Jaka szkoda, że Joasia już nie żyje! Jak powiedział wuj Iwo, zmarła dwa lata wcześniej. Wtedy Iwo sądził zresztą, że zabierze tajemnicę Joasi i Wandy do grobu i gdyby nie choroba Idy, chyba nie zdecydowałyby się mówić. Urszula poczuła ukłucie żalu: tak chętnie uściskałyby ciotkę, przytuliła się do niej! Tęskniła za dużą rodziną, za wsparciem starszych kobiet, które mogłyby jej poradzić w trudnych sytuacjach. Było jej przykro, że Ida ma tylko ją...

Pozostawało jeszcze pytanie, co się stało z Karolem Pawłowskim. „Moim ojcem” – poprawiła się natychmiast w myślach Ula. Trudno jej jeszcze było myśleć o nim w ten sposób: tata. Wuj nie wiedział, co się z nim działo, bo tak naprawdę po śmierci Joasi jego kontakt z Catherine był okazjonalny: przysyłała kartki z życzeniami świątecznymi, ale nigdy nie dzwoniła. Jedno było pewne: w chwili śmierci Joasi Karol – ojciec – jeszcze żył i podobno cieszył się stosunkowo dobrym zdrowiem. Może więc nadal mieszka w Paryżu? Jako emerytowany profesor wykłada na Sorbonie matematykę, opowiada znudzonym studentom o ciągu Fibonacciego?

Ta myśl sprawiła jej radość. Ojciec, żywy, taki, do którego tęskniła całe życie! Od dziecka żałowała, że mama wychowuje ją sama, po inne dziewczynki do szkoły przychodzili tatusiowe, tak strasznie im zazdrościła! I czasem bawiła się w wymyślone rodzeństwo – matka nie cierpiała tej zabawy, teraz oczywiście Ula rozumiała dlaczego. Wyobrażała sobie, że ma młodszego braciszka, a jeszcze lepiej siostrzyczkę, którą stroi jak lalkę, wozi w wózku, do której zawsze może się przytulić, z którą może się bawić i do niej szeptać w nocy, gdy tak bardzo boi się ciemności. To niesamowite, ale niektóre marzenia się spełniają, i to po tylu latach! „Chciałam mieć siostrę i mam siostrę! Jak powiedziałby wujek: Bóg jest wielki. I spełnia nasze życzenia w najmniej spodziewanej chwili. Nigdy, jak się okazuje, nie jest za późno, żeby wywrócić swoje życie do góry nogami. Zresztą nie jestem przecież taka stara, dzisiejsza pięćdziesiątka to dawna trzydziestka, jak ciągle powtarza mi Ida”. Ula uśmiechnęła się do swoich myśli.

Ciemność wokół niej już nie przerażała, była raczej jak ciepły kocyk otulający nocą. Ula wdzięczna była tej ciemności: mogła sobie popłakać do woli i nikt, w tym mroku i w tej ciszy panującej w opactwie, nie pytał, dlaczego płacze i jak można to zmienić. Płakała trochę z żalu, z tęsknoty za swoją matką i dopiero co odkrytym ojcem, z radości, że ma siostrę – i że znów pojawiła się nadzieja dla Idy. Pozostawało jeszcze pytanie, jak tę siostrę zawiadomić o swoim istnieniu... Podobno wuj Iwo niezwykle taktownie nigdy nie poruszył z Catherine tematu córki Wandy, uważał, że już to byłoby naruszeniem zasad. A czy sama Joasia

wiedziała o istnieniu Uli, czy powiedziała o tym swojemu mężowi i córce? Tego Ula wcale nie była pewna.

„No cóż. Czeka mnie chyba niezła przygoda i niezła przeprawa. Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać, ale na pewno coś wymyślę. Jestem przekonana, że w tym świętym miejscu, przesiąkniętym na wskroś modlitwami dobrych ludzi, świetne pomysły same wpadają do głowy. W końcu Bóg jest wielki, lepiej więc zdać się na niego, zamiast trudzić swoją maleńką głowę dylematami ponad możliwości zrozumienia” – uznała. Jeszcze raz wciągnęła w płuca aromatyczne, orzeźwiające powietrze i poczuła, że jest w zasadzie senna. Może już wrócić do swojego pokoiku, otulić się kołdrą i zasnąć.

A jutro... Jutro rano na pewno wymyśli jakiś plan. Tak, wszystko się ułoży. Ula ma już w dłoni brakujący kawałek układanki i nie zawaha się go użyć. Teraz jej kolej, teraz wszystko zależy od niej.

\*\*\*

## **Paryż, 2019**

Miała wszystkie niezbędne informacje. Catherine Duval, z domu Pawłowska, mieszkała niedaleko placu Bastylli, przy ulicy Crespindu-Gast, dokładnie naprzeciwko muzeum Édith Piaf. Po ojcu miała ścisły umysł – skończyła matematykę na Sorbonie i tam też poznała swojego męża, Filipa. Philippe’a, po francusku. Oboje pracowali w banku, w dziale szacującym ryzyko udzielania kredytów. Wyższa, skomplikowana matematyka. Dlatego byli cenionymi i dobrze opłacanymi fachowcami, tak wyjaśnił Urszuli Iwo, czy też raczej ojciec Hieronim.

Kolejne dwa dni po powrocie do Warszawy Ula spędziła przy komputerze. Wyciągnęła z internetu wszystko, co się dało – choć prywatnych informacji o Catherine było niewiele. Jedyne zdjęcie pochodziło z jakiejś międzynarodowej konferencji sprzed kilku lat. Catherine była na nim widoczna profilem, miała rude, krótko przycięte włosy – „na pazia”, jak mawiała matka Urszuli. Wanda lubiła tak czesać Ulę, gdy ta była dziewczynką. Sama Urszula nie



przepadała za tym. Próbowwała teraz powiększyć zdjęcie w komputerze w poszukiwaniu śladów rodzinnego podobieństwa. Nos. Identyczny, z niewielkim garbkiem miała Ida. Gdy się urodziła, był prościutki, jednak kiedy zaczęła dojrzewać, jego linia delikatnie się zakrzywiła. „Będę mieć nos jak baba-jaga” – lamentowała wtedy jej nastolatka, a Urszula się zastanawiała, skąd w jej rodzinie wziął się taki profil. Teraz już miała odpowiedź. Ze zdziwieniem odkryła, że Catherine figuruje także jako skarbnik na liście członkiń kobiecego klubu paralotniarskiego imienia... Camille du Gast. To przy ulicy nazwanej na cześć właśnie tej patronki mieszkała jej siostra z mężem. A zatem ten niebezpieczny sport musiał odgrywać jakąś rolę w jej życiu... Przeczytała w Wikipedii, że Camille du Gast była jedną z najsłynniejszych i najbogatszych kobiet żyjących w belle époque, a także wielką wielbicielką wyścigów samochodowych i skoków ze spadochronem. Nic dziwnego, że jest patronką kobiet uprawiających sporty ekstremalne.

Przypomniało jej się nagle, jak sama chciała w młodości spróbować skoków spadochronowych i jak stanowczo wybiła jej to z głowy Wanda. Marzenia o lataniu... powracały potem we śnie. Najwyraźniej jej siostra nie ograniczyła się do śnienia. Urszula uśmiechnęła się do siebie, oglądając zdjęcie satelitarne ulicy, przy której mieszkała Catherine. Nie wyglądała jakoś szczególnie szykownie; bezdzietną kobietę pracującą w banku zapewne stać było na coś lepszego. A jednak została na ulicy Crespin-du-Gast. „Żeby wszystko było do kompletu” – pomyślała.

Czy ona sama nie kierowała się tą zasadą w życiu? Lubiła, gdy różne jego elementy do siebie pasowały, miały ten sam klimat, tę samą wibrację lub choćby identycznego patrona. I znowu wróciło do niej pewne wspomnienie: jako nastolatka pojechała na wakacje do miejscowości, w której miała do wyboru trzy kościoły, w tym jeden pod wezwaniem Świętego Zygmunta, czyli takim, pod jakim był jej parafialny. Nadkładała kilometr w niedzielę, żeby dotrzeć właśnie tam na mszę. „Po co będę zawracać głowę innemu świętemu? Ten jest już do mnie przyzwyczajony” – powiedziała koleżance z pokoju. Teraz sądziła, że kierowała nią ta sama cecha, która kazała jej półsiostrze trzymać się mieszkania przy niezbyt szykownej ulicy.

„Pewnie łączy nas jeszcze więcej” – pomyślała, gdy po raz setny wzięła do ręki kartkę z numerem telefonu. I po raz setny odłożyła ją z westchnieniem. „Pomyślmy, co ja sama zrobiłabym, gdyby nagle zadzwoniła do mnie obca kobieta, z dalekiego kraju, i oświadczyła, że jest moją siostrą...”. Zapewne by się rozłączyła, dlatego Ula uznała, że lepiej będzie po prostu polecieć do Paryża i porozmawiać. Takie wyznania twarzą w twarz były oczywiście trudniejsze, ale dawały więcej szans na powodzenie przedsięwzięcia. Kupiła bilet na kolejny dzień. Zadzwoniła jeszcze do zięcia, aby go uprzedzić, że nie zajmie się małą Wandzią i żeby lepiej zawiózł ją na kilka dni do swojej matki. A potem spakowała kilka T-shirtów i dodatkową parę dżinsów i przesiadła do rana w fotelu. Nie mogła spać.

W samolocie dla kurażu zamówiła lampkę białego wina. Od razu zakręciło jej się w głowie i zdała sobie sprawę, że nic nie jadła od prawie dwóch dni.

„Jeszcze tego brakowało, żebym się upiła przed najważniejszym spotkaniem w życiu” – pomyślała. Biuro Christine mieściło się w dzielnicy La Défense – w najnowocześniejszej części miasta, pełnej niebotycznie wysokich biurowców, nad którymi królował słynny łuk ze szkła i stali.

„No, tego nie mamy podobnego – pomyślała Urszula. – Umarłabym chyba, gdybym musiała przebywać codziennie w takiej krainie wielkich wielorybów. Kraina wielkich wielorybów...” – no tak. Jej jedyne wspomnienie dotyczące męża Wandy, o którym myślała, że był jej ojcem, to była właśnie taka chwila, gdy szli razem przez nowe osiedle betonowych bloków i tata – tak wtedy do niego mówiła: „tato” – nazwał je krainą wielkich wielorybów. Uśmiechnęła się czule. Choć teraz już wiedziała, że nie był jej prawdziwym ojcem, to drobne wspomnienie nie przestawało jej towarzyszyć.

Dzięki opowieści Iwona wszystko ułożyło się w logiczną całość: Wanda, pozostawiona w Warszawie w ciąży, szybko wyszła za pierwszego mężczyznę, jaki się napatoczył. Miłego specjalistę od wodociągów, Tadeusza Kozłowskiego, którego poznała przypadkiem w kawiarni. Był od niej kilka lat starszy, niezbyt przystojny i nie miał śmiałości do dziewcząt. Wykorzystała go, sprawiła, że dziecko

– czyli ona, Urszula – w rubryce z danymi ojca nie miało liter NN i nosiło panięskie nazwisko Kozłowska. Małżeństwo zawarte pośpiesznie i bez miłości mogłoby się utrzymać tylko wtedy, gdyby udało im się zaprzyjaźnić. Ale się nie udało. Byli niedobrani pod każdym względem i chyba, koniec końców, Wanda musiała powiedzieć Tadeuszowi, że nie on jest ojcem Uli. Tak, musiała mu to powiedzieć. Jak inaczej wyjaśnić to całkowite porzucenie, brak zainteresowania? Przecież kilka tych wspomnień, które jednak udało jej się wyłuskać z otchłani niepamięci, pokazywało człowieka czułego, kochającego. „Kraina wielkich wielorybów...”.

Urszula usiadła w kawiarni mieszczącej się na dole budynku banku i zamówiła kawę z rogalikiem. A potem jeszcze jeden rogalik, bo czuła, że głód wciąż nie daje jej spokoju – jak zawsze wtedy, gdy była zdenerwowana. Dochodziła za piętnaście dziesiąta, a biuro jej siostry zaczynało pracę od dziesiątej. Oznaczało to, że Catherine powinna się lada moment zjawić. Kawiarnię od holu, przez który jak sądziła Urszula, Catherine powinna przejść, żeby dostać się do windy, dzieliła szklana szyba. Usadziła się więc tak, aby móc obserwować wszystkich, którzy wchodzą do budynku. „Jeśli jest podobna do mnie, to będzie punktualna” – pomyślała. I się nie myliła.

Dokładnie o dziesiątej pięć Catherine Duval weszła w obrotowe drzwi. Urszula poznała ją bez trudu. Nie tylko dzięki zdjęciu w internecie. Ono kłamało – teraz widziała to dokładnie. Catherine była do niej podobna, nie ulegało wątpliwości, że są siostrami. Nie tylko rysy miała bardzo zbliżone do jej własnych. Także fryzura, zupełnie inna niż na fotografii, upodabniała ją do Urszuli. Tyle że kolor włosów był inny – miedzianorudy, taki, jaki miały jej matka i babka. Wprawdzie siwizna zgasiła nieco płomień kosmyków, dlatego nie zwróciła na to uwagi, badając zdjęcie. Urszula się zawahała. Cały jej dotychczasowy plan dotyczył rozpoznania półsiostry i rozmowy – ale to, co miało się zdarzyć pomiędzy, czyli jak ją zaczepić, jakimi słowami się przedstawić swoją łamaną francuszczyzną, nie zostało przez nią zaplanowane. „Zobaczmy, na co pozwoli mi sytuacja” – myślała, odpychając od siebie ten najtrudniejszy element planu. A sytuacja była taka, że Catherine

cofnęła się spod windy i weszła prosto do kawiarni. Podeszła do lady i podobnie jak chwilę wcześniej jej siostra zamówiła dwa rogaliki.

Ze swojego miejsca przy szybie Urszula widziała ją dokładnie. Wbiła wzrok w jej plecy – widocznie tamta coś poczuła, bo odwróciła się w jej stronę i popatrzyła na nią oczami tak podobnymi do jej własnych. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie. Bez słowa przyglądały się sobie przez dłuższą chwilę. Urszula próbowała znaleźć w sobie dość odwagi, żeby wstać, podejść, powiedzieć jedno słowo... Nie udało się. Uśmiechnęła się więc sztywno i spuściła wzrok. Catherine odwróciła się do lady, położyła na niej pieniądze i ruszyła do wyjścia.

„Przecież nie mogę pozwolić jej odejść!”. Urszula czuła, że ogarnia ją rozpacz. Wstała tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedziała, przewróciło się prosto pod nogi kobiety, która niosła kawę do sąsiedniego stolika. Rozlany płyn, zamieszanie... Urszula zaczęła przeproszać nieznajomą, która najwyraźniej nie zamierzała zbyć tego uśmiechem, bo wygadywała pod adresem niezdary jakieś przykre i na szczęście niezrozumiałe słowa. Kiedy pożar został ugaszony, a podłogę wytarto papierowymi serwetkami, Catherine już nie było.

Urszula nie miała wyjścia. Przez kolejne godziny sterczała pod biurkiem, mając nadzieję, że jej siostra nie jest pracoholiczką, która opuszcza biurko na przykład po dwudziestej. Na szczęście w porze lunchu półsiostra znów zjawiała się w kawiarni. „Raz kozie śmierć” – powiedziała do siebie Urszula i powoli ruszyła w stronę kobiety. Niestety, tym razem Catherine spotkała kogoś znajomego i zaczęła miłą pogawędkę. Budowane od rana postanowienie, że oto podejdzie i zagai rozmowę, prysnęło jak bańka mydlana. Gdy wreszcie siostra odwróciła się w stronę Uli, ta – zamiast powiedzieć to jedno zdanie, które ćwiczyła szeptem przez ostatnie godziny: „Je m'appelle Urszula, je suis ta soeur et je viens de Varsovie”, czyli: „Nazywam się Urszula, jestem twoją siostrą i przyjechałam z Warszawy” – zatrzymała się z wyrazem przerażenia wymalowanym na obliczu i ruszyła pędem w kierunku drzwi. „Nigdy mi się nie uda, to za trudne, za trudne!” – myślała, biegnąc

przed siebie na oślep. Łzy zalewały jej oczy i w pewnej chwili o mały włos nie wyłożyła się jak długa. Skupiona na sobie, nie słyszała, że Catherine za nią wybiegła i coś w jej stronę krzyczy.

Przez booking.com znalazła sobie pokój w pobliżu ulicy Crespindu-Gast.

„To przez to wino w samolocie i brak snu” – powtarzała sobie. – Nie mogłam zapanować nad emocjami, ale poczekam do poniedziałku, musi mi pójść lepiej”.

Był akurat piątek, więc ewentualne spotkanie i tak mogło się odbyć dopiero w poniedziałek. „Dam sobie radę, przez trzy dni mogę jeść bagietki i pomidory” – pocieszała się, ponieważ zdała sobie sprawę, że cała ta wydłużona eskapada będzie ją słono kosztować. Ceną mogło jednak być zdrowie jedynej córki, więc bez specjalnych skrupułów zadzwoniła do Tomka, żeby zasilił jej konto.

Pokoik, który wynajęła, miał wielkie okno wychodzące na ulicę, dlatego było w nim dość głośno. Jego główną atrakcją był marmurowy kominek, na którym ustawiono fotografie prawdopodobnie przedstawiające właścicielkę mieszkania: bardzo energiczną staruszkę, która podjęła swoją lokatorkę z niebywałą gościnnością. Niestety, nie bardzo mogły się dogadać, za to Urszula poszła spać najedzona mulami i napojona doskonałym białym winem. Między innymi dlatego zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Miała dziwny sen. Śniły jej się dwie małe dziewczynki – bardzo do siebie podobne. Nie miała pewności, ale przez część tego śnienia wydawało jej się, że sama jest jedną z nich, a drugą była Catherine. Jednocześnie te senne zjawy podobne były do dwóch dziewczynek ze starej fotografii zrobionej w górach. Do Wandy i Joasi. W każdym razie te dwie postacie biegły przed siebie, trzymając się za ręce, i w pewnej chwili zaczęły frunąć nad światem, nie puszczając swoich dłoni. Pod nimi rozciągał się piękny tajemniczy pejzaż – zupełnie jak na obrazach flamandzkich mistrzów. Odrobinę tajemniczy, spowity mistycznym światłem. Gdzieś daleko, przed nimi, widać było zachodzące słońce. Nic do siebie nie mówiły, jednak Urszula czuła ciepło rozlewające się wokół serca. „Tak wygląda miłość” – usłyszała głos. Nie była pewna, kto wypowiedział

te słowa. Czy to była jej siostra, czy ktoś jeszcze inny... Nagle zerwał się wiatr i Ula poczuła, że dłoń tej drugiej wymyka się z jej palców. Z całej siły próbowała ją przytrzymać. Chwytała jej sukienkę, wstążkę we włosach, włosy... To na nic. Dziewczynka odleciała porwana przez trąbę powietrzną, a ją samą uniosło w przeciwnym kierunku, w stronę ciemności, która była groźna i zła. „Tylko od ciebie zależy, czy się uratujesz” – powiedział ten sam głos. Dlatego ostatkiem sił złapała gałąź drzewa, obok którego przelatywała, i przeciągnęła się na stronę jasności.

Obudziło ją trzaśnięcie okna – na jawie także było wietrznie. Postanowiła zejść na dół na śniadanie: zauważyła poprzedniego dnia miłą małą kafejkę. Gdy siedziała, obserwując ludzi idących ulicą, nagle zobaczyła Catherine. Najwyraźniej szła do piekarni po przeciwnej stronie. Ubrana była w luźne dzinsy i bawełnianą bluzę. „Wygląda jak siostra mojej Idy!” – przemknęło jej przez myśl. A potem, mrużąc pod nosem „Raz kozie śmierć”, wstała. Dała znać kelnerowi, że „zobaczyła kogoś znajomego, ale zaraz wraca”, i ruszyła w stronę siostry. Już, już miała do niej podejść, ale wtedy Catherine odwróciła się w jej stronę. Zbyt gwałtownie, nieoczekiwanie, więc Ula znowu się spłoszyła. Ale wtedy usłyszała, jak tamta mówi: „Madame, je vous connais?”, a potem po polsku, choć z wyraźnym akcentem: „Znamy się? Pani mnie zna?”. Przełamała się i podeszła do niej. Przez moment wpatrywały się w swoje twarze, tak bardzo podobne. Nie było wątpliwości, że są spokrewnione.

– Owszem – powiedziała powoli Urszula. – W pewnym sensie ja znam panią, a pani mnie. Mamy wspólne geny. Tego samego ojca, tego samego dziadka. Nazywam się Urszula i przyjechałam z Warszawy...

Tamta stała jak wryta, choć już przeczuwała, spodziewała się czegoś podobnego – bo przecież odezwała się do niej po polsku – jednak informacja sformułowana w tak bezpośredni sposób była dla niej szokująca.

– Wspólnego... ojca? – wykrztusiła.

– Tak.

– A to znaczy... to znaczy, że jesteśmy...

– Siostrami – dokończyła Urszula. – A ściśle rzecz ujmując, półsiostrami.

– Ty jesteś córką Wandy? – zapytała jeszcze Catherine, a wtedy Urszula się rozpląkała.

Łzy leciały jej z oczu wartkim potokiem, ale nie czuła smutku. Raczej ulgę. Catherine objęła ją i stały tak na środku ulicy przez dłuższą chwilę.

– Chodź do mnie do domu, porozmawiamy! Mój mąż wyjechał na kilka dni, będziemy miały spokój – powiedziała wreszcie Catherine.

A potem udały się do jej przytulnego mieszkanka. Było zupełnie niepodobne do jej własnego, pełnego starych mebli i pamiątek. A jednak Urszula od razu poczuła się jak u siebie w domu. Być może za sprawę domku dla lalek, który stał na niewielkim stoliku w salonie. Zdziwiła się, bo przecież Iwo mówił, że Catherine nie ma dzieci. Siostra zrozumiała jej spojrzenie, bo powiedziała:

– To dla ciotecznej wnuczki, córeczki siostry mojego Filipa. Nie mamy własnych dzieci, więc wykorzystuję cudze, żeby się trochę pobawić.

– Ile ma lat? – zaciekała się Urszula.

– Wkrótce skończy cztery. Słodka z niej dziewczynka.

– To zupełnie jak nasza Wandzia. – Uśmiechnęła się mimo woli. – Moja wnuczka, córka Idy, mojej córeczki – dodała, widząc pytające spojrzenie.

– A więc nazywa się Wanda, jak twoja mama! – Catherine się ucieszyła. – Mam tu jej zdjęcie, zobacz!

Otworzyła drzwi niewielkiego pokoju i oczom Urszuli ukazała się ściana obwieszona rodzinnymi fotografiami. Zobaczyła i tę, której kopię przywiozła ze sobą w portfelu. Dwie dziewczynki na górskiej wycieczce. Wanda i Joanna. Ich matki. Półsiostry, jak one.

– Rodzice, wyjeżdżając z Polski, zabrali ze sobą sporo zdjęć. O, tu jest Wanda, a to Krystyna, nasza... twoja babcia.

Catherine знаła rodzinną historię dużo lepiej niż Urszula przed wizytą w Tyńcu. Joanna i Karol opowiadali jej o Polsce i o tych wszystkich ludziach, których tam zostawili. Uczyli ją polskiego, zachęcali do badania historii „kraju przodków”, jak pompatycznie mawiał Karol.

– Miałam nawet przez moment pomysł, żeby iść w ślady matki i zająć się literaturą środkowej Europy, ale mam jednak umysł ścisły. Czasem trochę żałuję, bo praca w banku jest dość nużąca, ale jednak liczby porządkują moje życie. Jestem taka... odtąd dotąd.

– Podobnie jak ja – stwierdziła z uśmiechem Urszula.

– Kiedy zmarła twoja mama? – zapytała nagle Catherine.

– Dawno. Długo chorowała, pod koniec nikogo już nie poznawała. Nawet mnie...

– Moja mama wiele mi o niej opowiadała. Twierdziła, że miała mocny charakter.

– Co prawda, to prawda – przyznała Ula. A potem się zasepiła. – Ciekawe, co jeszcze opowiadali ci rodzice o mojej matce.

– Prawdę mówiąc, niewiele – westchnęła pólsiostra. – Więcej mówili o Krystynie. O tym, jak dzielną i szlachetną była osobą. Mało kto przygarnąłby i otoczył miłością nieślubne dziecko swojego męża... w dodatku żydowskie dziecko. I to w czasach, gdy za taką wspaniałomyślność groziła kulka w łeb.

– Masz rację. Z drugiej strony... Zdaje się, że była trudną osobą. Tak przynajmniej wynikało z lakonicznych opowieści mojej mamy.

– Być może. Sporo powiedział mi o niej wuj Iwo.

– No tak, mówił, że u niego byłaś.

– Byłam. Pojechałam też do Krakowa, zobaczyć miejsce, gdzie urodziła się moja mama.

– Wstyd powiedzieć, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zrobić taką sentymentalną wyprawę śladem przodków – westchnęła Urszula. – Dopiero teraz, gdy stało się to konieczne...

– Tak się cieszę, że przyjechałaś. – Catherine wyciągnęła butelkę wina i nalała do szklaneczek. – Spróbuj! Kuzyn mojego męża ma winnicę w Prowansji. Mamy stałe dostawy rosé.

Urszula wzięła łyk. Wino było delikatne, lekko cierpkie, pyszne.

– Takie najlepiej pije się latem – powiedziała.

– To prawda! – Catherine zaśmiała się. – Lubię mieć namiastkę lata na co dzień, przynajmniej w postaci wina. Opowiedz mi o swojej matce! O niej wiem najmniej. A przecież... najwyraźniej kochała tego samego mężczyznę co moja matka. To musiała być jakaś dramatyczna historia.



Urszula zmarszczyła brwi. Catherine najwyraźniej nie znała tego trudnego fragmentu rodzinnych dziejów. Nie oszczędzając nikogo ani niczego, Ula powiedziała wszystko, co wyznał jej Iwo.

– A więc to tak. – Catherine była poruszona. – To były jednak straszne czasy. Musiało być im wszystkim bardzo ciężko.

– Na pewno – przytaknęła Urszula.

– Nie mnie oceniać ludzi, którzy doświadczyli wojny, a potem przemocy komunizmu. Wolę myśleć o jasnej stronie naszej historii. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

– Ja też – powiedziała Urszula i była to prawda. Czuła radość, że odnalazła tę miłą bezpośrednią kobietę. Siostrę!

– Opowiedz mi o swojej córce – poprosiła Catherine.

Ula opowiedziała więc o wszystkim: jak walczyli o to, żeby się urodziła, i o samotnym macierzyństwie, o twardym charakterze Idy i wreszcie o chorobie, która może ją teraz zabrać.

– Widzisz – powiedziała – właściwie trochę dlatego tu się zjawiłam. Jesteś ostatnią osobą na świecie, chyba ostatnią, która mogłaby być dawcą dla Idy. Teoretycznie pokrewieństwo między wami jest na tyle dalekie, że nie byłby to już przeszczep rodzinny. Ale przecież macie wspólne geny w dwóch pokoleniach, po mieczu. Między nią a nikim innym nie ma tkankowej zgodności.

– Oczywiście! – zgodziła się natychmiast Catherine, a potem wyciągnęła telefon i wystukała czyjś numer. Chwilę później konferowała z kimś po francusku.

Urszula niewiele rozumiała z tego, co mówiła jej siostra. Ewidentnie jednak referowała komuś historię choroby Idy.

– Załatwione! – oświadczyła zadowolona, chowając komórkę do torebki. – Nie wiem jak ty, ale ja nie wierzę w przypadki. Otóż wyobraź sobie, że w ubiegłym tygodniu na zebraniu parolotniarek poznałam pewną kobietę... Zgadnij, czym się zajmuje.

– Pojęcia nie mam – uśmiechnęła się Urszula.

– Ona właśnie bada materiał biologiczny potrzebny, żeby ustalić zgodność tkankową. Jest gotowa przyjąć mnie już w poniedziałek. Dostaniemy wyniki najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Wspaniale! – ucieszyła się Ula i zaraz potem posmutniała. – Nie mogę jej stracić, bez niej moje życie nie ma sensu.

– Nie mów tak. – Catherine złapała ją za rękę i mocno nimi potrząsnęła. – Nie wolno! Ja... trzykrotnie poroniłam, zanim okazało się, że nigdy nie będę miała dzieci. Jakkolwiek okrutnie by to brzmiało, sens nigdy nie znajduje się w drugim człowieku, tylko w nas samych.

– Masz rację – przytaknęła Urszula. – Poza tym... mamy jeszcze Dziunię.

– No właśnie! Mamy Dziunię! – ucieszyła się siostra. – I powiem ci, że nie mogę się doczekać, kiedy poznam tę moją wnuczkę.

\*\*\*

– Nie wysiadamy na stacji Père-Lachaise? – zdziwiła się Ula.

Wagon metra zakolebał się i zaczął hamować, a Catherine wstała z siedzenia i ruszyła w kierunku wyjścia.

– Nie, ze stacji Philippe Auguste będzie bliżej – odpowiedziała z uśmiechem.

Wysiadły. Uli bardzo podobało się paryskie metro, takie stare w porównaniu z warszawskim, a już najbardziej lubiła charakterystyczne wejścia na stację ozdobione barierkami z kutego metalu w stylu secesyjnym.

– Jak w ogóle udało wam się zdobyć miejsce na tym cmentarzu? Jest jeszcze czynny? Myślałam, że ma status zabytku...

– Faktycznie bardzo niewiele jest tu nowych pochówków, ale się zdarzają. Mama właściwie miała kwaterę od bardzo dawna, chyba jeszcze w latach siedemdziesiątych wykupiła stary, zaniedbany grób, który zarząd przeznaczył do likwidacji. Wtedy było to możliwe. Nic z tego nie pamiętam, byłam mała, więc możliwe, że coś pokręciłam. Wiesz, zdaje się, że mama nigdy nie straciła nadziei, że przyjedzie tu Christine... To znaczy Krystyna, moja babcia. Nasza, nasza babcia – zaśmiała się Catherine i złapała Ulę za rękę, mocno, serdecznie ścisnęła. – Wybacz, wciąż nie mogę w to uwierzyć, że jesteś. Stąd te pomyłki. No i to miejsce na cmentarzu to właśnie było dla babci.

– A co się stało z twoją drugą babcią, od strony ojca? – Ula zadała to pytanie i zaraz uświadomiła sobie swój błąd. – Co się stało

z naszą drugą babcią?!

Obie wybuchły spontanicznie śmiechem. Przechodnie oglądali się za nimi w zadziwieniu. Ula trzymała się za brzuch, Catherine zatoczyła się na słup reklamowy, oparła o niego, inaczej chyba przewróciłaby się ze śmiechu.

– Nie mogę – chichotała Ula, ocierając oczy. – Ale galimatias. Twoja babcia to moja babcia, a moja babcia to twoja babcia! Nie wiem, czy my się kiedykolwiek w tym rozeznamy, Kaśka.

– Kaszka? Kaśka? – Catherine chwilę obracała to słowo w ustach, jakby próbując sobie przypomnieć, skąd je zna. – Ach, wiem! Tata tak do mnie mówił czasami, pieszczotliwie. Tak, nazywaj mnie tak, to przyjemne! Moje własne zdrobnienie, nikt nie będzie go rozumiał! – cieszyła się jak dziecko.

– Poza Polską, bo tam Kasiek jest wiele – zachichotała Ula. – No i co z naszą drugą babcią?

– Ona zmarła rok po tym, jak rodzice przyjechali do Francji. Była chora, tatuś mówił, że chorowała na serce. I podobno, on tak to nazywał, to serce jej pękło z tęsknoty za jedynym synem. Po prostu, zawał. Tata zamartwiał się, mówił, że ją zabił, mama go pocieszała całe lata. Powtarzała, że przecież w Polsce nie mogli zostać. Wiem, że tata chciał ją ściągnąć do Paryża, jak już się urządzą, ale nie zdążył. Umarła. I na tym etapie, gdy oboje mieli pracę, czuli się tu jak w domu, była już tylko jedna babcia. Nasza babcia Krystyna.

Weszły na cmentarz. Ula się uśmiechnęła, bo poczuła się jak na rodzimych Powązkach. Ten sam klimat: dużo starych drzew, mnóstwo starych pięknych nagrobków.

– Pusto tu! – powiedziała zdumiona.

Mijały jakiś nowoczesny w formie nagrobek z popiersiem młodego mężczyzny, cały w kolorowej farbie, graffiti. Urszula spojrzała zaskoczona: jak można tak zniszczyć mogiłę!

– Tu leży Jim Morrison, rozumiesz – wyjaśniła Catherine, widząc jej spojrzenie.

Dopiero teraz Ula zobaczyła, że nagrobek jest pokryty także odciskami ust, dziesiątków ust pomalowanych szminkami w różnych kolorach. Ale nie było przy nim nikogo, żadnych tłumów z gitarami, histerycznie płaczących fanek.

– To stary cmentarz. Idole, których tu pochowano, też są starzy. Jak wasz Fryderyk Chopin. Zatem jeśli trafiają się turyści, rzadziej niż jeszcze kilkanaście lat temu, to raczej w dojrzałym wieku. Młodzieży tu w zasadzie nie widuję. Ale sporo mieszkańców z okolicy wpada na spacer.

– Faktycznie, pięknie tu. I moja mama, Wanda, też jest pochowana na takim cmentarzu, bardzo podobnym, sama zobaczysz! – powiedziała Ula.

Doszły do niewielkiej mogiły ocienionej koroną rozłożystej akacji. Nagrobek był skromny, minimalistyczny, z ciemnego granitu, z inskrypcją: „Joanna Majewska i Karol Pawłowski”. Żadnych tytułów naukowych, zdjęć.

– Rodzice nie chcieli wystawnych pogrzebów. Mówili zresztą zawsze, że żałują, że nie zostaną pochowani w Polsce, ale tu upłynęło ich życie i tu muszą spocząć. Miało być bez pompy i dla przyjaciół. Rzadko ktoś tu przychodzi. Czasem jakiś student z dawnych lat. Tata był cenionym matematykiem, a mama stała się jedną z najwybitniejszych specjalistek od literatury środkowej Europy na Sorbonie.

Catherine przystanęła, złożyła ręce jak do modlitwy, ale się nie przeżegnała. Ula to zrobiła, złapała zdumione spojrzenie siostry.

– Wiesz, u nas mało kto się modli... Ale to piękny zwyczaj. Mama, ona dużo się modliła. To pomaga? – zapytała cicho Catherine.

– Pomaga – odpowiedziała Ula, uśmiechając się.

Odwiedziła już z Catherine dwa kościoły i była zaskoczona, że w środku było kompletnie pusto, na ścianach wyraźnie odznaczały się miejsce po zdjętych i wywiezionych, zapewne do muzeum, obrazach. I zniczy tu nikt nie palił... Ona na grób Joasi i ojca przyniosła prosty bukiet z maleńkich róż kupionych u ulicznej kwiaciarki.

– Opowiedz mi o nim. O nich – poprosiła cicho.

Catherine westchnęła, zaczerpnęła oddechu.

– Przyjechali w lecie. Mama świetnie znała język. Władze bardzo im pomogły, no i okazało się, że gmina żydowska chciała mamę wesprzeć. Na początku się wzbraniała: nie chciała myśleć o sobie jako o Żydówce, nigdy tak o sobie nie myślała, przecież była

Polką... Ale tata przekonał ją, że muszą skorzystać, sami sobie nie poradzą. Ktoś opłacił im wynajem mieszkania. Dwa pokoje, maleńkie, na czwartym piętrze starej kamienicy. Mama wtedy jeszcze nie myślała, że jest w ciąży. Uważała, że to przez stres zatrzymał jej się okres. No i gdy dowiedzieli się, że będą mieć dziecko, najpierw ogromnie się ucieszyli, a potem bardzo zmartwili. Bo i tak było im ciężko... Przez rok żyli z pieniędzy z opieki społecznej i od dobrych ludzi, którzy chcieli im pomóc. Tata uczył się języka, bardzo intensywnie. Po roku dostał pracę na uniwersytecie, ale z początku nie miał zajęć ze studentami, tylko przygotowywał jakieś materiały, przepisywał, robił slajdy. A mama urodziła mnie. W tej kamienicy nie było nawet windy, musieli taszczyć mnie po schodach! Gdy miałam cztery miesiące, bardzo zachorowałam. Zapalenie płuc, możliwe, że przez to mieszkanie, chłodne, wilgotne, choć pod samym dachem. W szpitalu powiedzieli mamie, że dadzą mi lek, ale będę miała nieregularny oddech i musi siedzieć przy moim łóżeczku całą noc, czuwać, czy oddycham. Jak przestanę, trzeba będzie mnie reanimować. Ale przeżyłam. Mama często mi opowiadała tę historię jako dziewczynce. Mówiła, że muszę dbać o siebie, bo mają mnie tylko jedną... – Catherine przerwała, bo dostrzegła wyraz smutku na twarzy Uli. – Przykro mi, że ojciec nigdy nie dowiedział się, że jesteś. Ale... dziwnie to zabrzmiało, jednak wydaje mi się, że on to czuł. Bo wiesz, często mówił, że będzie mieć jeszcze jedno dziecko, i zawsze mi powtarzał, że będę mieć siostrzyczkę. Choć mijały lata. Byłam nastolatką, gdy zrozumiałam, że żadnej siostrzyczki nie będzie. Wiem, że rodzice przez jakiś czas się starali, ale się nie udało. Tamta ciąża, tak powiedział mamie lekarz, to był cud. Ja chyba po niej to odziedziczyłam, bo... – Catherine znów przerwała. Po jej twarzy pociekły łzy.

Ale Ula też płakała. Poczowała ulgę. Że nawet jeśli ojciec nie wiedział, to czuł jej obecność i chciał mieć jeszcze jedną dziewczynkę! Catherine wcale mu nie wystarczyła, pragnął jej, Uli!

– Opowiedz mi jeszcze. O tacie – poprosiła.

– Ula, wiem, że on przeczuwał coś. To nie może być przypadek. I wiem, że gdyby cię poznał, byłby bardzo szczęśliwy. Znam go

i wiem, że nie tylko by cię pokochał, ale też polubił. Za twoją odwagę, wielkie serce, bezpretensjonalność. To były cechy, które tata szalenie cenił u ludzi. I jeszcze coś: do końca życia towarzyszyło mu przekonanie, że w Polsce została część jego samego, jego serca. Często mi o tym mówił. Że to tak, jakby mu ktoś kawałek ciała oderwał i tam zostawił, a on wciąż o tej brakującej części myśli – mówiła cicho Catherine, a Ula płakała rzewnymi łzami.

Objęły się i rozszlochały. Akurat pojawiła się grupka turystów z Azji z aparatami, wszyscy stanęli jak zaczarowani i gapili się na to zjawisko, a potem kilka osób zaczęło im robić zdjęcia: przytulonym, zapłakany, nad grobem.

– A dalej to sama wiesz. Rodzice wykładali na Sorbonie, tata na matematyce, mama na studiach polonistycznych. Przeprowadziliśmy się na przedmieścia do małego domku z ogródkiem. Mama hodowała hortensje, miała dwa koty syberyjskie. Potem ja się wyprowadziłam. Mama od wyjazdu z Polski dużo paliła. Zachorowała na nowotwór płuc. Udało jej się z nim przeżyć siedem lat, to podobno sukces. A tata jakoś nie umiał żyć bez niej i odszedł niedługo potem. To był dla mnie trudny czas, bo zostałam wtedy całkiem sama. Nawet nie wiesz, jak bardzo wtedy żałowałam, że nie mam rodzeństwa! – Catherine mocniej przytuliła Ulę.

Urszula doskonale rozumiała siostrę. Ona też przeżyła boleśnie stratę mamy, chociaż zawsze uważała, że nie są ze sobą mocno związane. No ale miała jeszcze Idę, było jej więc znacznie łatwiej!

– Myślę, że wszyscy nasi rodzice byliby szczęśliwi, że się odnalazłyśmy – zawyrokowała Catherine.

Uli zachciało się śmiać: wszyscy nasi rodzice! Ale poniekąd tak było. Wanda była częścią Joasi, a Joasia – częścią Wandy. Jedną błędną decyzją, zrzędzeniem losu, w łańcuchu zdarzeń, które nie powinny były mieć miejsca, te dwie połówki zostały rozdzielone i stało się tak, jakby i Karol został rozplątany na pół. Chyba wszyscy oni mieli pod koniec życia tego świadomość, tak jak i wuj Iwo.

– Masz rację, Kaśku – powiedziała Ula, mocno przygarnęła siostrę i pocałowała ją w policzek. – A teraz, jak trochę popłakałyśmy, trochę powspominałyśmy, może pójdziemy napić się wina? I zjeść coś dobrego? Jakaś sałatkę z kozim serem? Potrawkę z kury

w winie? Królika w śmietanie? Coś francuskiego w każdym razie. Wiesz, ja tak jakoś mam, że duże wrażenia i gwałtowne emocje niezwykle wyostwiają mi apetyt...

– Co ty powiesz? No ja mam tak samo! Popatrz, krew nie woda! – Catherine cieszyła się z tej informacji, że oto kolejna rzecz je łączy, jak z odnalezienia skarbu. – Ale wiesz, ja bym ci zaproponowała coś innego. Normandzkie mule w białym winie podawane z frytkami, ręcznie robionymi oczywiście. Co ty na to?

– Och, brzmi pysznie! I chyba nigdy nie jadłam nic takiego. Prowadź, Kaśka. – Ula klepnęła ją zamasyście w plecy.

Catherine zawahała się, chyba nigdy wcześniej coś takiego jej się nie zdarzyło. A potem uśmiechnęła się promiennie do Uli, wzięła ją za rękę i ruszyły w stronę cmentarnej bramy, ku słońcu.

Warszawa, 2019

Przyszedł taki dzień, gdy wydawało się, że Ida umiera. Była blada jak papier, zupełnie bez siły. Przeniesiono ją do izolatki, żeby przypadkiem nie zaraziła się czymś od innych pacjentek. Tym bardziej że w szpitalu panował rotawirus. Wieczorem poczuła się już tak źle, że lekarze zaczęli się naprawdę niepokoić. Tomasz postanowił zostać z nią na noc w szpitalu, więc Urszula znowu wzięła Dziunię do siebie. Dziewczynka najwyraźniej czuła, że dzieje się coś niebezpiecznego. Nie chciała zasnąć do późna, marudziła, a gdy Urszuli wydawało się już, że udało się małą uśpić, i gdy sama umościła się na kanapie – bo nawet nie miała siły, żeby wziąć prysznic i przebrać się w piżamę – usłyszała nagle tupot bosych stópek.

– No nieeee – jęknęła. – Wandeczko, dlaczego nie chcesz spać?

– Zasnę, jeśli opowiesz mi bajkę – oświadczyła stanowczo mała.

– Wiesz przecież, że to tatuś jest specjalistą od bajek. – Babcia próbowała się wymigać.

Jednak dziewczynka nie dała się ubłagać. Zatem Ula wreszcie położyła się obok niej w łóżku, przytuliła... I wtedy nagle wróciło do niej wspomnienie z własnego dzieciństwa. To było już po odejściu ojca... to znaczy męża Wandy. Pewnego dnia obudziła się z gorączką i bólem gardła. Matka miała jechać w delegację, a ją zostawić z opiekunką. Tyle że nie zrobiła tego. Przestraszyła się, tak szybko rosła Uli temperatura. Poprosiła wtedy, jak Dziunia dziś, żeby opowiedziała jej bajkę. A mama zaczęła snuć historię o Kopciuszku. Tylko że w jej opowieści to Kopciuszek sierotka był tą złą, podstępłą dziewczyną, która za wszelką cenę starała się pokrzyżować szyki poczciwej prawowitej córce. Zabrał jej sukienkę i ukradł księcia z bajki. Na szczęście na końcu historii zjawiała się



dobra wróżka, której udało się uratować nieszczęsną dobrą siostrę... Urszulę poraziło to wspomnienie. Przez długi czas leżała przy wnuczce bez ruchu, próbując się nie rozplakać.

– No, babu, opowiadaj! – Dziunia pociągnęła ją za rękaw bluzki i Uli udało się opanować.

Wzięła głęboki wdech i zaczęła własną bajkę. Tym razem Kopciuszek i siostra były przyjaciółkami. Nie pokłóciły się o księcia, bo po prostu każda z nich miała własnego. Wszystkim się dzieliły, sukienkami, bucikami... A miały tego sporo, dzięki dobrej wróżce.

– Babciu! – Dziunia nie dała się nabrać. – Coś ci się poplątało z tą bajką!

– A właśnie że nie – upierała się Urszula. – Każdy może mieć własną, nigdzie nie jest powiedziane, że musimy w kółko opowiadać to samo.

– Ale ta twoja jest jakaś nudna – ziewnęła dziewczynka. – Wolę Kopciuszka z książeczki. Jak gubi pantofelek i wychodzi za księcia. A zła siostra zostaje ukarana.

– A mnie żal jest złej siostry – powiedziała Urszula szeptem. – I chciałabym, żeby ta bajka wyglądała inaczej.

Mała Wandzia nie odpowiedziała babci, zasnęła spokojnie wtulona w jej ramię.

Urszula odsunęła się delikatnie. Spokój dziewczynki jakoś jej się udzielił. „Wszystko będzie dobrze, to się musi udać” – powiedziała do siebie. I sama zasnęła.

Rano Tomasz odebrał Dziunię, a Urszula pobiegła do szpitala. Zamierzała opowiedzieć Idzie o wyprawie do Paryża i o Catherine. Nie chciała córce robić niepotrzebnej nadziei – w końcu parę razy już byli prawie pewni, że mają dawcę szpiku. A jednak ona sama czuła wyraźnie, że tym razem to się musi udać. Lecz kiedy stanęła w progu izolatki, w której leżała jej córka, zamarła. Ida wyglądała jak śmierć. Przerażliwie chuda, blada, bez włosów. Zwykle nosiła kolorową chusteczkę – przede wszystkim ze względu na Dziunię, czasem też robiła sobie lekki makijaż. Jeśli ktoś jej nie znał, mógł się nawet nie zorientować, jak bardzo jest chora. Ale tym razem było inaczej. Ida odpuściła, widać to było wyraźnie. Leżała zrezygnowana i nieszczęsna. Urszula poczuła, że nie jest w stanie opanować

szlochu. Jej córeczka, ukochane, jedyne dziecko, skarb najcenniejszy, prezent od Boga, plaster na ból tego świata... „Panie, weź mnie, ale ją oszczędź” – jęknęła i szybko się wycofała, zanim Ida ją zobaczyła. Opadła bezradnie na krzesło w korytarzu, przymknęła oczy. Obok niej lekarz prowadził rozmowę z jakimś mężczyzną. Najwyraźniej rozmawiali o jego żonie.

– Rozważamy jeszcze dializę – mówił lekarz. – Jest szansa, że to pomoże.

– Panie doktorze – szlochał mężczyzna. – Przecież obaj wiemy, że ona umrze!

– To prawda. – Spokojny głos doktora nie dodawał otuchy.

Urszula zaczęła czuć to co mąż tej nieznajomej chorej kobiety.

– Skoro nie możecie jej pomóc, to po co?

– Nie rozumiem? – Głos lekarza zrobił się nieprzyjemnie ostry. – O co mnie pan pyta? Po co ratujemy życie pana żonie?

– Skoro ma umrzeć, po co jeszcze robić jej dializę.

– Bo uważamy, że może jej to wydłużyć życie.

– O ile? – dopytywał tamten.

– Nie wiem. O dzień. W najlepszym razie tydzień.

– W takim razie po co?

– Nie rozumie pan? Dla tego wszystkiego, co się może wydarzyć między ludźmi. Po to, żeby dłużej była z rodziną. Z dziećmi i z panem. Dla tych słów, które możecie sobie powiedzieć. Po to to robimy!

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach i siedział bez ruchu. Gdy opuścił ręce, wyglądał już inaczej, spokojniej.

– Dziękuję panu – powiedział. – I przepraszam. Zróbcie wszystko, co w waszej mocy, żeby dożyła do jutra.

Lekarz poklepał go po ramieniu i odszedł.

– Dobrze się pani czuje? – Pielęgniarka stanęła nad Urszulą i uważnie jej się przyglądała.

– Tak, nic mi nie jest... – Wymusiła uśmiech. A potem wstała i weszła do sali, w której leżała jej córka. – Witaj, skarbie – powiedziała i pocałowała ją delikatnie w czoło.

Ida nie odpowiedziała. Leżała nieruchomo tak jak pięć minut wcześniej, wpatrzona w ścianę.

– Iduniu, popatrz na mnie – szepnęła. – Córeńko...

– Po co przyszłaś, mamó? – szepnęła dziewczyna. – Nie chcę, żebyś mnie oglądała w tym stanie.

– Nie wygaduj głupot.

– To nie głupoty, wszystko przemyślałam. Nie możesz się osłabiać moim widokiem, musisz być silna, dla Dziuni.

– Bądź spokojna, z Dziunią radzimy sobie oboje z Tomkiem wyśmienicie.

– To dobrze. – Zakaszłała brzydko, a Ulę przebiegł dreszcz. Boże, żeby tylko się nie pochorowała.

– Byłam w Paryżu – powiedziała.

– Wiem, Tomek mi mówił. Znalazłaś kuzynkę, która może będzie dawcą...

– To nie kuzynka.

– A kto?

– Moja siostra, a raczej: półsiostra.

Ida popatrzyła na matkę zdumiona.

– Nie miałam pojęcia, że masz siostrę.

– No widzisz – zaśmiała się Ula. – Ja też nie miałam pojęcia. Iwo mi powiedział.

– No i...?

– I co?

– Jaka jest?

– Macie podobne nosy – odparła wesoło Urszula.

– Doskonale! Może mamy w takim razie trochę wspólnych genów.

– Na to liczę.

– Opowiedz mi o niej, mamó. Co ci powiedział Iwo?

I Urszula opowiedziała kolejny raz całą historię. O Krakowie, wojnie, Adzie, Joasi i Wandzie. O niesprawiedliwości i odrzuceniu. O zdradach. I wiele innych rodzinnych sekretów. Ida milczała, ale Ula odniosła wrażenie, że się ożywiła. Że w jej oczach pojawił się dobrze znany płomyk, ten, który miała dawniej, zanim zachorowała.

– Mamó – powiedziała wreszcie. – Przecież to fantastyczne! Cały czas, odkąd tu leżę, zastanawiałam się nad sensem tego wszystkiego. Mojej choroby, cierpienia, tego, że być może będę się musiała zadowolić tym krótkim życiem...

– Błagam, nawet tak nie mów – jęknęła Urszula.

– Kiedy to właśnie jest sens! – mówiła Ida rozgorączkowana. – To wszystko, co się stało, nie rozumiesz?

– Nie rozumiem. Nie wiem, o czym mówisz.

– No jak to?! Przecież dzięki temu, że zachorowałam, zaczęłaś szukać. Z miłości poszłaś za głosem krwi. I znalazłaś siostrę. Sens tego wszystkiego może być więc taki, że po latach uda się odbudować zerwane więzi, odkupić winy. Może właśnie po to zachorowałam!

– Mówisz jak nie ty – zaśmiała się Urszula. – To do ciebie niepodobne.

– Mnie ta choroba zmienia – szepnęła Ida. – Nie wiem jeszcze, czy na lepsze, ale na pewno na inne. Wiele dostrzegłam.

– Co takiego?

– Miłość. Miłość to jest kosmiczny internet, mamó.

– Co ty mówisz, jaki znowu internet?

– No tak! Krystyna kochała Joasię i Wandę, babcia Wanda kochała ciebie, mnie, pewnie także kochała swoją siostrę, tak to czuję. W ich relacje wdarły się trudne emocje i wszystko się pomieszało. Ale miłość musi zwyciężyć, to ona woła, prosi o głos. To ona nas wszystkich uratuje!

– Niektórzy tę miłość nazywają Bogiem. – Urszula objęła córkę i przytuliła.

– Może, mamó – szepnęła Ida. – Może to właśnie jest Bóg.

Siedziały tak przytulone, aż pacjentka, zmęczona rozmową i emocjami, zasnęła. Urszula została z nią do późnego wieczoru, bo nie chciała wypuścić jej z ramion. Zdawało jej się, że łączy ją z córką cieniutka niteczka, od której zależy jej życie. I że jeśli się od Idy oddali, to nić pęknie.

„Nie możesz mi tego zrobić, Boże. Nie możesz tego zrobić Dziuni” – szeptała. Wreszcie pielęgniarka dała jej znak ręką, żeby już wyszła. Zresztą musiała iść do domu się przespać, ponieważ kolejnego dnia przylatywała Catherine. Wprawdzie wyników jej badań jeszcze nie było, ale ona uparła się, że chce przyjechać, poznać siostrzenicę i swoją wnuczkę – jak mówiła o Dziuni. „I chcę być dla ciebie

wsparciem – powiedziała Urszuli, gdy się rozstawały kilka dni wcześniej. – Chcę być prawdziwą siostrą”.

Wracała do domu metrem, jednak zamiast wysiąść w pobliżu domu, postanowiła kilka przystanków pokonać na piechotę. Szła, rozmyślając o swoim życiu. O dość samotnym dzieciństwie, o krótkim bardzo szczęśliwym małżeństwie i o macierzyństwie, które zawsze dawało jej mnóstwo radości. „Mam dobre, szczęśliwe życie – szepnęła do siebie i zdziwiła się, skąd nagle u niej taka refleksja, skoro dzieją się rzeczy przerażające, tragiczne. – A może właśnie dlatego poczułam własne szczęście, że jest zagrożone? – zastanawiała się. – Bo przecież ciągle jestem szczęśliwa! Cieszy mnie każda chwila spędzona u boku ukochanego, choć od lat go ze mną nie ma. Miłość do niego wcale nie traci intensywności! Jeśli to nie jest Bóg – to co jest Bogiem?!”. Przyszło jej też do głowy – choć akurat tę myśl natychmiast odsunęła od siebie – że gdyby Idy zabrakło, to miłość do niej również trwałaby całą wieczność. „Kosmiczny internet... czy nie tak to Ida nazwała? Ale jej nie zabraknie, to jest po prostu niemożliwe” – dodawała sobie otuchy. W głębi serca jakby słyszała czyjś głos, który powtarzał w kółko, jak mantrę: „Wszystko będzie dobrze, kochanie, wszystko będzie dobrze...”.

Tej nocy po raz pierwszy od wielu dni spała tak dobrze, że prawie zasnęła na lotnisko. Obudziło ją stukanie wron na parapecie. Od pewnego czasu, a ściśle rzecz biorąc – od narodzin Dziuni, dokarmiała ptaki. Wszystkie, nie tylko malutkie „grubelki” – jak mówiła o wszystkich wróblowatych jej wnuczka. Także te mniej wdzięczne: wrony, gawrony i sroki. One odwdzięczały jej się, stukając w parapet i dając znać, że doceniają jej starania. „Naprawdę domagają się żarcia” – zaśmiała się któregoś dnia Ida, widząc pewną wyjątkowo bezczelną wronę siwą, która waliła dziobem nawet nie w parapet, ale bezpośrednio w okno. Urszula uśmiechnęła się na to wspomnienie. Teraz wrony po prostu uratowały jej skórę: zaczęły walić w okno tak mocno, że się obudziła.

– Rany boskie! – krzyknęła, spoglądając na budzik. Samolot Catherine miał lądować za niecałych pięćdziesiąt minut, więc

pośpiesznie wciągnęła dzinsy i bluzkę z wielką plamą na froncie. – Niech to szlag... – dodała dla równowagi.

Jadąc taksówką, jeszcze raz pomyślała z wdzięcznością o ptakach. Kiedyś jakaś nawiedzona koleżanka z pracy opowiedziała jej, że ptaki to posłańcy naszych bliskich zmarłych: pojawiają się w różnych sytuacjach, gdy intensywnie o kimś myślimy albo gdy któraś z dusz pragnie, abyśmy o niej pomyśleli. Wtedy podśmiewała się z tej teorii, teraz jednak przyszło jej na myśl, że może coś w tym jest. Czy nie było tak, że w czasie pogrzebu jej matki, Wandy, nagle zupełnie znikąd pojawił się wielki gołąb? Leciał jakby prosto na żałobników, a potem dosłownie zawisł w powietrzu nad rozkopaną ziemią. Nie tylko ona to zauważyła. Iwo też zwrócił na niego uwagę. Cóż, przypadek. Tylko że ona jakby usłyszała wewnętrznym uchem głos matki mówiący: „Ach, córeczko, jest tak fantastycznie! Tak fantastycznie!”. Wtedy zgaśniła się za przesadnie wybujałą wyobraźnię. Jednak podczas ostatniej wizyty u Iwona w Tyńcu dowiedziała się, że jemu z kolei zaraz po pogrzebie przyśniła się siostra. Siedziała na parapecie i machała nogami – choć taka nonszalanca była do niej zupełnie niepodobna. Iwo zapytał ją, co robi. A ona wtedy mu powiedziała: „Braciszku, nawet nie wiesz, jak jest fantastycznie!”. A potem przemieniła się w gołębia i odleciała. „Jak w jakiejś bajce” – zakończył swoją opowieść stary zakonnik.

Jednak na co dzień Wanda nie używała tego słowa. Być może wypowiedziała je dwa, trzy razy w życiu. Pomijając to, że rzadko się entuzjazmowała, po prostu nie było to słowo z jej rejestru.

„Być może coś jest w tych opowieściach o ptakach i duchach” – myślała Urszula, wbiegając do hali przylotów. Samolot wylądował pięć minut wcześniej, więc spodziewała się, że lada moment ujrzy Catherine. Faktycznie nie kazała na siebie długo czekać. Siostry padły sobie w ramiona.

– To niezwykle – powiedziała córka Joanny – że od razu stałaś mi się tak bliska. Zupełnie jakbyśmy od zawsze się znały, miały jakąś własną przeszłość.

– Bo i mamy – stwierdziła z uśmiechem Urszula.

– Mam nadzieję, że nie tylko przeszłość, ale też przyszłość. – Catherine podała siostrze niewielką paczuszkę.

– Co to jest? – zapytała Ula.

– To prezent powitalny. Makaroniki z mojej piekarni. Nie miałam czasu na zakupy, w ostatniej chwili złapałam to w rękę.

– Dziunia będzie zachwycona!

– A nie, dla małej Wandzi mam coś specjalnego. Mebelki do jej domku dla lalek! – Catherine poklepała walizkę.

Urszula chciała powiedzieć, że liczy na to, że i dla niej „Kaśka” będzie mieć coś specjalnego – na przykład dobre wieści, ale ugryzła się w język. Przecież gdyby je miała, nie zawracałyby jej głowy ciastkami.

Jechały do domu w milczeniu, bo Catherine z wielką intensywnością przyglądała się mijanym ulicom.

– Musi być coś takiego jak pamięć genetyczna – powiedziała wreszcie. – Wydaje mi się, że byłam tu, że znam te wszystkie miejsca, budynki. Jakbym po długiej podróży wracała do domu. Chciałabym zobaczyć wszystkie te miejsca, w których Wanda i Joanna bywały jako dziewczyny.

– No jasne, pójdziemy razem na spacer, oprowadzę cię po ich Warszawie. Obejdziemy całe Bielany, wybierzemy się na Starówkę i na uniwersytet...

– Czy cukiernia, w której pracowała Krystyna, jeszcze istnieje?

– Oczywiście! W połowie lat siedemdziesiątych sprzedała ją, potem właściciel zmieniał się jeszcze kilka razy, ale miejsce ciągle funkcjonuje. I powiem ci, że można tam kupić doskonałe wuzetki...

– Co to takiego: wuzetka? – zacięła się Catherine.

– Takie ciastko z czekoladą i bitą śmietaną.

– Brzmi bardzo dobrze!

– W takim razie od tego zaczniemy. Pójdziemy zostawić twoją walizkę, zjemy supę ogórkową, którą dla nas ugotowałam, a na deser wybierzemy się na Żoliborz, do kawiarni Krystyny.

– A może najpierw pojedziemy do Idy, do szpitala?

Urszula westchnęła. Tomasz dzwonił ze szpitala, że Ida jest w złej formie i żeby raczej nie męczyć jej dziś wizytą. Po raz drugi Urszula chciała spytać o wyniki badań – Catherine oddała krew w Paryżu. Ale się nie odważyła.

Kawiarnia, do której zaprowadziła półsiostrę, znajdowała się na parterze przedwojennej kamienicy. Urszula była w niej dosłownie kilka razy w życiu – Wanda starannie unikała wszelkich wspomnień, więc o tym, że miejsce to wciąż istnieje, powiedziała córce właściwie przypadkiem i nigdy nie chciała się tam wybrać. Dopiero po jej śmierci Ula zaprowadziła do niej Idę i Tomka z okazji jakichś imienin. Okazało się, że miejsce jest bardzo przyjazne, przytulne i sympatyczne. Wróciła tam jeszcze dwu- czy trzykrotnie – za każdym razem na wuzetkę. Wiedziała, że babka słynęła z pysznych wuzetek. I teraz też postanowiła uraczyć odnalezioną siostrę właśnie tym ciastkiem.

O tej porze w kawiarni nikogo nie było. Sprzedawczyni – młoda dziewczyna z kolczykiem w nosie – wręcz ucieszyła się na ich widok.

– Poprosimy dwie wuzetki – powiedziała Ula.

– Bardzo dobry wybór – oświadczyła panna z kolczykiem – nasza kawiarnia robi najlepsze wuzetki od wielu lat!

– Coś o tym wiem – szepnęła Urszula tajemniczo. Nie zamierzała rozwijać tematu, jednak jej siostra nie była tak powściągliwa.

– Nasza babka założyła tę kawiarnię – oświadczyła bez ogródek.

– Nie! To niemożliwe! – Sprzedawczyni była autentycznie poruszona. – To fantastyczne! Mamo! – zawołała, odwracając się w stronę zaplecza. – Chodź tu natychmiast!

I po sekundzie z tylnej części lokalu wyszła kobieta – najwyraźniej matka – podobna do córki jak dwie krople wody. Miała nawet kolczyk w nosie, tylko nie pośrodku, ale w skrzydełku.

– Te panie są wnuczkami założycielki naszej kawiarni – powiedziała uradowana sprzedawczyni.

Właścicielka była wniebowzięta. Opowiedziała zdumionym siostrom o przepisie na wuzetkę, który został przekazany przez Krystynę wraz z cukiernią. I o tym, że jeszcze kilka lat wcześniej przychodzili tu w niedzielę na ciastko i kawę najwierniejsi, najstarsi klienci.

– Coś podobnego! Jaka szkoda, że wcześniej tego nie wiedziałam – zmartwiła się Urszula.



– Mam coś dla pań – powiedziała podekscytowana właścicielka i na moment zniknęła na zapleczu. Wróciła ze starą fotografią. Widniała na niej Krystyna w białym fartuchu, z półmiskiem, na którym piętrzyły się wuzetki.

– Coś pięknego! – Catherine klasnęła w dłonie. – Co za wspaniała pamiątka, ja...

Nie dokończyła jednak, bo w tej chwili zadzwoniła jej komórka w torebce. Odebrała i natychmiast zmieniła się na twarzy. Urszula popatrzyła na nią przestraszona. Nie rozumiała zbyt wiele, jednak z krótkich, urywanych zdań wypowiedzianych po francusku wywnioskowała, że rozmowa dotyczy zgodności tkankowej. Poczula, że robi jej się słabo, więc przysiadła na krześle i starała się uspokoić serce. Nagle każda sekunda zaczęła się ciągnąć w nieskończoność. Catherine rozmawiała zaledwie minutę, może nawet nie tyle, a Uli wydawało się, że trwa to wieki. „Boże, błagam, niech to będzie ta wiadomość, na którą czekam” – modliła się w duchu, próbując wywnioskować cokolwiek z wyrazu twarzy siostry. Jednak ta pozostawała nieruchoma – „kamienna twarz Bustera Keatona”, jak mawiała Ida. Gdy się rozłączyła, Urszula wbiła w nią przerażone spojrzenie. Jej siostra miała oczy pełne łez.

– Ula... – szepnęła drżącym od emocji głosem – ja... ja...

– No co „ty”?! Mów wreszcie! – nie wytrzymała i krzyknęła.

– Cud! Stał się cud! Mogę być dawcą szpiku dla Idy. Jest zgodność – wykrztusiła Catherine i wybuchła płaczem.

Po sekundzie szlochały obie, a chwilę później dołączyła do nich właścicielka kawiarni, której między jednym chlipnięciem a drugim wyjaśniły powód tych emocji.

– Musimy pojechać do Idy, nawet jeśli prosiła, żeby jej dziś nie odwiedzać – oświadczyła Urszula. – Ta wiadomość na pewno doda jej sił.

Miała nadzieję, że tak będzie. Przez ostatnich kilka godzin udawało jej się nie myśleć o tym, jak słabo i mizernie wyglądała poprzedniego dnia jej córka.

Gdy dojechały do szpitala, było już późne popołudnie. Tym bardziej Urszula zdziwiła się i zaniepokoiła na widok Dziuni

grzecznie siedzącej na krześle przed izolatką, w której leżała jej mama.

– Wandeczko kochana – zawołała – a co ty tutaj robisz? Myślałam, że jesteś u drugiej babci!

– Byłam – odpowiedziała rezolutnie dziewczynka – ale bardzo tęskniłam za mamą.

Urszula przygryzła wargi. Od razu zebrało jej się na płacz. Na szczęście przyszła jej z pomocą Catherine.

– Witaj, żabko – powiedziała, kucając przy krześle Dziuni – nie znasz mnie, ale ja znam ciebie. Jestem twoją ciocibabcią. Na co dzień mieszkam w Paryżu...

– Wiem – powiedziała poważnie dziewczynka. – Mama mi powiedziała, że przyjechałaś.

– Naprawdę? – ucieszyła się Catherine.

– Naprawdę. I powiedziała, że uratujesz jej życie.

Urszula zamarła. Starali się chronić dziewczynkę przed wszystkimi trudnymi informacjami.

– A kto ci to powiedział, Dziunieczko? – zdumiała się.

– Słyszałam, jak tata rozmawiał z mamą – wydukało dziecko. A potem buzia wygięła jej się w podkówkę. – Nie chcę, żeby mama umarła – wyszeptwała.

– Co za nonsens, nie ma mowy o umieraniu, skarbie. – Catherine podniosła małą z krzesła i przytuliła. – Przecież sama powiedziałaś, że przyjechałam, żeby uratować mamie życie. I tak się stanie. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze!

– Jeśli uratujesz moją mamę, to będę cię kochać tak mocno jak stąd do księżycy – powiedziała poważnie Dziunia i objęła ciocibabcię za szyję.

Tego twarda Catherine nie była już w stanie wytrzymać i po raz kolejny tego dnia się rozpląkała.

– Nawet nie wiesz, malutka, jak bardzo marzyłam o tym, żeby kochał mnie ktoś taki jak ty – wyszeptwała.

\*\*\*

– Wygląda jak wielki statek! – zaśmiała się Catherine.

Stały właśnie z Ulą przed budynkiem Instytutu Hematologii. Były umówione z doktorem Biało-brzeskim na rozmowę o pobraniu szpiku.

– Dokładnie tak samo pomyślałam, Kaśka! – Ula z radości klepnęła siostrę w plecy. Jak zwykle poczuła, że tamta na moment się spięła. Jeszcze się nie przyzwyczała do takiej obcesowej czułości. Ale już po ułamku sekundy rozluźniła się i... oddała klepięcie.

– Ta sama krew jednak, co? – zachichotała.

Uli zrobiło się nagle bardzo wesoło, a jednocześnie pomyślała, że gdzieś już to słyszała, to o krwi, a może coś podobnego, ale natychmiast wyrzuciła tę myśl z głowy, bo oto wchodziły już do tego gmaszyska i kierowały się w stronę wind.

Doktor Biało-brzeski już na nie czekał.

– A więc to pani, nasz cudem wynaleziony we Francji dawca! – Otworzył szeroko ramiona. – Swoją drogą, pani Urszulo, nie mówiła pani, że ma siostrę...

– Faktycznie nie mówiłam, ale to temat na dłuższą rozmowę, panie doktorze, a że mamy bardziej naglące sprawy...

– Oczywiście. Jak pani wie, skomplikowane sprawy rodzinne niezwykle mnie zajmują. Zapraszam do gabinetu. – Wskazał im drzwi w korytarzu po lewej stronie.

Weszły, usiadły, Biało-brzeski umościł się w fotelu.

– Słyszałam dawno temu we Francji, że ta procedura wymaga znieczulenia ogólnego i chciałam zapytać... – zaczęła Catherine.

– Bzdura! Nic podobnego! Czegóż to ci Francuzi nie wymyślą... – Biało-brzeski zamachał gwałtownie rękami. – O, pardon, madame, nie chciałem pani urazić, tak płynnie mówi pani po polsku, że byłem przekonany, że jest pani moją rodaczką. W każdym razie żadnego znieczulenia nie będzie, bo nie pobierzemy pani materiału z talerza biodrowego. To starsza metoda, teraz stosowana rzadko. Potrafimy lekami tak zmobilizować szpik dawcy, żeby wyprodukował jak najwięcej młodych komórek szpiku, tak zwanych komórek macierzystych krwiotworzenia, które wyrzucane są w dużej ilości do krwi obwodowej i które możemy z niej wyłapać specjalnym

aparatem – do cytoaferezy. Te właśnie komórki macierzyste, pobrane z pani krwi, odpowiednio przygotowane, zasiedlą „pusty” szpik Idy. Właśnie dlatego Ida dostanie wyjątkową toksyczną chemioterapię, żeby zupełnie zniszczyć jej szpik, potencjalnie razem z „pojedynczymi” komórkami białaczki, i przygotować ją na przyjęcie nowego, zdrowego szpiku od pani. W każdym razie, wracając do pani szlachetnej osoby, pobierzemy od pani komórki z krwi obwodowej. – Biało-brzeski wygłosił to jak kazanie, a potem zadowolony z siebie zaplótł ręce na brzuchu.

– Ale... co to właściwie znaczy, że pobiorą państwo materiał z krwi obwodowej? Jak to będzie wyglądało w praktyce? – zapytała Urszula. Jej zdaniem ten człowiek miał denerwującą skłonność do odpływania od głównego wątku rozmowy. Dziwne jak na lekarza.

– Ach, no tak. No w praktyce będzie to, niestety, wyglądało bardzo banalnie – westchnął Biało-brzeski, jakby przepadał za skomplikowanymi procedurami medycznymi, a jakikolwiek zabieg, który odbywałby się w warunkach odbiegających nieco od tych panujących w kwaterze głównej NASA, uważał za zbędny. – Po prostu usiądzie sobie pani w foteliku, w jednym ręku będzie pani miała rurkę, przez którą pobierzemy krew, ona przepłynie do aparatu do cytoaferezy, w którym wyizolowane zostaną komórki macierzyste, drugim drenem krew wróci do pani, już bez tych komórek. Pani organizm zregeneruje się w ciągu kilku dni. Całość potrwa... jakieś trzy godziny, może cztery. Aha, ważna sprawa: przez pięć dni przed zabiegiem będzie pani dostawała specjalny lek, o którym wcześniej wspominałem, coś w rodzaju hormonu wzrostu dla komórek szpiku. Chodzi o to, żeby zmobilizować pani szpik do produkcji większej ilości komórek macierzystych krwi, które są wykorzystywane do przeszczepu. No i wszystko. Proste, prawda?

Ula i Catherine spojrzały po sobie. Wcale nie wydawało im się to proste, raczej miały poczucie, że w tym niewielkim gabinecie zawalonym papierami i starymi numerami pisma „Lancet” rozmawiają o... cudzie.

– To co, zaczynamy dzisiaj? Pierwszy zastrzyk. Poproszę pielęgniarkę, żeby się panią zajęła. I widzimy się za pięć dni. Tylko już się pani nie może rozmyślić, rozumie to pani? Dla tej

dziewczyny na tym etapie to by oznaczało śmierć... Widzi pani, w dniu zabiegu ona będzie bezbronna, jej organizm będzie kompletnie wyjąłowany po chemioterapii, tylko tak może przyjąć pani komórki. Jest pani pewna swojej decyzji?

– Na dwieście procent, doktorze! – powiedziała Catherine i rąbnęła pięścią w stół.

Ula i Białobrzęski popatrzyli na nią w osłupieniu.

– Ups. Przepraszam. Myślałam, że w Polsce emocje przekazują się tak... teatralnie, demonstracyjnie – powiedziała lekko skonfundowana.

– Niektóre, niektóre. Ale rozumiem panią, ja też jestem miłośnikiem teatralnych emocji. Może pani chce w trakcie oddawania szpiku pooglądać Dzikie serce? To jeden z moich ulubionych seriali, meksykański wprawdzie, a ja wolę brazylijskie, ale...

Pełna powątpiewania mina Catherine szybko jednak uświadomiła mu, że nie znajdzie w niej współniczki do ronienia łez nad losem rozmaitych Esmerald, Isaur i Eduardów.

\*\*\*

Żałowała, że nie pozwolili im jej zobaczyć, choćby przez szybę. Catherine знаła Idę z opowieści jej matki, ze zdjęć i trochę dzięki małej Wandzi. Nie mogła się już doczekać, żeby uściskać tę dzielną dziewczynę, swoją siostrzenicę. Jednak Ida przebywała teraz w izolatce, na specjalnym zamkniętym oddziale strzeżonym jak tajna baza CIA. Przeszła już chemioterapię wysokodawkową. Musiała otrzymywać profilaktycznie antybiotyki, leki przeciwwirusowe i przeciwgrzybicze, bo nawet jej własne, przyjazne dotychczas bakterie, choćby te mieszkające w przewodzie pokarmowym, mogły okazać się śmiertelnie groźne, jeśli dostałyby się do krwi przez uszkodzoną śluzówkę. Jej organizm był całkiem bezbronny, nie umiałby walczyć z najdrobniejszą nawet infekcją. Dlatego dostęp do pacjentów przygotowywanych do przeszczepu był tak ograniczony. Nie mogli oni mieć kontaktu ze światem

zewnątrznym. Musieli czekać na przeszczep i liczyć na to, że cudze komórki krwiotwórcze wykażą się walecznością, a jednocześnie poczują się w ich organizmach jak w domu.

– To dziś, prawda? Wielkie święto. Dzisiaj zostanie pani bohaterką! – Młoda lekarka, która miała przeprowadzać zabieg, uśmiechnęła się do Catherine. Chociaż był on prosty, należało zachować najwyższe środki ostrożności.

Wkłucia nie bolały. Catherine zresztą nigdy nie bała się zastrzyków. Spokojnie patrzyła, jak dren z bezbarwnego zamienia się w czerwony, jak z jej ciała odpływa krew – aby po chwili do niego wrócić. Wyglądała tak samo, ale nie była taka sama. To, co najcenniejsze, zostało starannie wyselekcjonowane, to był jej dar – dla Idy.

Początkowo Catherine myślała, że będzie czytać, ale zrezygnowała. Oparła się na fotelu, wygodnym, rozkładanym prawie do pozycji leżącej, i zapadła w rodzaj półsnu. Przypomniała jej się twarz matki, a na to nałożyła się twarz Wandy i potem Uli. I z pomieszania tych wszystkich twarzy wyłoniło się oblicze jej babki, Krystyny. Dopiero teraz Catherine zauważyła, że one wszystkie mają ten sam uśmiech – chociaż, do licha, skąd uśmiech Krystyny mógł się wziąć u jej matki, przecież one nie były ze sobą spokrewnione? Widać mimikę twarzy nie tylko dziedziczymy, lecz także się jej uczymy – od kochanych osób.

Potem uświadomiła sobie, że od kolejnego dnia – przeszczep miał się odbyć nazajutrz – będzie ją jeszcze więcej łączyło z Idą niż do tej pory. Dziewczyna będzie nie tylko jej siostrzenicą. Będzie tak, jakby Catherine miała córkę. Jej szpik odrodzi się w ciele Idy, odtąd będą miały tę samą grupę krwi. Uśmiechnęła się do tej myśli. Nigdy nie było jej pisane dać życie dziecku. Ale może podarować drugie życie córce swojej siostry. Czy to nie wspaniałe? Może tak właśnie miało być...

Aparat szumiał uspokajająco, w sali panowała oprócz tego cisza, lekarka tylko od czasu do czasu sprawdzała, czy maszyna dobrze działa, czy przepływ przez dreny nie jest utrudniony. Catherine zasnęła, tym razem mocno.

Obudził ją dotyk czyjejś dłoni.

– Proszę pani? Już po wszystkim. – Lekarka uśmiechała się serdecznie. – Wyjmę dreny, założę pani opatrunki, wieczorem proszę je zdjąć. Może pani iść do domu.

Dziwnie się czuła, gdy wychodziła z instytutu. Jakby w ciągu tych kilku godzin czegoś jej nie ubyło, przeciwnie – jakby zyskała coś cennego. Zamierzała wziąć taksówkę, ale gdy stała na schodach, zobaczyła na podjeździe Ulę machającą do niej z samochodu. Nie wiedziała, że Ula umie prowadzić!

– To auto zięcia. Siedzi w biurze, dużo pracuje, a chciał, żebyś miała komfort po zabiegu. Cholera, jak się stąd wyjeżdża? Hm, dziwne, chyba ta uliczka jest jednokierunkowa...

Udało im się jednak jakoś wydostać na szeroką arterię. Ula, zdaniem Catherine, była fatalnym kierowcą. Na miejscu zięcia nie pożyczalaby jej samochodu.

– Umiesz dojechać do mojego hotelu? – zapytała bez wielkich nadziei na twierdzącą odpowiedź.

– Do hotelu? Skąd, jedziesz do mnie, na Bielany! – zachnęła się Ula.

– To bliżej? – zapytała Catherine z nadzieją w głosie.

– A nie, dalej! Nie martw się, zaraz wjedziemy na trasę szybkiego ruchu i tak dojedziemy prawie pod mój dom. Jeśli nie ma świateł i nie muszę hamować i ruszać, radzę sobie całkiem nieźle! – Urszula się roześmiała, gdy zobaczyła przerażenie w oczach siostry.

Faktycznie, szeroką, kilkupasmową drogą szybko dojechały na miejsce. Gdy szły z parkingu, Catherine w pewnym momencie się zatrzymała. A więc tu się to wszystko rozgrywało! To te słynne Bielany, gdzie mieszkała Krystyna z dziewczynkami w czasie wojny. I zaraz pójdą do mieszkania, w którym to się stało. Wszystko. Miłość, zdrada...

– Kaśka? Źle się poczułaś? – Ula podbiegła do niej, chwyciła ją mocno za ramię.

– Nie, ja tylko... Ulu, uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie w tym mieszkaniu, twoim mieszkaniu, zostałam poczęta... – szepnęła.

Zapadła chwila ciszy.

– A wiesz, Kaśka, że ja też? To znaczy ja na pewno. Patrz, jak plotą się te nasze życia, razem od samego początku, a potem tyle lat rozłąki...

– Tym więcej mamy do nadrobienia. Już się cieszę – uśmiechnęła się Catherine. – A tak w ogóle to czemu idziemy do ciebie?

– Do nas, Kasiu droga. To nasz wspólny dom. A idziemy tam, bo chyba nie sądzisz, że po zabiegu w szpitalu pozwolę ci się odkarmić na mieście! Nie, przygotowałam dla ciebie pyszny krwiotwórczy obiadek. Pieczona gęś dochodzi w piekarniku, ziemniaczki z rozmarynem i czyś ty kiedy jadła modrą kapustę z winem?

– Modrą?

– Czyli nie. Oj, dziewczyno, to jeszcze wiele przed tobą! Jestem mistrzynią pieczenia gęsi i gotowania modrej kapusty, mam to chyba we krwi...

– No co ty? To może i ja to mam we krwi? – zaśmiała się Catherine.

Stały przed bramą kamienicy. Uniosła głowę do góry. Szary, niezbyt ładny budynek. A jednak Catherine czuła, że z tym miejscem jest związana nie tylko jej przeszłość, lecz także przyszłość.

I coś jej mówiło, że będzie to dobra przyszłość.

\*\*\*

Nie miała już nawet siły podchodzić do okna. Często bywała na oddziale, często czuła się źle – ale jeszcze nigdy aż tak.

„To szczególnie niebezpieczny okres. Ryzyko infekcji jest duże, możliwe, że po fazie przygotowania do przeszczepu parametry pani własnej krwi w morfologii obniżą się tak bardzo, że konieczne będzie przetaczanie preparatów krwi. Agresywna radioterapia zniszczy nie tylko chore krwinki, zniszczy prawie wszystko, co leki spotkają na swojej drodze, także krwinki czerwone transportujące tlen do ważnych organów” – przypomniała sobie słowa doktora Białobrzeskiego.

I tak się właśnie stało. Ida miała poczucie, że umiera.



Najbardziej doskwierała jej samotność. Nie było możliwości, żeby Dziunia przyszła na oddział, zresztą Ida nie chciała, żeby dziewczynka widziała matkę w takim stanie. A jej własna mama... Ida doskonale zdawała sobie sprawę, że teraz Ula ma ważną misję: musi opiekować się Catherine, przecież Catherine była kluczem do życia i zdrowia Idy, była wybawieniem dla całej ich rodziny. Cennym skarbem!

No i była zaginioną siostrą mamy! Ida jak nikt rozumiała, jak to jest: tęsknić za rodzeństwem. Cieszyła się więc z odnalezienia Catherine, a jednocześnie trochę swojej mamie zazdrościła... Ona, Ida, wiele w ostatnim czasie straciła. Jej matka – zyskała. Siostrę, wiedzę o swoim ojcu, o swojej ciotce, możliwość zrozumienia własnej matki, czyli babki Idy.

„Nie, nie wolno mi tak myśleć. Mama jest bohaterką. Zajmuje się Dziunią, wspiera nas i przecież jak nikt przejmuje się moją sytuacją. Serce by jej pękło, gdybym... Ale nie, wszystko będzie dobrze. Jest oczywiście ryzyko komplikacji, ale przecież większości pacjentów się udaje. To moja jedyna szansa...” – myślała Ida.

Potem przysnęła na chwilę. Obudziła się. Widziała ze swojego łóżka okno i skrawek nieba – wydawało się zachmurzone, gniewne, może nawet burzowe. Czy pada deszcz? Nic nie słychać, aparatura szumi, przez szczelne szyby nie dochodzą z zewnątrz żadne dźwięki. Przez chwilę miała ochotę podejść do okna i sprawdzić, jaka jest pogoda. Nawet lekko uniosła się na łokciach, ale natychmiast jej ciało wysłało do mózgu sygnał: „Nie!”. Opadła na prześcieradło. Wydawało jej się, że podjęła jakiś gigantyczny wysiłek – w rzeczywistości uniosła się ledwie kilka centymetrów nad prześcieradłem.

Znowu zasnęła. Gdy się obudziła, było już ciemno, na korytarzu paliły się jarzeniówki. Pielęgniarka, w maseczce i rękawiczkach, przyniosła kroplówkę. Chyba uśmiechnęła się do Idy, można to było próbować wyczytać z układu zmarszczek koło oczu. Ale samego uśmiechu nie było oczywiście widać. Idę otaczały stworzenia bez twarzy, tylko z oczami wystającymi nad białymi, zielonymi i niebieskimi maseczkami, zależnie od tego, kto przychodził. Jedyne

istoty przypominające ludzi widywała od kilku dni przez przeszkloną ścianę oddzielającą jej izolatkę od korytarza.

Oto minął kolejny dzień nieznośnego czekania.

Straciła rachubę czasu, leżała jak w malinie. Niekiedy za oknem było słońce, czasem biel, jak mgła. Raz widziała, jak wiatr rzucił o szybę dużymi kroplami deszczu – ocknęła się, jakby realny świat, ten zewnętrzny, wtargnął do jej bezpiecznej, aseptycznej bańki.

– To dziś, pani Ido. Wielki dzień – powitała ją któregoś z kolejnych dni pielęgniarka.

Nie zrozumiała. Tamta musiała powtórzyć. I dopiero wtedy do Idy dotarło, że stało się, dopełniło się. Dziś otrzyma przeszczep.

Wiedziała, jaka jest procedura, a mimo to zaskoczyła ją banalność tej sceny. Nie było fanfar, szpaleru lekarzy wpatrujących się z napięciem w monitory. To wyglądało jak zwyczajna kroplówka. Patrzyła, jak płyn – nie wyglądał wcale jak krew – wpływa w nią, w jej ciało. Dar życia...

„Jakie to dziwne. Krew krąży w naszej rodzinie w obiegu zamkniętym. Może ja to skończę? Może dar Catherine to skończy? Pradziadek popełnił błąd: oszukiwał prababcię i prowadził podwójne życie. Zapłaciliśmy za to wszyscy. Dziadek popełnił błąd, bo zdradził Joasię z moją babką. I znów wszyscy, a raczej wszystkie za to zapłaciłyśmy. Nigdy więcej żadnych sekretów, szeptów za plecami, podwójnych standardów i podwójnego życia. Nie tak powinna wyglądać rodzina...” – pomyślała.

Procedura nie trwała nawet godziny. Gdy Idę odłączono od kroplówki, do izolatki wszedł doktor Białobrzęski. Oczy mu się zwięziły, naokoło nich rozłożyły wachlarze zmarszczek: znak, że lekarz się uśmiechał.

– Jak się pani czuje, pani Ido? Wiem, głupie pytanie, czuje się pani beznadziejnie. Nie mam dla pani dobrych wieści, bo przez najbliższych kilka tygodni tak się pani, niestety, będzie czuła. Proszę przygotować się na bóle kości i stawów, zapalenie błony śluzowej żołądka, które też nie należy do przyjemnych. To wszystko normalne, tak musi być. Będziemy codziennie monitorować pani stan, ja też codziennie będę do pani przychodził. Uszy do góry. Teraz mamy już z górki. Będzie pani żyła, może mnie pani trzymać

za słowo. – Znow uśmiech, domniemany, nad maseczką. Biało-brzeski uklonił się niezgrabnie i wyszedł.

Została sama.

Ale momentalnie poczuła, że nie jest sama. Była z nią część jej ciotki, Catherine, jej poświęcenie i miłość. Była z nią trudna, złożona historia jej rodziny: dzieje namiętności, nienawiści, zdrady. Zabrakło jednego: wybaczenia. Ale był jeszcze czas, karty zostały odkryte. Można było naprawić stare błędy, zadośćuczynić krzywdom. Pierwszy krok został przecież zrobiony...

Pokrzepiona tą myślą zasnęła. I po raz pierwszy od wielu dni nie był to sen czarny, jak w gorączce, ale dobry, jasny, choć nie pamiętała go po przebudzeniu.

Obudziła się następnego dnia rano i od razu poczuła, że jest jej lepiej. Oczywiście miała świadomość, że wyniki badania krwi nie mogą tego potwierdzić: było za wcześnie. Mimo to Ida nabrała przekonania, że z tego wyjdzie. Ta myśl ją uskrzydliła. Zamachała do doktora Biało-brzeskiego idącego korytarzem – zdziwił się, ale odmachał i uśmiechnął. I tym razem zobaczyła ten uśmiech, więc... też się rozpromieniła. Pokazał jej kciuk uniesiony do góry. Dobra robota!

Ucieszona zebrała w sobie siły i wstała z łóżka. Zrobiła kilka chwiejnych kroków – dziwnie jej było iść – w stronę okna. I zobaczyła je: jasne błękitne niebo, słońce, korony drzew w oddali. Świat był tam, czekał.

Wróciła do ciepłej jeszcze pościeli prawie zdyszana, taki to był dla niej wysiłek. „Nic dziwnego! Wracam z wyprawy prawie na drugą stronę, a to była daleka droga...” – pomyślała.

Ten dzień różnił się od poprzednich czymś jeszcze. Po południu przed przeszkloną ścianą, na korytarzu, pojawiły się dwie osoby w kitlach. Matka zamachała do niej: ku zaskoczeniu Ida zobaczyła, że Ula zmieniła fryzurę – nie ufarbowała włosów, ale podcięła je na modnego boba. Wyglądała młodo i promiennie. Obok niej stała druga kobieta o rudych kędziorach – od razu po wyrazie twarzy, oczu można było zobaczyć, że łączą je więzy krwi. Ida poczuła, że ma łzy w oczach. Patrzyła prosto na Catherine. A potem podniosła się na łokciach, wstała – o dziwo, przyszło jej to o wiele łatwiej!

I ruszyła w stronę szyby. Widziała, że jej mama płacze ze szczęścia. Ale jak zahipnotyzowana wpatrywała się w oczy Catherine. Gdy stanęła przy samej szybie, oparła na niej dłonie. Po chwili ciotka powtórzyła ten gest z drugiej strony. I może Idzie się tylko tak zdawało, że szyba z zimnej zamieniła się w ciepłą, jakby rozgrzała się pod tym dotykiem? Stały tak połączone, jakby nie było tej szklanej przeszkody, i patrzyły sobie w oczy. Obie tak samo wzruszone, przejęte i... chyba tak samo szczęśliwe.

Ida nie była pewna, czy uda jej się przerwać ten kontakt, ale na szczęście na korytarzu pojawiła się kolejna postać, doktor Biało-brzeski, który bezceremonialnie wpakował się do pokoju.

– No, pani Ido. Nie jestem w stanie pani powiedzieć, na czym opieram swoje przekonanie, ale jakoś jestem pewien, że najdalej za dwa tygodnie zobaczymy zmianę w wynikach pani badań krwi. U pacjentów, u których przeszczep się przyjmuje, poprawa następuje gwałtownie, szybko. Krwinki ruszają do pracy, z kopyta. Myślę, że... tak, na początku kolejnego miesiąca może się pani spodziewać wypisu. A na razie proszę być dobrej myśli, afirmować się, patrzeć na drzewa. Pani wie, że to pomaga? I żadnych wielkich wzruszeń, dobrze? – dodał na końcu, zerkając na zapłakane kobiety przed szybą.

One jak na komendę zamachały do Idy na pożegnanie i odeszły. Zrobiło jej się żal. „Ale przecież mamy jeszcze czas! Dużo czasu!” – pomyślała.

– Panie doktorze, czy myśli pan... że pomogłoby mi, gdybym mogła przez szybę zobaczyć córeczkę? – zapytała bez wielkich nadziei, no bo przecież „żadnych wzruszeń”.

– Bezapelacyjnie – odpowiedział ku jej zaskoczeniu Biało-brzeski.  
– Porozmawiam z pani matką, żeby to zorganizować, może za dwa dni? Wygląda pani znacznie lepiej niż chociażby wczoraj, a pojutrze to już w ogóle będzie pani mogła startować w konkursie na miss instytutu.

Zaśmiała się. To oczywiście nie była prawda, ale... ku jej zdumieniu komplement sprawił jej przyjemność. „W końcu jestem kobietą! Znowu!” – bardzo się ucieszyła. Kolejny dowód na to, że

wraca do świata żywych, z piekła chorych, którzy nie mają płci, przyszłości, marzeń i nadziei.

– To by było cudownie, panie doktorze. I... ogromnie, przeogromnie panu dziękuję. Zdaję sobie sprawę, że gdyby nie pan i to, jak walczył pan o moje zdrowie, pewnie już by mnie tu nie było – szepnęła.

– Och, wie pani, płacą mi za to. A tak serio: to mój obowiązek. Natomiast walczą o panią w tej chwili już krwinki pani ciotki. To znaczy w tej chwili, mam nadzieję, to są pani krwinki. Proszę o nie dbać, taki dar to wielka odpowiedzialność. Ale myślę sobie, że pani go na pewno nie zmarnuje, jak panią znam.

– Nie zmarnuję. I wszystkich będę namawiała, żeby się zarejestrowali w bazie dawców.

– O! I mnie to, pani Ido, wystarczy. No, lecę do innych pacjentów. Dziś kolejny przeszczep. Nie wiem, który już w moim życiu, ale zawsze się tak samo denerwuję jak dziewczyna przed balem maturalnym. – Uśmiechnął się samymi oczami i wyszedł.

Ida doskonale go rozumiała. I pomyślała, że Biało-brzeski to musi być nie tylko świetny lekarz, lecz także wyjątkowy człowiek. Skoro nie spowszedniał mu cud, który tu, na tym oddziale, dokonywał się każdego dnia.

Warszawa, 2019

– Czuję się jak w domu, w Paryżu! – ucieszyła się Catherine, gdy przekraczały bramę cmentarza.

Ula się uśmiechnęła. Doskonale rozumiała, co siostra miała na myśli: atmosfera na Père-Lachaise była bardzo podobna do tej, która panowała na katolickich Powązkach. A może wszystkie stare cmentarze są do siebie podobne? Drzewa, chylące się nagrobki, kamienne anioły, a w tym świecie spokoju i kamienia – nieliczni ludzie, raczej starsi, zamyśleni. Różnica była taka, że tu na wielu grobach paliły się światełka, we Francji raczej nieużywane.

Mogila znajdowała się w bocznej alejce, osłonięta dodatkowo przed światem rozłożystym zimozielonym cyprysikiem groszkowym w kolorze niebieskim. Na granitowej tablicy wyryto tylko dwa nazwiska: Krystyny i jej córki, Wandy.

– Jeszcze cię o to nie spytałam, ale... czy kiedykolwiek dowiedziałyście się, mama lub ty, co tak naprawdę stało się z Adą? – zapytała Ula.

– Tak – westchnęła Catherine. – Choć mama początkowo nie była bardzo chętna, żeby to sprawdzać. Myślę, że trochę wyparła fakt, że to Ada była jej matką, to Krystynę traktowała przecież jak matkę, to o niej mówiła: mamusia. Ale chyba miała też kilka... dzisiaj powiedzielibyśmy: traumatycznych, wspomnień z dzieciństwa. Wiesz, Ada wykorzystywała Joasie do wyprowadzania żydowskich dzieci z getta, ale przecież jej własna córeczka była wtedy bardzo malutka, najbardziej na świecie potrzebowała pomocy, poczucia bezpieczeństwa. Dzieci nie powinny stawać się bohaterami. A mama była małą bohaterką, choć bardzo się bała. Nauczyła się ten lęk tłumić, miała z tym zawsze ogromny problem, już we Francji zdarzały jej się załamania nerwowe, raz nawet leczyła się w szpitalu

przez kilka miesięcy. Nigdy nie opowiedziała mi historii swojego życia, tylko jakieś skrawki oderwane od całości. Że wychodziła dziurą pod murem i bała się, że po drugiej stronie zobaczy esesmana. Zastrzeliliby ją na miejscu i ona, kilkuletnia, była tego świadoma. Potem, że uciekały z Adą z jakiegoś domu, zimą, w ciemność, gonił je „wujek”, krzyczał, że je wyda... No i ostatnie, najgorsze wspomnienie. Ada miała krótkie ufarbowane włosy, jechały pociągiem. I ona moją mamę z tego pociągu wyrzuciła na nasyp kolejowy.

– To było wtedy, kiedy ją zdemaskowano, prawdopodobnie dokumenty były źle podrobione, tak uważa wuj Iwo. Wyrzucając ją, uratowała jej życie – wtrąciła Ula.

– To prawda, ale mama przecież o tym nie wiedziała! Został w niej tylko ten obraz, uczucie: tłoczny pociąg, ramiona matki i nagle pęd powietrza, a ona już jest za drzwiami, pada na nasyp, boli ją całe ciało od upadku, czuje rozpacz, bo mama ją zostawiła. Tak to wtedy odbierała. Myślę, że chciała przyłgnąć do Krystyny właśnie ze strachu. Próbowwała odczytywać jej myśli, być posłuszną, pomocną, żeby nikt więcej nigdy nie wyrzucił jej z pociągu. To nie była zdrowa relacja matki i córki, tylko relacja wybawicielki z ofiarą zbrodni. Mama chciała przypodobać się Krystynie, a ona to kupowała. Podobało jej się to, tym bardziej że z Wandy była rogata dusza, kłująca jak jeź. Gdyby mama mogła wiedzieć, ile zamieszania wywoła tym zachowaniem...

– ...to co by zrobiła? Poszłaby do psychologa? Daj spokój, Kaśka, przecież dobrze wiesz, że wojenne rany trudno się zablźniają – szepnęła Ula. Żal jej się zrobiło tych wszystkich kobiet pokaleczonych przez historię, z których każda próbowała w życiu podążać za szczęściem, ale żadna w rezultacie go tak naprawdę nie doświadczyła.

– W czasie wojny wszyscy, nasza babcia, nasze mamy, przyjęli, że Ada zginęła. Bo gdyby było inaczej, przecież szukałaby córki, nie ulegało wątpliwości, że bardzo ją kocha! Ale tak naprawdę nie było świadectwa zgonu, Ada była z formalnego punktu widzenia zaginiona. Na początku lat siedemdziesiątych mama zwróciła się więc o pomoc do Czerwonego Krzyża. Oni we współpracy

z Centralną Agencją Poszukiwań w Genewie ustalili, co stało się z Adą. Otóż nie zastrzelono jej wcale w tamtym pociągu: trafiła do więzienia, na Gęsiówkę. Podobno kilka tygodni ją przesłuchiowano. Musiała bardzo cierpieć, na pewno ją torturowano, mimo to nie wydała nikogo ze swoich współpracowników, nie zdradziła personaliów ani jednego dziecka, które znalazło się kiedykolwiek pod jej opieką. Po niecałym miesiącu załadowano ją więc do transportu do Oświęcimia. I, co zaskakujące, dożyła tam prawie końca. Musiała być w niezłym stanie zdrowia, gdy zbliżał się front, co paradoksalnie zadziało na jej niekorzyść. Wiadomo, że razem z innymi więźniarkami pędzono ją w marszu śmierci. Konwój kierował się do Mauthausen-Gusen, ale babcia... tak, ją też trudno mi tak nazywać, przecież to właściwie obca osoba, nigdy tam nie dotarła. Uznano, że zginęła na terytorium Austrii. Tak wpisano w jej aktach, które dostałyśmy z Czerwonego Krzyża. Czy zmarła z wyczerpania, czy też zastrzelono ją, bo nie była w stanie dalej iść, nie wiem. Żałuję, nic mi po niej nie zostało, nie mam żadnej pamiątki, zdjęcia... – Catherine miała łzy w oczach.

Uli też zrobiło się smutno.

A więc tak skończyło się życie pięknej Ady, namiętnej, pełnej radości! Bezimienna mogiła, gdzieś, nie wiadomo nawet gdzie... Istnienie, które minęło bez żadnego materialnego śladu.

– Kaśka...? Ale na grobie twoich rodziców nie dopisano Ady. – Tknęło ją coś nagle.

– Był taki pomysł, chyba tata na niego wpadł, jeszcze oboje wtedy żyli. Mama strasznie się wtedy rozkleiła, ojciec nigdy nie wrócił już do tematu i mnie też zabronił. Baliśmy się o mamę, była taka kruchotka. To moje zaniedbanie, że Ada nie ma żadnego grobu, choćby symbolicznego. – Catherine sprawiała takie wrażenie, jakby dopiero teraz sobie to uzmysłowiła i faktycznie uznała za własną winę.

– Może to i lepiej się ułożyło, bo mam dobry pomysł. Dopiszmy Adę tutaj, niech tu będzie jej miejsce, żeby można było położyć kwiaty...

– No, ale to trochę dziwnie, nie uważasz? Była kochanką męża Krystyny, rozbiła jej małżeństwo, może się nienawidziły!



– Z tego, co wiem, babcia darzyła Adę ogromnym szacunkiem. Przyjęła jej córkę jak własną, a nawet lepiej niż własną. Były trochę... jak przyrodnie siostry. Dużo uczuć, sporo niechęci, ale i fascynacji, tak mi się wydaje. Krew je złączyła. Jestem absolutnie pewna, że babcia nie miałaby nic przeciwko, i myślę, że mama też nie. Uważam, że ona do końca życia żałowała tego, co zrobiła Joasi, i próbowała to jakoś odpokutować. Naprawdę, Kaśka, zróbmy tak!

Catherine uśmiechnęła się nieśmiało. Widać było, że rozważa pomysł Uli i że z każdą sekundą podoba się jej on coraz bardziej.

– Ulcia, kochana jesteś. Jeśli tylko jest taka możliwość, byłabym bardzo, bardzo szczęśliwa. Aha, jeszcze coś ci powiem. Ten Władek z opowieści wuja Iwona... On przyjechał do nas, do Paryża, w latach osiemdziesiątych. Był wtedy już bardzo stary. W powojennej Polsce zrobił karierę jako literat, należał do PZPR, wybaczyli mu akowskie grzeszki. Nigdy się nie ożenił, nie założył rodziny. W Paryżu został tylko na kilka dni, powiedział, że ma raka, umiera i chciał po raz ostatni zobaczyć moją mamę. Powiedział, że pamięta ją jako kilkuletnią dziewczynkę. Że jest bardzo podobna do swojej matki. Ada była największą miłością jego życia, naprawdę miał nadzieję, że zostaną małżeństwem, gdy to wszystko się skończy, wojna. I nigdy nie pozbył się poczucia winy, bo to on dostarczył dokumenty, przez które mamę zatrzymano i z powodu których zginęła... Byłam przy tym spotkaniu, i mama, i pan Władysław mieli w oczach łzy wzruszenia. Smutne, co? – westchnęła Catherine.

Ula pokiwała głową. Smutne to były czasy, trudne, ludziom nie dane było znaleźć spokoju, miłości, spełnienia. Jednak jej życie, jakkolwiek na to patrzeć, było znacznie bardziej udane od życia jej matki i ciotki... O babkach jej i Catherine nawet nie wspominając.

Nagle Catherine pacnęła się dłonią w czoło.

– Ulka, gdzie ja mam głowę! Przywiozłam coś! – prawie krzyknęła i zaczęła grzebać w torebce, z której wydobyła... dwie pary starych okularów.

Urszula patrzyła na to znalezisko, które Catherine prezentowała jej z wyrazem triumfu na twarzy.

– No... ładne, ale trochę zużyte – zaczęła, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie bądź głupia! Pewnie, że są zużyte, to okulary mojej matki i naszego ojca, Joasi i Karola! – powiedziała, nie kryjąc ekscytacji.

Ula dopiero teraz zrozumiała. Wyciągnęła dłoń i delikatnie dotknęła czubkami palców rogowych oprawek. Prawie przeszedł ją dreszcz. Po raz pierwszy dotykała przedmiotu, którego codziennie przez wiele lat dotykał jej ojciec... Jeszcze nigdy nie była fizycznie tak blisko niego, nawet gdy stała nad jego grobem.

– Przywiozłaś je, żeby mi je dać? – zapytała, bo nadal jednak nie rozumiała, co tej Kaśce chodzi po głowie.

– W pewnym sensie, chociaż nie do końca. Przywiozłam je, żeby je tu zostawić, na tym grobie. Żeby wszyscy znów byli razem. Krystyna, mama, ciocia i nasz ojciec. I symbolicznie moja babcia, Ada – wytłumaczyła cierpliwie.

Urszula z zachwytu klasnęła w dłoń.

– Ależ, Kasia, ty jesteś genialna! No to jest po prostu cudowny, wspaniały pomysł! Chodź, daj pyska! – I zanim siostra zdążyła się zorientować, chwyciła ją w objęcia i wycisnęła dwa całusy na jej ciepłych policzkach. – Tylko nie możemy ich tak tu położyć, bo ktoś jeszcze weźmie albo służby porządkowe zgarną do śmieci. Wiesz co? Zawsze noszę w torbie finkę. Wykopimy tu, z boku mogiły, dołek w ziemi i tam złożymy te okulary. Tylko my będziemy o tym wiedziały, Ida... no i oni. Rodzice i babcia. Babcie – poprawiła się zaraz.

Gdyby ktoś zobaczył je pięć minut później, byłby pewnie bardzo zdziwiony: dwie dojrzałe kobiety na kolanach koło grobu, zawzięcie ryjące w ziemi.

Po wszystkim stanęły przed mogiłą lekko zdyszane – ziemia była twarda i zbita – ale uśmiechnięte. Zdawało się, że wszystkie kawałki tej układanki, liczącej prawie sto lat, wreszcie trafiły na swoje miejsce.

No prawie wszystkie.

– Ulka? Aż boję się zapytać, ale...

– Ale chcesz wiedzieć, co z Idą. Oczywiście. I nic się nie bój, bo są powody do radości! Wczoraj widziałam się z doktorem Białobrzeskim, wiesz, to ten, który opiekuje się Idą, wielbiciel latynoskich seriali. Prawie mnie wyściskał ze szczęścia, powiedział,

że jeszcze nigdy, w całej karierze, nie miał pacjenta, którego wyniki krwi poprawiłyby się tak radykalnie! Twój szpik ruszył do boju i wygląda na to, że jest nader waleczny i nieustępliwy. Pojutrze Ida wychodzi ze szpitala. Miałam ci powiedzieć, bo chciałam, żebyśmy ją razem odebrały. Tomasz zostanie z Dziunieczką, szpital, w którym ciężko chorują ludzie, to jednak nie miejsce na wesołe powitania z dzieckiem. Tak, Kasiu, wszystko, ale to absolutnie wszystko jest dobrze. Dziękuję ci za to...

– Wygłupiasz się? To ja, ja ci dziękuję!

– Wygłupiasz się?!

Obie roześmiały się radośnie. Jakaś pani przechodząca obok spojrzała na nie z oburzeniem. No jakże to tak: śmiać się na cmentarzu, nad czyimś grobem?!

\*\*\*

– Wyniki są obiecujące. Przeszczep się przyjął, ale nie mogę powiedzieć, że jest pani zdrowa. Z tym musimy poczekać. Na razie jako lekarz, człowiek rozsądny, zalecam umiarkowaną radość i konstruktywny optymizm. Rozumiemy się?

Doktor Białobrzewski położył rękę na dłoni Idy i uśmiechnął się do niej. Już nie nosił przy niej maseczki. Nie była potrzebna. Dziś wypisywano Idę do domu...

– Wiem, że mówiłem pani o tym sto razy, ale powtórzę jeszcze raz: leki immunosupresyjne przez mniej więcej pół roku. Jak długo będą podawane, zdecydujemy w późniejszym terminie, w zależności od stanu pani zdrowia. Ważne, żeby z jednej strony pani organizm nie odrzucił przeszczepu, ale z drugiej strony żeby nie doszło do choroby – przeszczep przeciwko gospodarzowi. To groźna, potencjalnie nawet śmiertelna choroba. To nie są przelewki, tak? No, co tam dalej... Aha. Leki przeciwdziałające infekcji należy jeszcze przyjmować profilaktycznie. Pani nie może sobie pozwolić nawet na przeziębienie, rozumiemy się? Proszę na siebie uważać, unikać osób kichających, kaszlących, najlepiej siedzieć w domu. Bez kwiatków, bez zwierzątek, oczywiście zwierzątka są miłe, ale to

siedlisko patogenów, mówię to jako specjalista od przeszczepów, oczywiście prywatnie kocham wszystko, co pręgowane i łaciate. Za kilka miesięcy pomyślimy o szczepieniach ochronnych, ale to jeszcze zdążymy o tym porozmawiać. Najważniejsza sprawa: raz w tygodniu, jak w zegarku, stawia się pani na kontrolę, jasne?

– Jasne, panie generale! – Ida żartobliwym gestem przyłożyła dłoń do skroni, jakby chciała zasalutować.

Ula i Catherine roześmiały się wesoło.

– A skoro są tu panie wszystkie, bez najmłodszej latorośli, i to w szampańskich nastrojach, to chciałem pani przypomnieć, pani Urszulo, że jest mi pani coś winna...

– Ja panu? – zbaraniała Ula. Próbowała przetrząsnąć pamięć w poszukiwaniu jakichś dowodów zbrodni. Pożyczała od niego pieniądze? Leki? Nic nie pamięta. Co jest, demencja przedwczesna czy co...

– Jest mi pani winna opowieść. Skąd pani, jedynaczka, wytrzasnęła we Francji siostrę?

– A! O to chodzi! – Ula wybuchła śmiechem. – No ta historia to się panu doktorowi spodoba... Otóż w skrócie sprawa wygląda tak: babka tej oto Catherine wdała się w romans z moim dziadkiem, prawowitym mężem mojej babci. I z tych relacji, usankcjonowanych przez Boga bądź nie, narodziły się nasze matki. Moja – Wanda. I Catherine – Joasia. A potem Wandzie i Joasi wpadł w oko, w dużym uproszczeniu to opowiadam, jeden mężczyzna, Karol. Ojciec mój i obecnej tu Catherine. Nasze matki zaszły w ciążę w tym samym czasie, ale... zerwały jednocześnie ze sobą kontakt i w ogóle nie były tego świadome. Catherine dorastała więc we Francji ze swoją mamą, Joasią, i naszym wspólnym tatą, Karolem, który nic nie wiedział o moim istnieniu. A ja wychowywałam się na Bielanach z moją mamą, Wandą, nieświadoma tego, że na drugim końcu Europy mam siostrę... czy też półsiostrę, z biologicznego punktu widzenia. Jasne?

Doktor Biało-brzeski miał oczy wielkie jak spodki i widać było, że nic nie jest tu dla niego jasne.

– Czyli... panie mają wspólnego dziadka i ojca. Dobrze zrozumiałem?

– Dobrze! – odpowiedziały zgodnym chórem.

– To... niebywałe. Tak w ogóle można? To... lepsze od Esmeraldy, Isaury, Palomy i Fiorelli. To stawia w całkiem nowym świetle ten przypadek! Mój Boże, to chyba przeznaczenie, bo ja od jakiegoś czasu szukam ciekawego przypadku do artykułu naukowego, marzy mi się habilitacja i ta wspaniała paradna historia jest po prostu stworzona do tego! Gdyby panie wszystkie zgodziły się na badania genetyczne, dokładne, żeby wszystko sprawdzić... A czy jest możliwość przebadać panie matki? Ojców? Ojca, przepraszam...

– Niestety, wszyscy już nie żyją. Jeśli chodzi o nas, to jak tylko sytuacja się ustabilizuje, Idusia będzie się dobrze czuła, chyba rozważymy taką możliwość, co, Kaśka? Ale na nas to genetyczne śledztwo, niestety, się urwie...

– To mi wystarczy! Będę przeszczęśliwy! Ale w świetle tego, co pani powiedziała, rozumiem już, dlaczego ten przeszczep tak wspaniale zafunkcjonował! Och, na pewno jest jeszcze kilka tajemnic w tej opowieści, pani nie mówi mi wszystkiego, pani Ulu!

– Wie pan, kobieta musi mieć jakąś tajemnicę... Więc jednak część sekretów zostanie ze mną, z naszą rodziną. Ale przyrzekamy, że podzielimy się z panem, czym się tylko da.

– Wspaniale, fantastycznie! No... – Białołbrzeski przez chwilę zbierał myśli, jakby zapomniał, gdzie się znajduje i po co. – Pani Ido, gotowa pani? Ubranie wierzchnie odpowiednie do pogody?

– Tak jest! Ja jestem gotowa do wyjścia już od bardzo, bardzo dawna... – Idzie zadrżał głos. Ula zauważyła, że córka ma łzy w oczach. Wiedziała, czego Ida wprost nie może się już doczekać. Spotkania z Dziunią...

– To jedziemy. Dziękujemy jeszcze raz za wszystko. Co złego, to nie my. Do widzenia! – Białołbrzeski skłonił się elegancko, zamachały mu na pożegnanie.

Ida wpatrywała się w drzwi oddziału, jakby za nimi znajdowała się Narnia z Lwa, Czarownicy i starej szafy. Przejście do innego świata... Ula mocno złapała ją za rękę. Nacisnęła klamkę i znalazły się w holu, gwarnym i pełnym ludzi. Jeszcze winda. Minęły recepcję. Drzwi wejściowe i...

Ida złapała powietrze otwartymi ustami jak ryba wynurzająca się na powierzchnię wody. Świat! Drzewa! Chmury! Niebo!

– No, dalej, dalej, nie stójmy tu tak. Patogeny, pamiętajcie, patogeny. Jedziemy do domu, co? Ida, zmęczona? – Catherine objęła siostrzenicę za ramiona czułym gestem.

Ida posłała jej rozpromienione spojrzenie.

– A skąd! Pełna życia i energii!

Zeszły powoli po stopniach. Ula uparła się, że odwiezie Idę do domu swoim autem, starannie wyczyszczonym, a miejscami nawet zdezynfekowanym. Uważała, że w ambulansie będzie więcej bakterii niż w jej prywatnym samochodzie, którym nie podróżuje aż tyle osób.

Jechały w milczeniu. Ida wyglądała przez okno, chłoneła świat, a one nie chciały jej przeszkadzać.

– Patrzcie! Pies na spacerze, biega za patykiem! A tu dziewczyna w ciąży! Czy to zielony dzięcioł, tam, w trawie? – wykrzykiwała co chwila.

Catherine posłała Uli porozumiewawcze spojrzenie. Ula uśmiechnęła się pod nosem. Podobało jej się, że siostra tak pokochała Idę. Na dodatek szybko stały się bardzo zżyte, jakby nie było między nimi tych lat obcości, nieobecności, jakby były od początku ciotką ubóstwiającą siostrzenicę i siostrzenicą uwielbiającą ciotkę.

„A wszystko to stało się tak szybko! Kilka miesięcy i taka wielka zmiana w życiu, to nie do wiary! Ida zdrowieje, ja mam siostrę, moja matka znów ma przy sobie swoją siostrę! Zawsze wydawało mi się, że te brazylijskie seriale są kompletnie bez sensu. Ale życie pisze czasem najbardziej nieprawdopodobne scenariusze. I to prawda, że nie wolno tracić nadziei, bo nawet jeśli nasza droga zdaje się kręta, Bóg może ją wyprostować... Wujek miał rację. Muszę mu to koniecznie powiedzieć, koniecznie trzeba pojechać do tego Tyńca, podziękować wujkowi, opowiedzieć osobiście, jak to się wszystko potoczyło. Myślę, że kamień spadłby mu z serca. Chyba strasznie musiała go uwierać powierzona mu lata temu tajemnica. On też nigdy nie był do końca szczęśliwy, żył w rozdarciu, kochając obie, skonfliktowane ze sobą siostry...” – zadumała się Ula.

– Ale tak w ogóle to patrzysz na jezdnię, co? Bo minę masz trochę nieprzytomną. Może ja poprowadzę? – szepnęła jej na ucho Catherine.

– No wiesz co? A czy ja wiem, czy ty w ogóle jesteś dobrym kierowcą? Zresztą zobacz, już dojeżdżamy – rzuciła.

Faktycznie parkowały właśnie wzdłuż ulicy, pod kilkupiętrową kamienicą, w której mieściło się mieszkanie Uli.

– No. To nareszcie jesteśmy wszystkie w domu! – westchnęła z ulgą, gdy wysiadały z samochodu.

\*\*\*

Ula próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była tak radosna, tak szczęśliwa... Nie musiała wcale długo się zastanawiać. Na pewno wtedy, gdy urodziła się Ida. Sam poród był długi i bolesny, więc chwila prawdziwego szczęścia przyszła trzy dni później, gdy już obie trafiły do domu. Leżała na boku, podziwiając drzemącą przy jej piersi córeczkę. Była doskonała, perfekcyjna!

„No to jesteśmy w komplecie” – powiedziała do męża, a on się zaśmiał i pokręcił głową. „Co to, to nie, zamierzam mieć z tobą co najmniej ćwierć tuzina dzieci!”. „Tylko pod warunkiem, że sam je urodzisz” – zachichotała i od razu skrzywiła się z bólu. Każdy ruch mięśni brzucha powodował cierpienie.

Tak, to była cudowna chwila prawdziwej pełni. Niejedyna. Drugi raz poczuła się taka spełniona, gdy mała Dziunia po raz pierwszy wyciągnęła do niej tłuste łapki i powiedziała: „Babu!”. Kolejna chwila szczęścia przyszła na cmentarzu, w Paryżu. Gdy Catherine objęła ją i nazwała siostrą. Poczuła się wtedy tak, jakby wszystkie elementy wróciły na swoje miejsce. Miała siostrę, na którą w dodatku mogła liczyć, która wsparła ją w najtrudniejszej chwili jej życia, a potem uratowała jej jedyne dziecko. I wreszcie teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło, a cała na powrót zjednoczona rodzina siedziała przy stole w dużym pokoju i objadała się wuzetkami. Był to ten sam stół, przy którym Krystyna celebrowała swoje prozowane obiady, przy którym Józefowa szyła sukienki dla

Wandy i Joasi, przy którym Iwo kreślił swoje pierwsze mistyczne przemyślenia i wreszcie przy którym Karol pisał artykuły do podziemnej gazетки.

– A ja na tym stole straciłam dziewictwo – oświadczyła bezpruderyjnie Ida, czym wprowadziła matkę w lekkie zakłopotanie, natomiast Catherine roześmiała się wesoło i bez troski.

– Na stole najlepiej – powiedziała tylko. – Pyszna wuzetka – dodała szybko, widząc, jak Ula się czerwieni. – Muszę cię trochę rozruszać, moja kochana siostrzyczko. – Pogłaskała ją po policzku. – I popracować nad twoim wizerunkiem. Masz piękną młodą cerę, świetną figurę, ale ta fryzura... no i ubrania.

– Chciałabym zauważyć, że jestem ubrana prawie tak samo jak ty! – zaprotestowała Urszula.

Faktycznie obie wyglądały dość bezpretensjonalnie. Miały na sobie dzinsy i T-shirty – tyle że bluzka Catherine była kolorowa, z dużym dekoltem, a jej siostra miała na sobie powyciąganą szaroburą tunikę, w której gubiły się jej zgrabny biust i wcięcie w tali.

– No nie wiem – mruknęła Ida. – Polemizowałabym.

– Tylko spróbuj. – Urszula zrobiła groźną minę, jednak wyglądała tak nienaturalnie, że nawet Dziunia jej nie uwierzyła.

– Babu, zrób jeszcze raz potwora, no zrób, zrób – prosiła raz i drugi.

– Widzisz, masz za swoje – zaśmiała się Catherine, nakładając sobie kolejną porcję wuzetki.

– Muszę podziękować tym miłym dziewczynom z cukierni – powiedziała Ula. – Zastanawiam się, co mogłoby im sprawić przyjemność. – Może inny sekretny przepis Krystyny? – zastanawiała się głośno.

– A jest jeszcze jakiś? – zaciekała się Ida.

– No ba! Mam cały zeszyt jej receptur! – Urszula wyciągnęła z szuflady stary zeszyt oprawiony w twardą okładkę, wypełniony równiutkim pięknym pismem.

– Nikt już tak nie kaligrafuje – westchnęła Catherine, przerzucając kartki w brulionie.



Nagle spomiędzy wycinków z gazet wypadło małe zdjęcie. Były na nim Joanna w sukience w kolorowe prostokąty oraz Wanda w śmiesznym słomkowym kapelusiku. Joaśka zarzuciła ręce na szyję siostry, a ta uśmiechała się, jakby ten gest ją uszczęśliwił. Obok stał Karol – młody, smukły, radosny.

– Pamiętam tę sukienkę – ucieszyła się Catherine. – Mama nosiła ją przez całe moje dzieciństwo!

– A ja pamiętam ten kapelusz. – Ula dotknęła palcem fotografii. – Wystąpiłam w nim w szkolnym przedstawieniu.

– Na tym zdjęciu wyglądają jak najlepsze przyjaciółki. – Ida nie mogła uwierzyć, że patrzy na bohaterki tej trudnej historii rodzinnej, momentami złej. – Nigdy bym nie uwierzyła, że było między nimi tyle niechęci...

– Może było jej mniej, niż się wydawało? – zastanowiła się Catherine. – Może był dla nich ratunek? Gdyby tylko Krystyna potrafiła je potraktować sprawiedliwiej?

– Gdyby, gdyby... gdyby nie było wojny, a potem komunizmu, gdyby ludzie nie popełniali błędów... Nie ma sensu dłużej rozdrapywać starych ran. Ważne, że my mamy siebie! – Urszula objęła siostrę ramieniem, a ta cmoknęła ją w policzek.

– Jakaś ty mądra, moja kochana! Byłabyś idealna, gdyby nie ta fryzura i ta bluzka... – Dźgnęła ją żartobliwie palcem w bok, a Ula znowu udała, że się gniewa, czym wprawiła w zachwyt Dziunię.

W te ich radosne przekomarzania wdarł się nagle dzwonek telefonu w przedpokoju.

– Ciekawe, kto dzwoni – zdziwiła się Urszula. – Prawie wszyscy używają teraz komórek, muszę wreszcie zlikwidować stacjonarny. Pewnie znowu chcą mi sprzedać jakieś garnki.

Podniosła słuchawkę. I natychmiast spoważniała.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała, a potem długo słuchała, rzucając od czasu do czasu: „Tak”, „Oczywiście”, „Rozumiem”, „Kiedy” i wreszcie: „Mam nadzieję, że nie cierpiał”.

Odłożyła słuchawkę.

– Iwo odszedł dziś w nocy.

Dziarski mnich poślizgnął się nieszczęśliwie na posadzce swojej celi i złamał nogę w biodrze. Po przewiezieniu do szpitala prawie natychmiast nabawił się zapalenia płuc i w wyniku komplikacji zmarł.

– Zawierzył się Bożemu Miłosierdziu, a i my wszyscy wspieraliśmy go modlitwą podczas tej wyprawy do domu ojca – powiedział opat po pogrzebie.

Wuj spoczął na niewielkim przyklasztornym cmentarzyku w otoczeniu innych świętych mężów. Urszuli i Catherine pozwolono uczestniczyć w uroczystości.

– To był wyjątkowo święty człowiek, ten nasz Hieronim – westchnął przełożony benedyktynów, gdy już siedzieli wszyscy razem w refektarzu: popijali mszalne wino i zagryzali je doskonałym serem – ostatnim benedyktyńskim wyrobem.

– Naprawdę sami robicie te sery? Wcale nie są gorsze od francuskich! – zdziwiła się Catherine.

– Nie do końca sami... – Opat uśmiechnął się przepraszająco. – Pomaga nam pewien wybitny serowar. Natomiast my degustujemy i udzielamy wskazówek. No i dajemy swoje logo.

– Czyli nowoczesność w wydaniu benedyktyńskim. – Urszula ukroiła sobie kolejny kawałek smakołyku.

– Pewnie nie powinienem paniom tego mówić – szepnął wreszcie wzruszony zakonnik – ale Hieronim wyznał mi coś przed śmiercią.

Obie siostry popatrzyły na niego wyczekująco.

– Otóż powiedział mi, że w swoim zakonnym życiu dopuścił się pewnego wielkiego grzechu... zdradził tajemnicę spowiedzi. Ale wyznał również, że nie potrafi tego do końca żałować, bo dzięki temu, że zacytuje jego słowa, nikt nie będzie musiał powtarzać losów gorszej siostry. I że umiera szczęśliwy, bo udało mu się nie tylko ocalić jedno życie, lecz także pogodzić rodzinę.

– Kochany Iwo – chlipnęła Ula, a Catherine objęła siostrę czule ramieniem.

Chwilę jeszcze pospacerowały po przyklasztornym parku, ciesząc się słońcem, wiatrem i pięknem świata. A także sobą nawzajem.

– Nie wiem, jak ci mam dziękować – odezwała się w pierwszej chwili Urszula. I powiedziała to trochę do Iwona, trochę do Catherine, a trochę do Boga, który jak mówił drogi Iwo, potrafił „prosto pisać po krzywych liniach”.

– Nie wiem, jak ci mam dziękować – powtórzyła jak echo Catherine. – Po trzech poronieniach, po latach żałoby i tęsknoty za dziećmi zyskałam za jednym zamachem siostrę, córkę i wnuczkę. Dziękuję: i tobie, Ulu, że mnie znalazłaś, i Tobie, Boże, że mnie znalazłeś.

– I już zawsze będziemy razem – dodała Ula. – Z naszymi drogimi zmarłymi, których poniesiemy w sercu przez resztę życia. Z ojcem i matką. I matkami.

Catherine chciał coś dodać, ale nagle przysłoniła twarz dłonią, chroniąc oczy przed zbyt intensywnym światłem słonecznym, i spojrzała w górę.

– Widzisz to? – zapytała siostrę.

Wysoko nad nimi kołował jakiś ptak. Wyglądał, jakby wyłonił się z chmur. Był cały biały, a promienie słońca nadawały jego piórom złocisty pobłysk. Kołował i nagle zawisł bezpośrednio nad ich głowami. Obie kobiety znieruchomiały, żeby tylko nie przestraszyć tej niezwykłej istoty. W tym momencie słońce jakby zaświeciło mocniej. Odruchowo przymknęły oczy. Gdy je otwały, ptak zniknął.

– Co to było, na litość boską? – zdziwiła się Catherine.

Ula uśmiechnęła się i poczuła, jak ciepło rozlewa się wokół jej serca.

– Uznasz mnie za wariatkę, ale nagle poczułam, że to Iwo... Jego dusza. Przyszedł się z nami pożegnać. I dać znać, że wszystko jest w porządku.

– Myślisz, że wszyscy sobie wybaczyli tam, w górze? – Catherine wciąż obserwowała niebo w nadziei, że ptak pokaże się jeszcze choćby na chwilę.

– Myślę, że w górze nie ma już tajemnic. Wszyscy wiedzą o sobie tyle, ile potrzeba, żeby się rozumieć, a jak się rozumie, to dużo łatwiej jest wybaczyć. Poza tym jest tam nieskończenie dużo miłości zdolnej uleczyć każde zranienie. Oni już się tam tylko kochają, jestem tego pewna.

– Ale my nie musimy czekać na życie wieczne, możemy zacząć się kochać i przyjaźnić już na ziemi! – Catherine odpuściła sobie obserwację ptaków i przeniosła spojrzenie na siostrę. – Co powiesz na to, żebyśmy spędzili przyszłe wakacje wszyscy razem? Rodzina mojego męża ma piękny dom na południu Francji. Robią wino, oliwę, sery, a jacy są gościnni! Mówię ci, będziemy mieć tam rajskie życie!

– A do morza jest blisko? – zaciekała się Urszula.

– Niecały kilometr od domu. Będziemy mieć dla siebie całe Morze Śródziemne!

– Dziunia będzie zachwycona! W ubiegłym roku była tydzień nad Bałtykiem i nie mogliśmy jej wyciągnąć z wody, chociaż nie była zbyt ciepła.

– No to we Francji na pewno będzie zachwycona. I ty też. Tylko, wybaczone, że się powtarzam, musimy popracować nad twoimi włosami. Naprawdę wstyd, żeby taka młoda i piękna kobieta zapuściła się jak staruszka. Masz taką figurę, że będziesz gwiazdą plaży!

– Raczej planetą... z tych większych! – zachichotała Ula, a potem ruszyły w kierunku przystanku autobusowego. Musiały zdążyć na pociąg do Krakowa.

\*\*\*

## Hyères, 2020

Dom znajdował się w pewnym oddaleniu od plaży, jednak z tarasu na pierwszym piętrze widać było lazurowy bezkres Morza Śródziemnego. Dostali go do użytku na cały lipiec, co było idealnym rozwiązaniem, ponieważ większość Francuzów przyjeżdżała na wakacje w sierpniu, a teraz panował względny spokój. Ida natychmiast zaprzyjaźniła się z właścicielem kawiarenki, która znajdowała się niedaleko. Już pierwszego dnia na powitanie przyniósł im przepyszną pastę z czarnych oliwek i suszonych

pomidorów, kozie sery, porcje faszerowanych papryk i pięciolitrowy galon różowego wina.

– Mamo, jesteśmy w raju! – cieszyła się Ida, która odzyskała dawny wigor i wyglądała jak okaz zdrowia.

Ba, zaczęła nawet przebąkiwać coś o drugim dziecku, a jej mąż patrzył na nią tak pożądliwie, że Urszula była pewna, że prędzej czy później coś z tego będzie. A że lekarze mówili, że to niemożliwe? Kto by się tym przejmował, w tej rodzinie cuda były przecież na porządku dziennym!

Był wczesny ranek, upał jeszcze nie nadszedł. Urszula wróciła właśnie z porannego biegania: dotarła do niewielkiego miasteczka, kupiła pięć bagietek dla rodziny (Tomasz potrafił samodzielnie spałaszować jedną całą na śniadanie) oraz pain au chocolat – czyli bułeczkę z nutellą – dla Dziuni. Przyjechali zaledwie tydzień wcześniej, a pokochali to miejsce, jakby od dawna stanowiło kawałek serca każdego z nich.

– To doskonale! – cieszyła się Catherine. – Będziecie mogli tu przyjeżdżać co roku na wakacje i ferie zimowe. Nic nie stoi na przeszkodzie!

Urszula zamierzała zaprotestować, że przecież nie można rokrocznie zwałać się na głowę rodzinie męża „Kaszki”, jednak błysk w oczach wnuczki, która naprawdę zakochała się w morzu, kazał jej zamilknąć. Poprzedniego dnia Catherine dała małej kolejną lekcję pływania: okazało się, że Wanda ma do tego niesamowity talent! Dlatego Ula podziękowała za propozycję spędzania w tym miejscu wszystkich wakacji i nie polemizowała.

– Widzisz – szepnęła jej do ucha siostra – będziemy miały na co czekać, to będzie część naszych rodzinnych rytuałów: Boże Narodzenie i zima w Warszawie, a lato w Hyères.

– Trochę się najeździmy – zachichotała Ula.

– No wiesz, już starożytni Grecy mówili, że żeglowanie jest koniecznością. Życie to jedna wielka podróż!

Teraz, kiedy biegnąc krętymi uliczkami ślicznego miasteczka, mijają gotycki kościół, w którym według legendy znajdowała się czaszka Marii Magdaleny, i odpowiadała machaniem ręki na powitanie właścicielki kafejki, Urszula myślała o tym wszystkim, co

przyniósł ostatni rok. Czuła wdzięczność – wobec Boga, ludzi i świata – za to, że udało jej się ocalić to, co najważniejsze: ukochane dziecko i rodzinę. A także za to, że jest taki piękny dzień, a ona biegnie lekko, jakby jej ubyło dobrych dziesięć lat.

Jeszcze parę miesięcy wcześniej, zaraz po przeszczepie Idy, przeżywała załamanie nerwowe. Tak jakby wszystkie wewnętrzne mięśnie, które mocno ścisnęła przez całą chorobę córki, nagle się zmęczyły i puściły, a ona sama poczuła się stara, wyczerpana i obojętna na wszystko.

– Za długo dźwigałaś wszystko sama, ale przecież już nie musisz – powiedziała jej wtedy Catherine. – Ida jest już zdrowa, ma pomoc nie tylko od ciebie, ale też od swojej teściowej. Dziunia chodzi do przedszkola. Musisz teraz zadbać trochę o siebie, najwyższy czas.

– Tylko po co? – mruknęła wtedy Urszula. – Jestem już stara, nic specjalnego mnie nie czeka. Chcę już tylko tego, żeby było tak, jak jest.

– Jak to po co masz o siebie dbać?! – rozgniewała się siostra. – Dla siebie samej! A jeśli ten argument do ciebie nie trafia, to przyjmij do wiadomości, że musisz o siebie się troszczyć dla swojej córki, dla wnuczki, no i... dla mnie też. Co ty sobie wyobrazasz?! Ledwo cię odzyskałam, a ty teraz pracujesz na jakąś ciężką chorobę. Albo raka, albo zawał.

Zatem Ula wzięła sobie do serca słowa siostry. Najpierw wyjechała na dwutygodniowe wczasy z odnową biologiczną, a potem z powrotem zakochała się w bieganiu.

– Jak to możliwe – mówiła potem zięciowi – że przeżyłam tyle miesięcy, zupełnie nie pamiętając, jakie to przyjemne!

Codzienny trening nie tylko sprawiał Urszuli przyjemność, lecz także dodawał energii. Schudła prawie pięć kilo, stała się bardziej energiczna i chętniej ruszała się przed telewizora. Teraz, w czasie wakacji, organizowała sobie codzienny poranny trening, żeby przygotować się do wrześniego maratonu.

– Tylko mi nie padnij z tego entuzjazmu – niepokoila się Ida, a Tomek kupił ukochanej teściowej specjalną opaskę z ciśnieniomierzem, na przegub.

– Jesteś najbardziej usportowioną babcią w naszym przedszkolu – chichotał, widząc, jak Ula zakłada sportowe buty i rusza na trening.

– A ja to pies? – złościła się wtedy Catherine.

– Ty jesteś drugą najbardziej usportowioną babcią w naszym przedszkolu – dodawała szybko Ida. – Zapewniam cię, że żadne dziecko nie ma babci parolotniarki!

– Mam najlepiej, mam najlepiej! – cieszyła się Dziunia, podskakując na jednej nodze.

Nie były to jednak wszystkie zmiany. Po wielu błaganiach udało się namówić Ulę, żeby zrobiła sobie sensowną fryzurę i zlikwidowała siwe włosy. Gdy po raz pierwszy weszła do domu taka odmieniona, ufarbowana na ciepły kasztan, w falbaniastej sukience do kolan, sąsiad z drugiego piętra przeszedł obok niej i w ogóle jej nie poznał.

– Dzień dobry, panie Zenku! – rzuciła wesoło. – Co to, sąsiadki pan nie widzi? Taka jestem malutka?

– No faktycznie, tak jakby pani trochę ubyło, pani Ulko – stropił się pan Zenek. – Nie tylko w masie, ale też w latach. Odmłodziła pani, jednym słowem!

Choć komplement był z tych raczej grubo ciosanych – podobnie jak sam pan Zenek – sprawił jej wielką przyjemność. Przypomniała sobie, jak to jest: czuć się dobrze we własnej skórze. Paradoksalnie pan Zenek, który nie należał do bardzo wyrafinowanych osób, rozbudził w niej pragnienie, żeby się podobać. Oczywiście nie przyznałaby się do tego za żadne skarby, jednak pewnego dnia, w okolicy Wielkanocy, gdy Catherine po raz kolejny przyjechała do Polski i tym razem przywiozła ze sobą francuskiego męża, poprosiła nieśmiało siostrę, żeby pomogła jej uzupełnić garderobę.

– Wiesz, nigdy nie lubiłam się stroić. Ani też nie umiałam...

Catherine wpadła w zachwyt. Natychmiast wciągnęła do zabawy Idę i razem ruszyły plądrować sklepy z ciuchami. Wróciły do domu obładowane pakunkami: z sukienkami, rybaczkami, baletkami i innymi kobiecymi cudami. Przez kolejne godziny Urszula przymierzała te rzeczy we wszystkich możliwych konfiguracjach stylistycznych i kolorystycznych.

– Idealnie, po prostu idealnie! – cieszyła się Ida. – Matka, chyba będę od ciebie ciuchy pożyczać!

Urszula cieszyła się jak nastolatka. Kiedy jednak nieco się uspokoiła, stwierdziła, że największą przyjemność sprawił jej nowiutki granatowy dres do biegania.

Właśnie w tym dresie biegła parę tygodni później po Lasku Bielańskim, gdy nagle usłyszała czyjeś słabe wołanie. Dochodziło z krzaków znajdujących się nieco w bok od głównej ścieżki. Ewidentnie ktoś tam leżał i wzywał pomocy. Trochę się przestraszyła, jednak ostatecznie zdecydowała się zboczyć ze szlaku i sprawdzić, co się stało.

Ano stało się tyle, że w krzakach leżał jakiś nieszczęśnik – również w dresie – i nie mógł się podnieść.

– Co się panu stało, na litość boską? – wykrztusiła Urszula, gdy już opanowała zdziwienie.

– Trenowałem. Chciałem się podciągnąć na gałęzi, podskoczyłem do niej, zwiłem, a wtedy ona, skubana, trach! I się złamała. A ja chyba razem z nią, bo nie mogę się podnieść.

– Nie podniosę pana... – Urszula oszacowała gabaryty nieznajomego.

– No trudno, choć już miałem nadzieję. Ale może pani zadzwoni po pogotowie na przykład?

Urszula zadzwoniła. A potem dzwoniła jeszcze dwukrotnie, bo sanitariusze, jak się później okazało, podejrzewali, że wzywa ich do jakiegoś pijaka, i niespecjalnie przejęli się jej telefonem. Gdy ostatecznie zjawili się na miejscu i zajęli poszkodowanym, tamten w ostatniej chwili poprosił o jej numer telefonu.

– Chciałbym pani podziękować jakoś po ludzku, jak już stanę na nogi – oświadczył.

Ula początkowo się wzbraniała, ostatecznie jednak dała ten numer. Cóż w tym złego w końcu?

Mężczyzna zadzwonił w przeddzień rodzinnego wyjazdu do Francji.

– Dzień dobry, tu Piotr Kozłowski – powiedział, a ona specjalnie udała, że nie ma pojęcia, kim on jest, choć rozpoznała jego głos. I serce zabiło jej żywiej.



Teraz biegła z tymi bagietkami i myślała o SMS-ie, którego dostała poprzedniego wieczoru. „Gdy będziesz już w Warszawie, chciałbym się umówić z tobą na kawę” – pisał jej „połamaniec”, jak o nim opowiadała Catherine i Idzie. Odpowiednio zmotywowana przez córkę i siostrę odpowiedziała, że „z przyjemnością pójdzie”.

– Kto wie, mamó – śmiała się Ida – może to początek czegoś poważnego?

– Właśnie! – zawtórowała jej Catherine. – Jesteś młoda i piękna! Nie możesz się zamykać na miłość!

– Nie wygłupiajcie się – mruknęła speszona, ale zrobiło jej się miło.

– Mamó, naprawdę szkoda takiego ciała! – chichotał Tomasz rozochocony trzecim aperolem.

– Bo cię trzepnę, łobuzie! – zawołała wesoło i teraz, wspominając całą konwersację, znowu się zaśmiała.

Nie miała pojęcia o tym, że w czasie, gdy ona biegnie z bagietkami, jej córka i siostra dobrały się do jej komórki. I wysłały „połamańcowi” jej zdjęcie w kostiumie kąpielowym, w którym zdaniem rodzinnych kobiet i mężczyzn wyglądała jak milion dolarów. „Z pozdrowieniami z Lazurowego Wybrzeża” – wystukała pośpiesznie Catherine, a Ida, hamując śmiech, wydukała:

– Ale będzie wściekła, jak się zorientuje!

Dzień był naprawdę piękny, wprost idealny. Ula wbiegła do domu z bagietkami dokładnie w chwili, gdy Catherine skończyła nakrywać na tarasie stół do śniadania. Pachniało kawą i pomarańczą, bo Ida zrobiła sok dla Dziuni. Ula zmieniła dres na sukienkę – jedną z tych, które wybrała dla niej Catherine – po czym usiadła na krześle i zapatrzyła się w morze. Docierał do niej szum wiatru, w który wplotły się pojedyncze słowa rozmowy. A tak, to sąsiad z domu obok przechylony przez płot o coś pytał Catherine. Słyszała strzępki ich rozmowy: „ukochana siostra”, „rodzina”, „znalazłam”, „jestem szczęśliwa”.

„Wszystko rozumiem, w dodatku czuję to samo” – szepnęła do siebie. A Catherine, jakby ją usłyszała, odwróciła się i pomachała ręką w jej stronę. I wtedy Ula się zorientowała, że mają na sobie prawie identyczne sukienki! Zupełnie jak na tej fotografii zrobionej

kilkadziesiąt lat wcześniej w górach. Dwie kochające się siostry, już na zawsze razem.



W Polsce co 40 minut ktoś dowiaduje się, że choruje na nowotwór krwi. Tę diagnozę słyszą rodzice małych dzieci, młodzież, dorośli. Bez względu na wiek - każdy może zachorować. Na szczęście każdy może też pomóc. Dla wielu chorych jedyną szansą na życie jest przeszczepienie szpiku lub komórek macierzystych od niespokrewnionego Dawcy.

Misją Fundacji jest znalezienie Dawcy dla każdego Pacjenta na świecie potrzebującego przeszczepienia komórek macierzystych szpiku.

**Podjmij świadomą decyzję. Dołącz do nas, razem możemy więcej!**



#### CZY JEST SZANSA NA ZNALEZIENIE DAWCY W RODZINIE?

Tylko **25%** Pacjentów potrzebujących przeszczepienia znajduje Dawcę w rodzinie.



#### KTO MOŻE ZOSTAĆ DAWCĄ?

Dawcą może zostać każdy ogólnie zdrowy człowiek pomiędzy **18-55** rokiem życia.



85%



15%

#### W JAKI SPOSÓB POBIERA SIĘ SZPIK?

W **85%** przypadków krwiotwórcze komórki macierzyste pobiera się z krwi obwodowej. Procedura wygląda podobnie jak oddawanie krwi. Pozostałe **15%** przypadków to pobrania szpiku z talerza kości biodrowej.

Fundacja DKMS działa w Polsce od 2008 roku jako niezależna organizacja pożytku publicznego, w oparciu o decyzję Ministra Zdrowia i jest największym Ośrodkiem Dawców Szpiku.

**ZAREJESTRUJ SIĘ** jako potencjalny Dawca szpiku na [dkms.pl](http://dkms.pl)

Zostań Darczyńcą **92 1240 6292 1111 0010 5530 0549**

Przekaż 1% podatku **KRS 0000318602**

Odwiedź nas w mediach społecznościowych

W książce wykorzystano fragmenty utworów: wiersza Zapach egzotyczny  
Charles'a Baudelaire'a w przekładzie Seweryna Pollaka z tomu Kwiaty zła; Dziadów Adama  
Mickiewicza

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redaktor prowadzący: Ewa Pustelnik, Magdalena Matuszewska

Redakcja: Tomasz Karpowicz  
Konsultacja naukowa: dr n. med. Joanna Kardas  
Korekta: Magdalena Matuszewska

Projekt okładki: Pola Rusiłowicz  
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Ivory27/shutterstock

Skład i łamanie: Marzena Madej

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-8469-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**